



Skrzyżowanie
epoki wiktoriańskiej
z X-Menami

DZIEWCZYNA
W STALOWYM
GORSECIE
KADY CROSS



fabryka słów
www.fabrykaslow.pl

CROSS KADY

*DZIEWCZYNA W STAŁOWYM
GORSECIE*

Tłumaczyła Patricia Sørensen

Ta książka jest dla wszystkich dziewczyn, które mnie inspirowały: Elsy, Katlyn, Emmy, Madeline, Roxi i Rosie.

Również dla Steve'a, który nie tylko mnie inspirował, ale pomagał przy zbieraniu informacji, uczestniczył w burzach mózgow, zajmował się posiłkami i nigdy nie narzekał na całe to jedzenie na wynos, które musiał jeść, kiedy ja pracowałam. Dzięki, skarbie — nie tylko za wsparcie, ale też za to, że poszedłeś ze mną do kina na *Zmierzch*. Jesteś super.

Uściski dla Kristy i Nancy, i Miriam za wiarę w ten projekt i we mnie — nawet gdy sama miałam wątpliwości.

A na sam koniec — ta książka jest dla mnie. Bo, po napisaniu ponad dwudziestu, zasłużyłam.

ROZDZIAŁ 1

Londyn, 1897

W chwili, w której zobaczyła, jak młody mężczyzna zmierza mrocznym korytarzem w jej kierunku, wymachując laseczką, Finley Jayne wiedziała już, że do wschodu słońca będzie bezrobotna. Jej trzecie wymówienie w ciągu tyluż miesięcy.

Spięła się i zwolniła kroku, lecz nie stanęła. Trzymała głowę nisko, ale była na tyle sprytna, by nie spuszczać z niego wzroku. Może przejdzie zwyczajnie obok niej, jakby była tak niewidzialna, jak powinna być służąca.

Dwudziestojednoletni Felix August-Raynes był synem jej pracodawcy. Wysoki i szczupły, z kędzierzawymi blond włosami i jasnoniebieskimi oczami.

Każda kobieta, która go zobaczyła, nazywała go aniołem. Większość osób, które go znały, nazywała go diabłem.

Inne pokojówki ostrzegły ją przed lordem Feli-xem już pierwszego dnia pracy. Zaledwie dwa tygodnie temu. Należał do gangu uprzywilejowanych drani, których znakami rozpoznawczymi były kolczyki na twarzy i brak szacunku dla kogokolwiek, zwłaszcza dla kobiet. Zatrudniono ją w miejsce dziewczyny skrzywdzonej przez młodego panicza. Krążyły plotki, że pokojówka wymagała poważnej opieki lekarskiej.

Finley nie szukała kłopotów, alejakaś jej część — ta, która zapewniała jej bezpieczeństwo, jak i ciągle zwolnienia z pracy — miała nadzieję, że młody lord spróbuje coś zrobić. I potwornie cieszyła się na myśl o nadchodzącej przemocy.

Reszta zaś była przerażona. Gdyby nie stalowe fiszbiny roboczego skórzanego gorsetu, Finley była pewna, że serce przebiłoby się jej przez żebra, tak mocno waliło.

Lord Felix uśmiechnął się, błyskając w słabym świetle zębami, gdy zatrzymał się tylko kilka stóp przed dziewczyną, blokując jedyną drogę do pokoi służby, gdzie spała. Niewielka mosiężna sztabka przecinająca lewą brew — i obwieszczająca jego przynależność do Dandysów — lśniła.

— Witaj, piękna. Miałem nadzieję wpaść na ciebie.

Finley zawahała się. Może usunie się z drogi i pozwoli jej przejść...?

Albo — wyszeptał głos w jej głowie — jej głos — *możesz go kopnąć w zęby*. Spuściła wzrok, nie chcąc, by zobaczył czającą się w nim żądzę krwi. Bezgłośnie, siłą woli chciała sprawić, by odszedł. Dla jego własnego dobra.

Zamiast tego zmniejszył już nieduży dystans między nimi.

— Jesteś tu nowa, prawda? — zapytał, podchodząc bliżej. Był już i tak bliżej, niż pozwalała przyzwoitość, a wokół nie było nikogo, kto mógłby dopilnować, żeby nie zachował się niewłaściwie. Ponad ich głowami światło zamigotało na ścianie, jak gdyby zestroiło się z trzepoczącym sercem Finley. Gdy stał tak blisko, czuła zapach zwiędłego piwa, wody koloń-skiej i niezaprzeczalnie oleisty zapach mechaboksu na jego drogim fraku. Lord Felix był wielkim miłośnikiem tej rozrywki. Choć zupełnie nie pojmowała, dlaczego ktoś chciałby oglądać automatony bijące się do ostatniej zębátky.

— Proszę, panie — powiedziała cicho, siląc się na błagalny ton. *Proszę, nie każ mi cię zranić*. — Chciałabym się udać na spoczynek. Jest już późno.

Było po trzeciej nad ranem, dokładnie mówiąc. Już od kilku godzin byłaby w łóżku, gdyby nie to, że ukochana debiutantka rodziny zażyczyła sobie, by jej różowy strój jeździecki był gotowy na rano. Do obowiązków Finley, jako pokojówki lady Alyssy, należało zabranie stroju do pralni, gdzie powietrze wypełniała gorąca para i zapach przegrzanych kół zębatych.

Wyprała ubranie i odwiesiła do wyschnięcia. Teraz jej bluzka i krótka spódniczka były wilgotne, a w wysokich skórzanych butach na grubej podeszwie pociły jej się stopy. O niczym tak nie marzyła, jak o rozluźnieniu wszystkich spinających je klamer i zdjęciu ich, jak i gorsetu. Musiała wstać rano, by odebrać strój dla lady Alyssy.

A teraz na drodze stanął jej ten denerwujący dureń. Finley wcale się to nie podobało. Temu *czemuś* w niej nie podobało się to *zupełnie*. Myślała o tym jak o chochliku, który przysiadł jej na ramieniu i zachęca do bycia niegrzeczną, ale ostatnio nie widziała go jako czegoś' psotnego, raczej niebezpiecznego.

Niebezpiecznego dla każdej zagrażającej jej osoby.

Lord Felix oparł rękę o ścianę tuż przy głowie dziewczyny, obracając się, tak że przyszpilił ją do muru własnym ciałem.

— Dokąd się tak śpieszysz? — zapytał, chuchając jej piwnym oddechem prosto w twarz. - Nie podobam ci się?

Finley ugryzła się w język. Gdyby otworzyła usta, powiedziałyby mu zaraz, co dokładnie o nim myśli, a potrzebowała tej pracy. Musiała znaleźć takie wyjście z sytuacji, żeby żadne z nich nie ucierpiało.

Wsunął drugą dłoń za nią i ścisnął jej pośladek.

— Nie chcesz mnie uszczęśliwić? Mądre dziewczynki zawsze tego chcą.

Finley odwróciła głowę w momencie, kiedy schylił się ku niej, i ledwo uniknęła pocałunku. Wilgotne

usta mężczyzny zamiast tego wylądowały najej uchu. Zadrżała.

— Proszę, panie. Puść mnie. — *Dla własnego dobra*. Zamiast tego przywarł ustami do jej szyi. Poczowała

podchodzące do gardła mdłości, które jednak zniknęły, kiedy dotknął jej uda, obciążonego prążkowaną pończochą. Młody lord nie miał zamiaru przestać. Nie miał zamiaru jej puścić. Miał zamiar wziąć to, co chciał, bo tak właśnie młodzi bogaci mężczyźni postępują z dziewczynami, nad którymi mają kontrolę.

Ale nad nią nikt nie miał kontroli. Nawet ona sama. Czowała, jak ją traci, gdy coś głęboko wewnątrz niej walczyło, by się wydostać.

Finley uniosła obie ręce i pchnęła Felixa mocno w klatkę piersiową. Poleciał do tyłu, uderzając w przeciwległą ścianę z wystarczającą mocą, by popękał tynk.

Lord gapił się na nią, jednocześnie zszokowany i oburzony.

— Ty wredna dziwko! — warknął, otrzepując pył z rękawów.
- Lubisz ostro, co?

— Nie masz pojęcia — Finley usłyszała swą spokojną odpowiedź. - Ale nie pomył się, panie, ciebie *nie lubię*, więc trzymaj te parszywe łapska z daleka.

Twarz młodzieńca zrobiła się czerwona, a w oczach rozbłysnął gniew.

— Suka. Żadna służka z rynsztoka nie będzie do mnie mówić w ten sposób. — Wyprostował się i zrobił krok w jej kierunku, zrzucając z siebie purpurowy, aksamitny surdut. - Ktoś musi dać ci nauczki.

Nie zobaczyła ciosu, ale poczuła, gdy ją trafił. Siła pierwszego ciosu odrzuciła jej głowę do tyłu, przez co uderzyła w ścianę. W ciemności przed oczami zatańczyły światła, a czaszkę przeszył ból. Ale nie zemdląca.

Byłoby znacznie lepiej dla lorda Felixa, gdyby jednak straciła przytomność.

Poczuła, jak z ust wycieka strużka krwi, którą zaraz wytarła wierzchem dłoni. Gdy już rozjaśnił jej się wzrok, zobaczyła, że lord Felix zdjął też kamizelkę i podwijał rękawy koszuli. Błysk ekscytacji w jego oczach pokazał Finley, jaką nauzkę chciał jej dać młody arystokrata.

Coś wewnątrz rozciągało się i szarpało — wciąż zawzięcie chcąc wyjść. Nie było już sensu tego powstrzymywać. Została wychowana w domu pełnym miłości przez matkę i ojczyma, który był dobrym i uczciwym człowiekiem i nie widział świata poza nimi. Nigdy by się nie dopuścił takiej przemocy — jak każdy porządny mężczyzna.

Ale lord Felix August-Raynes nie był porządnym mężczyzną. I najwyższy czas, żeby ktoś dał mu nauzkę.

Ciepły przyływ znajomej mocy przyniósł na jej obite usta nieznaczny uśmiech. Zaniechała wszelkich prób opanowania tego. Tylko w ten sposób mogła przeżyć tę noc z nienaruszoną cnotą i kośćmi. Było to tak, jakby obserwowała sama siebie spod sufitu — mogła tylko patrzeć, jak jej druga połowa przejmuje kontrolę. Zmieniła pozycję stóp, wysuwając prawą do

przodu, lewą zaś trzymając z tyłu skierowaną na zewnątrz. Uniosła pięści.

- Wracasz po dokładkę, co? - Felix uśmiechnął się do niej nieprzyjemnie. - Lubię dziewczyny z temperamentem.

Też się do niego uśmiechnęła, przez co nowa kropla krwi spłynęła jej po brodzie.

— To ja ci się naprawdę spodobam - był to jej głos, tylko niższy i bardziej gardłowy niż przedtem. Głos ten oznaczał niebezpieczeństwo i nawet Felix przystanął, gdy go usłyszał.

Natomiast Finley nie przystanęła ani na chwilę. Uderzyła pięścią prosto w gardło napastnika. Zatoczył się do tyłu z wytrzeszczonymi w szoku oczami, kaszląc i krztusząc się, gdy desperacko próbował złapać oddech.

Podskakiwała w miejscu, czekając, aż przeciwnik się pozbiera. Powinna pobiec i gdzieś się zaszyć. Powinna ze strachu chwytać powietrze w ściśnięte mocno zasznurowanym gorsetem płuca. Ale już się nie bała i nie miała zamiaru uciekać. Pozwoli mu jeszcze pomyśleć, że ma jakiekolwiek szanse na wygraną.

Gdy Felix doszedł do siebie na tyle, by znów się na nią rzucić, była już gotowa. Zamachnął się, a ona się uchyliła, serwując mu kolejne uderzenie, tym razem w nerki. Kiedy zgiął się wpół, chwyciła go za głowę i z impetem uniosła kolano. Niestety, wszystkie te warstwy spódnic osłabiły cios. Uderzył ją w brzuch, pozbawiając oddechu, po czym znów w twarz. Upad-

ła na podłogę, odsuwając się w samą porę, by uniknąć kopnięcia ciężkim butem.

Nigdy jej nie uderzono - nie w ten sposób. Nigdy nie czuła się tak, jakby ktoś chciał ją zabić — albo jakby nie obchodziło go, czy przeżyje. Leżąc na błyszczącym parkiecie, z trudem oddychała, znów się przesuwając, gdy napastnik ponownie kopnął. Poruszała się szybciej, niż powinna być w stanie, a ból zadanych ciosów już słabł.

Przeciwnik bluznął całym potokiem wulgarnych wyzwisk. Nie zdołał jej jednak ani obrazić, ani wystraszyć - sprawił tylko, że chciała go jeszcze mocniej uderzyć.

Podniosła się. Bolały ją twarz i brzuch, ale nie tak, jak powinny. Nic nigdy nie bolało właściwie.

Chwyciła lorda Felixa za przód koszuli. Gwałtownie przyciągnęła do siebie i czołem rąbnęła w nos. Tuż przed jego wrzaskiem dało się usłyszeć chrupnięcie. Finley odepchnęła go, czując prawdziwą satysfakcję, gdy zobaczyła krew spływającą mu po twarzy.

Był teraz naprawdę rozwścieczony. Uniósł rękę do nosa, a kiedy zobaczył na palcach krew, wydał z siebie gardłowe warknięcie. Oszpeciała jego piękną twarz i teraz on zmusi ją do zapłacenia za to. Uśmiechnęła się. Raczej *spróbuj*e ją zmusić.

Znów rzucił się na nią, jak byk. Finley nie myślała, po prostu zareagowała i zrobiła dwa szybkie kroki do przodu. Przy tym niewielkim rozbiegu uniosła prawą stopę na ścianę i pchnęła do góry, chwytając dla

oparcia mosiężne ślimacznice kinkietu, i wysunęła do przodu lewą nogę.

Kopnęła go w twarz.

Runął ciężko jak butelka z mlekiem strącona ze schodka, upadając na podłogę z solidnym trzaskiem. Leżał tak bez ruchu, z odciskiem jej obcasa równo na środku czoła i krwią sączącą się ze zmiażdżonego nosa.

Finley zeskoczyła na dół ze ściany i stanęła nad nim, zwycięska i zadowolona z siebie. W jej żyłach krążyła adrenalina, podniecona niemal tańczyła w miejscu. Lord Felix obiecał dać jej nauczkę, ale to on się czegoś nauczył. Teraz dwa razy się zastanowi, zanim tknie kolejną dziewczynę.

Ale zadowolenie Finley nie trwało zbyt długo. Prawdę mówiąc, uleciało niemal dokładnie w chwili, kiedy spojrzała na twarz lorda Felixa. Był bardzo blady, nie licząc czerwieni krwi. Leżał bezwładnie. A co, jeśli nie żyje? Opuściła ją cała wola walki, pozostawiając drżącą i zimną.

— Co ja zrobiłam? - wyszeptała.

To, co musiałaś.

Dotknęła jego szyi w poszukiwaniu tętna i poczuła wielką ulgę, gdy je znalazła. Nie zabiła go. Przynajmniej jej nie powieszają. Ale zaatakowała syna para i poniesie tego konsekwencje.

Trzy posady w ciągu trzech miesięcy i wszystkie kończyły się podobnie, choć ta najgorzej. Z każdej została zwolniona przez swoje zachowanie, przez coś, co wyzwoliło w niej tę istotę. Impulsy postępowania

w sposób wysoce niecywilizowany, przekraczający to, do czego ona, jako młoda kobieta, powinna być zdolna.

Będzie ją za to ścigać prawo. Zamkną ją w więzieniu. Lub gorzej, wykorzystają w eksperymentach naukowych w Nowym Zakładzie dla Obląkanych w Bethlem — w Bedlam. A *będą* chcieli na niej eksperymentować, gdy się zorientują, że nie jest zwyczajna.

Uciekaj — wyszeptał głos w jej głowie. *Uciekaj stąd.*

To przez słuchanie tego głosu znalazła się w tak fatalnej sytuacji, ale może tym razem ją uratuje? Nie miała wątpliwości, że lord Felix będzie żądał ukarania jej za to, co mu zrobiła — i albo skończy to, co zaczął, albo ściągnie jej na głowę policję. Nie miała zamiaru mu na to pozwolić. Jak i nie chciała ryzykować, że pokroją jej mózg — tylko za to, że dała facetowi, na co całkowicie zasłużył.

Tak więc Finley posłuchała wewnętrznego głosu i uciekła.

Nisko pochylony nad lśniąca kierownicą swego we-locykla, Griffin King przemierzał właśnie deszczowy mrok Hyde Parku, kiedy poczuł lekkie ostrzegawcze zafalowanie Eteru na sekundę przed tym, gdy tuż pod jego pojazd wybiegła dziewczyna. Runiczne tatuaże, które potęgowały jego zmysły i umiejętności, zapłonęły gorącem, w ostatniej chwili ostrzegając o zagrożeniu.

Skreślił gwałtownie, mocno szarpiąc kierownicę, by uniknąć kolizji, ale było już za późno. Blask reflektora oświetlił zdziwioną twarz dziewczyny, która sekundę później została wyrzucona w górę, gdy on próbował bezskutecznie opanować pojazd. Bieżnikowane koła zaryły w ziemię, gdy motor przewrócił się na bok, zrzucając pasażera na ścieżkę, nim w końcu zatrzymał się kilka stóp dalej.

Skórzany płaszcz ochronił Griffina przed pokaleczeniem na żwirze, gdy przeturlał się po twardej ziemi. Kiedy wreszcie się zatrzymał, leżał chwilę rozplaszczony na mokrej trawie, by złapać oddech i wypluć piasek.

— Wszystko z nią w porządku? — zawołał, gdy ostrożnie podniósł się, strzepując błoto i trawę ze skórzanych rękawic. Niczego sobie nie złamał, ale i tak czuł się jak po zderzeniu z ceglanym murem, a jutro na pewno pojawią się siniaki.

W świetle rzucanym przez reflektor drugiego pojazdu, należącego do jego przyjaciela, Sama Morgana, dostrzegł, jak ten pochyła się nad bezwładnym ciałem dziewczyny. Ze swojego miejsca widział tylko wystające zza potężnej sylwetki Sama długie nogi w pończochach w czarno-pomararanczowe paski i w wysokich, skórzanych butach na grubej podeszwie. Strój służący.

Osiemnastoletni Griffbył w wieku, kiedy jedyne, czym powinien się przejmować, było zadbanie o to, by jego kieszonkowe wystarczyło na cały semestr na

Oxfordzie. Śmierć rodziców sprawiła, że w wieku lat piętnastu został księciem Greythorne, przez co z kolei aż za dobrze się orientował, co nosi służba, gdyż niedawno musiał zatrudnić kilka nowych osób. Były pewne prace, jakich maszyny nie mogły wykonać — lub też nie chciano, by je wykonywały — a które zatem wymagały zastępu ludzkich służących, a każdego z nich określał noszony uniform. Pomarańcz i czerń oznaczały, że dziewczyna jest osobistą pokojówką. Zbyt wysoka pozycja, żeby chodziła sama po ulicach w środku nocy.

— Sam...? — Podeszedł bliżej, oszczędzając prawą nogę. - Czy coś jej się stało?

- Ma puls — niski i lakoniczny głos przyjaciela wydobył się spod ociekającego deszczem runda kapelusza, kiedy Griff przykucnął obok. — Mocny, ale dziewczyna krwawi. Tak jak i ty.

Zsuwając zabłocone gogle tak, że zawisły mu na szyi, Griff spojrzał w dół. Krew, widoczna przez rozdarte na kolanie spodnie, lśniła jaskrawą czerwienią w świetle lampy.

— Nic mi nie będzie. Bardziej martwię się o nią.

- Widziałeś jej twarz? — zapytał Sam, wyciągając chusteczkę z kieszeni kurtki. — Wyglądała prawie dziko.

Owszem, Griff ją zobaczył — tuż przed tym, nim w nią uderzył. Było w jej rysach coś nieposkromionego. Coś drapieżnego i pięknego jednocześnie.

— Przed czym uciekała? - spytał Sam, przykładając chustkę do rany na czole pokojówki. Mocno krwawiła. - Albo przed *kim*?

Griff spojrzał na ranną, której głowę delikatnie podtrzymywał jego przyjaciel swą dużą dłoń, i zobaczył czerwony ślad na mokrym od deszczu policzku, krew na ustach. Urazy z wypadku? Czy może została pobita?

Niezależnie od odpowiedzi, dopóki nie będzie miał pewności, że dziewczyna jest cała, dopóty będzie się nią zajmował.

— Zabierzemy ją ze sobą — zdecydował, podnosząc bezwładne ciało w ramionach. Przez rozdarcie w gorsecie wyglądała błyszcząca stal.

— Uważasz, że to dobry pomysł? — Sam, jak wiedział Griff, nie był bez serca, miał tylko praktyczny umysł. Mieli już dość zmartwień w związku z włamaniem do Muzeum Brytyjskiego i spięciami w ich niewielkiej grupie znajomych. Dorzucenie do tego dziewczyny, zapewne mającej własne kłopoty, może tylko wszystko pogorszyć. W jego domu obcy zawsze stanowili problem. Istniała obawa, że ktoś za dużo odkryje.

— Nie możemy jej zostawić. — Było to tak proste. Teoretycznie mogli ją zawieźć do szpitala, lecz na to nie pozwalał honor Griffa. Zresztą coś mu podpowiadało, że nie powinien spuszczać tej dziewczyny z oczu, a nauczył się ufać swoim przeczuciom. Kiedy tego nie robił, wydarzenia zawsze źle się kończyły.

Sam przełożył nogę nad siedzeniem swojego pojazdu i przejął dziewczynę z ramion Griffa.

— Mam dać znać do przodu?

Griff przecząco pokręcił głową. Deszcz spływał mu po twarzy i lał się pod kołnierz płaszcza, mocząc koszulę.

-Ja to zrobię. Zawieź ją tylko do domu i nie zostawiaj bez opieki - gdy mówił, wyciągnął z kieszeni sfatygowany, skórzany futerał. Wewnątrz znajdowała się płaska maszyna, nie większa od talii kart. Był to osobisty aparat do telegrafowania — szczyt mody w szybkiej komunikacji. Urządzenia Griffa i jego przyjaciół były trochę szybsze niż te dostępne dla ogółu, gdyż poza tym, że były oparte na „beprzewodowym” projekcie pana Tesli, zostały jeszcze usprawnione tak, by nadawać przez Eter, czego dokonała niezwykle uzdolniona Emily, którą Griff zatrudnił rok temu zamiast jej mniej zdolnego brata.

Griffin uniósł klapkę urządzenia w tym samym momencie, kiedy Sam odpalał swój welocykl. Nacisnął kilka klawiszy, po czym dotknął guzika nadania wiadomości. Kilka sekund później, gdy Sam odjeżdżał, głęboko bieżnikowanymi kołami rozbryzgując błoto, na ziarnistym ekranie pojawiła się odpowiedź. Zmrużył oczy, by odczytać ją w deszczu i ciemności. Niepotrzebnie. Wiedział, że Emily robi to, o co ją prosił, i przygotowuje wszystko na przyjęcie ich gościa, i tak właśnie brzmiała jej odpowiedź.

Kulał teraz mocniej, gdyż jego noga już zaczynała sztywnieć. Zacisnął zęby i zabrał się do przeglądu swojego welocykla. Ciężka metalowa rama wyglądała na praktycznie nienaruszoną, ale i tak rano porządnie ją sprawdzi. Pojazd uruchomił się bez problemu i Griff z powrotem włożył gogle, nim ruszył w kierunku, w którym odjechał Sam.

Rano zajmie się kradzieżą w muzeum. Zdaje się, że nie zginęło nic bardzo cennego, i właśnie to go zastanawiało. Oddział specjalny będzie oczekiwał odpowiedzi, ale będą musieli poczekać. Teraz najważniejsza była dziewczyna. Aura niebezpieczeństwa przylegała do niej jak plama ropy. Niestety, nie potrafił ocenić, czy znajdowała się w niebezpieczeństwie, czy też była jego źródłem.

Tego miał zamiar się dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 2

Posiadłość Greythorne była rozległą rezydencją w stylu neoklasycznym, położoną w londyńskiej dzielnicy Mayfair — gdzie mieszkali *ważni* ludzie. Ważni oczywiście w tym znaczeniu, że pochodzili ze starych rodzin i byli zamożni. Mając to wszystko na uwadze, wcale nie trzeba było być niezwykle bogatym — wystarczyło sprawiać takie wrażenie.

Na szczęście dla Griffa, był on bardzo bogaty. Jego rodzina bardzo stara, a do niedawna, kiedy to zmarli jego rodzice, była też bardzo skryta. Minał rok od ich morderstwa, zanim odkrył pełną rozległość tajnych pokoi i laboratoriów ukrytych pod domem w Londynie, jak również główną posiadłość w Devon. Drugie tyle zajęło mu zrozumienie, jak wiele Wielka Brytania zawdzięcza jego rodzinie. Przypominał sobie o tym długu parokrotnie, kiedy Jej Królewska

Wysokość królowa Wiktorja sugerowała, że to Griff jest coś winien koronie.

Niemal dwadzieścia lat temu jego rodzice podjęli się kontynuowania pracy zaczętej przez jego dziadka, czternastego księcia Greythorne, i wyruszyli na wyprawę w głąb ziemi. Tam odnaleźli Kolebkę Życia -miejsce, w którym miało początek Stworzenie. To, co tam odkryli, było zadziwiające, lecz miało nigdy nie ujrzeć światła dziennego, przynajmniej nie w przewidywalnej przyszłości. Świat nie był na to gotowy. Helena i Edward King poświęcili życie koronie i państwu, i przez to zostali zabici.

W podzięk królowa przysłała przepiękną kompozycję róż na ich pogrzeb.

Więc kiedy Griff poświęcił się obronie swojej ojczyzny, nie robił tego dla żadnego monarchy czy z poczucia obowiązku. Robił to, by uczcić rodziców, a pewnego dnia odnajdzie osobę odpowiedzialną za ich śmierć i się zemści.

Obecnie myśl o zemście spoczywała uśpiona w głębi jego umysłu, choć nigdy tak zupełnie go nie opuszczała. Stał w jednym z wielu pokoi w swoim domu u stóp dużego łóżka z baldachimem i obserwował, jak Emily O'Brien, jedna z najinteligentniejszych znanych mu osób, zajmowała się ich nieprzytomnym gościem. Wcześniej pokojówki rozebrały ranną z mokrej odzieży i położyły do łóżka.

- Nie wygląda to zbyt strasznie - powiedziała cicho Emily z irlandzkim akcentem, przykładając czubek

czegoś, co kiedyś było atomizerem do perfum, obecnie zaś fikuśną szklaną butelką z doczepioną końcówką mosiężnej strzykawki, do rany na czole nieprzytomnej dziewczyny. Gdy naciskała pompkę, z wylotu unosiła się drobna mgiełka, spryskująca zranioną skórę. Mgiełka nie była niczym innym, jak życiodajną substancją, którą rodzice Griffa odkryli w jądrze Ziemi. — Niewielkie istoty, które potrafiły odtworzyć szczególne zachowanie komórek ciała, organity — lub „stworzonka”, jak nazywała je Emily — przyczepiały się do ludzkich tkanek i kopiowały ich skład tak, że przyłożone do rany odbudowywały ciało i goiły obrażenia. Do rana dziewczyna będzie zupełnie zdrowa, bez najmniejszej blizny. Podobny specyfik został nałożony na kolano Griffa i chłopak już czuł znaczną poprawę.

Istnienie organitów było sekretem, który Griff zachował dla siebie. Królowa nie chciała nic wiedzieć, kiedy jego rodzice to odkryli. Spodobała jej się ruda wydobywana przez jego dziadka — wspaniała substancja wytwarzana przez organity. Emitowała energię, dzięki której można było zasilić wszystko, od jednej maszyny do całego domu - ale reszta leżała zbyt blisko potwierdzenia radykalnych teorii pana Darwina dotyczących ewolucji. Królowa Wiktorja uznała, że Kościół może się poczuć urażony takim odkryciem lub jeszcze gorzej, iż człowiek może przez nie zostać zdeprawowany i zacząć bawić się w Boga. Nawet po-

leciła zniszczyć organity, a przynajmniej odnieść je do jądra Ziemi.

Griff uważał, że to tylko słowa przestraszonej, starej kobiety, ale nikt nie pytał go o zdanie.

Na całe szczęście rodzice Griffa nie posłuchali królowej i zachowali odrobinę pierwotnej materii. Organity rozwijały się w niewielkim, przypominającym jaskinię skarbcu głęboko pod posiadłością, powielając się i wytwarzając tę niezwykłą niebiesko-zieloną substancję, którą Griff miał do wyłącznej dyspozycji. Podczas gdy reszta świata korzystała z dobrodziejstw rozrzedzonej wersji rudy, Griff był w posiadaniu najczystszych próbek, które udostępniał Emily do wykorzystania w eksperymentach — jak na przykład w welocyklach, które poruszały się z większą prędkością niż te dostępne nawet najbogatszym klientom.

Był to ich oddział specjalny.

— Jest w niej coś dziwnego - powiedział w końcu Griff, ze zmarszczonymi brwiami obserwując śpiącą dziewczynę.

— Więc przyszła do właściwego miejsca — odpowiedziała Emily z lekkim uśmiechem, odgarniając z twarzy długie, rude włosy. - Nie ma wśród nas ani jednej zwykłej osoby. - Po czym dodała: - Musiała ci uskoczyć z drogi i uderzyć głową o ziemię. Gdybyś na nią wjechał, odniosłaby znacznie poważniejsze obrażenia.

Griff wciąż miał marsową minę.

- Uderzyłem w nią. To część tego, co mi nie pasuje.

Dziewczyna praktycznie rzuciła się pod jego welocykl, prawda? Potrząsnął głową, niepewny, czyjego wspomnienia są prawdziwe, czy tylko to sobie wyobraził.

Poza tym, że wciąż była nieprzytomna i miała ranę na czole, dziewczyna sprawiała wrażenie zupełnie zdrowej. Zupełnie — poza siniakiem na twarzy, w którym, jak teraz widział, odbił się kształt sygnetu.

- Ktos'ją pobił — zauważyła Emily. - Pewnie ją uratowałeś.

— Albo uratowałeś tego, kto ją gonił — odezwał się stojący w drzwiach Sam.

Griff rzucił szybkie spojrzenie w kierunku przyjaciela. Był tak wysoki i szeroki w ramionach, że niemal wypełniał przejście. Jego półdługie, czarne włosy były jeszcze wilgotne, ale przebrał się już w suche ubranie. Rzucił Emily intensywne spojrzenie. Pełne złości, ale i podziwu.

Griffin pokręcił głową.

— Powinnaś była ją wtedy widzieć, Em. Wyglądała jak coś z tych gotyckich powieści, które ciągle czytasz.

Skończywszy czynności przy pacjentce, Emily wsunęła kosmyk ogniście rudych włosów za ucho, ukazując rząderek złotych obręczy, ciągnących się od płatka aż do szczytu małżowiny, i wstała z atomizerem w dłoni.

- Czyżbyś sugerował, że jest potworem, Griffinie Kingu?

Uniósł brew, słysząc jej prowokacyjny ton.

- Nie, ale mogła przecież uciec z czyjegoś strychu. Podobno takie rzeczy zdarzają się częściej, niż można przypuszczać.

Emily uśmiechnęła się. Jej zamiłowanie do powieści gotyckich nie było tajemnicą i chłopcy często jej przez to dokuczali, zwłaszcza że była jedyną dziewczyną w domu. Jedyną aż do teraz. Griff znów spojrzał na śpiącą, która nie mogła być starsza niż szesnastoletnia Emily — przedtem ruchem ręki dał znak, by przyjaciele wyszli z pokoju. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Emily zapytała:

- Co się stało w muzeum?

Sam spojrzał na Griffa pytająco. Griffin wzruszył ramionami, okazując w ten sposób, że nie obchodzi go, jakimi informacjami ten się podzieli. Sam miał jeszcze to staroświeckie przeświadczenie, że kobiety należy chronić. Wiele z najprzebieglejszych osób, jakie Griff spotkał, było kobietami. Nie podzielał przekonania przyjaciela.

Sam zacisnął wargi.

- Griff znalazł niewielką plamę smaru.

- Smaru? - Emily posłała mu zatroskane spojrzenie. —Jakiego smaru?

- Pobraliśmy próbkę. Jest już u ciebie w laboratorium, Em... - Przczesał dłonią włosy. - Wygląda na smar, którego używa się na odkrytych złączach auto-matonów.

Implikacje tego stwierdzenia przyszpiliły Emily do podłogi.

— To *automaton* obrabował muzeum? — Jej krystalicznie błękitne oczy były szeroko otwarte, gdy zwróciła je na Griffa. - Czy to Machinista?

- Na to wygląda — odparł, widząc, jak Sam idzie dalej samotnie korytarzem. Ostatnimi czasy w mieście popełniono kilka przestępstw, które wyglądały tak, jakby ich sprawcami były automatomy działające wbrew swym procesorom programowym, choć żadne z nich nie było szczególnie szkodliwe. Poza jednym. To jedno wystarczyło. Niemal stracili człowieka. Władze podejrzewały, że stał za tym wszystkim przestępca zwący się Machinistą.

Ta myśl przywołała wizję krwi i dymu. Połamane ciało bliskiego śmierci w szponach metalowego człowieka. Griff pamiętał, jak wskoczył na plecy maszyny, siłą otwierając panel, by dosięgnąć schowanych wewnątrz kontrolki sterujących. Wiedział, że Sam też pewnie przeżywa jakieś własne wspomnienia. W końcu to jego niemal zabiła ta rzecz.

Podążali tropem podobnych, choć mniej niepokojących zdarzeń już od niemal roku. Griffin był prawie pewien, że poszukiwali mężczyzny z ponadprzeciętną znajomością mechaniki, zwłaszcza dotyczącej automatonów. Jak dotąd Emily nie znalazła niczego w oprogramowaniu dwóch posiadanych przez nich egzemplarzy, co mogłoby sugerować, że ktoś w nie ingerował.

Źródła zasilania automatonów były takie same jak u wszystkich standardowych androidów — ten sam związek, jaki zaopatrywał w energię większość Lon-

dynu. Griff był w tym względzie swego rodzaju ekspertem, gdyż związek ten otrzymano z rudy, którą odkrył jego dziadek. Był właścicielem patentu, jak i praw do niego. Tak więc Griff wiedział, że niewielka bryłka wewnątrz każdej maszyny była dokładnie taka, jaka być powinna.

Więc jak ten złoczyńca sprawił, że automatony zachowywały się wbrew oprogramowaniu?

— Powinniśmy założyć, przynajmniej dopóki nie uzyskamy innych informacji, że każdemu mechowi towarzyszył ludzki kontroler. — Walczył ze strachem owijającym mu się wokół serca. Maszyny, które myślały samodzielnie. To chyba niemożliwe?

Emily była bledsza niż zwykle, a Griff wiedział, że też myśli o tym, co przydarzyło się Samowi. Powinien ją pocieszyć, ale nie wiedział jak. Dać mu problem do rozwiązania, a zaraz się weźmie do pracy, lecz nie miał pojęcia, jak kogoś pocieszyć, i nie cierpiał tego.

Sam już na nich czekał, kiedy weszli do biblioteki, gdzie odbywały się wszystkie spotkania grupowe. Gdy popatrzył na przyjaciela, którego znał niemal całe swoje życie, Griff nie mógł opanować zdziwienia, że cokolwiek zdołało go zranić. Sam był taki silny. Tylko trochę wyższy od Griffa, ale zdecydowanie mocniej zbudowany. Surowe rysy potęgowały jego budzący lęk wygląd. Nie zawsze wyglądał tak groźnie. Mniej niż rok temu łatwo przychodził mu śmiech i nieprzyzwoite żarty.

Sześć miesięcy temu w trakcie rutynowego zadania zaatakował go automat i niemal rozerwał na strzępy. Straszliwym szokiem dla całej grupy było zobaczyć, jak najsilniejszy z nich został tak łatwo pokonany. To Emily uratowała Sama. Emily złożyła w całość. Ale czasem Griff podejrzewał, że Sam nigdy do końca jej tego nie wybaczył. Nawet teraz, gdy na nią patrzył, palce jego prawej ręki — tej, którą naprawiła — drgnęły.

Emily też to widziała. Szybko odwróciła wzrok, skupiając go na czymkolwiek, byle nie na Samie.

- Powinniśmy byli zabrać dziewczynę do szpitala -wymamrotał Sam, opierając się o róg kanapy. Lewą ręką potarł kark. - Sprowadzenie jej tutaj naraża nas wszystkich. A co, jeśli jest poszukiwana przez policję?

Griff przechylił głowę.

- Wydaje mi się, że zabranie jej do szpitala nie byłoby bezpieczne ani dla niej, ani dla jego pracowników.

Przyjaciel uniósł szeroką brew, a na jego twarzy odmalował się sarkazm.

— Więc postanowiłeś: a co tam, wezmę ją do siebie do domu? Brawo.

Nieufność przyjaciela denerwowała Griffa, który nie przywykł do krytyki. Mimo to rozumiał obawy Sama.

— Mówiłeś, że czegoś lub kogoś się bała — odparł. — Jestem pewien, że na gorsecie ma naszyty herb August-Raynesów.

Obecnie służący często nosili herby swoich pracodawców na ubraniach, na wzór liberii lokajów.

— To jeden z najbogatszych ludzi w Anglii! Jesteś pewien, że chcesz zadrzeć z kimś takim?

Griff uśmiechnął się.

— Nie czytasz brukowców, Sam? Podobno to *ja* jestem najbogatszym człowiekiem w Anglii. Zapewne jestem dzięki temu groźniejszym przeciwnikiem? Poza tym coś czuję, że nie zadzierałbym z głową rodu.

— A z kim?

Niebieskie oczy Griffa spojrzały prosto w czarne oczy przyjaciela.

— Pamiętasz tę dziewczynę w Whitechapel zeszłej zimy? Tę, która została zgwałcona przez pracodawcę i wyrzucona na ulicę, kiedy okazało się, że zaszła z nim w ciążę?

Sam skinął twierdząco z zaciętym wyrazem twarzy.

Griff pochylił głowę.

— Lord Felix August-Raynes, najmłodszy syn. Zaczął zadawać się z Dandysami i zdaje się, że wyrobił sobie zwyczaj pastwienia się nad służbą, jak i nad każdym innym, kogo uważa za stojącego niżej od niego w hierarchii.

— Czy myślisz...? — Emily pobladła i zerknęła na drzwi, jakby bała się, że dziewczyna leżąca w sypialni piętro wyżej może coś usłyszeć. — Myślisz, że ją skrzywdził?

Griff spojrzał na nią ze współczuciem. Niewiele wiedział o przeszłości Emily, ale podejrzewał, że doświadczyła sporo nieprzyjemności w życiu. Bardzo

szybko przyjęła jego ofertę pracy, jak gdyby chciała natychmiast zostawić za sobą dawne życie.

— Nie wiem.

— Niebezpiecznie jest trzymać ją tutaj — obstawał Sam, próbując przeforsować swoje zdanie. — Dla niej i dla nas. Nie możemy sobie pozwolić, by zwracano na nas zbyt wiele uwagi. Nie kiedy te... rzeczy gdzieś tam są. — Przy słowie *rzeczy* głos mu się załamał. Wszyscy to usłyszeli. I wszyscy udali, że tego nie zauważyli.

Miał na myśli maszyny. Większość z nich była zupełnie niegroźna, ale nie było niczego równie przerażającego, jak niekontrolowany metal. Dlatego Griff trzymał pozostałości mechanicznego napastnika w warsztacie Emily, żeby mogli odkryć, co przemieniło prostego kopacza z kolei podziemnej w zabójcę. Zaatakował pięć osób, a przeżył tylko Sam.

— Co byś chciał, żebym zrobił, Sam? — Griff przejechał dłonią po swojej gęstej czuprynie. - Wyrzucił ją jak śmieć?

Sam otworzył usta, a Griff już wiedział, że jego przyjaciel dokładnie takie rozwiązanie zaproponuje. Emily wtrąciła się do rozmowy:

— Wiesz, że nie możemy jej tu długo trzymać. Nie jest... jedną z nas.

Griff uniósł kącik ust - ten wyraz twarzy, swoisty półśmiech, przybierał wyłącznie wtedy, kiedy był przekonany o swojej racji.

— Nie byłbym tego taki pewien.

— Co masz niby na myśli? — Sam zachmurzył się. — Czemu musisz cały czas być taki cholernie tajemniczy?

Frustracja Sama była tak silna, że GriffT mógł jej niemal posmakować. Znał rośłego chłopaka tak długo, że wiedział, kiedy ten rwie się do bójki, i wiedział również, że przynajmniej pod względem fizycznym, nie miał z nim szans. Ale Griffin miał własne moce, które nie wymagały siły mięśni.

Potrafił zjednoczyć się z Eterem — tą tajemniczą, niedostrzegalną siłą, która była wszędzie i we wszystkim. Było to miejsce niczym kraina zmarłych — przebywały tam duchy. Jak inny wymiar ukryty w normalnym świecie. Nie wiedział czemu, ale czuł go w swych żyłach, a gdy wzywał Eter, pojawiała się niezwykła moc, by mu służyć. Wypełniała go ta uniwersalna energia i czuł się, jak gdyby był częścią wszystkiego i w jakiś sposób znajdował się wszędzie. Czasem go to przerażało. Tak bardzo, że nie zwierzył się żadnemu z przyjaciół.

Jak i nie zdradził, ile ta potworna moc mu, jak podejrzewał, odbiera.

Zamiast zapewnić Samowi bójkę, o którą ten się prosił, Griff zwrócił się do Emily, co tylko jeszcze bardziej zdenerwowało rośłego chłopaka. Jednak Sam mądrze postanowił trzymać język za zębami. Przez cały ten czas Emily milczała, obserwując tylko i słuchając. Skinęła głową - Griffin słusznie podejrzewał, że stanie po jego stronie.

— Widziałeś, jak biegła przez park? — zapytał Sama, w końcu kierując wzrok na przyjaciela.

— Nie. Wcale jej nie widziałem, dopóki nie byliśmy tuż przy niej.

— Właśnie. W jednej sekundzie wszystko było dobrze, a w następnej była przed nami — ciągnął Griff. -Wyczułem zaburzenia w Eterze, a sekundę później zderzyłem się z nią. Zwykły człowiek nie mógłby się tak szybko poruszać.

— To czym ona niby, do diabła, jest? - parsknął Sam, zaciskając pięści.

Griff wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Ale we trójkę powinniśmy to odkryć, prawda?

— Kordelii to się nie spodoba — przypomniała im Emily.

Ciotka Griffa miała powrócić z Yorkshire dopiero za dwa dni. Pojechała tam zbadać sprawę dziwnych kręgów, które pojawiły się na czyimś polu.

— To nie jej dom ani też nie jej decyzja - odpowiedział Griff.

Emily wytrzymała jego spojrzenie. Zawsze podziwiał jej siłę charakteru.

—Jeśli jest *inna*, mamy obowiązek jej pomóc.

Sam posłał jej posępne spojrzenie, a potem tak samo spojrział na Griffa.

— Obydwoje jesteście zbyt ufni. To, że jest *inna*, wcale nie znaczy, że jest też dobra, tak samo jak bycie z metalu nie oznacza, że te potwory to tostery.

Zwykle Griff roześmiałby się, słysząc tak absurdalny komentarz, ale dokładnie w tej chwili drzwi biblioteczne rozwarły się z impetem i weszła gospodyni, pani Dodsworth.

— O co chodzi? - spytał Griff, zaniepokojony. Kobieta była zupełnie biała na twarzy. Czyżby jeden z niewielu pozostałych w domu mechanicznych służących obrócił się przeciwko nim? Po napaści na Sama Griff, przez wzgląd na przyjaciela i dla bezpieczeństwa wszystkich domowników, odesłał wiele z auto-matonów.

— Chodzi o tę dziewczynę, którą pan przyprowadził, księżę. Powinien pan chyba zaraz iść na górę. Zachowuje się tak, jakby miała w sobie samego diabła!

Griff ruszył biegiem. Za nim ruszyli Sam i Emily, biegnąc po schodach do pokoju, gdzie niedawno zostawili śpiącą dziewczynę. Przez otwarte drzwi wypadł lokaj, jak odrzucona dziecięca zabawka. Sam złapał go, zanim ten uderzył o ścianę.

— Dziękuję, panie Samuelu - powiedział drżącym głosem, kiedy Sam postawił go na nogach. - Już myślałem, że mnie zabije. To jakiś demon!

Sam zacisnął usta i podniósł wzrok na przyjaciela.

— Mówiłem.

ROZDZIAŁ 3

Griff zignorował zaczepkę, odwracając się do Sama i Emily plecami. Co też, w imię wszystkich świętości, wprowadził do swojego domu? Jaka dziewczyna potrafi rzucić dorosłym mężczyzną?

Sądząc z odgłosów, była wściekła. Nie rozumiał wszystkich słów, ale te, które rozumiał, były zdecydowanie... barwne.

— Znałem portowe dziewczyny z grzeczniejszym słownictwem - warknął Sam.

- A wiele takich znałeś? - spytała ostro Emily.

Griff obojgu rzucił sfrustrowane spojrzenie i ponownie przeniósł uwagę na otwarte drzwi. Nie czuł się zniesmaczony doborem słów, raczej zdziwiony i zainteresowany.

Biorąc głęboki oddech, wszedł do pokoju, bez oglądania się za siebie pewien, że weszli za nim przy-

jaciele. Z nawyku obciągnął kamizelkę. Powinien był włożyć płaszcz, żeby wyglądać dostojniej, ale i tak nigdy mu to za dobrze nie wychodziło. Jego siła nie leżała w zastraszaniu, tylko w subtelności i pewności siebie. Jak i w fakcie, że ludzie z reguły wiedzieli, kim jest.

Nie zadał sobie trudu zapukania. Mówiąc szczerze, uznał, że lepiej nie ogłaszać swojego wejścia. Im mniej czasu miał kłopotliwy gość, żeby się przygotować, tym lepiej. Griffin ledwo uniknął świecznika, który śmignął mu koło głowy, żeby wbić się w przeciwległą ścianę,

- Hej! — powiedział ostro. - Czy tak się należy zachowywać, będąc gościem w czyimś domu?

— Gościem? Chyba więźniem! — warknęła dziewczyna w odpowiedzi.

Stała na środku łoża z baldachimem, ubrana w koszulę nocną i szlafrok, które równie hojnie, jak i nieświadomie, podarowała Kordelia. Rzeczy Emily byłyby za małe i za krótkie. Włosy koloru miodu opadały jej na ramiona potarganymi falami, a piwne oczy o nienaturalnie rozszerzonych źrenicach wydawały się niemal czarne.

Lęk. Czuł, jak rozchodzi się od niej potężnymi falami. Migotał wokół głęboką czerwoną aurą, o której Griff wiedział, że tylko on ją widzi na płaszczyźnie Eteru. Bała się ich i, jak uwięzione zwierzę, wybrała walkę, a nie ucieczkę. Ciekawe.

Stanowiła naprawdę dziki i niesamowity widok. W normalnym stanie wyglądała pewnie dość ładnie, ale teraz była... była...

Była po prostu *zjawiskowa*. Wyjąwszy krew, oczywiście. Rana na czole otworzyła się ponownie i krew z niej spływała wzdłuż nosa.

— Co mi zrobiliście? — Ranna wyciągnęła ku Griffinowi zakrwawione ręce, nie w błagalnym geście, ale by pokazać mu plamy. — Czemu czuję się, jakby pod skórą pełzały mi robaki?

— To organity - wyszeptał Griffin do Emily stojącej obok. — Czy w ogóle jest możliwe, żeby je wyczuwała?

— Nie wiem - odpowiedziała ściszym głosem. Nie odrywała wzroku od dziewczyny na łóżku. - Nie powinna.

— Organity? - warknęła tamta. Patrzyła na swoje lepkie, czerwone palce. — Macie na myśli to świństwo, którym mnie nasmarowaliście?

Usłyszała? Griff przechylił głowę w bezgłośnej zadumie. Więc nie tylko jest szybka i silna, ale też ma doskonały słuch. Zastanawiał się, czy inne zmysły też ma tak wyczulone.

— Ma ci to tylko pomóc wyzdrowieć — poinformował ją łagodnym tonem. - A teraz wszystko pogorszyłaś.

Przedrzeźniała go, przechylając głowę na bok w lustrzanym odbiciu jego postawy, gdy ją obserwował. Potem się wyprostowała i zrobiła krok do przodu. Jak kot zbliżający się do myszy.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Sam, jak zawsze, stanął pomiędzy Griffem a tym, co uznał za za-

grożenie. Czy uważał, że Griff nie jest w stanie sam o siebie zadbać, jak jakiś' słabeusz?

Dziewczyna tylko uśmiechnęła się niepokojąco, po czym skoczyła. Rękami oparła się na głowie Sama przeskoczyła nad nim niemal jak przez kozła, lądując przed Griffem.

Pozostali natychmiast przeszli w tryb bojowy, zwłaszcza Sam, który obrócił się błyskawicznie z uniesionymi pięściami. Dzielna, drobna Emily wyciągnęła z jakiegoś schowka w swoim ubraniu groźnie wyglądający sztylet. Griff uniósł dłoń.

- Spokojnie.

Posłuchali go, ale tylko o tyle, że nie interweniowali. Wiedział, że jeśli dziewczyna choć kichnie na niego, to pożałuje.

- Przewodzisz tej grupce, bogaty chłoptasiu? - Uśmiechała się szyderczo, gdy spojrzeniem omiotła pozostałych, nim znów skupiła je na nim. Ewidentnie nie była pod wrażeniem. - Nie wyglądasz jakoś wyjątkowo.

- Patrzysz w złe miejsce — odparł z lekkim uśmiechem. — Spójrz mi w oczy.

Tak zrobiła. Wszyscy patrzyli. Nikomu nie przychodziło do głowy, że spojrzenie mu w oczy to ostatnia rzecz, jaką powinni zrobić. Opuścił gardę, pozwalając, by Eter poniósł go trochę głębiej w swój wymiar. Aura dziewczyny otoczyła go, a on ją pochwycił - nie dłońmi, lecz tą częścią siebie, która potrafiła podporządkować mu ten dziwny żywioł. Szybko wymusił zmianę

koloru z gniewnego na spokojny, a następnie na kojącą poświatę zupełnego odprężenia. Jego moc otoczyła ją tuż przed tym, gdy zatrzasnęła swą osłonę umysłową. Czymkolwiek była, miała niezwykle szybkie odruchy.

Ale w tym przypadku nie dość szybkie.

Zakołysała się. Zachwiała. Jedną szczupłą, zakrwawioną dłonią chwyciła Griffa za ramię.

- Co...? Co mi zrobiłeś?

- Musisz się uspokoić — powiedział niskim głosem. -Ja ci w tym pomogę.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a strach bił z niej silnym strumieniem, jak woda z odkręconego kurka. Pozostawiał gorzki smak w ustach.

- Nie oddawajcie mnie tam. Błagam! Nie wiem nawet, co mi zrobi.

A więc słusznie podejrzewali. Była ofiarą.

- Nie oddam — obiecał, cały czas delikatnie posyłając w nią własny spokój. - Tu jesteś bezpieczna.

Jej ochrona osłabła i ponownie mógł się dostać do środka.

Znów się zatoczyła i chwyciła go za drugie ramię. Utrzymawał teraz znaczną część jej wagi, ale nie była zbyt ciężka. Poza tym Eter dodawał mu sił. Obserwował, jak w jej oczach zachodzi zmiana - źrenice kurczą się, aż pozostaje tylko barwa ciepłego złota. Niemal cała dzikość opuściła jej oblicze, a gdy ugięły się już pod nią kolana, nawet się do niego uśmiechnęła.

- Dziękuję — szepnęła. Po czym jej oczy uciekły w głąb czaszki.

Griff złapał ją, nim upadła na podłogę.

- Pomóżcie mi położyć ją z powrotem na łóżku. Sam uniósł brwi z niedowierzaniem.

- Chyba sobie żartujesz. Ona musi stąd odejść. I to natychmiast.

- Nie - zaprotestował Griff i uśmiechnął się, gdy Emily podeszła, by mu pomóc. Wiedział zresztą, że to robi. Ułożyli dziewczynę na materacu, a Griff zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się krwi na twarzy zemdlonej i ciemnym sińcom pod jej oczami. — Choć uważamy ją za niezwykle przerażającą, ona sama boi się siebie jeszcze bardziej.

Kiedy Finley otworzyła oczy ponownie, była już całkowicie sobą, a to nie zdarzyło jej się od długiego czasu — wypoczęta i, co dziwniejsze, prawie w ogóle niepoobijana. A ważniejsze: czuła się bezpiecznie. To było niepojęte, bo rzadko gdziekolwiek czuła się bezpiecznie.

Usiadła, opierając się o wielką stertę miękkich puchowych poduszek, i rozejrzała po pokoju. Znajdowała się w dużej sypialni, urządzonej w kolorach kremowym i cynamonowym. Łóżko było tak duże, że mogłaby położyć się na nim wszerek, a i tak stopy nie wystawałyby poza krawędź. Obok na stoliku nocnym znajdowała się lampka i niewielkie mosiężne pudełko z guzikami, które były opatrzone napisami w stylu:

„kuchnia”, „kamerdyner” i „pokojówka”. Gdyby nacisnęła jeden z nich, to czy ktoś by się zjawił? Czy zbyt się jej obawiali?

Za oknami z prawej strony roztaczał się widok na niezwykle bujny, najpiękniejszy ze wszystkich ogrodów, jakie Finley kiedykolwiek w życiu widziała. Gdyby nie sterowiec z napisem: „Lair France” unoszący się wysoko na zaskakująco błękitnym niebie, mogłaby pomyśleć, że znajduje się na wsi, tak było tu spokojnie. Nigdy przedtem nie doświadczyła takiej ciszy w Londynie. Ten dom mógł znajdować się tylko w Mayfair.

Tak pewnie człowiek budził się rano, będąc damą. Cicho i przytulnie.

Na biurku stał jeden z tych nowych, przypominających świeczniki telefonów, lśniący mosiądzem. Mogłaby zadzwonić do kogoś, żeby po nią przyszedł, ale kto? Matka? Nie. Nie chciała mieszkać w to ani matki, ani ojczyma.

Nad biurkiem wisiał portret jakiejś damy w ciężkiej i pozłacanej ramie. Obok obrazu sterczał wbity w ścianę świecznik. Czy ona to zrobiła? O Boże, tak! Z obezwładniającą mocą nagle powróciły wspomnienia z poprzedniego dnia. Pamiętała to aż nazbyt znajome uczucie — że ktoś przejął władzę nad jej ciałem, pozostawiając ją w roli biernego obserwatora. Pamiętała wszystko, co zrobiła, ale nie wiedziała nawet, jak i gdzie szukać powodów czy wymówek.

Czy traciła zmysły? Te napady przytrafiały jej się ostatnio coraz częściej. Zaczęły się mniej więcej wtedy,

kiedy „stała się kobietą” według standardów biologicznych. To było trzy lata temu, ale do tej pory nigdy nie doświadczyła ataków tak silnych, jak te ostatnie. Nigdy tak całkowicie się nie zagubiła.

A jednak... Kiedy była w samym środku tego szaleństwa, wcale nie odbierała go jako szaleństwo. Czuła się dobrze, jakby ta straszna część niej była równie naturalna, jak oddychanie. Ale to *nie mogło* być naturalne, tylko mroczne i złe.

Czy istniało ocalenie? Coś poza śmiercią, co mogłoby nie dopuścić, by znów jej się przydarzyła utrata kontroli nad własnym ciałem? Felixowi należało się manto, jakie mu sprawiła, ale ten młody mężczyzna o intensywnie niebieskich oczach i gęstych rudo-brązowych włosach nie zasługiwał na to, co mogła mu zrobić, kiedy przeskoczyła nad tamtym olbrzymem, żeby się do niego dostać.

Nie chciała zrobić mu krzywdy, nie tak naprawdę. Coś przyciągnęło ją do niego, a gdy spojrzała w te niezwykle oczy, skrzywdzenie go było ostatnią rzeczą, o jakiej by pomyślała. Zastanowiła się nawet, jak to by było go pocałować.

To musiał być jakiś rodzaj czarów. Bo cóż innego? Bez najdrobniejszego wysiłku wyciągnął z niej całą wolę walki. Jedno spojrzenie napełniło ją takim spokojem i zmęczeniem, że jedyne, co chciała zrobić, to zwinąć się w kłębek i spać. Co też zrobiła.

Czy on - lub którekolwiek z tej trójki - zrobił jej coś, kiedy spała? Nie mogła tego ocenić, bo wciąż była

trochę poobijana po szamotaninie z lordem Felixem. Nie chciała wierzyć, że ten piękny pan byłby zdolny do takiej przemocy, ale zdążyła już się nauczyć, że piękni panowie byli z reguły najgorsi.

A co teraz? Nie mogła zostać tu na zawsze i nie miała pojęcia, czy może tym ludziom ufać. Łatwo było stwierdzić, że pozostali wcale jej tu nie chcieli. Co pocznie, jeśli wydadzą ją policji? Albo gorzej, co, jeśli bogaty chłoptaş jest przyjacielem lorda Felixa?

Stukanie do drzwi sprawiło, że mocniej zabiło jej serce. Gałka obróciła się i drzwi otworzyły, zanim zdążyła pukającego zaprosić do środka.

Do pokoju weszła ruda dziewczyna. Kędzierzawe włosy niedbale spięła z tyłu głowy, z gęstymi puklami opadającymi po obu stronach ładnej twarzy. Miała na sobie spodnie, których nogawki schowała w wysokich czarnych butach, białą koszulę i obcisłą skórzaną kamizelkę. Ostatnio zapanowała moda, by myślące niezależnie młode kobiety ubierały się po męsku, ale Finley brakowało na to odwagi. Zresztą bardziej podobał jej się orientalny styl, który przywędrował do Anglii z Chin. Jego też nie miała odwagi naśladować.

Dziewczyna spojrzała na nią dużymi, jaskrawonie-bieskimi oczami. Palce Finley powędrowały do miejsca na czole, gdzie została zraniona. Skóra pod palcami była miękka i gładka, nawet nie miała guza czy jakiegokolwiek strupa, choć wyraźnie pamiętała, że wczoraj rozdrapała ranę. Nawet jej policzek i warga już nie bolały. Ale też zawsze szybko wracała do siebie.

— Ty... wyleczyłaś mnie - nie udało jej się ukryć podziwu w głosie.

Rudowłosa dziewczyna wyglądała na zaskoczoną, gdy zanurzyła szmatkę w miednicy stojącej obok komody. Oczywiście spodziewała się, że Finley będzie się zachowywać równie bestialsko jak poprzedniej nocy.

— Tak. Cieszę się, że tym razem zostawiłaś ranę w spokoju.

Finley uśmiechnęła się, mając nadzieję, że wygląda przy tym bardziej na osobę przyjazną niż niepoczytalną. Ta dziewczyna nie stanowiła zagrożenia, więc jej mroczna część pozostała spokojna.

— Dziękuję.

— Przynieśliśmy ci śniadanie. — Rudowłosa wskazała na drzwi, gdzie stał rosły chłopak o surowej urodzie i przydługich czarnych włosach trzymający tacę. Mroczne *ja* Finley uniosło głowę, ale nie narzucało się. - Chciałabym też cię zbadać, jeśli pozwolisz.

Taka młoda i jest lekarką? Było to oczywiście niemożliwe, ale jednak nie oznaczało, że nie może posiadać solidnej wiedzy medycznej. Ostatecznie wyleczyła jej ranę.

— Oczywiście. Dziękuję za śniadanie.

— Obmyję ci czoło i możemy rozmawiać, kiedy będziesz jadła.

Finley uśmiechała się szerzej. Skupiała uwagę na dziewczynie, jej towarzysza obserwując tylko kątem oka.

— W porządku.

Poczuła z nią jakąś nieokreśloną więź. Dziewczyny z reguły jej nie lubiły, a młodzi mężczyźni lubili ją w sposób, którego wcale nie chciała. Nie rozumiała dlaczego, bo przecież nie była nawet wyjątkowo piękna.

Dziewczyna nie wyglądała, jakby uwierzyła w jej szczerość, ale jednak podeszła bliżej.

-Jeśli spróbujesz coś mi zrobić, on cię powstrzyma. Rozumiesz?

Uśmiech zniknął z ust Finley i zsunął się do gardła, gdzie uformował w dławiającą grudę. Skinęła głową, nie ośmielając się spojrzeć na ponuro wyglądającego młodego mężczyznę.

Kiedy ruda dziewczyna myła jej czoło i twarz, siedziała bez ruchu, starając się przy tym nie patrzeć, jak bardzo ściereczka zabrudziła się na rdzawo. Podano jej drugi ciepły, mokry kawałek materiału, żeby umyła pokryte zaschłą krwią ręce.

Finley przełknęła.

- Muszę przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie. Nie byłam sobą.

- Nie? - Zaokrąglona ruda brew uniosła się na bladym czole dziewczyny, podczas gdy zabierała obie szmatki. — To kim byłaś? Może odmieńcem? - Miała piękny, melodyjny irlandzki akcent.

- Nie jestem pewna - odpowiedziała Finley, marszcząc brwi i patrząc, jak dziewczyna odchodzi od łóżka. Droczyła się czy naprawdę wierzyła, że Finley może być wróżką udającą człowieka?

Dziewczyna wrzuciła szmatki do miski, a potem podeszła do komody. Przetrzaśnięła zawartość niewielkiego brązowego etui i wyciągnęła coś, co wyglądało jak butelka perfum.

- Zaaplikuję jeszcze jedną dawkę tego specyfiku, żeby upewnić się, że twoje rany nadal będą tak szybko się goić. Obiecuję, że tym razem nie zdenerwuje cię to tak jak zeszłej nocy. Możesz w tym czasie jeść.

Finley zarumieniła się, nie mogąc powstrzymać fali wstydu.

— Oczywiście. — Energicznie usiadła, opierając się wyżej na poduszkach. Ten gwałtowny ruch musiał przestraszyć młodą Irlandkę, bo odskoczyła do tyłu, upuszczając przy tym buteleczkę, która wylądowała na podłodze z głuchym stuknięciem.

- O kurczę! Wpadła pod komodę.

Zanim dziewczyna schyliła się, żeby wsunąć rękę pod mebel, ciemnowłosy chłopak już był przy niej. Postawił tacę na łóżku i podszedł do komody. Jak chciał tymi swoimi wielkimi dłońmi znaleźć urządzenie? Ale Finley zaraz zrozumiała, że nie miał zamiaru myszkować pod komodą. Po prostu chwycił duży, ciężki mebel i uniósł bez problemu.

Żaden człowiek nie mógł być tak silny. Nawet w swoim „odmiennym” stanie Finley daleko było do tego.

— Niesamowite - szepnęła, patrząc z nieskrywanym podziwem.

Rudowłosa uśmiechnęła się na to mimowolnie.

— I mówi to dziewczyna, która rzuciła lokajem jak workiem ziemniaków. — Szybko podniosła upuszczony flakon. -
Dziękuję, Sam.

Ten niczego nie powiedział, tylko spojrzał na nią, zanim odstawił komodę na miejsce. Dziewczyna celowo nie patrzyła na niego, ale jej blade policzki zarumieniły się.

— Mam na imię Finley — powiedziała Finley, kiedy Irlandka zaczęła opatrywać jej rany. — A ty?

Dziewczyna, z palcami zacis'niętymi na pompce atomizera, zawahała się. Cokolwiek zawierał ten flakon, pachniało rozmarynem i czymś' ziemistym — jak gleba. Nie patrzyła w oczy Finley, kiedy aplikowała cienką, chłodną warstwę mgiełki na jej czoło. Wciąż była niepewna.

— Emily.

Finley wyciągnęła rękę.

— Miło mi cię poznać, Emily. Dziękuję, że jesteś taka miła po tym, kiedy ja byłam taka okropna.

Emily spojrzała w dół. Przez chwilę Finley myślała, że odrzuci ofertę przyjaźni, i wstrzymała oddech. Ale po chwili wahania Emily przełożyła buteleczkę do lewej ręki i odwzajemniła uścisk. Dłoń Irlandki nie była gładka jak u damy. Była trochę szorstka, podobnie jak dłonie Finley. Miała ręce kogoś, kto przywykł do pracy, przez co Finley poczuła do Emily jeszcze większą sympatię.

Sprawiło to, że chciała zaufać drobnej dziewczynie z dziwnymi ognistymi włosami i starym spojrzeniem.

— Nie ma za co... Finley. — Emily wskazała ponad swoim ramieniem. — Tam stoi Sam.

Finley udało się uśmiechnąć do rosnącego młodzieńca. Jemu już nie była gotowa tak łatwo zaufać, przy czym, sądząc po kamiennym wyrazie jego twarzy, on też nie miał najmniejszego zamiaru ufać jej.

— Cześć, Sam. Przepraszam bardzo, że tak nad tobą wczoraj przeskoczyłam.

— Szybka jesteś — przyznał niechętnie, podnosząc tacę ze śniadaniem i układając jej na kolanach. — Ale złapałem lokaja, jak nim rzuciłaś, a następnym razem złapię ciebie. - Nie powiedział tego w groźny sposób, ale Finley była pewna, że gdyby ją złapał, zgniótłby jak insekta.

— Nie będzie następnego razu — odpowiedziała zdławionym głosem.

Olbrzym uśmiechnął się na te słowa. Miał duże, białe zęby i mógłby uchodzić za przystojnego, gdyby nie był tak cholernie przerażający.

— Dobrze — oznajmił, po czym zwrócił się do Emily: - Powinniśmy już iść. Griff będzie chciał nas widzieć.

— Griff? — Finley zamarła w trakcie sięgania po tosta. Kim jest Griff? Mówili o nim, jakby był ich przywódcą, i Finley już wiedziała. *Bogaty chłoptaś.*

Emily skinęła twierdząco głową.

— To jego dom. Chciałby, żebyś zeszła na dół do biblioteki, jak już zjesz śniadanie. Kiedy wezwiesz pokojówkę tym przyciskiem, ktoś zaraz przyjdzie, żeby pomóc ci się ubrać.

Chciał się z nią widzieć. Zaraz rozstrzygnie się jej dalszy los...
Nagle Finley straciła apetyt.

O dziwo, Emily ścisnęła pokrzepiająco jej dłoń.

— Nie martw się. Wszystko w końcu rozwiąże się tak, jak powinno. A teraz jedz. Musisz się trochę odżywić.

Finley zapiekły oczy. To zabrzmiało jak coś, co powiedziałaaby jej matka. Tak bardzo chciała być przy mamie!

— Dziękuję — powiedziała z trudem.

Emily znów uścisnęła jej rękę i pochyliła głowę, by spojrzeć Finley w oczy.

— Naprawdę. Nie musisz się martwić.

Finley skinęła tylko, nie czując się dość pewnie, by przemówić. Jeszcze wybuchłaby płaczem, a dość już się ośmieszyła przed tymi ludźmi. Udało jej się wytrzymać do czasu, kiedy wyszli, zamykając za sobą drzwi. Dopiero wtedy pozwoliła, by łza spłynęła jej po policzku.

Napadła pracodawcę. Wołałaby żyć na ulicy, niż pozwolić, aby matka dowiedziała się o takiej hańbie. Kiedy ludzie usłyszą o tym, co się stało, nie zatrudni jej już żadna porządna rodzina. Będzie musiała znaleźć jakąś inną pracę bez polecenia i mieć nadzieję, że

w sklepach nie słyszeli ojej wyczynie. Do tego albo traciła zmysły, albo opętał ją demon. Czym niby miałyby się martwić?

Ceglana ściana zadrżała od siły uderzenia lewej pięści Sama. Od ciosu prawą pokruszyła się.

Cegły wyrwały się z zaprawy. Te, które nie zostały starte na proch, posypały się na stertę u jego stóp. Zakrzuszył się i zatoczył do tyłu, kaszląc i przecierając łzawiące oczy.

—Jasna cholera!

Znajdował się w sali balowej rezydencji Greythorne. Od śmierci rodziców Griffa służyła mniej do zabawiania gości, a bardziej do szkolenia ich grupy.

W ciągu kilku ostatnich miesięcy Sam zaczął spędzać tu coraz więcej czasu. Od kiedy tylko Emily powiedziała mu, że znowu może zacząć ćwiczyć. No, może trochę wcześniej. Emily nie wie wszystkiego, nawet jeśli takie sprawia wrażenie.

Kiedy już opadł pył, a on znowu coś widział, Sam uniósł ręce, wyciągając je przed siebie tak, by móc się im przyjrzeć. Nie różniły się. Były tej samej wielkości i w tym samym kolorze. Kiedy poruszał palcami, widział, jak pod skórą poruszają się ścięgna.

Ale nie były takie same. Czasami wydawało mu się, że słyszy ciche skrzypienie dochodzące z prawego

ramienia. Zupełna bzdura, oczywiście - jego ręka nie wydawała żadnych dźwięków.

Pewnie czułby się lepiej, gdyby to cholerstwo jednak skrzypiało, gdyby w jakiś sposób było inne. Przynajmniej wtedy miałby konkretny powód, by go nie znosić. Nienawidzić. Emily uratowała mu życie, zamieniając przy tym w jakieś dziwadło. Nienawidził jej niemal tak bardzo, jak bardzo cieszył się, że żyje.

Urodził się inny, tak jak Griff. Dorastali razem -ojciec Sama był zarządcą majątku dawnego księcia — i Sam dość wcześnie odkrył, że posiada zdolności, których nie mają inni chłopcy. Przez lata Griff opracował na ten temat różne teorie. Może to przez coś, co było w wodzie. Może zostali wystawieni na działanie jakiejś toksyny. A może, jak to podobno pan Darwin kiedyś mówił dziadkowi i ojcu Griffa, byli po prostu przykładami naturalnej ewolucji człowieka w *coś więcej*.

Czymkolwiek byli, nie dało się zaprzeczyć, że więcej niż ludźmi. Każdy, kto kiedykolwiek widział jeden z „napadów” Griffa, kiedy jego oczy robiły się takie straszne, nie nazwałby go normalnym.

Co do Sama, z własnej odmienności zdał sobie sprawę, kiedy miał mniej więcej sześć lat. Wóz, który stracił koło, przewrócił się na jego ojca, przygniatając go. Zamiast pobiec po pomoc, jak mu kazano, Sam uniósł pojazd wystarczająco wysoko, by ojciec mógł się spod niego wyczołgać. Ojciec nic nie powiedział, ale później tamtej nocy poszedł do głównego budynku, żeby porozmawiać z księciem, a potem Sam i Griff byli

wychowywani razem, niemal jak bracia, korzystając z tej samej edukacji i wielu tych samych przywilejów. Dzieląc również wiele trudów, ponieważ bardzo ważne było sprawdzić, jakie są granice zdolności Sama.

W miarę jak rozwijał swoje umiejętności, jednocześnie nauczył się je ukrywać. To była jedyna zasada: nigdy nie zdradzać swojej prawdziwej natury. Żyli na świecie ludzie, którzy by nie zrozumieli, którzy by się bali. Z jakiegoś powodu ta myśl przypomniła Samowi książkę pod tytułem „Frankenstein” czy jakoś tak. Opowiadała o człowieku, który stworzył potwora, ludzie bali się i nienawidzili go mimo chęci przyłączenia się do rasy ludzkiej.

Nie było to celowe, ale od tamtego dnia Sam myślał o sobie jak o jakimś potworze.

A teraz jeszcze Emily - jedyna osoba, na której zależało mu, by tak go nie postrzegała - zmieniła go w jeszcze większego dziwaka. Rozumem pojmował, że go uratowała. Pod pewnymi względami nawet ulepszyła. Był teraz zdecydowanie silniejszy, ale za jaką cenę? Pod ciałem odtworzonym przez jej małe „stworzonka” znajdowały się palce, nadgarstek i inne struktury, które nie były zbudowane z kości, lecz z metalu.

„To twoje ciało, Sam” - powiedziała Emily, dotykając jego nowej ręki swymi zwinnymi palcami. „Organity powieliły twoją strukturę komórkową. Może szkielet jest z metalu, ale reszta to całkowicie ty”. Oczami prosiła go, by zrozumiał, wybaczył, ale nie

był w stanie wtedy tego zrobić i wciąż nie mógł — nie do końca. Nie tak jak ona tego chciała.

Zupełnie jak potwór Wiktora Frankensteina, nie był jednym całym ciałem ludzkim. Utracił część swojego człowieczeństwa. Ale jakkolwiek go to przerażało i złościło, jakaś jego część była zadowolona, że stał się silniejszy. Lubił wiedzieć, że następnym razem, kiedy zmierzy się z jedną z tych piekielnych maszyn, będzie mógł stawić jej czoła.

Coś się działo w zmechanizowanym świecie. Coś, co pozwalało metalowi i zębátkom buntować się przeciwko ludziom. Maszyna, która urwała mu ramię, nie była pierwszą działającą wbrew swemu oprogramowaniu. Była tylko najgorsza.

Teraz pozostaje ukryta pod domem w skarbcu z zamkiem szyfrowym, do którego kombinację znają tylko Emily i Griff. Nie mógł znieść tego, że Emily przebywała obok tej ohydy, ale sam nie chciał być za blisko.

Jego tchórzostwo było powodem, dla którego Griff zastąpił większość mechanicznej służby ludźmi, ponieważ wiedział, jak bardzo metal Sama teraz przerażał.

A co, jeśli maszyna nie została zniszczona? Griff twierdził, że usunęli źródło zasilania, ale jeśli było coś jeszcze? Griff kazał Emily pracować nad tą maszyną, choć było to tak niebezpieczne. Często przebywali w skarbcu razem. Griff miał swoją magię, która go

chroniła. Delikatna, drobna Emily byłaby krucha jak porcelana w łapach tej morderczej maszyny.

Gniew. Rozpacz. Radość, że wciąż żyje. Te wszystkie uczucia toczyły w nim bitwę, wypełniały go niespokojną energią, aż miał wrażenie, że wybuchnie. Musiał ją z siebie wyrzucić. Musiał przestać myśleć.

Rozbił pozostałości muru. Cegły eksplodowały, a sama ściana uniosła się z fundamentów. Kawał gruzu i zaprawy poleciał do góry i trafił Sama w twarz, zanim zdążył się uchylić. Uderzył go mocno w kość policzkową. W uszach rozbrzmiał mu metaliczny dźwięk, a kamienny pocisk rozprysł się na kawałki.

Ogłuszony Sam uniósł dłoń - prawdziwą dłoń - do twarzy. Krew - czuł ciepłą wilgoć, ale ból był nieznaczny. Powinien być bardziej intensywny, nawet mimo tego, że Sam był *inny*.

A co, jeśli...? Nie, to niemożliwe. Ale ta myśl już zakorzeniła się w jego oszołomionym umyśle, kiedy przechodził przez pokój do lustrzanej ściany, którą wykorzystywali przy analizowaniu swoich technik walki.

Sam podszedł do jednego z luster i przysunął do niego blisko twarz. Uniósł obie ręce do rany na policzku. Nie zwracał uwagi na krew, kiedy rozsuwał skórę, wrażając palce w rozcięcie. Mdliło go na ten widok, ale nie przestawał, poszerzając ranę, grzebiąc głębiej, aż natknął się na ostrą krawędź. Przyglądał się jej poprzez krew.

Proszę, niech to będzie kość. Nie była.

Opuścił zakrwawione ręce, z dala od jatki, jaką był jego policzek. Zatoczył się do tyłu, zszokowany. Zadrżał, czując się, jak gdyby wyrwano mu spod stóp cały świat.

Pierś przeszył ból. Co to za uczucie? To puste palenie? *Zdrada.* Podsycała buzujący w nim gniew. Wypadł z sali wielkimi krokami, zbiegł po głównych schodach, ignorując przestraszonych służących, którzy wydawali zduszone krzyki na jego widok. Pognał korytarzem do drzwi prowadzących do piwnicy, niemal wrywając je z zawiasów, kiedy otworzył je szarpnięciem.

Winda była za powolna. Ledwo powstrzymywał się przed wybiciem dziury w podłodze i zeskoczeniem prosto w dół — jak dziwoląg, którym w końcu był. Zmuszenie się do odczekania, aż to cholerne pudło zawiezie go pod ziemię, było jego ostatnim ludzkim odruchem.

Emily była sama, święcie przekonana, że tu ma swój zakątek — swoją bezpieczną przystań. Było tu niewiele wolnego miejsca. Automatonowa małpka z widocznym mechanizmem siedziała na półce obok modelu rakiety i sterty dziurkowanych kart. Na stole warsztatowym leżały plany pistoletu - pewnie coś dla Jaspera Renna. Emily zawsze robiła nową broń dla Amerykanina, co niezmiennie denerwowało Sama. Renn nawet nie był jednym z nich, nieważne, jak blisko kumpłował się z Griffem.

Emily stała przy drugim stanowisku po przeciwnej stronie pokoju. Na ścianach i linach wiszących z sufitu błyskały światła elektryczne, oświetlając jej miejsce pracy. Zajmowała się swoim ulubionym projektem - czymś, co od niemal roku było jej celem - kotem. Zmechanizowanym stworem, którego mogłaby kontrolować.

Spojrzała znad warsztatu, unosząc gogle powiększające, które pozwalały jej wykonywać precyzyjną robotę. Przez chwilę jej śliczne oczy za soczewkami były wielkie jak srebrne dolarówki.

- O Boże, Sam! - Zeskoczyła ze stołka z wyrazem przerażenia na twarzy. — Co się stało?

Zrobił krok do przodu, nim się powstrzymał, ale jej już nie mógł powstrzymać. Głupio, ufnie, podeszła do niego.

- Ile? - zapytał, kiedy podeszła. Zaciśnięte pięści trzymał blisko ciała.

Zmarszczyła brwi z zatroskaniem - jakby nie wiedziała, o czym on mówi.

- Co masz na myśli? Co ty sobie zrobiłeś? Chwycił rękę, którą zbliżyła mu do twarzy. Jej

nadgarstek wydawał się taki drobny w jego palcach. Mógłby go tak łatwo złamać, ale nie chciał wyrządzić dziewczynie krzywdy. Nieważne, co mu zrobiła. Nigdy nie zrani Emily.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu. Potrząsnął nią, czując, że chwieje się na skraju szaleństwa.

-Jak dużo mnie to cholerna maszyna?

Emily zrobiła się całkiem biała — ale się nie bała. Nie wiedział, czy jest głupia, czy może naprawdę znała go lepiej niż ktokolwiek inny, ale się go nie bała.

O niego, ale nigdy *jego*.

- Twoje prawe ramię - szepnęła, swymi błękitnymi oczami spoglądając w jego oczy. Czy dostrzegał w nich wstyd? I ulgę. Ulżyło jej, że wreszcie może mu wszystko powiedzieć. Czyj to był pomysł, żeby go okłamać? Jej czy Griffa? — Lewa część twojej czaszki i większość żeber zostały wzmocnione, bo kości były zupełnie pogruchotane.

Uchwyt Sama zelżał, gdy w brzuchu wzbierały mu mdłości. Zaczął już robić krok do tyłu, ale zatrzymał go głos Emily.

— Twoja lewa piszczel i prawa kość udowa zostały przeszczepione i opancerzone. No i prawy obojczyk.

Patrzył na nią przerażony. Aż tyle? Maszyna wyrządziła aż takie szkody? Jak on to przeżył? A potem spojrzał jej w oczy i dostrzegł w nich całą prawdę. Nie udało mu się.

Wcale tego nie przeżył.

— Co jeszcze, Em? —jego głos był zaledwie ochryłym szepem. - Co jeszcze wymieniłaś?

Uniosła brodę, ani trochę nie czując skruchy przez to, co mu zrobiła.

- Postąpiłabym tak samo, Sam. Nie żałuję, że cię uratowałam, nieważne, jak bardzo mnie przez to nienawidzisz. Postąpiłabym dokładnie tak samo.

- *Co jeszcze wymieniłaś?!!* - jego krzyk odbił się echem po pomieszczeniu, zdając się przy tym wstrząsać samymi fundamentami domu. Emily skrzywiła się, ale nie zamknęła oczu. Wyprostowała ramiona i spojrzała mu prosto w oczy.

— Twoje serce — powiedziała stanowczo. — Wymieniłam twoje serce.

ROZDZIAŁ 4

Finley właśnie zawiązywała pas kimona z czerwonego jedwabiu, które przyniosła jej pokojówka, kiedy rozległ się głośny huk i cały dom zdawał się zatrzęść. Gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła, jak ten duży chłopak — Sam — kroczy przez ogród w stronę ścieżki wiodącej do stajni. Chwilę później, kiedy wsuwała stopy w pasujące do kimona pantofle, jednocześnie spinając włosy, usłyszała głośny warkot. Sam wyjeżdżał ze stajni na jednym z tych dwukołowych wehikułów, na których zeszłej nocy jechali razem z Griffem.

Co się stało, co go tak rozwścieczyło? I jak silny musiał być, skoro poruszył tak dużym domem? Nie miałyby w starciu z nim najmniejszej szansy, nawet gdyby jej mroczniejsza strona przejęła kontrolę.

Ta myśl wywołała u niej niepokój. Ten dom, ci ludzie i ta sytuacja były zbyt dobre, żeby były prawdziwe. Zgodnie z jej doświadczeniami nikt nigdy nie był miły bez powodu. Zawsze czegoś chcieli.

Ale nie mogła bez końca ukrywać się w tym pokoju. A skoro ktoś zabrał stąd jej własne ubranie, będzie musiała grać według ich zasad. Przynajmniej na razie. Lepiej tak zrobić i dowiedzieć się, czego od niej chcą, niż siedzieć tu i czekać. Chociaż jakaś naiwna część jej chciała widzieć bogatego chłoptasia w lepszym świetle. Griffin — tak go nazwała Emily.

Intrygował ją ten młody mężczyzna, który zdołał uspokoić jej bestię samymi tylko słowami i tymi sennymi oczami. Pomógł jej zeszłej nocy i z tego, co mogła stwierdzić, nie pozwolił sobie na nic niestosownego. A drzwi do jej pokoju nie były zamknięte. To chyba dobry znak?

Kiedy opuściła sypialnię, uderzyła ją wspaniałość tego domu, po raz pierwszy widzianego w świetle dnia. Griffin musiał być naprawdę bardzo bogaty.

Mały automat zamykający czyścił właśnie dywan Axminster, którym pokryty był korytarz i schody, gęstą szczotką zgarniając śmieci na szufelkę. Była to jedna z nielicznych maszyn, jakie tu dostrzegła -choć widziała niewielką część domu. Ale i tak zdawało się, że jest tu więcej ludzkich służących niż mechanicznych, co tylko potwierdzał widok pokojówek pracujących w głębi korytarza.

Portrety, od liczących sobie setki lat do współczesnych, wisiały wzdłuż schodów, w dół których szła, starając się nie gapić na białe ściany i niezwykle wysokie sufity. W porównaniu z tym domem rezydencja August-Raynesów wyglądała jak szopa.

— Czy mogę w czymś pomóc, panienko? — spytała starsza kobieta, kiedy Finley znalazła się już na dole. Czarno-biały uniform i czepiec wskazywały, że jest to gospodyni. Zdawała się trochę... niepewna.

Kolejna osoba, która się jej bała. Wspaniale.

— Mam iść do biblioteki — wyjaśniła.

— A, tak — odpowiedziała gospodyni. — Książkę zapewne chce z panią rozmawiać. W dół południowego korytarza, drugie drzwi na prawo.

Finley wymamrotała podziękowanie i ruszyła we wskazanym kierunku na uginających się kolanach. Książkę? Ojciec bogatego chłopca jest księciem? Cholera. Była pewna, że musi znać rodzinę August-Raynesów. Czyją odeśle? Albo gorzej, wezwie peelerów*, żeby ją aresztowali?

Na tę myśl jej *druga* część uniosła się w sprzeczności. Prędzej złamie kark tatusiowi bogatego chłopca, niż da się peelerom odesłać do Newgate czy Bedlam.

Potrząsnęła głową, starając się odegnać ciemność.

Czym było to... to *coś* wewnątrz niej? Czasem przychodziły jej z tego powodu straszne rzeczy do głowy.

* Tu: jednostki policji nazwane od imienia Roberta Peela, twórcy nowoczesnego systemu policyjnego w XIX w. (przyp. red.).

Ale też dzięki temu nie została ofiarą. Dodawało jej sił, kiedy inni myśleli, że jest słaba. Nienawidziła tego, a zarazem, ku swemu wstydowi, lubiła.

Jednego za to była pewna: to nie było normalne.

Drzwi do biblioteki stały otworem, ale i tak zapukała lekko, zanim weszła do środka. Nie była przyzwyczajona do swobodnego poruszania się po takim domu. Kiedy nie musiała pracować, z reguły trzymała się swojego pokoju. Służba nie powinna kręcić się w miejscach, gdzie mógłby ich zobaczyć ktoś ważny.

Ale tu nie była służącą. Była gościem. A może więźniem?

Ale cóż to za więzienie! Finley opadła szczęką, kiedy zobaczyła sięgające sufitu regały wypełnione książkami. Tyle książek — więcej, niż kiedykolwiek widziała w jednym miejscu.

- Halo? - Onieśmielona weszła ostrożnie w głąb pomieszczenia. — Jest tu kto?

- Witam.

Spojrzała do góry. Tam, na galeryjce biegnącej wokół całego pokoju, stał bogaty chłoptaş. Opierał się o barierkę i uśmiechał, a gęste rudawe włosy opadały mu na czoło. Miał na sobie czarne spodnie i białą koszulę z zakasnymi rękawami i rozpiętym kołnierzykiem oraz czarną skórzaną kamizelkę. Obserwowała go, kiedy schodził po wąskich, spiralnych schodach, stukając na drewnianych stopniach butami o grubych podszwach. Poruszał się ze swobodną gracją, jak ktoś,

kto dokładnie wie, kim jest, i nie obchodzi go, co myślą o tym inni.

Cholerny szczęściarz.

Podszedł do niej i podał rękę na przywitanie.

— Griffin King.

Finley poderwała gwałtownie głowę. Griffin King. Księżę Greythorne. Tydzień temu słyszała, jak lady Alyssa rozmawiała o nim ze swoimi przyjaciółkami. Mówiły, że jest przystojny, niesamowicie bogaty i ma fajny tyłek. W chwili obecnej Finley nie mogła uformować opinii co do ostatniego punktu z tej listy, ale zdecydowanie miło było na niego popatrzeć i zdawał się nieprzyzwoicie bogaty.

Więc nie ma tatusia. Tylko on. To jednak coś ich łączy mimo ogromnej przepaści społecznej.

Z wahaniem podała mu rękę, po czym dygnęła nisko.

— Finley Jayne, wasza książęca mość. — Spuściła wzrok.

— Nie rób tego — odpowiedział niskim, surowym głosem. —

W tym domu jesteśmy sobie równi.

Spojrzała na niego zaskoczona i szybko się wyprostowała.

— Tak lepiej? - spytała.

Uśmiechnął się do niej krzywo, ale nie pomogło to rozwiązać niepokoju, który ścisnął ją w piersi.

— Widziałem, co potrafisz, Finley. Czy zaskoczyłoby cię, gdybym powiedział, że sam mam pewne *talenty*'?

— Nie nazwałabym tego, co mam, talentem - odpowiedziała. Może klątwą. Raczej demonem. Potrzebny był jej porządny egzorcyzm.

Przechylił głowę na bok, nie puszczać jej ręki. Zmrużył szaroniebieskie oczy, jak gdyby spoglądał prosto w jej wnętrze.

— A jak by s' to opisała?

Odsunęła się, nagle niepewna, ale dość opanowana, by nie powiedzieć na głos tego, co pomyślała.

— Co się stało z Samem? Cały dom się zatrzęsł, kiedy stąd wybiegł.

— To może być jedna z bardzo wielu rzeczy. — Znów ten przekrzywiony us'miech. — Przy okazji, ładna próba zmiany tematu. — Wskazał na sofę. — Usiądź, proszę.

Jakaś'jej część chciała stąd uciec, ale ta silniejsza chciała zostać. Nie była pewna, co jest mądrzejszym wyborem, ale posłusznie usiadła na sofie obitej fioletowym brokatem. Zesztywniała, kiedy Griffin usiadł na drugim końcu, ledwo dwie stopy dalej.

— Spokojnie — powiedział. — Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Wątpię, czy w ogóle dałbym radę. Podejrzewam, że pokonałabyś mnie z jedną ręką przywiązaną za plecami.

Gdy mówił, poczuła, jak rozluźniają się jej mięśnie. Rzeczywiście uspokajała się — na jego polecenie.

— A ja podejrzewam, że nie jesteś tak bezbronny, za jakiego chciałbyś uchodzić — zauważyła, obracając się przodem do niego.

Wyglądał na rozbawionego, a ona zdawała sobie sprawę z tego, że wcale się jej nie bał.

— Uważasz, że udaję słabość? Skinęła głową.

— Nie słabość, ale lubisz pozwalać innym myśleć, że to oni sprawują kontrolę nad sytuacją, kiedy tak naprawdę to ty ją masz - powiedziała całą prawdę. Mogła go oczywiście pokonać w walce, ale co z tego? Zdołałaby uciec, ale ubrana była tylko w koszulę nocną, kimono i lekkie pantofelki. Dokąd mogłaby pójść, gdzie nie sięgałyby jego wpływy? Już miała dość problemów, nie czuła potrzeby dołożenia ich sobie jeszcze więcej. Przynajmniej na razie.

— Ciekawe. — W jego jasnych oczach rozbłysły iskierki humoru, zanim znów spojrzał na nią poważnie. — A co, gdybym powiedział, że mogę ci pomóc przejąć kontrolę?

Zmarszczyła brwi.

— Kontrolę nad czym?

— Nad dzikością, która cię opanowuje — powiedział to tak spokojnie, jakby mówił o zwykłym przeziębieniu czy niemądrym pomysle.

— Zjawia się tylko wtedy, kiedy coś mi zagraża albo się boję — wyjaśniła. Nie należało niczego mówić. Powinna była wbić kciuk w jedno z tych pięknych ocząt... Finley zepchnęła tę myśl w głąb umysłu, gdzie było jej miejsce.

— Czy dlatego zeszłej nocy byłeś w Hyde Parku? Ktoś ci zagrażał?

Odwróciła wzrok, ale skinęła twierdząco.

— Felix August-Raynes? - spytał łagodnie. Finley zamknęła oczy, kiedy ogarnął ją strach.

Oczywiście, że wiedział. Widział przecież herb wyszyty na jej gorsiecie.

— Rano nie było niczego w gazetach, zakładam więc, że ten łajdak jeszcze żyje?

Uniosła wyzywająco głowę.

— Czy wyglądam na morderczynię? Griffin uśmiechnął się.

— Kuba Rozpruwacz miał bardzo subtelną urodę.

— Ale przecież nigdy nie złapali... — Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że przerwała w pół zdania. — Kiedy ostatnio go widziałam, lord Felix zdecydowanie żył, choć pewnie męczy go dzisiaj ból głowy.

— Bez wątpienia w pełni zasłużony. - Griffin oparł się o róg sofy i uniół obutą stopę, którą oparł na kolanie. Gładka czarna skóra trzewika wyglądała na bardzo miękką, a srebrne klamry lśniły w słońcu. — Tak jak cała reszta bandy Jacka Dandy'ego, lord Felix ma zbyt wygórowane mniemanie o sobie.

— Kogo?

Wsparł łokieć na oparciu kanapy i oparł głowę na rękę. Uczciwy i otwarty. Mimo że widział, co potrafi zrobić, ani trochę się nie bał. Zaczęła się zastanawiać, jaki też potwór w nim siedzi.

— Dandysi. Uważają się za prawdziwych ulicznych twardzieli, ale to tylko zgraja rozpuszczonych szcze-

niaków z metalem w twarzach. Dandy, z drugiej strony, jest dokładnie tym, czym twierdzi, że jest. Finley zastanowiła się, co to takiego właściwie.

— Czego chcesz ode mnie? — Miała już dość tych czczych pogaduszek.

Nie wyglądał na ani trochę zdziwionego czy urażonego.

— Niczego. Przynajmniej na razie.

— Ale w końcu będziesz czegoś chciał. — Co dziwne, to, że nie spełnił jej naiwnych oczekiwań, było niezwykle rozczarowujące.

— W końcu tak. Jeśli mam rację, a ty się zgodzisz, chciałbym, żebyś do nas dołączyła.

— Jako kto? — Z tego, co wiedziała, Emily równie dobrze mogła być wspólną konkubina tych dwóch, Griffina i Sama. Mogli w tym domu wyczyniać całe mnóstwo różnych perwersji.

Griffin znów się uśmiechnął - jakby potrafił czytać jej w myślach.

-Jak myślisz, kto walczy o bezpieczeństwo tego kraju, żebyś ty mogła spokojnie spać w nocy?

— Większości nocy nie przesypiam. I, mówiąc szczerze, wasza książęca mość, wcale nie czuję się bezpieczna.

Przechylił głowę.

— Mogę to zmienić.

W tej chwili Finley mu uwierzyła. Wiedziała też, że on sam wierzy w to, co mówi. Dlatego chciała mu zaufać. Kiedy ostatnio zaufała komuś płci męskiej?

— Po pierwsze — zaczął, nagle wstając z sofy — musimy sprawić ci nowe ubrania. Wkrótce będzie tu szwaczka, która cię zmierzy.

— Ale nie mam pieniędzy. Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

— Tym nie musisz się przejmować. Mam dość na nas oboje, zapewniam cię. - W jego oczach znów pojawiły się iskierki. Śmiał się z niej w duchu, ale nie złośliwie.

Finley powoli wstała z sofy, przechyliła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie mam ochoty mieć wobec ciebie jeszcze większego długu niż ten, który już zaciągnęłam.

Przez chwilę wyglądał na zamyślonego.

— Czy poczułabyś się swobodniej, gdybym zażądał czegoś w zamian? Czy taka sytuacja bardziej by ci odpowiadała?

Kiedy tak to ujął, to ona wychodziła na okropną osobę, która zawsze spodziewa się najgorszego.

— Tak. Przynajmniej byłoby to uczciwe.

Może i z jego ust dobył się śmiech, ale nie miał w sobie nic z radości. Pokręcił głową, a światło zaśniło rudo na jego włosach.

— Chciałbym poznać tego, kto sprawił, że jesteś tak bardzo nieufna, i powyrywać mu po kolei wszystkie zęby.

Żarliwość jego słów przestraszyła ją, ale też w pewien sposób dodała otuchy.

— Było ich więcej niż jeden.

Griffin przybrał poważny wyraz twarzy - jak gdyby chmury przesłoniły słońce. Nagle nie był już tylko jakimś na pozór miłym, znudzonym arystokratą, ale młodym mężczyzną zdolnym do wielu niebezpiecznych rzeczy.

Ciekawe — pomyślała, zapożyczając jego zwrot.

— Chcę od ciebie — powiedział, a Finley napięła uwagę — zaufania. Nieodwołalnego i niewzruszonego. Chcę, żebyś powierzyła mi swoje życie i żebyś mogła to zrobić bez zawahania.

Wstrząśnięta do głębi Finley mogła tylko potrząsnąć głową.

— Prosisz o zbyt wiele.

Powierzyć mu życie? Był obłąkany! Akurat do Bedlam.

Jego usta wygięły się w krzywym uśmiechu.

— Zbyt wiele? Ty dziwna i wspaniała dziewczyno, to *najmniej* z tego, o co będę cię prosił.

Każdy, kto znalazłby się w odległości piętnastu stóp od Sama Morgana, bez trudu wyczułby, że ten aż rwie się do bójki. Na jego nieszczęście, wszyscy w tawernie byli albo dość trzeźwi, żeby omijać go szerokim łukiem, albo zbyt pijani, żeby im się chciało z nim walczyć.

Usiadł przy stoliku w rogu równie mrocznym, co jego nastrój i tak daleko od zautomatyzowanego barmana, jak to tylko było możliwe. Już sam widok lśnia-

cego mosiężnego androida sprawiał, że nerwowo drgała mu powieka. Na szczęście do jego stolika podeszła młoda kelnerka. Ubrana była w białą bluzkę, która odsłaniała jej ramiona, ciasno sznurowany gorset, przez który jej talia była niezwykle wąska, a obfite piersi stawały się jeszcze bardziej widoczne, oraz w krótką, fal-baniastą spódnicę, odsłaniającą kształtne łydki w ciemnych pończochach.

— Dobra — powiedziała, wymawiając „r” z mocną vibracją typową dla walijskiego akcentu. — To co ci podać?

— Piwo — powiedział obcesowo, przesuając w jej stronę pół korony po porysowanym blacie. Była to hojna zapłata. Kelnerka chwyciła monetę z uśmiechem i pobiegła po piwo. Po przeciwnej stronie, przesiąkniętej ginem i piwem, wysypanej trocinami podłogi, obskurnie ubrany mężczyzna włożył monetę do automatu Victoria Victrola. Dał się słyszeć cichy brzęk, kiedy pieniążek uderzył o dno, po czym rozległ się nieznacznym szum, kiedy poruszył się tułów w górnej, szklanej części maszyny. Victoria miała gęste kasztanowe włosy i śliczną twarz z papier mache, z błękitnymi oczami i szkarłatnymi ustami, których dolna część poruszała się, by wyglądało to tak, jakby śpiewała kobieta z krwi i kości, a nie tania nakręcana lalka, która miała tylko poruszać się w rytm muzyki. Victoria nie przeszkadzała Samowi tak bardzo, jak ta błyszcząca kreatura za barem. Była uwięziona w swym szklanym więzieniu — półkobieta bez szansy na ucieczkę.

Nie, to ten metal za borem go denerwował. Czy ci ludzie nie zdawali sobie sprawy, na jakie sami siebie narażali zagrożenie, po prostu przebywając w tym samym pomieszczeniu co ta... ta rzecz?

Przynajmniej teraz był lepiej przygotowany, by stawić czoła maszynom. Emily o to zadbała. Rozprostował palce prawej ręki. Wydawała się zupełnie normalna. Jak to możliwe, skoro nie była? Nie wyczuwał nawet różnicy w ciężarze obu ramion, ale przecież metalowe powinno być cięższe, prawda?

Wróciła kelnerka i postawiła przed nim kufel spienionego piwa. Strużka piany spłynęła po szkle i utworzyła kałużę na brudnym blacie.

- Będziesz chciał czegoś'jeszcze?

Sam nie był głupi. Może nie był tak bystry, jak Emily i Griff, ani nawet tak błyskotliwy jak Jasper, ale nie był głupi. Rozumiał rzeczy, których oni nie rozumieli, i domyślał się też, co proponuje mu dziewczyna. Wiedział również, że nikt nie lubi, jak się go odtrąca.

- Może później - odparł z lekkim us'miechem. Czuł, że jego ton brzmi wymuszenie i fałszywie, ale kelnerka tego nie zauważyła. Odwzajemniła us'miech, pokazując śliczne dołeczki w policzkach.

— Gdybyś zmienił zdanie, daj mi znać.

— Tak zrobię — obiecał, wiedząc z całą pewnością, że tego nie zrobi.

Gdy odeszła, Sam uniósł kufel. Łyknął ciepłego piwa, budzącego jego język swym bogatym smakiem. Mógłby wypić trzy galony, a i tak nie byłby dość pija-

ny, żeby nie słyszeć już w myślach cichych słów Emily.
„Wymieniłam twoje serce”.

Co to oznaczało? Nie męczył go fakt pozostawiania przy życiu ani też, że maszyna pompuje krew przez jego żyły. Jaki miało to wpływ na niego jako człowieka? Będzie dłużej żył? Czy kłamstwem było, że kiedy widział Emily, to *coś* w jego piersi biło szybciej? Co maszyna wiedziała o uczuciach? Czy nadejdzie czas, kiedy będzie mógł szczerze powiedzieć, że czuje w sercu *coś* prawdziwego, i temu uczuciu zaufać?

Był szczęśliwy, że wciąż żyje, niezależnie od tego, w jakiej postaci, i to z kolei wszystko jeszcze bardziej gmatwało.

Victoria Victrola śpiewała piosenkę o utraconej miłości, co tylko pogłębiało jego melancholię. Opróżnił kufel i dał znać kelnerce, żeby podała następny, obserwując z rezygnacją, jak przekazuje zamówienie automatycznemu barmanowi. Wyobraził sobie, jak te metalowe ręce nagle upuszczają ciężki kufel i chwytają kelnerkę za gardło, wyduszając z niej życie, podczas gdy piwo rozlewa się po podłodze. Widział siebie, próbującego ją uratować, gdy nagle jego ręka samoistnie przyłącza się do duszenia dziewczyny...

- Wygląda pan, jakby przydało się panu towarzystwo.

Sam drgnął, patrząc na stojącego przy stoliku mężczyznę, kiedy czarująca blondyneczka podawała mu drugie piwo.

— Niby jak?

— Niestety — odparł mężczyzna z dziwnym akcentem.

— A nieszczęścia podobno chodzą parami, czyż nie?

Co dziwne, ten kiepski żart rozbawił Sama. Wskazał ręką krzesło po drugiej stronie stołu.

— Proszę usiąść, jeśli to panu kocioł grzeje. Mężczyzna skorzystał z zaproszenia, stawiając

własny pełny kufel na stole, zanim podwinął poły. Zaczął powoli zdejmować swoje eleganckie rękawiczki. Był ubrany jak arystokrata, w rudobrunatny surdut i kamizelkę w złote paski. Na głowie miał melonik koloru czekolady, a wokół szyi zawiązaną nieskazitelnie białą krawatę. Wyglądał na cudzoziemca - cechowała go swoista wyrafinowana śniadość, przez te ciemne włosy i oczy.

— Leon Adamo — powiedział mężczyzna, wyciągając dłoń.

— Sam Morg... - Sam zamarł, nie mogąc oderwać wzroku od tej... *rzeczy*, którą miał przed sobą. Była długa i smukła i wyglądała zupełnie jak dłoń, poza jednym znaczącym wyjątkiem.

Była z metalu. W kolorze matowego srebra, w pełni ruchoma, z wycięciami w miejscu każdego kłykcia. Miała nawet rzeźbione paznokcie, a na jej wierzchu wygrawerowano zawiły wzór, który zdobił też każdy z palców. Po wewnętrznej stronie nadgarstka znajdowała się niewielka przezroczysta płytka, przez

którą można było sięgnąć znajdującego się w środku mechanizmu.

Towarzysz Sama zas'miał się i cofnął rękę.

- Najmocniej przepraszam. Zapominam, jak to może zaskakiwać.

- Nie — odparł Sam, trochę rozkojarzony, ze wzrokiem wciąż skupionym na tej dziwnej kończynie. - Po prostu nigdy nie spotkałem... - *Kogoś innego, kto jest w części maszyna.* — Proszę o wybaczenie. Nie miałem zamiaru pana urazić.

- Nie ma o czym mówić, panie... Morgan, czyż nie?

Sam skinął i tym razem wyciągnął rękę.

- Miło pana poznać.

Mężczyzna uśmiechnął się i uścisnął wyciągniętą dłoń. Gładki metal był chłodny w dotyku, ale palce silne. Sam miał wrażenie, że trzyma rękawicę zbroi. Nie było w tym nic strasznego czy obrzydliwego. W każdym razie Leon Adamo nie wydawał się w najmniejszym stopniu tego wstydzić.

Sam odwzajemnił uśmiech nowego towarzysza.

- Wie pan co, chyba jednak mam ochotę na towarzystwo.

W posiadłości Kingów panowała cisza, było spokojnie jak w kościele, kiedy Finley otworzyła oczy jesz-

cze przed świtem. Księżyc rzucał w jej pokoju długie cienie, oblewając łóżko i część ściany srebrną poświatą.

Była niespokojna i pobudzona. Zbierało to się w niej przez cały dzień, od tej dziwnej rozmowy z Griffem.

Czy chciał jej zaszkodzić, czy nie? Raczej był szczery, ale nie miała pewności. No i jeszcze ta tajemnicza uwaga, którą rzucił na koniec. Co miał na myśli, mówiąc, że całkowite zaufanie to *najmniejsze*, o co ją poprosi? Zadufany paniczyk. Z jakiej racji myślał, że ona uzna jego chudy tyłek za wart ratowania?

Wewnątrz niej ta przestraszona i ostrożna część zapiszczała w proteście, jak zawsze. „Grzeczna dziewczynka” nie lubiła konfliktów, unikała przemocy i niebezpieczeństw. Biedne maleństwo. Nie miała pojęcia, że konfrontacja jest najbardziej podstawową formą samoobrony. Robiła tylko to, co najlepsze dla nich obu. I chciała wiedzieć, czy kumpel lorda Felixa, Dandy, stanowił dla niej zagrożenie.

Wstała z łóżka i na bosaka przeszła po dywanie do szafy. Griffin dotrzymał obietnicy sprawienia jej nowych ubrań i miała do swojej dyspozycji kilka rzeczy, które miały jej wystarczyć do czasu, aż reszta będzie gotowa. Założyła miękkie, czarne pończochy i podpięła je do nowego pasa na biodrach. Następnie włożyła obcisłe, dość krótkie czarne spodenki oraz aksamitny gorset w kolorze śliwki. Zawiązała swoje wysokie, wytrzymałe buty z czarnej skóry i zarzuciła długi surdut z czarnego aksamitu, który sięgał jej niemal do kostek. Następnie ułożyła włosy w niedbały kok i wsu-

nęła w niego ołówek, w ten sposób spinając go z tyłu głowy. Ołówki zawsze s'wietnie się sprawdzały przy układaniu fryzury. W razie potrzeby mogły też służyć jako całkiem niezła broń.

Tak wyposażona, Finley podeszła ostrożnie do okna, uniosła zasuwę i pchnęła skrzydło. Usiadła na parapecie i wysunęła jedną nogę na zewnątrz. Następnie, trzymając się górnej krawędzi okna, wystawiła też drugą nogę. Zeszła w dół po ścianie, palcami rąk i czubkami butów wczepiając się w płytkie zagłębienia między kamieniami, zwinna jak pająk.

Kilka stóp nad ziemią puściła się i zeskoczyła lekko na trawę. W nocnym powietrzu czuło się nadchodzący deszcz, świeżo rozkopaną ziemię i letni żar. Zawsze cieszyła się dobrym wzrokiem, ale o ile bystrzejszym, kiedy ta *strona* była wolna. Wszystkie zmysły miała wyostrzone, trochę lepsze niż u zwykłego człowieka.

Rozejrzała się szybko, żeby mieć pewnos'ć, że jest sama, po czym pobiegła w kierunku stajni, dokąd wcześniej udał się Sam. Jeszcze nie wrócił i Emily martwiła się o niego. Finley usłyszała, jak powiedziała to Griffowi w czasie obiadu. Zapewnił ją, że z Samem wszystko w porządku, ale również się martwił. Finley to dostrzegła.

Dziewczyna nie wiedziała, dokąd udał się olbrzym. Ta część jej czuła się bezpieczniejsza, kiedy go tu nie było.

Stajnie były słabo oświetlone rozproszonym złotym światłem. Finley zdziwił fakt, że stały tu też

prawdziwe konie obok kilku dziwnie wyglądających mechanicznych urządzeń, podobnych do tego, na którym jechał Griff, kiedy poprzedniej nocy przypadkowo skrzyżowały się ich drogi.

Przeszła po pokrytej sianem drewnianej podłodze do niewielkiej, smukłej maszyny, z głęboko bieżnikowanymi oponami i lekko zawiniętymi uchwytami kierownicy. Wyglądała jak jeden z tych nowoczesnych bcykli, tylko znacznie cięższa, bardziej wyszukana - szybsza. Przejechała dłonią po chromowanym przodzie, rozkoszując się dotykiem chłodnego metalu pod palcami.

- Wychodzisz?

Odskoczyła do tyłu i obróciła się. Na podłodze klęczała Emily. Najwyraźniej pracowała przy jednej z mniejszych maszyn - czerwonej, która miała trzy koła zamiast dwóch. Błady policzek dziewczyny przekreślała ciemna smuga, a włosy miała upięte nieporządnie na czubku głowy.

- Tak - odparła Finley, zadzierając brodę.

Po chwili Emily uniosła wzrok znad maszyny, w jednej ręce trzymając zaolejoną szmatę. Wydawała się zaskoczona tym, że Finley jeszcze tam stoi. Wskazała na maszynę obok.

- Weź tę. Jest lżejsza i łatwiej się ją prowadzi. Nie miała zamiaru spróbować jej powstrzymać?

Więc rzeczywiście nie była tu więźniem. Czy nie bała się, że Finley może ukraść pojazd i już nie wrócić?

- Nie chcesz wiedzieć, dokąd jadę?

Emily otarła czoło wierzchem dłoni, zostawiając na nim smugę oleju.

- Gdyby to była moja sprawa, tobyś mi powiedziała.

Finley usmiechnęła się na te słowa. Była dość silna, by wyrzucić dziewczynie poważną krzywdę, ale ta zachowywała się spokojnie. Zastanowiło ją, jaką ukrytą ochronę ma Emily; czy miała równie ciekawe zdolności, jak Griffin i Sam? Zrobiła się względem niej ostrożniejsza.

Szanowała to.

- Co robisz? - zapytała, nagle nie aż tak chętna do wyjścia.

Emily wyjęła zmatowiałą część motoru i zastąpiła ją bardziej lśniącą, wyglądającą na nowszą.

- Wymieniam tylko kontrolkę prędkości. Finley uklękła przy niej, obserwując, jak mocuje część na odpowiednim miejscu.

- A za co odpowiada?

Ruda dziewczyna uśmiechnęła się krzywo.

- Sprawia, że maszyna szybko jedzie.

- *Bardzo* szybko? - zapytała Finley, odwzajemniając uśmiech.

Emily zaśmiała się.

- Tak, bardzo szybko.

- Gdzie się nauczyłaś to robić? - Było to dla Finley fascynujące i dziwne, że dziewczyna wiedziała, jak naprawiać maszyny. Co za wspaniała wiedza.

— Od dziecka interesowało mnie, jak wszystko działa. Ojciec i bracia albo są wynalazcami, albo mają zamiłowanie do maszyn. Jestem jedyną dziewczyną w rodzinie, a matka umarła, kiedy byłam bardzo mała, więc dorastałam, obserwując ich. Zdawało się logiczne, że w końcu sama zaczęłam majsterkować.

— Fascynujące - wyszeptała Finley, patrząc na ubrudzone smarem, zwinne palce dziewczyny poruszające się jak u wirtuoza grającego na instrumencie. Po czym dodała: - Przykro mi z powodu twojej mamy.

— Dzięki. Nie pamiętam jej nawet.

— Moi rodzice ciągle żyją. To znaczy moja mama. Mieszka razem z moim ojczymem. Mój ojciec - prawdziwy ojciec — umarł, kiedy byłam malutka.

— Przykro mi.

Te proste słowa zaskoczyły Finley i poruszyły ją. Przez chwilę zastanawiała się, czyby jednak nie zignorować potrzeby wyjścia w noc i zostać tutaj. Może mogłaby pomóc Emily przy naprawach.

Ale ta dziewczyna nie była jej przyjaciółką i pewnie nigdy nią nie zostanie, bo Finley nie będzie mogła tu mieszkać zawsze. Nie pasowała do tego bogatego domu i do tych wszystkich bystrych i uprzywilejowanych ludzi. To nie był jej świat.

— Dobra. — Uderzyła dłońmi o uda. - To ja pojedę. Emily patrzyła, jak wstaje.

— Uważaj na siebie.

Finley uśmiechnęła się do niej zadziornie, kiedy przerzuciła nogę nad wybranym motorem, i usiadła.

- Mam uważać? A gdzie w tym zabawa?

Znalazła mechanizm, który wprawiał bestię w ruch, i wyjechała ze stajni na pełnych obrotach, nie oglądając się za siebie.

ROZDZIAŁ 5

Gdyby Londyn był ciałem, to Whitechapel byłoby krocem: wielki nieumyty obszar, który ukazuje się tylko pod osłoną ciemności, a i to tylko dla najmniej obyczajnych z rozrywek. Żadna z osób odpowiedniego pochodzenia nigdy nie przyznała się do odwiedzania tego miejsca, ale każda z nich zrobiła to choć raz w swoim życiu - albo przynajmniej chciała. Zabawianie się w slumsach było obecnie bardzo modne.

Nad ulicami zdawała się unosić wieczna mgła, jak smród pijackiego oddechu. Było to ponure miejsce, gdzie „niefortunne” panie sprzedawały swoje ciała, a „poziomy walczyk” często odbywał się w miejscach, gdzie każdy mógł się napatoczyć. Gin też był tu tani, a jak się wiedziało, do jakich drzwi zapukać, można było kupić chwilę zapomnienia w palarni opium albo

czas z utraconą bliską osobą u handlarza Eteru. W tej części miasta mechy były proste i niezgrabne, pokryte śnieżką.

Krótko mówiąc, było to biedne, żałosne miejsce, o którym współczesny świat zapomniał lub też wygodnie je ignorował. Tutaj latarnie wciąż działały na gaz i migotały rozproszonym żółtym światłem. Używano tu węgla zamiast droższej rudy turkusynowej, sprzedawanej przez King Industries, bo węgiel łatwiej było ukraść. Zabiegi dentystyczne ograniczały się do operacji brudnymi obcęgami, a kąpiele podejrzewano o narażanie organizmu na choroby wszelkiej maści. Każda używka, którą kiedykolwiek umysł ludzki wymyślił, była w Whitechapel dostępna za cenę niższą niż gdziekolwiek indziej w Londynie.

Oczywiście jakość odpowiadała cenie.

Tak więc ładna dziewczyna bez ubytków i ani jednej blizny po ospie, wystrojona w najmodniejsze ubranie, wyróżniała się na tym tle jak róża na śmietniku. Zauważono ją niedaleko pubu Księżniczka Alice w okolicy Commercial Street, w niedużej odległości od miejsca, gdzie Frywolny Jack czy też Rozpruwacz, jak większość go zwała, wykonał część swojego „dzieła” dziewięć lat wcześniej. Szybko rozniosła się wieść, że dziewczyna szuka Jacka Dandy'ego, księcia w tym pożałowania godnym królestwie.

Finley starała się nie uśmiechać, kiedy odwracały się za nią głowy, podążały szeptami, jak również od czasu do czasu jacyś ubrani w łachmany mężczyźni. Jej

słabsza połowa bałaby się tej części miasta. Uważałyby za nierozważne takie afiszowanie swojej obecności, ale właściwie czemu nie miałyby iść tam, dokąd ma ochotę? Było tu niewiele rzeczy, które stanowiły dla niej zagrożenie. Nawet gdyby napadli na nią całą gromadą, jak wilki na sarnę, to i tak ona okazałaby się groźniejszym drapieżnikiem niż oni wszyscy razem wzięci.

Wcześniejsza uwaga bogatego chłoptasia o tym, że lord Felix jest członkiem bandy Dandysów, zapadła jej w pamięć. Lord Felix był małym tyranem, który lubił sprawować kontrolę w każdej sytuacji, więc jeśli podążał za Jackiem Dandym, to Finley bardzo chciała spotkać tego człowieka. Porozmawiać z nim chwilę i samej go ocenić.

Dandy może okazać się osobą, którą warto znać.

Pozostawiła swój pojazd na dachu starej, ale solidnej szopy kilka ulic wcześniej. Nie ufała Dandy'emu, że nie ukradnie jej welocykla, a wolała mieć jakiś środek transportu, gdyby musiała uciekać. Poza tym, jeśli pójdzie pieszo, to Dandy emu łatwiej będzie ją znaleźć, na co liczyła.

Kiedy w czasie wieczornych poszukiwań słyszała o tym osławionym przestępcy różne rzeczy, robiła się coraz bardziej ciekawa ich spotkania. Musiała tylko znaleźć człowieka, dla którego połowa młodych byczków w Londynie wtykała sobie kawałki metalu w twarz i wyczyniała nieprzyjemne psoty. I jeszcze, tak, chciała przysporzyć kłopotów lordowi Felixowi.

Skreśliła za róg w ciemny zaułek. Było tu ciszej w pewien niepokojący sposób, ale nie powstrzymało to pewnego obdartusa przed podążeniem za nią. Nie był zbyt cichy, w żadnym znaczeniu tego słowa. Pociągał nosem, śmiał się do siebie i charkał flegmą, jak gdyby chciał, żeby usłyszało go całe miasto. W końcu miała tego dość i odwróciła się, żeby go przegonić.

Tylko... tylko łachmaniarza już tam nie było. Nikogo nie było.

Marszcząc brwi, Finley obróciła się na pięcie.

I znalazła się tuż przed pełnymi, nieskrzywionymi usmiechem ustami.

Nie odskoczyła w tył — była zbyt zszokowana, ale też pod wrażeniem.

Jak udało mu się podkrasć do niej? *Nikt* nigdy się do niej nie podkradł. Unosząc wzrok, dostrzegła parę najciemniejszych oczu, jakie kiedykolwiek widziała, obramowanych gęstymi, długimi rzęsami - takich nie powinien mieć żaden mężczyzna.

— Hej, skarbie. — Uśmiechnął się, ukazując rząd niezwykle równych zębów, które w świetle księżyca były przerażająco białe. — Słyszałem, że mnie szukasz.

Mężczyzna był wysoki i szczupły, ubrany zgodnie z najnowszą modą na czarno, tak żeby stapiać się z cieniami na ulicy. Jego włosy opadały ciężko wokół twarzy zmierzwionymi falami. Dżentelmen cockney - najdziwniejszy z oksymoronów. Był przystojny — w diabelski sposób. Był chłodną nocą przy

ciepłym poranku Griffina Kinga, choć czemu w ogóle Finley ich porównała, było zagadką.

- Szukałam - odpowiedziała.

Wyciągnął ramiona w bok, przyjmując pozę, w której każdy inny byłby w zasadzie bezbronny, on jednak wcale bezbronny się nie wydawał — wyglądało to raczej na zaczepkę.

- A skoro już mnie znalazłaś? Wzruszyła ramionami.

- Sądziłam, że będziesz bardziej imponujący. -Szczerze mówiąc, nawet podobał jej się Jack Dandy — a nie było wątpliwości, że był to właśnie on.

Roześmiał się, odchylając głowę do tyłu, tak że jego głos niósł się daleko w noc. Po kręgosłupie Finley przebiegł dreszcz. Wyczekiwanie połączone z nieczęstym smakiem lęku zatrzepotały jej w brzuchu. Spodobało jej się to. On jej się spodobał.

Kiedy skończył się śmiać, podał jej ramię.

- Co powiesz na mały spacer, skarbie? Finley wzięła go pod łokieć. Czarna wełna jego

surduta była miękka i ciepła pod jej dłonią. Poprowadził ją w światło księżyca, jak gdyby eskortował na bal. Choć wiedziała, że może w okamgnieniu złamać mu kark, czuła się trochę wytracona z równowagi — tak jak jej druga połowa czuła się przy Griffinie. Dandy miał władzę i dodawało mu to pewności siebie. Może i miała dość siły, żeby go pokonać, jednak Dandy nie poddałby się bez walki i mogłaby nie przeżyć tej konfrontacji.

I, jak w przypadku Griffina, Dandy zyskiwał dzięki temu w jej oczach.

Kiedy szli, przesunęły się po nich światła sterowca. Finley spojrzała do góry, obserwując, jak blask staje się wyraźniejszy, powoli opadając z nieba w szumie śmigieł, gdy pojazd zbliżał się do londyńskiego portu powietrznego, który leżał kilka mil dalej. Jakże niezwykle musi być unoszenie się tak wysoko nad światem, podróżowanie z taką prędkością.

Dandy podążył za jej spojrzeniem, ale nie zatrzymał się.

— Byłem raz w takim lataczu - powiedział. — Przeszedłem przez barierki i trzymałem się jednej z lin. Bardzo wyzwalające. Prawie puściłem.

Obróciła głowę, żeby spojrzeć na niego.

— Upadek by cię zabił. Uśmiechnął się lekko.

— Tak, ale najpierw bym poleciał. Można gorzej umrzeć.

Taka śmierć nie mogła być przyjemna, ale Finley wyobraziła sobie przez chwilę, jak to by było spadać z takiej wysokości, czuć wiatr we włosach, smakować chmur. Tak, byłoby to jak lot. A *mogła* sobie wyobrazić gorszy koniec.

Dandy poprowadził ją po kamiennych stopniach do domu szeregowego. Nie było w nim nic szczególnego czy zachęcającego. Okna pokryte brudem, z frontowych drzwi łuszczyła się farba, a Finley musiała zastanowić się nad tym, na ile rozsądne byłoby przekrocze-

nie jego progu. A jeśli to pułapka? W środku mogli czekać uzbrojeni ludzie Dandy'ego, a wyszkolonych zbirów trudniej byłoby pokonać niż zwykłych ludzi.

Mimo to do głowy jej nie przyszło się bać, nie w obecności tego młodego mężczyzny, który na tyle przypominał wilka, że pewnie mógłby wyczuć jej lęk. Był tego rodzaju człowiekiem, który natychmiast wykorzystałby jej słabość. Ona na jego miejscu tak właśnie by postąpiła. A mówiąc nieskromnie, nie była słaba.

Weszła do ciemnego wnętrza przed Dandym. Wewnątrz dom wyglądał zupełnie inaczej, niż na to wskazywało jego zewnątrz. Wypolerowana drewniana podłoga lśniła. Na ścianach przedsiionka pokrytych tapetą w kolorze wina wisiały obrazy, a dalej Finley widziała bardzo zachęcający salon. Tam zaprowadził ją Dandy.

Zagwizdała z uznaniem.

— Mieszkasz tu? - zapytała, czując ulgę, że nigdzie nie widać żadnego zbira. Najwyraźniej Dandy podzielał jej zamiłowanie do lepszych rzeczy w życiu, sądząc po urządzeniu tego pokoju.

Dandy zaśmiał się.

— Za dużo osób chce mnie zabić we śnie, co nie? Dlatego nigdy nie śpię tam, gdzie załatwiam interesy.

Spojrzała na niego kątem oka, kiedy szła po wzorzystym dywanie, który pokrywał większość podłogi w salonie.

— Czy naprawdę jesteś tak nikczemny, panie Dandy? — zapytała, przesuwając palcami po puszystych ak-

samitnych poduszkach sofy, cały czas obserwując go spod opuszczonych rzęs.

Oparł się o framugę, uniósł jedną ciemną brew, słysząc zalotny ton w jej głosie. W jas'niejszym świetle mogła lepiej określić jego wiek. Zgadywała, że musiał bardzo niedawno przekroczyć dwadzieścia lat. Może dwadzieścia jeden? Młody, jak na taką reputację.

- Mogę być, panno Jayne.

Lodowate palce zacisnęły się na sercu Finley. Po raz pierwszy naprawdę zachwiano jej pewnością siebie i przez chwilę jej słabsza strona niemal zyskała kontrolę. Opadła na sofę.

- Znasz... znasz moje nazwisko. Skąd? Uśmiechnął się bezczelnie, ukazując przy tym swoje idealne zęby, i odsunął od drzwi.

- Cóż by ze mnie była za zbrodnicza zagadka, gdybym to tak zaraz zdradził, co?

Nie była pewna, co na to powiedzieć ani też czy głos jej nie zdrzży, tak więc milczała. Siedziała tam tylko i obserwowała, jak Dandy podchodzi do eleganckiego kredensu, gdzie stał rząd kryształowych karafek. Głęboki wdech pomógł jej uspokoić nerwy. Dandy nie stanowił dla niej zagrożenia. Wiedziała to, bo sama nie stanowiła dla niego zagrożenia. Byli bardzo podobni do siebie. Dwa drapieżniki, bardzo niebezpieczne i próżne. I byli zafascynowani sobą nawzajem.

- Może łyczek „zielonej wróżki”, skarbie? Absynt. Nigdy go nie piła, ale słyszała, jak inni o nim mówili. Pijali go artyści. Było to coś, na co po-

zwalali sobie niestosowni ludzie. Już to wystarczyło Finley — przy jej obecnej osobowości — żeby powiedzieć „tak”.

— Skąd mam wiedzieć, że nie dodasz do tego laudanum? — Lek ten nie działał na nią tak jak na zwykłych ludzi, ale i tak stałaby się po nim senna, przytłumiona.

Dandy uśmiechnął się do niej przez ramię.

— Coś podejrzewam, że możesz być ciekawsza obudzona niż śpiąca.

I kto teraz flirtował? Finley wygięła usta z satysfakcją, ale i tak obserwowała rozmówcę jak sokół. Wiedziała, że nie powinna mu ufać do końca. Byli zbyt podobni do siebie. Może nie spróbuje jej skrzywdzić, ale w każdy sposób będzie chciał zyskać przewagę.

Dziurkowane srebrne łyżeczki z nasączonymi absyntem kostkami cukru leżały na brzegach każdej z małych szklaneczek. Dandy wyciągnął pudełko zapalek i zapalił jedną, a potem przyłożył do kostek cukru. Paliły się przez chwilę, zanim przechylił je do szklanek. Absynt zapłonął pięknym, błękitnawym ogniem, a Finley była pewna, że Dandy'emu zajmą się od niego mankiety, ale spokojnie wlał po miarce wody do obu szklanek, gasząc płomienie. Zamieszał drinki i podał jeden Finley. Patrzyła na niego zafascynowana.

— Kurka, niecodzienny z ciebie ptaszek - powiedział Dandy, siadając na szkarłatnej kanapie naprzeciwko niej.

- Co masz na myśli? — Uniosła kieliszek do ust i napiła się. Obecnie mleczny trunek był trochę słodki i w smaku przypominał lukrecję.

- Przychodzisz tu jak gdyby nigdy nic, ale nie zalatuje od ciebie ulicą. Pewnie twoja mama martwi się teraz, gdzie się podziewasz. Byłaby zawiedziona, jakby się dowiedziała, że popijasz sobie ze mną, co?

- Moja matka nie wie, że tu jestem. - Kiedy to powiedziała, ukłuło ją poczucie winy. Szybko je zamaskowała uwodzicielskim uśmiechem. — Nie doniesiesz jej na mnie, prawda?

Jej próby flirtu zdawały się bardziej go bawić, niż zachęcać.

- Czemu w ogóle tu przyszedłeś? - zapytał, wyglądając na czerwonym aksamicie jak blada, odziana w noc istota. Siedział, jakby nie miał żadnych trosk, rozłożywszy długie nogi. Buty miał równie doskonale wypastowane jak bogaty chłoptaś. — Nie za często trafiają się tu takie dziewczyny jak ty.

Finley parsknęła śmiechem.

- Nie, pewnie nie. — Nie było w końcu innych dziewczyn takich jak ona, prawda?

Dandy tylko siedział, obserwując ją, i popijał ze swojego kieliszka. Czekał.

- Mam wiadomość dla Felixa August-Raynesa -powiedziała mu, w końcu przechodząc do sedna sprawy. — To jeden z twoich, tak?

—Jeden z moich co?

Machnęła lekceważąco ręką i upiła kolejny łyk smacznego absyntu.

— Zwolenników, przybocznych. Uczniów. Ciemne brwi uniosły się w górę i Dandy wyszczerzył zęby w usmiechu.

— Uczniów. To mi się podoba, skarbie, jak Boga kocham. — Uśmiech przerodził się w lekko kpiący grymas. — Ale coś mi się zdaje, że masz nie do końca dobre informacje. Nad nikim nie mam takiej władzy. Posiadam współpracowników i tyle.

Najwyraźniej taką mowę zawsze wygłaszał, żeby odżegnać się od wszelakich przestępstw popełnianych przez jego popleczników. Finley przewróciła oczami.

— Znasz lorda Felixa, czyż nie?

Patrzył na nią przez chwilę, każąc czekać na odpowiedź. Nawet wziął kolejny łyk absyntu. Przyjemnie było go przy tym obserwować.

— Znam go.

Finley przesunęła się do przodu, na samą krawędź siedzenia. Zmusiła się do spojrzenia Dandy'emu prosto w oczy i nieodwracania wzroku - nawet nie mrugała.

— To powiedz mu, że jeśli jeszcze kiedykolwiek będzie się narzucał jakiejś dziewczynie, to go zabiję.

Mogła się założyć, że Dandy nie za często wyglądał na tak zaskoczonego jak w tej chwili. Ale nie z tego powodu, jakiego się spodziewała. Jej groźba przemocy w ogóle go nie poruszyła.

- Czy narzucał się tobie? — miał dziwnie spokojny głos. Afektowany akcent cockney gdzieś zniknął.

-Tak.

Patrzenie, jak zmienia się jego wyraz twarzy, było jak obserwowanie chmur burzowych zasłaniających nagle całe niebo. W tej chwili dostrzegła prawdziwie niebezpieczną stronę Jacka Dandy'ego, a była równie wspaniała, co przerażająca. Dlatego właśnie podążały za nim takie uprzywilejowane bachory jak lord Felix -bo sami chcieli przejąć coś z tej grozy. Tylko że Dandy nikomu nie oddawał swojej mocy.

A wtedy, równie nagle, jak się pojawiła, znów zniknęła. Finley mogłaby pomyśleć, że było to przywidzenie, gdyby nie wryło jej się tak w pamięć.

- Przekażę tę wiadomość, jeśli spotkam gdzieś jego lordowską mość, możesz być tego pewna.

- Dziękuję. - Upiła jeszcze absyntu. Smakował jej, ale nie było to coś, co chciałyby pić w większych ilościach. - Pójdę już.

Nie próbował jej przekonać, żeby została. Podniósł tylko swe wysmukłe ciało z kanapy i odprowadził ją do drzwi.

- Dziękuję, że się pan ze mną spotkał, panie Dandy. Chciałaby widzieć, jak lord Felix otrzyma tę wiadomość. Pewnie dostanie apopleksji.

- Moje drzwi zawsze stoją dla ciebie otworem -odpowiedział Dandy, ale w jego głosie zabrakło dawnej jowialności. — Wiesz, gdzie je znaleźć.

Finley uniosła jedną brew — nie podobała jej się ta nagła powaga. Właśnie przyzwyczaiła się do nonszalancji, a ten ton był trochę zbyt poważny, żeby mogła go zignorować.

- To brzmi jak oferta przyjaźni, panie Dandy. Jack Dandy wyciągnął prawą rękę o smukłych palcach i delikatnie dotknął jej policzka.

— Nie zrozum mnie źle, skarbie. Dużo mogę ci zaoferować, ale przyjaźni nie. A teraz, raz w życiu, bądź bystrą dziewczynką i uciekaj.

I, co zaskakujące, Finley to właśnie zrobiła.

Do czasu, kiedy przyjechała jego ciotka Kordelia, Griffjuż przeżył ranek z piekła rodem. Najpierw na kilka godzin przed świtem obudził go głośny warkot welocykla wjeżdżającego na podjazd. Była to Finley. Nie wiedział nawet, że gdzieś wyjeżdżała. A z notki od Emily dowiedział się, że kiedy Finley opuszczała zeszłej nocy dom, w ogóle nie przypominała tej cichej, uroczej dziewczyny, którą była wcześniej tego dnia. Wydawała się zupełnie inną osobą.

Niewyspany i rozdrażniony, wziął prysznic, marząc o znalezieniu się w posiadłości w Devon, gdzie zamiast tego mógłby iść popływać w stawie. Kiedy już się ubrał, zszedł na wczesne śniadanie i znalazł czekający na niego list od ojca Sama, zarządcy majątku w Devon. Był krótki, ale denerwujący. Wyglądało na

to, że gajowy opuścił tydzień wcześniej stanowisko bez słowa uprzedzenia, a teraz Morgan musiał znaleźć kogoś nowego na jego miejsce. Znając niechęć Morgana do nowych technologii, Griff starał się nie denerwować faktem, że zarządca napisał do niego, zamiast zadzwonić czy chociaż wysłać telegram.

Dostał podobne pismo od kustosa muzeum, który przesłał mu listę przedmiotów skradzionych podczas włamania. Pośród wielu nieszkodliwych obiektów wymieniona była szczotka do włosów pożyczona od królowej Wiktorii na nadchodzącą wystawę jubileuszową.

Po prostu wspaniale, teraz jeszcze będzie musiał mieć do czynienia z ekipą z Buckingham.

Właśnie nalewał sobie kawy, kiedy ewidentnie niewyspana Emily wyłoniła się ze swojego laboratorium w piwnicy. Kiedy tylko mógł, unikał tego miejsca — jechanie w dół windą sprawiało, że czuł się tak, jakby nie mógł zaczerpnąć wystarczająco głębokiego oddechu.

— Czy nie spałaś całą noc? — spytał podejrzliwie. Najwyraźniej był jedyną osobą, która zeszłą noc spędziła w łóżku, a teraz czuł się przez to głupio. Miał być ich przywódcą, czy nie powinien mieć *czegokolwiek*, co by go zajmowało do późna?

Emily skinęła głową, prawie zasypiając na stojąco. Włosy miała potargane, a bluzkę pod rozpiętym kitem pogniecioną i zaplamioną. Na jej bladym policzku widniała smuga oleju.

— Musiałam wymienić kontrolkę prędkości w swoim motorze, a potem chciałam jeszcze raz zbadać te automaty, które odzyskaliśmy. Wiem, że gdzieś w nich jest ukryte wyjaśnienie tych przestępstw.

Griffin uśmiechnął się i uścisnął jej ramię.

— Nie pozwolę ci się przemęczać, ty wspaniała, niemądra dziewczyno. Do łóżka, i to już. Odpocznij.

Kiwając sennie głową, Emily obróciła się na pięcie i odeszła chwiejnie, jakby już spała.

Griffin udał się do jadalni, gdzie już czekało śniadanie. Napełnił talerz, usiadł u szczytu stołu i otworzył czekającą na niego gazetę. Czytając, zjadł jajka na miękko, kielbasę i tosta, a potem nalał sobie drugą kawę i poszedł na górę do swojego gabinetu.

Z ciemną boazerią na ścianach, ogromnym dębowym biurkiem i dużym skórzanym fotelem gabinet był dla Griffa azylem, gdzie mógł schować się przed resztą świata. Wyglądał dokładnie tak samo przez całe jego życie, łącznie z ustawieniem książek na półkach, choć dodał też kilka swoich. No i jeszcze silnik eterowy stojący w rogu.

Pokój ten należał do jego ojca aż do jego przedwczesnej śmierci trzy lata temu. Edward i Helena Kingowie zginęli w wypadku powozu parowego. Tylko że to wcale nie był wypadek. Griffina powiadomił o tym sam ojciec. Niedługo później pogrążony w żalu chłopak połączył się ze światem eterycznym i spróbował skontaktować z rodzicami. Chciał tylko zobaczyć ich po raz ostatni, ale kiedy pojawił się jego ojciec,

powiedział synowi, że niemal wszyscy, którzy mieli związek z wyprawą do środka Ziemi dwadzieścia lat wcześniej, nie żyją - i że prawdopodobnie zostali zamordowani.

Od tego momentu Griff uczynił poszukiwanie mordercy swoją osobistą misją. Fakt, że to jeszcze mu się nie udało, był jego głębokim i osobistym rozczarowaniem, ale nie miał zamiaru się poddawać, nawet kiedy ciotka Kordelia suszyła mu głowę i powtarzała, że się o niego martwi.

Nawet Kordelia nie wiedziała, jak daleko sięga związek Griffa z Eterem. Zawsze umiał się z nim połączyć, nawet jako dziecko. Wtedy był czymś w rodzaju medium i potrafił kontaktować się ze zmarłymi. Teraz... trudno to było wyjaśnić, zwłaszcza że nikt tak naprawdę nie rozumiał, czym właściwie jest Eter. Dla wielu był on piątym żywiołem. Dla innych miał związek z propagacją światła. Dla jeszcze innych - kolejnym wymiarem. A dla filologów klasycznych był an-tropomorficzną reprezentacją przestworzy, kosmosu, a nawet Nieba.

Ale dla Griffa był czymś znacznie prostszym i jednocześnie o wiele bardziej złożonym niż to wszystko. Eter był nicią, która spajała wszystko - ludzkość, świat i nawet kosmos - razem. Był energią. Był *wszystkim* — a on był jego przekaźnikiem.

Gdyby nie kontrola, którą wciąż umacniał, Eter by go zabił. Ludziom nie było przeznaczone wiedzieć, co leży po drugiej stronie. Żywi nie mieli przemie-

rzać świata umarłych. Za dostęp do takiej władzy zawsze trzeba było zapłacić wysoką cenę — utratę siebie. Jednakże ostatnio pogodził się z tym, choć wiedział, że jego więź z Eterem wzrosła z niewiadomych przyczyn. A wraz z nią zwiększało też jego zrozumienie Eteru i kontrola. Jednak nadal musiał uważać. Zbyt łatwo było się uzależnić od łączenia się z tą płaszczyzną. Rozmawianie z umarłymi, spotkanie dawnych przyjaciół i krewnych — nawet zwierząt domowych — prowadziło wielu do handlarzy Eterem. Ale Eter był przeznaczony dla zmarłych i za każdym razem, kiedy człowiek wchodził do niego, tracił coś z siebie. Sam Griff znał takie przypadki i przestrzegali go przed tym rodzice. Im więcej spędzało się tam czasu, tym mniej atrakcyjne wydawało się prawdziwe życie.

Próbował użyć Eteru do znalezienia zabójcy swoich rodziców, ale bez skutku. Oni też nie mogli mu pomóc, gdyż za życia nie znali tożsamości zbrodniarza. Jednak nie tracił nadziei. Kiedy poszukiwał osoby odpowiedzialnej za zniszczenie jego rodziny, poświęcił się też tropieniu innych złoczyńców. W końcu znajdzie tego człowieka.

Jak zawsze przebywanie w tym pokoju sprawiało, że czuł się silniej związany z ojcem, z którym zawsze był bardzo blisko, zwłaszcza jako jedyne dziecko i dziedzic. Dudnienie w głowie i napięcie ramion powoli słabło. Kiedy Griff usiadł przed silnikiem eterowym, był odprężony, ale miał też jasno wyznaczony cel.

Obrócił klucz z boku mahoniowego pudła, w którym znajdował się też głośnik. Słysząc było nieznaczne buczenie, kiedy silnik ożył, po czym rozległ się delikatny szum. Następnie przełączył niewielką mosiężną dźwignię na górze obudowy, żeby oświetlić ekran. Ci, którzy zapuszczali się do Eteru, wiedzieli, że najlepszym środkiem dla transmisji była lustrzana powierzchnia. Kiedy silnik nie był w użyciu, ekran wyglądał jak zwykłe lustro, ale kiedy był rozświetlony od środka, stawał się idealnym odbiornikiem dla obrazów z Eteru.

Emily złożyła tę potworność z różnych części, które znalazła w posiadłości. Był to prawdziwy dar niebios, bo dzięki niemu Griffin nie musiał łączyć się bezpośrednio z Eterem, otwierać się na zalew duchów i przytłaczającej mocy.

Urządzenie pełniło też funkcję maszyny analitycznej i, jak te należące do rządów i policji na całym świecie, było podłączone do linii telefonicznych i telegraficznych, uzyskując dostęp do informacji ważnych i często zakodowanych. Były one skrupulatnie szyfrowane, by nie mogły ich wykorzystać niepowołane osoby, takie jak choćby Griff, ale wielki umysł Emily opracował też coś, co nazwała „krypteksem” — sprawny łamacz kodów.

By rozpocząć poszukiwania, Griffin przemówił do „akceleratora dźwiękowego”, który Emily stworzyła na bazie świecznikowego telefonu.

- Lord Felix August-Raynes.

Silnik ruszył, wypełniając pokój stłumionym warkotem. Griff nie spodziewał się znaleźć zbyt wiele, bo August-Raynes wciąż żył. W Eterze snuli się tylko umarli.

Silnik nagle zaczął mocniej pracować, przechodząc od powolnego, stałego rytmu do szalonej serii uderzeń w zaledwie kilka sekund. Griff spojrzął na ekran -nic poza artykułem prasowym. Wsunął arkusz papieru w wałki maszyny piszącej i wcisnął klawisz spacji. Natychmiast zaczęła drukować.

— Mam nadzieję, że używasz tego ustrojstwa do oglądania Fotografii pańienek z Moulin Rouge, jak przystało na młodzieńca w twoim wieku, a nie tropisz jakiegoś nieprzyjemnego zbira.

Sam głos ciotki Kordelii wystarczył, żeby usta Griffa wykrzywiły się w uśmiechu. Choć prawnie była jego opiekunką do chwili, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat i osiągnie pełnoletność, uważał ciotkę bardziej za przyjaciółkę niż autorytet. Nie mieli innej rodziny prócz siebie.

Spotkał się z nią na środku pokoju i przytulił. Była wysoką blondynką z takimi samymi szaroniebieskimi oczami jak jego — atrakcyjną i ubraną zgodnie z najnowszą modą. Cieniutkie nitki sześciu srebrnych łańcuszków sięgały od kolczyka z prawej strony nosa, do drugiego w uchu — po jednym łańcuszku za każdy rok bez męża, markiza Marsden, który zaginął w trakcie misji. Był to dla każdego mężczyzny wyraźny sygnał,

że nie jest zainteresowana nowym związkiem, niezależnie od tego, co mówiły plotki.

- Dobrze, że już jesteś w domu — powiedział jej Griff, kiedy wreszcie wypuścił Kordelię z objęć. - Co z tajemniczymi kręgami w zbożu?

Posłała mu lekko karcące spojrzenie, ale złagodził je uśmiech.

- Wiesz, że nie mogę ci o tym nic powiedzieć.

- Nawet czy podróż była udana? Czy nie znalazłaś istoty z innego świata? - Tylko na wpół się z nią droczył. Jej praca dla korony stanowiła drażliwy temat.

- Podróż była, jaka była. Żadnych Marsjan — odpowiedziała lekko, zdejmując rękawiczki i podchodząc do maszyny analitycznej. — Nie Moulin Rouge, ale przynajmniej ładna dziewczyna. Brawo.

Griffin przewrócił oczami. Po czym spojrział na artykuł, któremu towarzyszyło zdjęcie.

- To nie tak. Była służącą, która pracowała u August-Raynesów. - Wyszarpnął wydruk z maszyny, żeby go przeczytać. — Zniknęła po tym, jak oskarżyła lorda Felixa o gwałt.

- Nigdy nie mogłam go znieść, ale co to ma wspólnego z tobą?

- Dwie noce temu znalazłem dziewczynę w Hyde Parku. Była ranna i miała herb August-Raynesów na gorsecie.

Kordelia cmoknęła, wciąż patrząc na zdjęcie.

— Znów przyjmujesz włóczęgi? Wiesz, nie możesz uratować wszystkich.

Griff zas'miał się.

— Ona sama potrafi o siebie zadbać. Jest intrygująca. To tak jakby Finley - panna Jayne — była dwiema osobami w jednym ciele.

Kordelia nagle zeszywniała i wyprostowała się, jak marionetka, którą ktoś' mocno pociągnął za sznurki.

— Co powiedziałaś? Zmieszany Griff zmarszczył czoło.

— Powiedziałem, że jest tak, jakby panna Jayne była dwiema osobami w jednym ciele.

Kiedy ciotka odwróciła się w jego stronę, była całkiem blada.

— Chciałabym poznać tego twojego gościa. Wydaje mi się, że mogę ją znać.

— Naprawdę? — Griffin nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. — Niesamowite.

Kordelia chwyciła go za ramię.

— Nie rób sobie nadziei. Prawdę mówiąc, jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie chciałam się mylić. Jeśli jest tym, kim myślę, to możemy wszyscy być w wielkim niebezpieczeństwie.

ROZDZIAŁ 6

Finley jeszcze na wpół spała, kiedy późnym rankiem została wezwana do gabinetu Griflina. Jej wspomnienia z poprzedniej nocy były dość mgliste — jak zawsze, kiedy mroczniejsza strona jej natury przejmowała kontrolę. Jak przez mgłę pamiętała Whitechapel i enigmatycznego Jacka Dandyego — wspomnienie jego ciemnych oczu wywoływało dreszcz na jej plecach. Co ona sobie myślała, że poszła w takie miejsce spotkać się z tym człowiekiem?

Musiała to opanować, bo inaczej jej druga połowa doprowadzi do ich —*jej* — śmierci.

Tak więc weszła do gabinetu z pewnym niepokojem, ubrana w haftowaną suknię ze srebrnego jedwabiu orientального kroju — jedno ze stateczniejszych ubrań w jej szafie. Suknia nie miała rękawów i była

po obu stronach rozcięta do kolan. Na nią nałożyła wiśniowy gorset z wyszytymi malutkimi smokami. Ubranie wydawało się stosowne do sytuacji - jak zbroja do bitwy.

Skąd pochodziły te ubrania? Kolejne rzeczy należące do nieobecnej ciotki? Czy może ksiązę naprawdę kupił je dla niej? Miała nadzieję, że jednak chodziło o tę pierwszą opcję. Nie było jej stać na oddanie mu później pieniędzy.

Czyżby dowiedział się o jej przygodzie i postanowił ją odesłać? Już przedtem była wyrzucana na ulicę, więc nie byłoby to nic nowego —jednak Griffin dał do zrozumienia, że potrafi jej pomóc, a ona zdecydowanie potrzebowała pomocy.

Nie chciała tak żyć — jak gdyby coś znajdowało się tuż pod jej skórą i chciało wyjść. Było coraz gorzej. Zeszłej nocy w ogóle nie kontrolowała swojego zachowania i śmiało udała się do bardzo niebezpiecznej dzielnicy. Całe szczęście, ta „druga ona” zdawała się czuć najswobodniej w groźnych sytuacjach i zdołała wyjść z tego bez szwanku.

Kiedy weszła do gabinetu, Griffin siedział na brzegu biurka, ubrany w białą koszulę, ciemnośliwkową kamizelkę oraz czarne spodnie i buty. Jego włosy były zmierzwione, jakby przeczesywał je ręką. Obok niego stała ładna kobieta mniej więcej wzrostu Finley, ale starsza i znacznie bardziej dystygowana, ubrana w jedwabistą, szarą suknię. Musiała należeć do rodziny, bo

miała takie same oczy jak Griff-jak wiosenne niebo, które zaraz zakryją burzowe chmury. Kiedy kobieta odwróciła głowę, Finley zobaczyła łańcuszki sięgające od jej nosa do ucha. Ale dopiero kiedy spotkały się ich spojrzenia i poczuła w głowie coś bardzo dziwnego, zrozumiała, że ta kobieta na pewno nie jest zwyczajna.

To coś' w niej wyłoniło się niby wielka ręka, opadając ciężko na brzęczenie w jej głowie i zgniatając je jak owada.

Kobieta wzdrygnęła się.

— Najmocniej przepraszam — powiedziała Finley, trochę wstrząśnięta po tym, jak ochronił ją jej cień, i samym Faktem, że potrzebowała ochrony - ale czy nie uznaje się za niegrzeczne próby wdarcia się do czyjegoś umysłu bez zaproszenia?

Mina Griffina wyrażała zdziwienie i potępienie, kiedy spojrzał na swoją towarzyszkę.

— Ciociu Delio, chyba tego nie zrobiłaś? Kobieta pocierała skroń dwoma palcami.

— Zrobiłam, ale zaraz zostałam wyrzucona. — Spojrzała na Finley jednocześnie nieufnie i z pewną dozą szacunku. — Brawo.

Finley nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, więc milczała. Zamiast tego przemówił Griffin, przedstawiając ją kobiecie będącej jego ciotką Kordelią, lady Marsden, która właśnie powróciła do Londynu.

— Kordelia jest telepatką - wyjaśnił Griff. - I tele-kinetyczką. To znaczy...

— Ma bardzo potężny umysł — przerwała mu Finley. - Zauważyłam.

Nie tylko dlatego, że kobieta próbowała wtargnąć do jej myśli, ale też dlatego, że wyciągnęła rękę w stronę jednego z regałów i wprost do jej dłoni wleciał oprawiony w skórę tom.

— Musi pani być niezwykle zabawna na przyjęciach — powiedziała Finley odrobinę złośliwie.

— I na dworze - odpowiedziała lady Marsden równie kąśliwie. Podała księgę Griffinowi. - Proszę mi powiedzieć, panno Jayne, czy pani matka nie ma przypadkiem na imię Mary?

— Ma - odpowiedziała Finley, starając się nie pokazać po sobie zdziwienia. — Co jeszcze ujrzała pani w moim umyśle?

—Jedyne, co zobaczyłam w twojej głowie, dziewczyno, to wizerunek mojego siostrzeńca obok wizerunku Jacka Dandyego. Pozwolę sobie zauważyć, że masz bardzo ciekawych znajomych.

Finley zarumieniła się, gdy Griffin spojrzał na nią, ale wytrzymała spojrzenie jego ciotki. Wyraźnie było widać, że lady Marsden ani jej nie lubiła, ani też jej nie ufała.

— To, z kim się spotykam, nie jest pani zmartwieniem.

Kobieta zeszywniała.

— Póki jesteś' w tym domu...!

-Jest moim zmartwieniem - wtrącił Griffin. - Nie twoim, ciociu, a ta rozmowa bardzo zboczyła z torów.

Może oświecisz i mnie, i pannę Jayne odnośnie tego, skąd wiedziałaś, jak jej matka ma na imię?

Lady Marsden wyglądała na ułagodzoną i zmieszaną. Nie była raczej przyzwyczajona do tego, że jej bratanek zwraca się do niej w taki sposób w towarzystwie innych osób.

— Znajduje się w tej książce — powiedziała, unosząc przy tym brodę. Tom w dłoniach Griffa otworzył się, a choć jego strony przewracały się same, to Finley wiedziała, że poruszała nimi Kordelia za sprawą swego umysłu. W końcu zatrzymały się na stronie z fotografiami.

Finley podeszła bliżej, przyciągnięta przez własną ciekawość. Stała obok Griffa i zaczęła się przyglądać zdjęciu koloru sepii przyklejonemu do stronicy. Przedstawiało grupę ludzi stojących obok dziwnego wehikułu, który wyglądał jak metalowy powóz z przytwierdzonym z przodu dużym wiertłem. Jeden z mężczyzn był tak podobny do Griffa, że mógł to być tylko jego ojciec, zmarły książę. Obok niego stała piękna kobieta, która, jak uznała Finley, musiała być księżną. Na fotografii byli też inni ludzie, ale Finley nie zwróciła na nich większej uwagi, gdyż jej spojrzenie skupiło się na parze stojącej najdalej. Mężczyzny nie rozpoznała, ale kobietę tak. Choć to zdjęcie musiało być zrobione niemal dwadzieścia lat temu, rozpoznała twarz swojej matki.

Zaskoczona uniosła wzrok i zobaczyła, że ciotka Griffa obserwuje ją ze znużeniem.

— To moja matka — powiedziała niepewnie. Lady Marsden przechyliła głowę.

-Tak.

— Kim jest ten mężczyzna obok niej? - zapytał Griffin.

Jego ciotka uśmiechnęła się kwaśno.

— To Thomas Sheppard. Był wybitnym naukowcem. I mężem Mary.

Finley poczuła okropny ucisk w żołądku.

— Ale to by znaczyło... Lady Marsden skinęła głową.

— Tak, to twój ojciec.

Finley od zawsze pogardzała tymi dziewczynami, które mdlały, gdy tylko działo się coś dziwnego lub zaskakującego, ale w tej chwili jej samej osłabły kolana. W głowie się kręciło i chwyciła rękę Griffa, żeby nie upaść.

Nigdy przedtem nie widziała swojego ojca. Jej matka mówiła, że nie ma żadnej jego Fotografii.

— Mój ojciec nazywał się Thomas Jayne, a nie Thomas Sheppard — nawet kiedy wypowiadała te słowa, smakowały kłamstwem. Dostrzegła dość z siebie w rysach Thomasa Shepparda, by być pewną jego tożsamości.

— Więc może powinniśmy złożyć wizytę twojej matce - zaproponowała lady Marsden lekko wyzywającym tonem. — Słyszałam, że Thomas i Mary mieli córkę, którą nazwali Finley *Jane* Sheppard. Cóż za niesamowity zbieg okoliczności, że znalazłaś się tu

po tylu latach, od kiedy twoi rodzice byli blisko związani z moim bratem i jego żoną.

Finley wpatrywała się w nią i w końcu zrozumiała. Lady Marsden myślała, że ona sama doprowadziła do tego, że znalazła się w domu Griffina. Uważała, że Finley jest zdolna rzucić się pod pędzący pojazd, ryzykując poważne obrażenia, by książkę ją zauważył. Zobaczenie w jej myślach Jacka Dandyego tylko potwierdziło to, o czym Kordelia King-Marsden i tak była już przekonana: że Finley kłamie, możliwe, że jest przestępczynią, i nie należało jej ufać. Była pewna, że Finley nie mogła się znaleźć w tym domu w wyniku zwykłego przypadku.

Prawdę mówiąc, Finley uważała dokładnie tak samo. Nigdy nie wierzyła w los czy przeznaczenie, ale wychodziło na to, że była związana z Griffem, jeszcze zanim się nawet spotkali.

— Tak — zgodziła się, czym najwyraźniej zaskoczyła lady Marsden. — Powinniśmy odwiedzić moją matkę. - Tak naprawdę, to chętniej by sobie wbiła szpilki w oczy. Nie chciała się dowiedzieć, co jej matka ma do powiedzenia na temat tej fotografii i Thomasa Shep-parda. Matka mogła znów skłamać, ale Finley jeszcze bardziej przerażała możliwość poznania prawdy.

Sam siedział przy stole w jadalni, czytając gazetę i jedząc to, co zwykle jadał na śniadanie, czyli owsian-

kę, kielbaski, szynkę, jajka, smażone ziemniaki, tosty i popijał wszystko kawą, kiedy wszedł Griff.

— Dzień dobry, Samuelu — powiedział, podchodząc do kredensu, żeby nalać sobie filiżankę kawy.

Samowi zeszywniał kręgosłup. *Czy w plecy Emily też mi wstawiła metal?* — pomyślał rozgoryczony, czekając, aż przyjaciel wspomni coś o tym, że właściwie jest bliżej pory lunchu niż śniadania, albo zapyta, o której Sam wrócił do domu. Nie był to jego interes i sam przecież nigdy się nie tłumaczył ze swoich poczynań. Sam mógł wychodzić i wracać, kiedy chciał, ale nie zmieniało to Faktu, że wciąż dręczyło go poczucie winy, wijące się jak piskorz w żołądku.

— Dobry... - odparł Sam trochę szorstko.

— Dobrze spałeś?

No i się zaczyna — pomyślał Sam. Przesłuchanie. -Tak.

Griff skinął głową.

— To świetnie. Słuchaj, wróciła ciotka Delia. Razem z nią bierzemy Finley, żeby złożyć wizytę jej matce. Wygląda na to, że między moimi rodzicami a ojcem Finley może być jakiś związek.

Właśnie takie rzeczy omijały Sama, kiedy wychodził późno i przesypiał potem cały ranek. Wiedział, że z Finley wiąże się coś więcej, niż sądzili początkowo, a teraz wyglądało na to, że wkrótce dowiedzą się, co dokładnie. Choć powinien jej podziękować za odciążenie od niego uwagi Griffina.

— Czy chcesz, żebym poszedł z wami?

— Nie ma takiej potrzeby. Ale jak Emily zejdzie na dół, daj jej znać, co się dzieje, zgoda?

Emily. Mysli o zobaczeniu jej znowu napełniała go melanżem chęci i obaw. Był tak zły na nią, tak zraniony i... sam nie wiedział, co jeszcze. Wciąż był rozgniewany, ale wiedział też, że powinien ją przeprosić.

— Powiem jej - odparł, kiedy zauważył, że Griff go obserwuje, czekając na odpowiedź.

Jego przyjaciel uśmiechnął się. W oczach Sama Griff wyglądał tak, jakby mu włas'nie ulżyło.

— Dziękuję. Sam...?

Uniósł już widelec, by kontynuować jedzenie swego szybko stygnącego śniadania. -Tak?

Uśmiech i wyraz ulgi na twarzy Griffa zniknęły. Znow był poważny.

— To ja kazałem Emily robić wszystko, co w jej mocy, żeby ci uratować życie. Jeśli masz być na kogokolwiek zły, to na mnie.

Zbyt zszokowany, żeby coś powiedzieć, Sam siedział tylko w oszołomieniu. Z filiżanką kawy w ręku Griff wyszedł z jadalni, nie oglądając się za siebie, a Sam mógł tylko podążać za nim wzrokiem, kiedy uczucie zdrady i gniew rozpałały się w nim i powoli ogarniały swym płomieniem.

Gdyby nie był tak cholernie głodny, rzuciłby talerzem, ale też ktoś musiałby po nim potem posprzątać. Zamiast tego dokończył śniadanie. Następnie wstał i poszedł do gabinetu Griffa. Stał w pokoju, w któ-

rym spędził w życiu tak wiele czasu, i szukał czegoś, co nie należało kiedyś do poprzedniego księcia, czegoś, co było tylko Grimna.

Jego wzrok padł na silnik eterowy, który Emily zbudowała po to, żeby Griffin mógł się łączyć z Eterem, nie stając się przy tym jego częścią. Stanowił świadectwo geniuszu Emily i mocy Griffa. Gdyby go zniszczył, oboje by cierpieli. Oboje by się czuli tak, jak on czuł się w tej chwili - zdradzeni, oszołomieni.

Tak łatwo byłoby to zrobić. Silnik był tuż przed nim. Swym mechanicznym ramieniem mógł go w okamgnieniu zmienić w złom. Wystarczyło złożyć pięść i uderzyć.

Wymieniłam twoje serce — te słowa rozbrzmiały w jego głowie, kiedy palce zwijały się w pięść. *Jeśli masz być na kogokolwiek zły, to na mnie.* Głosy Emily i Griffa nakładały się na siebie w jego umyśle, tworząc kakofonię nieszczęścia, której nie mógł uciszyć.

Zniszczyli jego zdolność kochania. Zniszczenie tej rzeczy, którą wspólnie zbudowali, może ostudziłoby jego złość, ale nie czułby się dobrze. Później próbowaliby przeprosić. Ani Griff, ani Emily nigdy nie przeproszą za to, co zrobili, bo w ten sposób uratowali mu życie. Dla nich tylko to się liczyło. Nawet teraz, wiedząc, jak był zły i jak bardzo nienawidził tych metalowych części siebie, zrobiliby dokładnie to samo, bo woleliby go mieć niepokładanego, niż nie mieć w ogóle.

Nie miałyby nawet znaczenia, że by ich znienawidził.

Sam opuścił pięść i wyszedł z gabinetu. Napisał liścik do Emily z wyjaśnieniem, gdzie podział się Griff, i wsunął go pod drzwi jej pokoju. Potem udał się do własnego. Do torby wrzucił kilka ubrań i rzeczy osobistych, po czym poszedł do stajni i wsiadł na swój ulubiony welocykl. Musiał stąd wyjechać. Musiał pomyśleć.

Oddalić się najbardziej jak to tylko możliwe od ludzi, którzy go kochają.

Matka Finley wraz z mężem mieszkali w Chelsea, wystarczająco daleko, by w czasie podróży dziewczyna poczuła się nieswojo w powozie parowym z Griffi-nem i jego ciotką.

Nigdy przedtem nie jechała tak wytwornym pojazdem. Z zewnątrz był czarny i błyszczący, z kierowcą siedzącym wysoko na wyściełanym siedzisku. Smugi białej pary dobywały się z lśniącej rury wydechowej, która łączyła się z silnikiem parowym, biegnąc z boku powozu. We wnętrzu były obicia z miękkiego aksamitu, w tak ciemnym odcieniu granatu, że zdawał się niemal czarny. Choć na obu ściankach zamocowano lampki, przeznaczone do podróży nocą, w środku było dość ciemno przy zasuniętych zasłonach.

Nie rozmawiali. Kłębilo się w niej ze sto pytań, ale nie było sensu ich zadawać przed spotkaniem z matką. Jeśli to, co mówiła lady Marsden, jest prawdziwe, to matka Finley okłamała ją, kiedy była jeszcze dzieckiem, i kłamała cały czas aż do teraz. Dlaczego?

Griffin siedział naprzeciwko, wyglądając w każdym calu na wyniosłego księcia, w nieskazitelnej krawatce, czarnej marynarce i ciemnoszarych spodniach. Elegancki obraz dopełniał długi czarny płaszcz z miękkiej skóry i laseczka ze srebrną gałką. Finley słyszała o mężczyznach, którzy w swych laseczkach mieli ukrytą broń. Zastanawiała się, czy Griffin do nich należy.

Kilka razy przyłapywała go na obserwowaniu jej beznamytnie. Pewnie bardzo dobrze gra w pokera... Denerwowała się przez to. Ta druga ona też się przez to denerwowała - i czuła się oburzona. Część jej chciała go spoliczkować, choć wcale nie winiła go za to, że podejrzewają o najgorsze.

Finley rozsunęła zasłony w swoim oknie na tyle, żeby móc wyglądać. Oparła skroń o pokrytą aksamitem ściankę i obserwowała przejeżdżające obok dorożki, ciągnięte przez konie. Omnibusy, napędzane węglowymi silnikami, pozostawiały po sobie w wilgotnym powietrzu brudny dym i sadzę - jak ciemne chmury burzowe. Transport publiczny nie był w najmniejszym stopniu tak komfortowy jak ten powóz. Wątpiła, by księżę Greythorne czyjego zarozumiała ciotka kiedykolwiek widzieli wewnątrz omnibusa lub

przedział trzeciej klasy w sterowcu — a nawet drugiej klasy. Uważali taki przepych za rzecz oczywistą.

Nie była pewna, czy im zazdrości, czy współczuje. Jak to jest, mieć te wszystkie wspaniałe rzeczy i nie móc ich docenić?

Rytmiczne terkotanie silnika powozu uspiło jej czujność mimo dręczących pytań. Deszcz przestał padać, ale dzień wciąż był pochmurny i szary, przez co tęskniła do rozpalonego kominka i ciepłego łóżka, w którym mogłaby się ukryć. Naciągnęłaby kołdrę na głowę i spała, póki ten koszmar by się nie skończył.

Już niemal odpływała w ten nieważki świat bez trosk pomiędzy jawą a snem, kiedy poczuła nacisk w swojej głowie. Był niezwykle delikatny, jak muśnięcie skrzydłem motyla. Lady Marsden znów próbowała dostać się do jej głowy. Tym razem Finley nie przerwała natychmiast niegrzecznego wtargnięcia telepatki — to było raczej tak, jakby część jej umysłu wstała z sofy, spokojnie przeszła przez pokój i powoli, choć zdecydowanie, zamknęła przed nią drzwi.

Kątem oka zobaczyła, jak ciotka Griffina obraca w jej kierunku głowę, tak więc Finley sama się obróciła, pozostając w rozluźnionej pozycji przy oknie, by napotkać spojrzenie starszej kobiety.

- Czym ty *jesteś*? — spytała lady Marsden, nie starając się nawet ukryć zdziwienia. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do tego, że ktokolwiek przyłapywał ją na szpiegowaniu, nie mówiąc już o dwukrotnym wyproszeniu.

- Nie mam pojęcia — odpowiedziała szczerze Finley. Już odwracała się z powrotem w stronę okna, ale Griff wpatrywał się w nią z błyskiem w oku, który trudno było zignorować. Obserwował ją, jak gdyby była jakimś egzotycznym zwierzęciem — takim, które może go ugryźć, choć jednocześnie wsuwał rękę przez kraty klatki.

Dlaczego tak łatwo udało mu się ją wcześniej uspokoić? Czy też jego „magia” była jakaś inna?

Co teraz o niej myślał? A najważniejsze, jak jej rodzice mogli znać jego rodziców? Pochodzili z dwóch różnych światów. On był bogaty, a rodzina Finley wręcz przeciwnie, dopóki jej matka nie wyszła ponownie za mąż. Mimo to Finley postanowiła znaleźć pracę i utrzymywać się samodzielnie, zamiast być ciężarem.

Księgarnia Silasa Burkea mieściła się na Russell Square. Finley mieszkała tam kiedyś razem z matką nad sklepem, nim osiem miesięcy wcześniej nie wyprowadziła się, żeby przyjąć posadę niani. Tę pracę utrzymała trochę dłużej niż pozostałe, ale przez jej zmienne nastroje dzieci zaczęły się bać i została zwolniona. Przynajmniej dostała dobre referencje.

Powitało ich kilka ciekawskich spojrzeń, kiedy wysiedli z powozu, pierwszy Griffin, który pomógł wyjść najpierw swojej ciotce, a następnie Finley. Silas Burke, księgarz, nieźle zarabiał, a na książki mogli sobie pozwolić tylko zamożniejsi ludzie, ale i tak książęta stanowili rzadkość wśród arystokracji i pojawia-

nie się jednego zawsze było dość ważnym zdarzeniem. Zobaczenie osoby, w której rozpoznali kogoś ze swoich — w tym wypadku Finley - w towarzystwie księcia było jeszcze bardziej ekscytujące i dostarczy wiele materiału do plotek.

Kiedy tylko Finley weszła do sklepu, jej gniew i zdenerwowanie ustąpiły, jak zawsze kiedy czuła zapach papieru, tuszu i skóry zmieszany ze słodkim aromatem tytoniu fajkowego ojczyma.

Patykowały automat, imieniem Fanny, który pomagał w sklepie, stał przy półkach, umieszczając książkę u szczytu jednego z wielu sięgających sufitu regałów, a długie ramię wyciągnęło się jeszcze dalej przy akompaniamencie kliknięć i trzasków, dopóki nie sięgało odpowiednio wysoko. Książka z łatwością trafiła na półkę i ramię Fanny cofnęło się. Automatonowi przydałoby się porządne naoliwienie, sądząc po zgrzytaniu, jakie towarzyszyło każdemu ruchowi.

— Hej, Fanny — powitała ją Finley z uśmiechem, nie oczekując odpowiedzi. Fanny nie miała mechanicznej krtani, nie była też zaprogramowana, by odpowiedzieć. Mimo to Finley zawsze mówiła do starego androida i wydawałoby się niewłaściwe nie zrobić tego teraz.

Nie widziała ani Silasa, ani swojej matki, ale była pora drugiego śniadania dla osób pracujących. Griffin i jego ciotka nie zasiedliby do kolejnego posiłku przez następne dwie godziny, a wciąż cieszyliby się kolacją wtedy, gdy matka Finley zbierałaby się już do

snu. Nie żywiła przez te różnice żadnej urazy, ale zastanowiła się, co, do diabła, właściwie robi w towarzystwie arystokratów, kiedy jest tak oczywiste, że do nich nie pasuje.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał, kiedy weszli. Do tego czasu jej ojczym powinien już schodzić do sklepu. Finley nasłuchiwała. Rozpoznała głos Silasa i drzwi otworzyły się.

- Mój ojczym już idzie — powiedziała. Znow zaczęła się denerwować.

Lady Marsden przyjrzała się jej dokładnie.

- Słyszysz go - nie było to pytanie, a stwierdzenie, więc Finley nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć. Brzmiało to niemal tak, jakby markiza oskarżała ją o coś okropnego. Czuła się winna, stojąc w miejscu, które w zasadzie było jej domem.

Kiedy na tyłach sklepu otworzyły się drzwi, Finley pobiegła przywitać się z ojczymem i trafiła w jego szeroko otwarte ramiona.

Silas Burke był średniego wzrostu i takiej też budowy. Prawdę mówiąc, wszystko w nim było przeciętne — zarobki i wygląd również. Nie miał nic niezwykłego, poza żoną i córką.

- Oho! - zawołał, niemal unosząc ją z ziemi. — Kogo my tu mamy! Mary, chodź zobaczyć, kto przyszedł nas odwiedzić.

Uśmiechając się, Finley spojrzała w jego ciepłe brązowe oczy, obramowane głębokimi zmarszczkami, które były świadectwem jego wesołego usposo-

bienia. Kiedy usłyszała kroki matki na schodach, obeszła Silasa, by ją też przywitać. Jeszcze więcej uścisków i śmiechu. Dopiero kiedy jej matka weszła do sklepu, by poznać gości, Finley przypomniała sobie, że nie jest tu tylko z wizytą towarzyską. Błada twarz matki, gdy wpatrywała się w lady Marsden, sprawiła, że Finley poczuła straszny ucisk w żołądku.

— Co tu robisz? - zapytała Mary Burkę nieprzyjaźnie, a mąż posłał jej zszokowane spojrzenie.

— Mary! - zawołał, a jego twarz zrobiła się czerwona. Niezwykle niegrzecznie było odzywać się takim tonem do damy o wysokiej pozycji, ale matka Finley nie miała zamiaru za nic przeproszać.

— Mówiłam wam, że macie nas zostawić w spokoju. — Niemal drżała ze złości. - Edward mówił, że jesteśmy bezpieczni, że już nigdy nie będziecie nas męczyć.

— Więc znacie się? - Finley nie potrzebowała potwierdzenia, ale i tak chciała je usłyszeć.

Odpowiedzi udzieliła lady Marsden.

— Kiedyś się znałyśmy. Choć nie widziałyśmy się z panią Burkę od czasu, kiedy byłam dzieckiem. Edward to mój zmarły brat. Jak się masz, Mary?

Finley zmarszczyła brwi. Skoro ciotka Griffinna zwracała się do jej matki po imieniu, a matka tak mówiła o zmarłym księciu, musieli się kiedyś rzeczywiście dobrze znać. W tym zamieszaniu pocieszało ją tylko to, że Griffin zdawał się rozumieć z tego wszystkiego nie więcej niż ona.

— Do niedawna wszystko było w najlepszym porządku — odparła Mary sztywno.

Tym razem nie dało się nie zauważyć obelgi.

— Mamo, musimy z tobą porozmawiać - powiedziała Finley, przejmując kontrolę nad sytuacją, nim jej matka zrobi coś głupiego, na przykład wyrzuci markizę ze sklepu. — Czy możemy iść na górę, gdzie będziemy mieli trochę prywatności?

Mary Burkeę wyglądała tak, jakby prędzej zgodziła się wypić truciznę, niż pójść dokądkolwiek z lady Marsden, ale lekkie opadnięcie ramion oznaczało poddanie. Ten niewinny gest uformował kulę strachu wewnątrz Finley. Nie była już taka pewna, czy chce jeszcze odbyć tę rozmowę, niezależnie od tego, jak bardzo pragnęła naprawić to, co było z nią nie tak.

Wspięli się jedno za drugim na piętro, z matką Finley na przodzie i Silasem zamykającym korowód. Nawet umieścił napis: „zamknięte” na drzwiach księgarni, które zamknął na klucz, dla pewności, by nikt im nie przeszkadzał.

Dom Burkea był dość przytulnym miejscem — oczywiście nie tak okazałym jak rezydencja księcia Greythorne, ale ciepłym i przyjemnym. Fitzhugh, kot domowy, podszedł do Finley i ocierał się jej o nogi wężowatymi ruchami, zanim otarł się głową o łydkę Griffina, który pochylił się z uśmiechem i pogłaskał puszystego rudego kocura. Dobrze to o nim świadczyło.

— Przepraszam za najście - powiedział, podając Silasowi dłoń. — Po prostu odkryłem, że nasze rodzi-

ny łączy pewna nietypowa więź i chciałbym się o niej czegoś więcej dowiedzieć. Pewien jestem, że Finley też.

Mary uniosła brwi, widząc, w jak swobodny sposób ten młodzieniec posługiwał się imieniem jej córki, a na twarz Finley wystąpił rumieniec. Wyprostowała się.

- Mamo, jak to możliwe, że ty i ojciec znaliście rodziców księcia? - Nie udało jej się ukryć emocji. Wszystko było zbyt dziwne, by się mogła łatwo z tym pogodzić. — Czy to prawda, że mój ojciec nazywał się Thomas Sheppard, a nie Thomas Jayne?

Jej matka wyglądała tak, jakby zrobiło jej się słabo. Co dziwne, na ratunek ruszyła lady Marsden.

- Może usiądziemy?

Mary skinęła głową. Poprowadziła gości do niewielkiego salonu, w którym Finley spędziła wiele niedzielnych popołudni na czytaniu.

Usiedli, jakby przygotowywali się do bitwy - na jednej sofie Burkeowie, na drugiej Griffin z ciotką. Finley musiała usiąść sama na krześle z wysokim oparciem. Jakże to wymowne, że nigdzie nie znalazła miejsca, bo tak z reguły się czuła.

- Nie do końca wiem, od czego zacząć - powiedziała matka. Głos jej drżał.

Silas wziął jej dłoń w swoją.

- Często dobrym miejscem jest początek.

Mary uśmiechnęła się do niego. Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu Finley była zazdrosna o ich

związek. Chciała kogoś, kto by tak na nią spojrział — jakby umieściła księżyc i gwiazdy na niebie.

- Thomas Sheppard - twój ojciec — i ja poznaliśmy poprzedniego księcia Greythorne ponad dwadzieścia lat temu. Podczas wykładu naukowego, który wygłaszał twój ojciec, na temat dwoistej natury człowieka. Od razu się zaprzyjaźnili mimo różnicy w hierarchii społecznej. Księżę został patronem Thomasa, finansując wiele z jego eksperymentów.

Usta Mary Burkę wygięły się w lekkim uśmiechu. Finley wpatrywała się w matkę. Jak mogła nigdy o tym nie usłyszeć? Czemu mama kłamała w sprawie nazwiska? Jej ojciec musiał być niezwykłym człowiekiem, ważnym człowiekiem, a jednak jej matka prawie nigdy o nim nie mówiła.

- Thomas często eksperymentował na sobie, jeśli akurat nikt inny nie był dostępny. Wierzył, że zła część człowieka wynikała z zaburzenia równowagi humorów. Czystość moralna wynikała z ich równowagi - sangwicznego, melancholijnego, flegmatycznego i cholerycznego. Wierzył, że poprzez wywoływanie braku równowagi wśród tych czterech właściwości będzie można odkryć sposób na leczenie nie tylko zachowań zbrodniczych, ale i szaleństwa.

Mary posłała lady Marsden znaczące spojrzenie.

- Księżę Greythorne zgadzał się z tym i zezwolił na dalsze eksperymenty. Dał nawet Thomasowi związki, na których ten mógł pracować. Pewnej nocy obserwowałam, jak sam zażył jeden ze swych nowych elik-

sirów. - Przerwała, ale nikt inny nic nie powiedział. Nawet lady Marsden patrzyła na nią ze współczuciem.

Finley wpatrywała się w matkę, która spuściła wzrok na własne drżące dłonie.

— Tej nocy widziałam, jak mój mąż staje się... — Przyłożyła palce do ust, gdy załamał jej się głos. Drugą dłoń wciąż mocno trzymał Silas. — Stał się innym człowiekiem, pod każdym względem. Nawet jego postać się zmieniła i wyglądał dziko, prymitywnie i prostacko. Nie wiedziałam, co robić, więc posłałam po księcia. Kazał Thomasowi wypić inny eliksir, przez co ten znów stał się sobą. Obaj śmiali się i gratulowali jeden drugiemu, jakby to, że mój mąż zmienił się w potwora, było czymś dobrym. - Mary skupiła wzrok na Griffinie, jakby prosząc go, by zrozumiał.

I zdawało się, że rzeczywiście zrozumiał.

— Kontynuowali eksperyment, prawda? Mary skinęła głową.

— Thomas nadal często eksperymentował na sobie, z różnymi wynikami. Były noce, kiedy opuszczałam dom ze strachu przed tym, czym może się stać.

Z gardła Finley dobył się cichy jęk. Wszystko stawało się aż zbyt jasne.

— Czy... czy on przeprowadzał te eksperymenty przed moimi narodzinami?

Jej matka ledwo mogła na nią spojrzeć, zawahała się i w końcu potwierdziła. Od czubka głowy Finley wprost do żołądka przeszła gorąca, kłująca fala. Przez chwilę myślała, że może zemdleje.

Była taka, bo jej ojciec eksperymentował na sobie, kiedy zapłodnił jej matkę. Jak mogła się naprawić, skoro zło było w jej krwi?

Spojrzała na Griffina, który miał niemal skruszoną minę. Co jest zupełnie zrozumiałe — w końcu jego ojciec zachęcał jej ojca, żeby zmienił się w potwora. Ale wyraz twarzy lady Marsden był niemal triumfujący -jak gdyby zmusiła Finley, żeby wyznała jakieś kłamstwo. Wierzyła, że Finley od zawsze to wiedziała. Że wykorzystywała Griffina, żeby się zemścić.

Złość wypełniła ją z prędkością nagłego porywu wiatru, burząc delikatne mury, które postawiła wewnątrz, by chronić to, co uważała za dobrą część siebie, przed tą złą częścią. W jednej chwili Finley nie siedziała już pokornie, a trzymała lady Marsden za gardło, a palce prawej ręki zagięła jak szpony, chcąc wydrapać te cholerne, szydercze oczy. Za nią jej matka i ojczym krzyknęli, ale żadne z nich nie ruszyło się z miejsca, by ją powstrzymać.

— Czy chciałabyś wiedzieć, o czym teraz myślę? — zapytała Finley, niemal zupełnie pod kontrolą swej ciemnej strony. Mogłaby tak łatwo złamać delikatną szyję kobiety.

Lady Marsden szeroko otworzyła oczy, ale poza tym nie wykonała żadnego ruchu. Finley poczuła lekkie pchnięcie w umyśle - słodki głos, który zachęcał ją, by zwolniła uścisk ręki. Mentalnie zgmiotła go jak robaka pod butem. Chrupnął.

Markiza skrzywiła się. Ta głupia kobieta mogłaby się już czegoś nauczyć. Finley usmiechnęła się.

— Denerwujesz mnie, pani. W niezwykle nieprzyjemny sposób.

Wtedy silna ręka chwyciła jej ramię - to, którym już była gotowa zadać cios.

— To nie ja chcesz skrzywdzić — powiedział Griffin tym swoim melodyjnym głosem. Finley obróciła głowę, ale nie puszcila.

— Nie? Bo muszę ci powiedzieć, że to, co robię teraz, wydaje się całkowicie włas'ciwe.

Sięgnął i chwycił ją za drugi nadgarstek. Delikatnie, ale stanowczo, odciągnął jej rękę od szyi ciotki. Finley pozwoliła mu na to. Wiedziała, że jest od niego silniejsza, ale coś w jego głosie i sposobie mówienia zmniejszyło jej wielki gniew i sprawiło, że chciała robić to, o co prosił. To ją przerażało, nawet gdy już ciemność opuszczała jej duszę. Co jeszcze mógł jej kazać zrobić, gdyby tylko zechciał?

Obróciła się do niego, ale on dalej trzymał ją za rękę. Niespodziewanie objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Przytulił. Puszczając jej nadgarstek, drugą ręką delikatnie przyciągnął do siebie jej głowę, by znalazła się w zagłębieniu między jego ramieniem i szyją. Pachniał ciepłem i przyprawami - cynamonem i goździkami. Bezpiecznie i przytulnie. Gdy ją trzymał, szeptał ciche słówka. Nie była pewna, czy cokolwiek znaczyły,

ale i tak zupełnie zaskoczył ją ten wyraz troski - zaufania. Niewiele było trzeba, żeby mogła go teraz zranić. A mogła go zranić bardzo poważnie.

Ale Griffin King też mógł ją zranić, a nie zrobił tego. Zamiast wykorzystać przeciw niej siłę i przemoc, okazał cierpliwość i zrozumienie.

Gdy ją puścił, drżała cała. Do oczu napłynęły jej łzy i odwróciła się do matki, która stała, obserwując wszystko z przerażeniem.

- Moja kochana dziewczynko - wyszeptała Mary. -Nie wiedziałam. Nigdy bym... — Jej słowa przeszły w zdławione łkanie. Finley na drżących nogach pokonała dzielący ją od matki niewielki dystans. Objęły się, płacząc. Nie obchodziło jej, że Griffin i jego okropna ciotka widzą te łzy. Jeśli było cokolwiek, nad czym warto płakać, to odkrycie, że przez własnego ojca jest potworem, musiało się do tego zaliczać.

ROZDZIAŁ 7

Jesteś winna Finley przeprosiny. - Griffin i Kordelia byli sami, bo Finley została wysłana do swojego pokoju, żeby mogła odpocząć — co było tej biednej dziewczynie bardzo potrzebne. Mieli zatem dość czasu, by przetrwać wszystko, czego się dowiedzieli tego dnia.

Kordelia posłała mu ostre spojrzenie.

— Za to, że chciała mnie zabić? Nie wydaje mi się.

— Za to, że byłaś taka pewna, iż kłamała w sprawie ojca — odparł Griff, zamykając drzwi do gabinetu. -Nie miała pojęcia, czym się zajmował.

Kordelia podniosła grude rudy turkusynowej, która służyła za przycisk do papieru, i udawała, że ją dokładnie ogląda.

— Przynajmniej tak twierdzi.

— Kordelio, nawet ty nie jesteś na tyle dobrą aktorką, by powiedzieć to przekonująco. - Skrzyżował ręce na piersi. — Finley Jayne jest w tej całej sprawie ofiarą, a nie naszym wrogiem. Pomoc jej jest moją powinnością.

— Przez coś, co wydarzyło się przed twoimi narodzinami? Bzdura.

— Niby czemu? Byłaś gotowa ją za to właśnie potępić.

Kordelia zacisnęła usta, a Griff wiedział, że nie może się z tym spierać.

— Nasi ojcowie popełnili błąd, a teraz Finley za niego płaci. Chyba zasługuje na naszą pomoc, nie uważasz?

Kordelia wzruszyła ponuro ramionami. W takich chwilach Griffin przypominał sobie, że jest od niego starsza jedynie o niecałe dziesięć lat.

Westchnął i nacisnął guzik na pudełku stojącym na jego biurku.

— Napiję się kawy, a kiedy będę to robił, poczytam zapiski ojca na temat Thomasa Shepparda. Następnie porozmawiam z Finley. Nawet sobie nie wyobrażam, jak się czuje, wiedząc, że jej ojciec był inspiracją dla postaci doktora Jekylla i pana Hyde'a.

Ta informacja wypłynęła wcześniej tego dnia — oczywiście dzięki Kordelii.

Ciotka Griffina odstawiła rudę na biurko.

— Sheppard był nieostrożny. Krążyły różne plotki. Oczywiście, przez to Stevenson się zainteresował. Fin-

ley skończy tak samo, jeśli nie będzie ostrożna, a nie będzie. Zwróci na nas niechcianą uwagę.

Mówiąc to, miała głównie na myśli Grimna. Ten pokręcił głową.

— I to daje nam prawo zachowywać się wobec niej podle?

Ciotka obróciła się, by spojrzeć na niego, jakby nie mogła uwierzyć, że zadał jej to pytanie.

— Wypchnęła mnie ze swojego umysłu nie raz, ale aż trzy razy. Czy wiesz, ilu jest ludzi, którzy byli w stanie to zrobić? Poza nią, zero! Czy przyznasz to, czy nie, ta dziewczyna jest niebezpieczna — a ty traktujesz ją jak gościa!

— Bo *jest* gościem.

— Dopóki nie skręci komuś karku. Co, jeśli zaatakuje Emily?

— Nie robi tego. - Chciałby być tego aż tak pewny...

— Nie możesz tego wiedzieć. Pani Dodsworth powiedziała mi, że rzuciła lokajem, jakby był zabawką. Narażasz wszystkich w domu na niebezpieczeństwo, pozwalając jej tu mieszkać. Nie mogę się na to zgodzić.

Griff zeszywniał. Powoli skrzyżował spojrzenie z ciotką, ze wszelkich sił starając się opanować swój gniew.

— Nie masz nic do powiedzenia. To mój dom. Kordelia spojrzała na niego gniewnie, opierając pięści na biodrach.

-Jestem twoją opiekunką.

- Naprawdę chcesz ze mną o to walczyć, Delio? Bo jestem pewien, że rodzinni prawnicy staną po mojej stronie. - Oczywiście tak by właśnie zrobili, bo wiedzieli, że to z pieniędzy Griffa były opłacane ich rachunki, a Kordelia przewodniczyła czemukolwiek tylko oficjalnie. To Griff podejmował decyzje dotyczące majątku.

Spojrzała na niego, jakby ją spoliczkował. —Jest dla ciebie aż tak ważna? Skinął głową.

—Jest. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale wiem, że tu jest jej miejsce, z nami.

- Nigdy nie stanie się częścią czegoś, póki będzie dwiema połówkami przełamanej całości.

Griff uśmiechnął się lekko, wiedząc, że wygrał, nie wbijając między siebie i ciotkę zbyt dużego klina.

- To będziemy musieli ją poskładać. Kordelia uniosła jedną brew. -My?

Ale Griff wiedział, że mu pomoże. Zawsze pomagała. Prędzej czy później przekona się, że to on ma rację co do Finley.

Przyniesiono kawę — cały srebrny dzbanek gorącego i niebiańsko pachnącego napoju. Nalał trochę do porcelanowej filiżanki, dodał cukru i śmietanki. Była doskonała.

Kordelia się pożegnała — była umówiona na podwieczorek i musiała się przedtem przebrać. Griffin

usiadł przy biurku, odszukawszy dziennik swojego ojca opatrzony tytułem „Thomas Sheppard”. Edward King robił dużo zapisków na temat wszelkich aspektów swojego życia — nawyk, którego Griffin nie dzielił z ojcem.

Notatki tylko potwierdziły to, co opowiedziała matka Finley — że wraz z Thomasem Sheppardem przeprowadzali eksperymenty w kwestii mrocznej i dobrej strony natury ludzkiej. Sheppard zaczął praktykować na sobie, nie będąc pewnym tego, jaki wpływ jego eliksiry mogą mieć na innych ludzi. To, co zrobił, pozwoliło jego mrocznej naturze całkowicie unicestwić dobrą stronę, i vice versa. Podzielił się na dwie przeciwne połowy. Najwyraźniej chciał przerwać eksperymenty, kiedy się dowiedział, że Mary jest w ciąży z Finley, ale było już za późno — metamorfoza przychodziła sama, bez potrzeby stosowania chemikaliów. Szkody już zostały wyrządzone. Choć Sheppard nie wiedział wtedy, że przekazał swoją dolegliwość nienarodzonej córce.

Niestety, Thomas Sheppard zmarł niedługo przed pierwszymi urodzinami Finley. Dostał napadu, kiedy był z dala od domu. Zranił kogoś, kto mu stanął na drodze, przez co ruszyli za nim peelerzy. Próbuąc uciec, chciał ukraść powóz i został postrzelony przez właściciela. Policjanci, którzy przetransportowali go do Scotland Yardu, byli w szoku, kiedy ze swej niemal bestialskiej postaci przemienił się w łagodnego naukowca. Thomas Sheppard zmarł, zanim dotarł do niego chirurg.

Notatki księcia mówiły o poczuciu obowiązku względem Mary Sheppard i jej córki, ale kobieta zniknęła, odrzucając jego pomoc. Wyrażał też wielki żal.

Ojciec Griffina pisał: *Gdybym tylko nie dostarczył katalizatora potrzebnego do drastycznej transformacji Shepparda. Zaczynam się baco własną rodzinę.*

Co jego ojciec dał Sheppardowi? Czy był to ten sam tajemniczy „katalizator”, który sprawił, że Griffin i Sam zyskali swoje niezwykle zdolności? Jeśli tak, to czemu oni nie oszaleli jak Sheppard? Dlaczego nie wpłynęło to na nich w taki sam sposób?

Skupił uwagę na ostatnich zapiskach na tej stronie. Jego ojciec bał się o Mary i jej dziecko, bał się, jaki wpływ mogły wywrzeć eksperymenty Shepparda na jego córkę.

Biedna Finley. Nie tylko odkryła smutną prawdę o swoim ojcu, ale jeszcze pewnie obawia się, że spotka ją taki sam los jak jego.

Mimo jej wcześniejszej przemocy wobec Kordelii Griff wierzył, że możliwe jest uzyskanie przez Finley kontroli nad mroczną stroną. Tak naprawdę wierzył, że jedyną odpowiedzią było złączenie obu stron jej natury. Żadna osoba nie była zupełnie dobra czy zupełnie zła — jedna część nie mogła istnieć bez drugiej. Musiał tylko dojść do tego, jak scalić osobowość Finley.

Nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy — trzecią, odkąd usiadł nad tą sprawą — i wstał zza biurka.

Chciał dowiedzieć się więcej o Thomasie Sheppardzie przy pomocy silnika eterowego, ale przedtem powinien sprawdzić, co u Finley. Musiał też zejść do laboratorium Emily i porozmawiać z nią o szwankujących automatonach - no i o Samie, którego znów nie było.

Zamierzał się też skontaktować z pewnym swoim znajomym, który obracał się w nieco innych kręgach. Jasper Renn był Amerykaninem, którego poznał pod koniec zeszłego roku. Tak właściwie to kowboj uratował go przed solidnym pobiciem przez grupę opryszków, którzy chcieli ograbić bogatego elegancika. Gdyby nie Jasper, Griffin byłby zmuszony wykorzystać swoje umiejętności publicznie, a to nie byłaby dobra rzecz. Po wszystkim Griffin zaprosił Jaspersa do siebie na drinka i żeby Emily opatrzyła jego rany. Od tego czasu darzyli się przyjaźnią — pomagając sobie w kłopotach i od czasu do czasu chodząc razem na mechaboks.

Jasper dużo czasu spędzał w jaskiniach hazardu i klubach w okolicy Covent Garden i innych lokalach we wschodniej części Londynu. Jeśli na ulicy mówiono coś o niebezpiecznych automatonach, Jasper na pewno o tym słyszał.

Griffin musiał rozwiązać sprawę tych napaści. Nie mógł ich ignorować tylko dlatego, że Finley Jayne przedstawiała tak fascynującą zagadkę, do tego w ładnym opakowaniu. A była naprawdę urodziwa - nawet w fazie nieznaczenia. Pod tym względem była

dokładnie tak niebezpieczna, za jaką uważała ją ciotka Kordelia.

Dobrze więc, że lubił trochę niebezpieczeństwa od czasu do czasu.

- Wyglądasz jak ktoś, komu przydałby się jakiś trunek.

Sam spojrzał znad pustego kufła. Leon, jego przyjaciel z mechaniczną ręką, stał przy stoliku.

-Jeśli się jeszcze napiję, pewnie zasnę na tym stole w kałuży własnej śliny.

- Czy to by było coś złego? — spytał Leon swym melodyjnym akcentem — włoskim, jak twierdził -i usiadł.

Sam się uśmiechnął.

- Stół jest brudny.

Jego towarzysz się zaśmiał.

-Już drugi raz cię tu zastaję, przyjacielu. Oczywiście jest, że coś cię męczy. Może mógłbym pomóc?

Sam miał już na czubku języka kategoryczne stwierdzenie, że to niemożliwe — że nikt nie jest w stanie mu pomóc - ale jego wzrok padł na zdobioną, metalową rękę Leona.

- Nigdy tego nie żałujesz?

Leon, który w tym czasie uniósł drugą rękę, by przywołać kelnerkę, zerknął na swoją metalową kończynę.

- Co, tego? Nie. Daleko jej do prawdziwej, ale zdziwiłbyś się, ile jestem w stanie zrobić dzięki temu cudowi współczesnej nauki.

Sam niemal parsknął, ale się powstrzymał.

- Nie przeszkadza ci to, że po części jesteś maszyną?

Starszy mężczyzna zmarszczył brwi — dokładnie w tym momencie rudowłosa kelnerka o okrągłej buzi ustawiła między nimi na stole dwa pełne kufle.

- Oczywiście, że nie. Czy tobie to przeszkadza? Mogę włożyć rękawiczkę.

- Nie. — Sam pokręcił głową. Proszenie tego mężczyzny, żeby założył rękawiczkę tylko dlatego, że on sam nie mógł siebie znieść, wydawało się głupie. - Nie rób tego. Nie przeszkadza mi.

Leon uśmiechnął się.

- Jesteś ciekaw, tak? Często się z tym spotykam. Ludzie chcą wiedzieć, co mi się przytrafiło. Ty mnie jeszcze nie zapytałeś.

Sam wzruszył ramionami.

- To nie moja sprawa. Myślę, że sam mi powiesz, jeśli będziesz chciał.

Jego towarzysz uniósł kufel do ust. W jego ciemnych oczach lśniło coś, co wyglądało na rozbawienie.

- Wypadek. Pracowałem przy automatonie wiercącym i moja ręka dostała się między koła zębate.

- Wiertarka? - Samowi zaschło w ustach, kiedy próbował zdusić wspomnienia własnego spotkania z wielką maszyną. Kopacze były większe, bo wkopy-

wały się w ziemię, zamiast wiercić w niej, ale i wiertarka mogła człowiekowi wyrządzić dużą krzywdę. -To okropne.

Leon przechylił głowę.

— Było strasznie, ale przeżyłem. A teraz jestem dużo ostrożniejszy, kiedy pracuję z maszyną — czy to automat, czy coś innego.

- Ciągłe z nimi pracujesz? Czy... czy nie boisz się?

- Bałem się trochę przez jakiś czas, ale automat nie skrzywdził mnie celowo. To moja wina, nie maszyny. Nie byłem tak ostrożny, jak powinienem.

Sam podniósł kufel do ust. Zaczynał trzeźwieć.

-Jednak to trochę taki policzek, że dali ci metalową rękę. - Nie mógł przestać myśleć o metalu we własnym ciele.

Leon wyglądał na zaskoczonego.

— Mój drogi panie, to dzieło sztuki *sam* sobie wybrałem.

Postawił kufel na stole z większą siłą, niż zamierzał.

— Po kiego diabła chciałeś być po części z metalu, kiedy to przez metal straciłeś rękę? — Były przecież inne możliwości, chociażby drewno czy wosk.

Leon poruszył swą błyszczącą dłonią. Sam obserwował, oczarowany, jak składane palce z gracją zginały się i rozginały.

- Wybrałem ją, gdyż sam ją wykonałem. Nigdzie nie znajdziesz sztucznej kończyny, która by dorównała mojej dłoni. Mogę robić wszystko to, co zdrowy

człowiek, a może nawet więcej, wykonuję rzeczy tak misterne i drobne, że zaczęłoby ci się od nich kręcić w głowie.

Ale Sam ledwo go słyszał.

- Sam ją zbudowałeś. - Emily uznałaby tego człowieka za fascynującego.

- Tak. Mówiłem przecież, że to był mój wybór.

- Szkoda, że ja nie miałem wyboru - wymamrotał Sam do kufla.

Leon zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

Sam spojrzał mu w oczy. Nie dostrzegął w nich nic poza szczerością i zagubieniem. Wtedy zdecydował, że może zaufać Leonowi — że jest to ktoś, kto wie, jak to jest. Kto go zrozumie.

- Mam na myśli, że kiedy automat urwał mi rękę, nie miałem wyboru. Zastąpiono ją metalem.

Zdezorientowany wzrok starszego mężczyzny natychmiast skupił się na rękach Sama.

- Ale... ale przecież to ludzkie ciało!

Sam wziął kolejny łyk, przy czym po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się.

- To długa opowieść.

Leon znów dał znać kelnerce, po czym odwrócił się i oparł łokcie na stole.

- Przyjacielu, mam całą noc.

— Muszę z tobą porozmawiać.

Griffin spojrział znad biurka. Siedział przy nim od paru godzin, więc wizyta Emily była miłym przerywnikiem. Teraz nie musiał iść jej szukać. Uśmiechnął się, gdy spojrział na nią, zauważając, że jest bledsza niż zwykle.

— Więc chodź i mów.

Wstał od biurka, podczas gdy ona weszła głębiej do gabinetu. Dokładnie czytał notatki Thomasa Shepparda, które znalazł w sejfie ojca, w gabinecie, starając się lepiej zrozumieć przypadek Finley i odkryć, jak może jej pomóc. Ale Sheppard był zupełnie pochłonięty rozdzieleniem części ludzkiej osobowości, nie ponownym łączeniem ich. Miał też zapiski z badań nad resocjalizacją kryminalistów i umysłowo chorych, ale Griff nie zamierzał stosować tych metod na Finley.

Przynajmniej wiedział już, co jego ojciec przekazał Sheppardowi do eksperymentów — rudę i próbkę organków. Ale nie mógł dojść do tego, w jaki sposób te rzeczy doprowadziły do zmian opisanych przez Shepparda. Odpowiedź była już tak blisko, a jednak się wymykała i denerwowało go to potwornie.

— Odkryłaś coś w automatonach? — zapytał Griff, przecierając oczy i siadając na sofie.

Emily pokręciła głową.

— Jeszcze nie. — Rozejrzała się nerwowo po pokoju, jak gdyby upewniała się, że są sami. — Nie dlatego tu przyszedłam.

— Czy chodzi o Sama? — To niepodobne do jego przyjaciela, żeby tak długo przebywał poza domem — choć musiał być zły, wiedząc, na co Griff pozwolił Emily.

Obejmując się rękami, Emily znów pokręciła głową. Widać było, że zauważała nieobecność Sama - i że czuła się za niego równie odpowiedzialna jak Griffin.

— Nie, nie chodzi o Sama. Chodzi o mnie. Griffin uniósł brwi. Emily rzadko mówiła o sobie

czy o swojej przeszłości. Nie był pewien, czy jest gotów usłyszeć to, co miała mu do powiedzenia.

— O co chodzi?

— Zauważyłam ostatnio u siebie pewne niecodzienne... zmiany.

O Boże. Czy nikt inny nie rozmawiał z nią o tych rzeczach? Jej matka?

— Jakie zmiany?

Splotła razem palce na kolanach. Miała brudne paznokcie od pracy w laboratorium.

— Pamiętasz, jak mi opowiedziałeś o tym, kiedy pierwszy raz odkryłeś u siebie zdolności?

Skinął głową.

— Opowiedziałem ci o pierwszym duchu, którego zobaczyłem.

— Trzy miesiące temu powiedziałeś mi, że czasem czujesz się tak, jakby Eter miał cię pochłonać, gdybyś tylko na to pozwolił.

Griff zamknął oczy. Nie powinien był jej tego mówić.

- O ile pamiętam, to mówiłem, że chyba moje zdolności rosną. Przysunęła się bliżej, siadając na krawędzi sofy.

- Chyba... Chyba coś się dzieje ze mną. Coś dziwnego.

Złapany między ciekawością, troską i zdenerwowaniem, Griff zmarszczył brwi.

- O co chodzi, Em?

- Może będzie lepiej, jak ci pokażę.

- Więc pokaż.

Dziewczyna wstała i z wahaniem podeszła do stojącego w rogu fonografu. Emily go przebudowała, żeby działał na karty dziurkowane jej projektu, zamiast na zasadzie ustawiania igły na płaskiej płycie. Karty nie „zakrzywiały” się jak płyty i nie były tak łatwe do zadrapania. A zamiast sprężyny fonograf miał wbudowany silniczek parowy, więc mógł grać znacznie dłużej bez nakręcania, karta za kartą.

Emily, wyglądająca tak drobniutko w sięgających kolan koronkowych spodniach, luźnej bluzce i niechlujnym skórzanym gorsecie, bezwiednie bawiąc się grubym kosmykiem swych ogniście rudych włosów, wyciągnęła bladą dłoń ku maszynie. Griff obserwował w zdumieniu, jak fonograf uruchomił się pod wpływem jej dotyku. Emily zamknęła oczy, a na jej twarzy malowała się koncentracja. Fonograf przetasował karty, dopóki nie chwycił nagrania utworu na klawesyn, o którym Griff wiedział, że jest jednym z ulubionych utworów Emily. Kiedy muzyka zaczęła

grać, wzrosła też głośność — przy czym Emily nawet nie ruszyła guzika włączającego maszynę. Technicznie rzecz ujmując, fonograf nie był nawet *włączony*.

Muzyka grała przez kilka chwil, ale urwała się nagle, kiedy Emily odsunęła rękę. Spojrzała na Grif-fa przez ramię. Nie mógł stwierdzić, czy jest dumna, czy przerażona.

— Mogę im mówić, co mają robić — powiedziała. -Maszynom. A czasem wydaje mi się, że je rozumiem.

— Niesamowite - stwierdził Griffin, zdumiony. W czasie tej niezwyklej demonstracji wstał z sofy i opierał się teraz o nią. Przeczesał dłonią włosy. Nie mógł znaleźć słów.

Emily nie wyglądała na przekonaną.

— Co jest ze mną nie tak?

Nawet do głowy nie przyszło Griffinowi, który od bardzo młodego wieku miał „nienormalne” zdolności, że te nowe umiejętności przestraszą jego przyjaciółkę. Przypuszczał, że czułby się tak samo, gdyby nagle nie mógł połączyć się z Eterem.

— Uśpione zdolności? — W najlepszym przypadku był to domysł. Ale czy on sam nie zauważył u siebie zmian w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, albo nawet roku? Były to zmiany subtelne, ale nie mógł zaprzeczyć, że jego moc znacząco wzrosła. Tak bardzo, że nieraz musiał walczyć, by zachować nad nią kontrolę.

— Ewolujemy - wymamrotał. Wiedział, że brzmi to niedorzecznie, ale jakie było inne wyjaśnienie? — Nie wiem, czemu ani jak, ale właśnie to się dzieje.

— A co z Samem? — zapytała Emily. — Czy wspominał coś o nowych zdolnościach?

— Może sobie nie zdawać sprawy ze zmian albo przypisywać je usprawnieniom mechanicznym. Poza tym nie wydaje mi się, żeby nam teraz powiedział, nawet jeśli coś zauważył.

— Na dodatek nie możemy go zapytać — zauważyła Emily. — Znowu dokądś poszedł.

Griffin zauważył, jak posmutniała, kiedy o tym mówiła.

— Em, nie jesteś odpowiedzialna za zachowanie Sama. Nikt nie jest. Zrobiłaś to, co zrobiłaś, żeby go uratować, i ja ci poleciłem to zrobić. Jeśli chce być z tego powodu zły, to proszę bardzo, ale w końcu będzie musiał wyciągnąć głowę z piasku i cieszyć się, że żyje.

Na te słowa błękitne oczy Emily otworzyły się szeroko.

— Obecnie bardziej mnie obchodzi, co może być katalizatorem tych naszych zmian — ciągnął Griff. -Coś musi je powodować, ale co? W naszym życiu nie pojawiło się nic nowego.

— Przeprowadzę kilka testów - zaproponowała Emily. — Sprawdzę wodę i jedzenie — wszystko, co zostaje przyniesione do domu i może mieć wpływ na nas wszystkich. Coś musi być. Takie zmiany nie zdarzają się w ciągu kilku miesięcy, potrzebują lat.

— Setek lat — dodał Griff. — Ewolucja to powolny i ciągły proces. A ten jest szybki, wręcz skokowy. Je-

śli za te zmiany odpowiada coś w tym domu, to wiem, że ty to znajdziesz, Em. Zarumieniła się lekko.

- Mam nadzieję, że jestem tak mądra, za jaką mnie uważasz.

- Wiem, że proszę o wiele. - Griff przeczesał dłonią włosy. - Już i tak masz ręce pełne roboty przy automatonach. Powiedz mi, czego potrzebujesz, a ja ci to dam.

Emily podziękowała mu i Griff się uśmiechnął.

- Nie dziękuj mi. Przez następne dni będę ci się kręcił po laboratorium. Chcę przeprowadzić testy na krwi Finley.

Pokrótce wprowadził ją w to, co odkrył tego dnia. Nie wspomniał o tym, jak Finley groziła Kordelii. Emily zmarszczyła brwi.

- Czy nie wydaje ci się dziwne, że każdy, kto kiedykolwiek miał jakieś powiązania z twoją rodziną, albo nie żyje, albo jest nadczołowiekiem?

Griffin nie pomyślał o tym. Zawsze był inny, więc takie rzeczy umykały mu, kiedy skupiał się na szczegółach.

Emily uchwyciła się tej myśli i ciągnęła ją dalej.

- Dorastałeś razem z Samem i obaj mieliście swoje zdolności od dzieciństwa. Ojciec Finley sprawił, że ona urodziła się ze swoimi, ale objawiły się dopiero wtedy, kiedy weszła w okres kwitania. Ja tu jestem od niedawna, a też się teraz zmieniam. Mój drogi, myślę, że to ma związek z tobą, a nie z czymś, na co zostaliśmy wystawieni w tym domu.

To było dla Griffina jak wymierzony policzek.

- Organity. Ojciec Finley eksperymentował z nimi. Sam i ja dorastaliśmy z nimi, a ty kontaktowałeś się, odkąd tu zamieszkałaś. — Odpowiedź, której szukał, nareszcie się objawiła. — Mój ojciec twierdził, że są źródłem życia, a Sam i ja rozwinęliśmy naturalne zdolności. Ojciec Finley nie zmienił się w potwora, po prostu organity rozbudowały pewne aspekty jego natury do najwyższego stopnia.

Oczy Emily były szeroko otwarte z podekscytowania. Griff niemal widział pracujące w jej głowie tryby.

- Powinniśmy zbadać krew nas wszystkich, nie tylko Finley. Mogłabym porównać nowe wyniki do tych, jakie otrzymałam w przeszłości. Jeśli organity zmieniły nas na poziomie komórkowym, odkryję to.

Griffin nie miał wątpliwości, że tak będzie. Nigdy jeszcze nie był aż tak szczęśliwy, że wybrał ją, żeby dla niego pracowała, zamiast któregoś z jej braci. Czasem inteligencja Emily przerażała go, a jego własny brak perspektywy był niemal tak ograniczający, że sam sobie miał ochotę przyłożyć.

- Zaczniemy dzisiaj. Poślę po Finley, żebyś mogła pobrać próbkę jej krwi.

- Nie ma jej - poinformowała go Emily, wyglądając przy tym trochę nieswojo. - Godzinę temu widziałam, jak wychodziła z domu.

- Wyszła? — Niczego mu nie powiedziała. Nawet jej nie słyszał. To mogło oznaczać tylko jedno. Kontrolę znowu przejęła jej ciemna strona. Powinien był

wiedzieć, że to może się stać, biorąc pod uwagę dzisiejsze przeżycia. Jak mógł być tak nieostrożny?

— Chcesz, żebym poszła jej poszukać? — spytała Emily.

Griff pokręcił głową. Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić Emily włóczyć się samej o tak późnej porze.

— Nie znajdziesz jej, jeśli nie chce być znaleziona. Nie, przynieś narzędzia do pobrania krwi — mojej

i swojej. Ja się będę martwił o Finley.

A na pewno będzie się martwił. Kiedy Finley wyszła ostatnio, złożyła wizytę Jackowi Dandy'emu — jak ustaliła Kordelia, zerkając w jej umysł. Bóg jeden wie, w co też się wpakuje dzisiaj. Ale teraz miał ważniejsze rzeczy na głowie niż szukanie jej. Zbyt wielu ludzi na nim polegało.

Miał tylko nadzieję, że Finley nic się nie stanie. A co ważniejsze, że ona nikomu nie zrobi krzywdy.

ROZDZIAŁ 8

Finley obudziła się następnego ranka wciąż w ubraniu. Co robiła poprzedniej nocy? Dokąd poszła? Nie mogła sobie przypomnieć niczego. Kiedy usiadła na łóżku, w jej umyśle panowała pustka.

Spojrzała na swoje buty — nie było na nich błota. Ręce — żadnej krwi. To chyba dobry znak, prawda? Kłękcie bolały ją przy dotyku i skóra na nich była lekko otarta, ale to jeszcze nie oznaczało, że kogoś skrzywdziła. Mogła uderzyć cokolwiek. Ale ta myśl nie tłumiała uczucia lęku gdzieś w środku.

To musiało się skończyć. Nie mogła tak dalej żyć, zmieniając się we własną wersję pana Hydea. Jej mroczna połowa zupełnie przejęła kontrolę — coś, co przedtem nie miało miejsca.

Griffin zaoferował jej pomoc, ale w ciągu tych kilku dni, jakie spędziła w jego domu, nie wydarzyło

się nic, co pozwoliłoby jej uwierzyć, że na to szaleństwo może istnieć lekarstwo. „Przejścia” z jednej fazy w drugą zdawały się wręcz wzmacniać. Co będzie, jeśli Griffin nie jest w stanie jej pomóc? Czy była skazana na utracenie swojego ja jak doktor Jekyll i skończenie jako potwór?

Od tej myśli zrobiło jej się niedobrze i łzy zaczęły szczypać w oczy. Czy ojciec tak się właśnie czuł, bezradny i chory?

Cóż, ona nie była bezradna, nie do końca. Oczywiście było, że Griffin potrafił wpłynąć na jej mroczną część. Już dwa razy uspokoił Finley, kiedy próbował ją pochłonać chaos. Jeżeli ktokolwiek mógłby znaleźć sposób, w jaki można powstrzymać ów koszmar, to właśnie Griffin.

Użalając się nad sobą trochę mniej, czując nieco optymizmu, Finley wstała i zdjęła wygniecione ubranie, wykąpała się i założyła świeże pończochy w czarnobiałe paski, czarną spódnicę, białą bluzkę i śliczny różowy gorset z czarną lamówką. Wszystko zupełnie nowe - część garderoby, którą zakupił dla niej Griffin.

Wciąż czuła się zakłopotana jego hojnością. Nie nawykła do ludzi, zwłaszcza młodych mężczyzn, którzy zachowywali się miło tylko dlatego, że po prostu byli mili. Była to jedna rzecz, co do której ona i jej mroczna natura się zgadzały - zawsze była jakaś cena. Mimo to była gotowa zaufać młodemu księciu. Szczerze się przejął, kiedy odkrył, że jego ojciec miał związek z upadkiem jej ojca. Może czuł, że ma wobec niej

dług i powinien zrobić wszystko, co w jego mocy, by nie spotkał jej ten sam los.

Już ubrana, ułożyła włosy. Zmrużyła oczy i pochyliła się do lustra. Czy to pasmo czarnych włosów? Tak. Zaczynało się tuż przy cebulkach i ciągnęło kawałek, by nagle się urwać. Całkiem jakby ktoś zaczął malować szeroki na cal pas jej włosów, a potem nagle zmienił zdanie. Ciekawe. Wyglądało to ładnie, pomyślała, ale wyglądałoby jeszcze lepiej, gdyby sięgało końców jej nijakich kosmyków.

Finley wyszła z pokoju i pośpiesznie zeszła po schodach do głównego holu, gdzie spotkała Emily, która niosła małą metalową tackę z przyborami wyglądającymi na medyczne. Emily wydawała się zmęczona i zmartwiona, miała zaczerwienione oczy. Finley zwolniła kroku.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

Emily spojrzała na nią, jakby dopiero teraz ją zauważyła.

— O...! To ty. Właśnie szłam do ciebie.

Finley uniosła jedną brew, podczas gdy Irlandka zamilkła, przybierając zafrasowany wyraz twarzy, widocznie rozkojarzona.

— Czemu chciałaś się ze mną zobaczyć? - spytała Finley, jednocześnie stwierdzając, że to, co wzięła za opaskę na włosach, w rzeczywistości było parą dziwnych gogli, z nachodzącymi na siebie soczewkami na cienkich mosiężnych wysięgnikach.

Rude włosy zakołysały się, kiedy Emily pokręciła głową.

— Boże, zupełnie dziś nie myślę. Potrzebuję odrobinę twojej krwi. Griffin chce, żebym przeprowadziła kilka testów. Może dam radę odkryć, o co chodzi z tymi zdolnościami. Zdaje się, że mamy je tutaj wszyscy.

— A co jest z tobą nie tak? — Finley nie chciała, żeby to zabrzmiało, jakby Emily cierpiała na jakąś nieprzyjemną chorobę czy coś w tym rodzaju. Zdziwiło ją tylko, że coś je łączyło. Zdziwiło tak bardzo, że nawet nie zaniepokoił fakt, że Emily chciała jej krwi.

Błede policzki Emily zaróżowiły się lekko.

— Potrafię przemawiać do maszyn.

— Czy... ci... odpowiadają? — tylko takie pytanie wpadło Finley do głowy.

Emily aż się roześmiała.

— Nie słowami, nie. Ale mogę w jakiś sposób stwierdzić, co jest z nimi nie w porządku, kiedy trzeba je naprawić.

— Jakie to niezwykle. — Finley uśmiechnęła się. — Znacznie przydatniejsze niż rzucanie lokajami przez drzwi.

— No nie wiem — odpowiedziała Emily. — Nie raz miałam ochotę rzucić pewnym chłopakiem.

— Sam. To przez niego jesteś taka rozkojarzona, prawda? - W sumie, to był nie jej interes, ale Finley nie zdążyła ugryźć się w język.

Emily znów się zarumieniła, ale skinęła twierdząco głową.

— Tak. Ostatnio spędza tyle czasu, ile tylko może, z dala od tego miejsca.

Z dala od niej — tego nie powiedziała i nie musiała mówić. Emily można było czytać równie łatwo jak otwartą księgę.

— Jeszcze zmadrzeje — pocieszyła ją Finley. - Tylko poczekaj. Założę się, że wróci do domu jeszcze tego wieczora.

Emily nie wyglądała na przekonaną, ale też była już mniej przygnębiona.

— Może. Cóż, nie mam na to wpływu, więc chyba nie powinnam się przejmować.

— Co nie oznacza, że nie możesz się martwić o przyjaciela.

Rudowłosa dziewczyna wyjaśniała, a Finley uderzyło, jaka jest ładna, kiedy się uśmiecha.

— Dziękuję. To naprawdę miło, że mieszka tu jeszcze jedna dziewczyna. Chłopcy są wspaniali, ale nie nadają się do pocieszania.

Uczucie ciepła wypełniło Finley od środka. Więc to tak wygląda, kiedy ma się przyjaciółkę.

— Powinnam już chyba pobrać od ciebie próbkę krwi - zauważyła Emily. — Wtedy będziesz mogła w końcu pójść na śniadanie. Zatrzymuję cię.

Finley zaprotestowała, że nic nie szkodzi. Weszły do najbliższego pokoju, gdzie Emily przetarła zagięcie jej ramienia płynem ostro pachnącym alkoholem,

a potem wprawnie nakłuła żyłę ostrą igłą. Kilka sekund później było już po wszystkim i Emily przyłożyła do ranki gazę, przywiązując ją po wierzchu bandażem. Finley mogła co prawda powiedzieć, że nie ma po co się trudzić — jej krew dość szybko krzepła — ale chciała spędzić z Emily jeszcze trochę czasu.

— Zastanawiam się, czy moja krew jest taka jak innych. Czy może jest tak inna, jak ja się czuję.

— Pod skórą wszyscy są mniej więcej tacy sami — odparła Emily, odkładając igłę na miejsce. — Poza Samem, oczywiście.

— A jak on wygląda?

Emily zamrugała, po czym się uśmiechnęła.

— Wybacz. Zapomniałam, że jesteś z nami od niedawna. Sam jest, jak ja to nazywam, człekomoidem-po części człowiekiem, po części maszyną.

Oczy Finley otworzyły się szeroko. -Jak to?!

Z twarzy Emily zniknął uśmiech.

— Nie mogłam pozwolić mu umrzeć. A teraz on mnie za to nienawidzi.

Co Finley mogła na to odpowiedzieć? Nie zaprzeczyła, bo nie znała Sama, ale zdawał się być bardzo gniewnym młodzieńcem. Jeśli obwiniął Emily tak, jak ona obwiniła swojego ojca za to, jaka jest... Nie przychodziło jej do głowy nic, po czym Emily poczułaby się lepiej.

— Nie wydaje mi się, żeby cię *nienawidził* — powiedziała Finley, myśląc o tym, jak Sam patrzył na Emi-

ly. — Ale pewnie jest teraz bardzo zagubiony. Niełatwo odkryć, że ktoś ci bliski zrobił z ciebie coś... nienormalnego.

Wymieniły spojrzenia. Druga dziewczyna nic nie powiedziała, więc Finley nie miała pojęcia, czy poczuła się dotknięta jej słowami.

— Dam ci znać, czy twoja krew wygląda inaczej — powiedziała Emily, zbierając swoje rzeczy. — Powinnaś iść na śniadanie.

Finley wstała z krzesła, czując się jak uczennica odsyłana przez dyrektorkę. Udała się do jadalni, licząc na to, że nie obraziła Emily. Zależało jej, by mieć w niej przyjaciółkę.

Jadalnia była pusta, kiedy do niej weszła, ale półmiski wciąż stały na kredensie, którego górna część przypominała grzejnik, tworzący obieg gorącej pary, żeby jedzenie nie stygło. Zdecydowała się na jajka na miękko, szynkę, pomidory i tosty, potem naląła sobie filiżankę kawy i wróciła z łupem do stołu.

Właśnie kończyła ostatni tost z dżemem, kiedy do jadalni weszła pani Dodsworth — zmartwiona i nerwowo wyłamująca sobie palce.

- Przepraszam, panienko, ale księżę prosi, by panienka stawiała się natychmiast w jego gabinecie.

Finley wstała od razu.

— Czy mówił dlaczego?

- Nie, panienko. Tylko tyle, że ma panienka zaraz przyjść.

Mimo że gospodyni miała znacznie krótsze nogi, Finley musiała przyspieszyć kroku, żeby za nią nadążyć. Kiedy dotarły do gabinetu Griffina, pani Dodsworth zapowiedziała Finley i odeszła, pozostawiając ją samą.

Griffin siedział za potężnym biurkiem, w każdym calu wyglądając jak pan na włościach. Jego szarobłękitne spojrzenie pomknęło ku niej na moment, jakby chciał dać do zrozumienia, że wszystko będzie dobrze.

Usiądź i daj mówić Griffinowi — odezwał się głos w głowie Finley. Brzmiał podobnie do głosu lady Marsden. Jak zauważyła Finley, ciotka Griffina też znajdowała się w pokoju. Obok niej siedział wysoki, szczupły mężczyzna o rzadziejących brązowych włosach i przyjemnej twarzy, na której wyróżniał się spory i dość nieładny nos.

Najwyraźniej lady Marsden łatwiej było wkładać myśli do głowy Finley, niż je wyciągać. Jednak mężczyzna wyglądał na kogoś ważnego, więc dziewczyna stwierdziła, że tym razem lepiej będzie posłuchać rady.

- Panno Jayne - powiedział Griffin, wstając, co też uczynił drugi mężczyzna — przepraszam, że przeszkodził w śniadaniu, ale konstabl Jones chciałby z panią porozmawiać.

Skąd on wiedział, że właśnie jadła śniadanie? No i... konstabl? Finley poczuła lekki zawrót głowy i znajomy przyływ energii, który zwiastował pojawienie

się jej mrocznej strony. Stłumiła go. Ostatnie, czego chciała, to objawić swoją drugą naturę Scotland Yardowi albo, jeszcze gorzej, rzucić policjantem przez pokój.

Ostrożnie podeszła bliżej, przy czym przebudziło się dosć jej drugiej połowy, by się uspokoiła. Udało jej się nawet usmiechnąć do peelera.

— Dzień dobry, konstablu Jones. O co chciał mnie pan zapytać?

Policjant poczekał, aż usiadła, zanim sam wrócił na swoje krzesło. Siedzieli razem przed biurkiem Griffina.

— Najmocniej przepraszam, panno Jayne — powiedział konstabl Jones z melodyjnym, liverpoolskim akcentem. — Jak rozumiem, do niedawna pracowała pani dla lorda August-Raynesa?

— To prawda, pracowałam. — Musiała się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć za dużo.

— Podobno opus'ciła pani jego domostwo w pośpiechu.

-Tak.

— Dlaczego?

Nie *kłam* — wyszeptał głos w jej głowie — tym razem jej własny. Kolejna dobra rada. Lepiej pominąć kilka faktów, niż skłamać wprost.

— Ponieważ już nie czułam się tam bezpiecznie, proszę pana.

Konstabl wszystko zapisywał w niewielkim notesiku. Uniósł badawczy wzrok znad notatek.

- Czemu nie czuła się pani bezpiecznie? — zadał to pytanie tak, jak ktoś inny mógłby zapytać dziecko, czemu nie zjadło całej rzepy z talerza.

Finley spojrzała na Griffina, który siedział tam z wyrazem absolutnego spokoju na twarzy. Albo bardzo dobrze ukrywał uczucia, albo nie obchodziło go, co się z nią stanie. Jego ciotka powiedziała, żeby pozwolić jemu mówić, ale jak na razie milczał.

- Ponieważ lord Felix August-Raynes czynił wobec mnie niechciane awanse.

- Awanse?

Finley westchnęła, a część jej bardzo chciała spoliczkować policjanta za to, że był taki niedomyślny.

- Chciał mnie zgwałcić. Podobno tak zwykle postępował z młodszymi służącymi.

Konstabl Jones zmarkotniał.

- Czemu nie zgłosiła pani tej napaści, panno Jayne?

Prychnęła, zyskując tym potępiające spojrzenie lady Marsden.

- Wybacz pan, konstablu, ale oboje wiemy, że policja nie zrobiłaby niczego przeciw parowi królestwa, a ja zostałabym odprawiona bez chociażby referencji.

- Wątpię, by ucieczka miała się pani lepiej przysłużyć.

Finley uśmiechnęła się do niego.

- Znalazłam się tutaj, prawda?

Dobry Boże, co też ona mówi? Czują się zupełnie normalnie, a jednak jej druga połowa była aktywna — i mówiła.

Konstabl wyglądał na tak zdziwionego jej wypowiedzią, że na chwilę oniemiał. W tym momencie Griffin wreszcie włączył się do rozmowy. W samą porę.

- Doprawdy, konstablu. Szanuję to, że ma pan do wykonania zadanie, ale przecież widzi pan, że panna Jayne nawet nie domyśla się powodu, z jakiego pan ją dzisiaj odwiedził. Dziewczyna jej rozmiarów nie przedstawiałaby zagrożenia dla lorda Felixa, co do tego możemy się zgodzić.

Policjant zdawał się to dokładnie analizować i cały czas nie odrywał oczu od Finley. Odwróciła od niego na chwilę wzrok, by spojrzeć na Griffina, który miał teraz dziwny błysk w oczach. Zastanawiała się, jak daleko się posunie, by ją chronić — i po co w ogóle by to robił. Potem znów popatrzyła na Jonesa.

- A dlaczego przyszedł pan dziś do mnie? Konstabl Jones westchnął.

- Do jutra będzie to już we wszystkich gazetach. Lord Felix August-Raynes został dzisiejszego ranka znaleziony martwy. Zamordowany.

Griffin patrzył, jak twarz Finley stała się kredowo blada. Przez chwilę obawiał się, że jej druga osobowość może się ujawnić, biorąc pod uwagę wcześniej-

sze zmiany w jej zachowaniu, ale teraz wyglądała tylko na zszokowaną. -Jak? - zapytała.

Konstabl Jones nie wyglądał na zaskoczonego jej pytaniem, więc nie uważał jej za poważną podejrzaną — przynajmniej już nie. Nie zdołałaby udawać tak strasznego zdziwienia, gdyby była zabójczynią.

— Został uduszony - odpowiedział peeler. Finley zakryła dłonią usta. Dobrze, że była dziewczyną, a Jones nie wiedział niczego o jej przeszłości. W innym wypadku nie skreśliłby tak szybko jej — i jej poobijanych kłykci — z listy podejrzanych.

Griffin sam nie wiedział, czy powinien ją skreślić ze swojej listy. Całkowicie wierzył w jej zaskoczenie, ale to nie oznaczało, że jest zupełnie niewinna. Jej mroczna natura mogła ją opanować tak dalece, że teraz niczego nie pamiętała. Wczoraj w nocy do późna była poza domem, a Griffnie miał pojęcia, gdzie była ani co robiła. Nie chciał wierzyć, że byłaby zdolna do aktu takiej przemocy, ale nie mógł ignorować faktu, że nie była zwykłą dziewczyną i mogłaby zabić dorosłego mężczyznę, gdyby tylko zechciała.

Niezależnie od tego, zdecydował się pomóc najlepiej, jak potrafi, a to oznaczało chronienie Finley tak samo, jak chronił pozostałych przyjaciół. Jeśli rzeczywiście zrobiła coś lordowi Felixowi, to nie była jej wina.

Była to wina jego ojca, a co za tym idzie także samego Griffa, skoro był jego następcą i spadkobiercą. Ta

myśl popchnęła go do działania. Ostatecznie zakończył przesłuchanie.

— Konstablu, jeśli nie ma pan więcej pytań, myślę, że panna Jayne będzie teraz potrzebowała trochę czasu, żeby oswoić się z tą straszną wiadomością.

Policjant spojrział na Griffina obojętnie. Najwyraźniej był przyzwyczajony do bogatych i potężnych ludzi, którzy wzywali go lub odsyłali według własnego uznania.

- Oczywiście, wasza książęca mość. - Jones schował notatnik do kieszeni płaszcza i wstał. — Dziękuję za poświęcony mi czas, książę, lady Marsden, panno Jayne. — Ukłonił się. — Sam znajdę drogę do wyjścia.

Griffin jeszcze przez kilka minut siedział przy biurku, obserwując Finley. Czekał, aż będzie pewne, że pozostali tylko we trójkę, zanim wstał i przeszedł po miękkim dywanie, by zamknąć drzwi gabinetu.

Policja była w jego domu tylko dwa razy: po śmierci jego rodziców i teraz. Nie lubił, kiedy jego dom czy ludzie stawali się obiektem zainteresowania Scotland Yardu. Nawet po ataku na Sama nie wezwał stróżów prawa. Był trochę zły na Finley za to, że zwróciła na niego uwagę władz. Ludzie będą o tym mówić, elity szumieć od plotek, zastanawiając się, co też peelerzy robili u księcia Greythorne.

Spojrzał na siedzącą przed nim dziewczynę. Tu nie chodzi o niego. Jest cholernym księciem i może całemu światu powiedzieć, żeby szedł do diabła, jeśli taka go najdzie ochota. Prawdę mówiąc, w większo-

ści kręgów był ponad prawem. Nie musiał obawiać się niczego poza kilkoma szeptanymi plotkami, które by przeminęły wraz z wybuchem jakiegoś nowego skandalu.

— Finley, czy wszystko w porządku?

— Czy nie powinniśmy zadać jej innego pytania? -zapytała ciotka Kordelia z sofy, gdzie do tej pory spokojnie siedziała. — Na przykład, czy zabiła tego chłopca?

Finley uniosła głowę. Oczy miała rozszerzone.

— Nie wiem, co robiłam zeszłej nocy. Niczego nie pamiętam.

Cholera. Griff przeczesał dłonią włosy. Tego właśnie się obawiał.

— Zupełnie nic?

Pokręciła głowę, a drobne kosmyki ocierały się ojej policzki. Czy przedtem miała to czarne pasmo we włosach?

— Zupełnie nic.

— Wspaniale — wymamrotała Kordelia. Griff popatrzył ostro na ciotkę.

— Ona tego nie zrobiła! - Wierzył w to. Musiał. Kordelia odwzajemniła jego srogie spojrzenie, mocno zaciskając usta.

— Jest do tego zdolna. Sam tak pomyślałeś. Finley się wzdrygnęła, a Griff zaklął pod nosem.

— Jest dość silna, żeby to zrobić. To jeszcze daleka droga do bycia na tyle giętym moralnie, żeby pozbawić kogoś życia. I nie włącz mi do głowy, do cholery.

Kordelia podniosła się z sofy.

— Wystarczy już tej debaty. Jeśli ty nie potrafisz kontrolować sytuacji, ja to zrobię.

Griff nie wiedział, co ma na myśli, dopóki nie usłyszał, jak Finley wydaje niski jęk. Obrócił gwałtownie głowę. Dziewczyna nadal siedziała na krześle przed jego biurkiem, obejmowała głowę rękami, a na jej twarzy malował się wyraz bólu.

— Przestań - błagała. - Proszę, przestań. Kordelia wpatrywała się w Finley intensywnie,

wyglądała przerażająco. Z jej nozdrza powoli zaczęła wypływać cienka strużka krwi.

— Kordelio!

Finley jęknęła. Miała mocno zaciśnięte powieki i przechylała się do przodu. Siedziała na krawędzi krzesła i wyglądała tak, jakby zaraz miała osunąć się na podłogę.

— Delio! — Griff chwycił ciotkę za ramię, ale ta zdawała się tego nie zauważać. Nie spuszczała wzroku z Finley. Z jej nosa ciekła krew, która powoli spłynęła po brodzie, by kapać na przód sukni. Była zbyt głęboko w głowie Finley — zdeterminowana, by przedrzeć się przez bariery dziewczyny, nawet kosztem własnego zdrowia.

Każda siła użyta wobec Kordelii mogłaby wyrządzić wielkie szkody w jej umyśle. Połączenie należało przerwać w punkcie ogniskowym, którym była Finley, klęcząca właśnie na podłodze z ustami otwartymi w niemym krzyku.

Griff znów zaklął. Kucnął obok Finley i położył dłoń na jej karku. Chyba nie czuła jego dotyku, po prostu dalej cierpiała. Nawet jej druga natura nie mogła przewyciężyć tego ataku. Całą energię skupiała na odpychaniu Kordelii, jak wymagał tego jej instynkt, a przecież mogło zaraz być po wszystkim, gdyby tylko się poddała.

— Finley? - powiedział Griffin łagodnie. - Skarbie, słyszysz mnie?

Nic.

Wziął głęboki wdech i skupił się, zbierając całą siłę woli i uwagę. Nigdy przedtem tego nie robił, ale było to jedyne rozwiązanie, które zdawało się realne, kiedy obie znajdowały się tak daleko poza jego zasięgiem w tym świecie.

Przypominało to otwieranie okna i wpuszczanie wiatru. Eter powitał go duchowym odpowiednikiem otwartych ramion. Na jego przybycie wybiegła moc tak wielka, że aż czuł jej smak. Oparł się pokusie, by pozwolić jej wypełnić się zupełnie, zamknął oczy i spojrzał na Finley wewnętrznym wzrokiem. Na płaszczyźnie eterycznej spowijał ją ból, ale nie można było zaprzeczyć sile jej duszy. Moc świeciła wokół dziewczyny podwójną aurą - po jednej dla każdej części jej osobowości. Te aury będą musiały się połączyć, jeśli Finley ma zaznać spokoju. W tej chwili ciemniejsza aura przeważała, pulsując pod naporem psychicznego ataku Kordelii. Jego ciotka była potężną telepatką - i zdeterminowaną. Nie ustąpi, póki Finley jej

nie wpuści — a niebawem może już być za późno dla nich obu. Nie zrezygnuje, bo uważa, że Finley zagraża Griffinowi, a Kordelia oddałaby życie, żeby go chronić. I choć bardzo ją za to kochał, w tej chwili jej upór był mu piekielnie nie na rękę.

Na szczęście media, spirytualiści i telepaci, jak jego ciotka, działali w Eterze. Widział i wyczuwał ich w nim — jak duchy, których szukali. Z tą różnicą, że oni pulsowali życiem, a duchy nie.

Ale w tej chwili nie powinien myśleć o duchach, więc zignorował te, które ciągnęły go za rękawy w tym dziwnym świecie za światem.

Griffin zwrócił uwagę na połączenie między dwiema kobietami, koncentrując się na strumieniu mocy falującej między jego ciotką i Finley. Skąpała je obie w opalizującym świetle, spowijając w lśniący kokon i łącząc. Sięgnął przed siebie, skupiając się na wiązce Eteru. Swobodną ręką objął Finley, gdy próbował nagiąć tę energię do swojej woli. Moc Kordelii nie chciała ustąpić, a gdyby ją zmusił, ciotka zostałaby porażona mocą Finley. Pozostało tylko jedno rozwiązanie.

Serce mu stanęło na króciutką chwilę, zanim znów odzyskał spokój. Gdyby teraz stracił kontrolę, nie dało się przewidzieć, co Eter by z nim zrobił. Pewnego razu wciągnął go i nie wypuszczał przez cały dzień. Kolejne trzy spędził na regeneracji po tym doświadczeniu. Znalazł potem we włosach kilka siwych, które szybko wyrwał. Wtedy właśnie zrozumiał, że za umiejętność dotknięcia Eteru musi zapłacić.

Przesunął krzesło, żeby usiąść obok Finley, i ją objął, czując ciepło i drżenie ciała walczącego przeciw wtargnięciu Kordelii. Zwiększył koncentrację, gdy przenosił energię napierającą na nią — i emanującą z niej — do siebie. Powoli przejął kontrolę nad Eterem, odciągając go od Finley i nakłaniając, by zamiast tego skupił się na nim. Gdy już go pochwycił, musiał tylko utrzymać. Eter próbował się wyrwać, ale Griff nie puszczał. Energia wirowała wokół niego, wypełniała go. Było jej tak dużo...

Kiedy umysł Kordelii zdał sobie sprawę, że połączenie z Finley zostało przerwane, przestał napierać. Jak zbyt mocno naciągnięta i pękająca gumka recep-turka, energia poleciała ku niemu, uderzając z taką siłą, że oboje z Finley upadli na podłogę.

Griffin ledwo złapał dziewczynę, wciąż pod naporem eterycznej energii. Przy tak obniżonej osłonie, Eter rzucił się na niego. Duchy - tym zawsze zdawały mu się występujące tu dziwne istoty - tłoczyły się dokoła, milion głosów mówiło jednocześnie. Niektóre płakały, inne krzyczały, a niektóre ledwo szeptały.

Energia wypełniła go jak przyływ. Kordelia i Finley wymieniły tak duże pokłady energii, że teraz pozostawała ona w ciągłym ruchu. Griff odciągnął tę moc, ale nie nadał jej żadnego kierunku, wirowała w nim zatem z siłą huraganu, uwięziona w jednym ciele, zamiast krążyć między dwoma. Dla płaszczyzny eterycznej był otwartą bramą, a nie tylko zamkniętym wizjerem. A bardzo chciała się wydostać.

Z trudem stanął na nogach, ledwie świadom dwóch nieprzytomnych kobiet leżących na podłodze. Musiał wyjść z domu.

Griff pobiegł do drzwi prowadzących do ogrodu. Moc strzeliła łukiem z jego dłoni, niemalże wyrywając drzwi z zawiasów, kiedy sięgnął do klamki.

Zbiegł w dół po niskich kamiennych stopniach, a gwałtownie pulsująca w nim moc pchnęła go na przelaj, po świeżo skoszonym trawniku. Potknął się, ale nie zwolnił biegu; zaczynał mu się rozmywać wzrok. Czuł w głowie rozsadzające ciśnienie.

Eter rozrywał go na kawałki.

Celem Griffa była ogrodowa sadzawka — bardzo malownicza, z posągami i otaczającym ją idealnie przyszyżonym żywopłotem. Jeszcze tylko czterdzieści stóp — woda wszystkiemu zaradzi. Griffin znowu się potknął. Kończył mu się czas. Miał wrażenie, jakby zaraz miała mu pęknąć czaszka.

Już prawie.

Jego stopy pożerały odległość. Widział już krawędź sadzawki, rozmazaną i zwielokrotnioną. Przed oczami tańczyły mu różnobarwne plamy.

Gdy jego buty dotknęły kamiennego brzegu, Griff rzucił się do przodu i zaczął spadać. Boże, miał nadzieję, że dobrze wyliczył. Jeśli uderzy w ziemię...

Trafił jednak w wodę, a szok zadał mu w pierś lodowaty cios. Otworzył usta, woda zagłuszyła jego krzyk, gdy Eter się wydostał. Potem wszystko spowiała czerń.

ROZDZIAŁ 9

Eksplozja obudziła Finley. Półprzytomna, podniosła się na kolana i opierając o biurko, wstała. Czuła się tak, jakby ktoś ją kilka razy kopnął w głowę. Obok odzyskiwała przytomność lady Marsden. Twarz starszej kobiety pokrywała krew. Powoli usiadła, wzrokiem omiotła pokój, a wierzchem dłoni odruchowo wycierała nos. Spojrzała na Finley, jej oczy otworzyły się szeroko. -Griffin...!

Finley nie myślała, po prostu zareagowała. Wiedziała, że ten straszny hałas, który wyrwał ją z omdlenia, miał związek z Griffinem. Strzaskane szkło szyb z drzwi leżało porozrzucone na mokrych kamiennych stopniach. Musiał wybiec tędy do ogrodu.

Cały ogród wyglądał tak, jakby spadła na niego gwałtowna ulewa, mimo że na niebie świeciło słońce.

Na drugim jego końcu, gdzie znajdował się stawek, unosiła się mgła. Tam właśnie pobiegła Finley, mimo że każdy krok wstrząsał jej ciałem i przez potworny ból głowy zbierało jej się na wymioty.

Gdy dotarła do sadzawki, zrozumiała, że to nie była mgła, lecz gorąca para, która parzyła skórę, kiedy szła w stronę kamiennego brzegu.

Na dnie sadzawki pozostały najwyżej dwa cale wody, a na samym środku leżał przemoczony do suchej nitki Griffin. Para unosiła się nad nim jak nad czajnikiem, w którym właśnie gotuje się woda.

- Griffin!

Nie przejmując się butami ani własnym bezpieczeństwem, Finley wskoczyła do opróżnionej sadzawki, a gorąca woda opryskała jej nogi, parząc przez pończochy. Zasyczała z bólu, ale nie wycofała się.

- Griffin?

Kucnęła przy nim, ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła jego ociekających wodą włosów. Poruszył się, a potem wolno podniósł na kolana.

Nadal miał zwieszoną głowę, ale widziała, jak jego usta wygięły się w uśmiechu.

- Finley - głos Griffina był zduszony i chrapliwy, jak gdyby oparzył sobie gardło. - Nic ci nie jest.

Nagle wszystko zrozumiała: powstrzymał atak Kordelii na jej umysł, a wszystko było wynikiem tego, co zrobił. Pocałowałyby go tu i teraz, powstrzymywała ją tylko myśl, że jego usta mogłyby ją oparzyć.

Podparła Griffa, kładąc sobie jego ramię na karku i zaciskając zęby, kiedy gorąca woda przesiąkła przez jej ubranie aż do skóry. Jej druga strona obudziła się po części — pozwoliła na to, bo trochę łagodziła odczuwany ból.

- Dasz radę wstać? - zapytała, obejmując Griffa w pasie.

Skinął głową. Podnieśli się z trudem. Finley czuła, jak chłopak drży. Ten uparty kłamczuch wcale nie mógł utrzymać się na nogach. Schyliła się i drugą rękę ułożyła za jego kolanami, dźwigając go i niosąc w ramionach jak dziecko do brzegu sadzawki.

- Finley... - powiedział.

- Tak, Griffinie?

- Postaw mnie, proszę - w jego głosie pobrzmiwał śmiech. Spojrzała na niego. Ich twarze były tak blisko, że rzeczywiście mogłaby go pocałować, gdyby tylko chciała. Miał naprawdę ładne usta, które do tego uśmiechały się do niej.

- Proszę - powtórzył. - Choć jest to bardzo miłe, nie pozwolę się wnieść do własnego domu przez dziewczynę, która waży przynajmniej trzydzieści funtów mniej ode mnie.

Ciepło, które nie miało nic wspólnego z parą, napłynęło do jej policzków.

- Wybacz.

Nie postawiła go jednak na ziemi, dopóki nie wyszła z sadzawki, a potem wciąż go podtrzymywała,

obejmując ręką w pasie, podczas gdy on zarzucił ramię na jej kark. Jego męskiej dumie najwyraźniej nie przeszkadzało to, że *opierał się* o dziewczynę ważącą o trzydzieści funtów mniej.

— Co się stało? — zapytała, gdy niespiesznie szli w stronę domu. Para rozwiewała się powoli, ostatnie białe pasma wiły się nad trawą.

Griffin westchnął.

— Mówiąc prosto, wstąpiłem na płaszczyznę eteryczną i żeby przerwać połączenie psychiczne, pochłonałem energię, która przepływała między tobą i ciotką Kordelią. Woda pomaga w rozproszeniu jej nadmiaru, więc wskoczyłem do stawu. — Spojrzał przez ramię. — Będę musiał go na nowo napełnić.

— Płacisz ludziom, żeby robili to za ciebie — przypomniała mu ostrym tonem. - I nie powinieneś wystawiać się dla mnie na takie niebezpieczeństwo.

Spojrzał na nią kątem oka — a ona zrobiła dokładnie to samo w tej samej chwili.

— Jeśli nie dla ciebie, to dla kogo? — zapytał cicho. Finley odwróciła wzrok.

— Dziękuję — wymamrotała. Oczywiście, zapewne chciał uratować swoją ciotkę, ale poświęcił się też dla niej. Nikt nigdy czegoś takiego dla Finley nie zrobił.

— Może to nie najlepszy czas, żeby o to pytać - powiedział, kiedy zbliżali się już do domu — ale czy może zwróciłaś uwagę, jak mnie podnosiłaś, czy twoja druga strona była aktywna?

Finley zatrzymała się, przez co i Griff musiał stanąć. Była tak zdumiona, że przez kilka sekund nie mogła powiedzieć ani słowa.

— Nie wiem. Czułam ją wcześniej. Pozwoliłam jej zabrać ból, ale potem... Ale nie mogłabym być bez niej taka silna!

Griffin uśmiechnął się do niej, ukazując proste, białe zęby. Krople wody kapały z jego włosów. Miał zaróżowione policzki, przez co jego oczy wydawały się jeszcze jaśniejsze.

— Kontrolowałam ją.

Stała tak, patrząc na niego w osłupieniu. Rzeczywiście, *kontrolowała* ją. Nie tylko nie walczyła z nią, dopóki nie odeszła, ale wykorzystała i sprawiła, że tamta mroczna połowa jej pomogła! Jak to zrobiła? Wiedziała tylko, że myślała o Griffinie, a nie o sobie. Ale jeśli udało jej się raz, to chyba będzie mogła zrobić to ponownie?

Podjęli marsz. Griffin stawiał coraz pewniejsze kroki, choć nie zdjął ręki z jej ramion, a ona nie cofnęła swojej z jego pasa. Mimo oparzeń taki bliski kontakt sprawiał jej przyjemność.

— Griffin! - zawołała lady Marsden z tarasu. Byli z nią Emily i Sam. Kordelia starła z twarzy większość krwi, choć wokół nosa i brody wciąż można było dostrzec ślady czerwieni.

Sam — bosy i ubrany tylko w luźną koszulę i spodnie — wyszedł do przodu, kiedy zbliżyli się do tarasu. Griffin puścił Finley, więc ona też cofnęła rękę z jego

talii. Po kamiennych stopniach wszedł sam, unosząc odmownie dłoń, kiedy przyjaciel chciał mu pomóc.

— Dam sobie radę, Sam.

Czy to wyobraźnia, czy Sam się skrzywił? Odmowa Griflina dotknęła go osobis'cie. Czuł się pewnie winny z powodu swojej nieobecności, kiedy przyjaciel go potrzebował? I dobrze. Finley nie znała szczegółów ich sporu, ale do pewnego stopnia rozumiała Sama. Chciała też kopnąć tego behemota za to, że się tak nad sobą uzał.

Lady Marsden podbiegła do bratanka, by go uściskać. Spojrzenie kobiety podążyło nad jego ramieniem ku Finley. Dziewczyna chciała odwrócić wzrok, ale skrucha, jaką dostrzegła w oczach telepatki, zaskoczyła ją. Kiedy lady Marsden puściła Griflina, podeszła do Finley i wyciągnęła do niej rękę.

— Chciałam cię przeprosić, panno Jayne, za to, że zachowałam się tak lekkomyślnie, narażając nasze zdrowie. Zachowywałam się względem ciebie okropnie od pierwszej chwili, a nie zasługujesz na to.

Finley wahała się chwilę, zanim podała jej rękę.

— Co sprawiło, że zmieniła pani zdanie?

— Twój umysł - odparła kobieta. — Może i jesteś rozłamana, ale nie jesteś zła. Wiem już, że nie stanowisz zagrożenia dla mojej rodziny.

Serce Finley zabiło szybciej.

— Czy to znaczy, że ja nie... Lord Felix...? - Nie mogła tak po prostu spytać, czy nie jest morderczynią.

Lady Marsden poklepała jej dłoń pocieszająco.

— Nie. Nie zrobiłaś tego. Tyle zdołałam zobaczyć. Napięte mięśnie Finley rozluźniły się nagle z ogromnej ulgi.

— Dziękuję. — Nie miało znaczenia, jak bezwzględnie lady Marsden wydobyła tę informację z jej umysłu, ale teraz Finley już знаła prawdę i mogła przestać się zadrećzać myślą, że komuś odebrała życie.

Lady Marsden puściła jej nadgarstek z wymuszonym uśmiechem, po czym zwróciła swoją uwagę na bratanka. Objęła Griffina ramieniem i zaprowadziła go do domu. Kiedy Finley podeszła do drzwi, zauważyła, że zostały doszczętnie zniszczone. Czy zrobiła to moc Griffina, czy może wyskoczył przez nie? Nie widziała na nim żadnych skaleczeń, więc mogła tylko zakładać, że pierwsza opcja była poprawna.

Emily wzięła Finley pod rękę i uśmiechnęła się.

— Chodź ze mną, dziewczyno. Znajdę coś na te oparzenia.

Oparzenia wkrótce by się zagoiły, ale Finley nic nie powiedziała. Czowała się tak, jakby naprawdę pasowała do tego domu i do tych ludzi. Poczowała się tak po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. Akceptowana. Chciana.

Jak długo to potrwa?

Później tego dnia, po kąpieli, posiłku i drzemce, Griffin zszedł na dół z zamiarem użycia Eteru do znale-

zienia jakichś śladów w sprawie śmierci lorda Felixa. Nie wystarczyło, że Kordelia dostrzegła dowód niewinności Finley w jej umyśle. Scotland Yard z reguły wymagał bardziej „fizycznych” dowodów. Gdyby Griffin trafił na jakiś trop, mógłby przynajmniej dać konstablowi Jonesowi wskazówkę, w jakim kierunku ma szukać, odsuwając wszelkie podejrzenia od Finley.

Oczywiście bardzo wygodne było to, że Scotland Yard wątpił, by dziewczyna ważąca niecałe sto funtów — nie więcej niż młody żrebak — miała dość siły, żeby zadusić młodego mężczyzną postury lorda Felixa.

Niestety, stolarze wciąż naprawiali drzwi w gabinecie, więc wykorzystanie silnika eterowego nie wchodziło w grę przez jakiś czas. Griff nie chciał tam żadnych wścibskich oczu. Służba wiedziała, że ta dziwna maszyna tam stoi, ale nikt nigdy nie widział, jak książę z niej korzysta, i Griffin wolał, żeby tak pozostało.

Zbliżała się pora podwieczorku, więc udał się do niebieskiego salonu. Zaskoczył go widok samotnej Finley. Spojrzała na niego, zdenerwowana jego obecnością, jak gdyby to, co wydarzyło się wcześniej, bardziej ich rozdzieliło, niż zbliżyło.

— Emily mówiła, że przyjdzie, tylko musi się przebrać. Była w swoim laboratorium — wyjaśniła niepotrzebnie Finley. - Sam też ma przyjść, jak już skończy trening. Z tego, co wiem, twoja ciotka odpoczywa.

Griffin uśmiechnął się w, jak miał nadzieję, uspokajający sposób.

- A my jesteśmy tutaj i nic nie robimy. Kąciki jej ust uniosły się lekko.

- Tak, bo takie już z nas lenie.

Nie chciało mu się wkładać surduta, więc nie musiał uważać na poły, kiedy usiadł obok niej na sofie. Co ciekawe, żałował, że nie poświęcił więcej czasu swojemu strojowi, ale z drugiej strony Finley nie była dziewczyną, na której wrażenie wywarłby nienaganny węzeł fularu, choć zdawała się lubić patrzeć na jego szyję. Mimo to czuł się dość skromnie, mając na sobie tylko spodnie, koszulę i szelki.

Finley ubrana była w jedną z orientalnych sukienek, które dla niej kupił. Włosy koloru miodu upięła w luźny kok przy pomocy, jak się zdawało, ołówka. Zanotował w myśli, że musi jej kupić spinki do włosów i inne błyskotki, których potrzebują młode kobiety.

- Skąd wzięła się ta czerń? - Wskazał na ciemniejsze pasmo jej włosów. Co dziwne, wydawało się dłuższe niż wcześniej tego dnia.

Zawstydzona Finley uniosła dłoń do włosów.

- Nie wiem. Tak już było, kiedy się dzisiaj obudziłam. Możliwe, że po prostu wcześniej jej nie zauważyłam. Nie jest sztuczna.

- Ciekawe. - Uśmiechnął się. - Pasuje ci. Sprawia, że wyglądasz bardzo tajemniczo.

Zdawało mu się, że się zarumieniła, słuchając jego przekomarzania.

— Zanieczywałem cię — powiedział. — I bardzo cię za to przepraszam. Jutro rano spotkamy się w bibliotece i zaczniemy pracować nad tym, żebyś mogła to lepiej kontrolować.

Spojrzała na niego zakłopotana.

— Kontrolować? To znaczy... że będę już taka zawsze?

Może było to niestosowne, ale i tak wziął jej dłoń w swoją. Za dużo przeszli, żeby teraz miał się sztywno trzymać zasad obyczajności.

— Alchemia twojego ojca sprawiła, że stałaś się dwiema połówkami jednej całości, to przełamało twoją osobowość. Uważam, że właśnie dlatego masz teraz takie problemy ze swoją drugą naturą. Nie zachowujesz równowagi. Dwie połówki muszą zostać złączone w jedną całość.

Finley nie wyglądała na zadowoloną.

— Co, jeśli kontrolę przejmie mroczna ja?

— Nie przejmie, a nawet jeśli, to niebawem znów zaczęłaby się przebijać twoja druga strona. Nie wolałabyś kontrolować obu części, zamiast ciągle się tym przejmować?

Finley pomyślała przez chwilę, w roztargnieniu przygryzając paznokieć kciuka. Spostrzegła się, opuściła rękę i zacisnęła palce.

— Tak. Wolałabym.

Griffin uśmiechnął się szeroko, zadowolony z tego, że słyszy w jej głosie taką determinację.

— Moja dziewczyna! — Nie chciał, żeby zabrzmiało to tak własnościowo, ale tak właśnie było. Odwrócił twarz, żeby Finley nie zauważyła jego zażenowania. Sama zresztą też była zawstydzona. Po chwili znów zwrócił się do niej. — Przepraszam. Chciałbym cię też przeprosić za to, co zrobiła ci ciocia Kordelia.

— Nie rób tego. Już poprosiła mnie o wybaczenie i je uzyskała.

— Bardzo dobrze postąpiłaś. Parsknęła.

— Dobro nie ma tu nic do rzeczy. Gdyby tego nie zrobiła, wciąż bym się zastanawiała, czy nie zabiłam lorda Felixa.

Jej bezpośredniość trochę go zszokowała, mimo że również rozbawiła.

— Wygląda na to, że jednak wynikło z tego coś dobrego. Jak twoje oparzenia? — Bardzo nie podobało mu się to, że sama się naraziła, żeby mu pomóc. Od śmierci rodziców niewiele osób pomagało mu bezinteresownie i wszystkie mieszkały w tym domu.

Uniosła rękę do karku. (Drugą wciąż trzymał Griffin).

-Już prawie zniknęły. Emily posmarowała je jakąś maścią, a poza tym wygląda na to, że ojciec podarował mi niechcący zdolność szybkiego gojenia.

— Nie mówiąc już o zdolności podniesienia stu sześćdziesięciu funtów bez większego wysiłku - przypomniał jej Griff z zadziornym uśmiechem.

— Stu sześćdziesięciu? — Uniosła brwi. — Chyba trochę więcej, skoro byłeś całkiem przemoczony i w ubraniu.

Rumieniec oblał jej twarz aż po linię włosów, a Griffin ugryzł się w policzki od wewnątrz, żeby się nie rozeźmiać. Nie potrzebował zdolności Kordelii, by wiedzieć, że jej własna uwaga sprawiła, iż wyobrazila go sobie bez ubrania.

— Prosiłem, żebyś mnie postawiła, jeśli dobrze pamiętasz - przypomniał jej, kierując rozmowę na mniej krępujące dla Finley tematy. Spoważniał. - Dowiem się wszystkiego, czego będę mógł, o morderstwie lorda Felixa.

Zmarszczyła swoje kształtne brwi.

— Dlaczego? Przecież wiemy, że to nie ja go zabiłam.

— Ale Scotland Yard tego nie wie. Jeśli będę mógł im dać dowody prowadzące gdzie indziej, poczuję się znacznie lepiej, wiedząc, że na stałe skreślili cię z listy podejrzanych.

Pochwyciła jego spojrzenie.

— Dziękuję. Za wszystko.

Nikt nigdy jeszcze nie spojrzał na niego tak, jakby był odpowiedzią na wszystkie modlitwy. Było to bardzo onieśmielające. Było alarmujące. Było... *pociągające*. Pochylił się bliżej, prawie ulegając pokusie, która męczyła go, od kiedy pierwszy raz zobaczył tę dziewczynę.

Chciał pocałować Finley Jayne. Czy to by nie skomplikowało sytuacji?

Na szczęście Finley nie zauważyła jego nagłej bliskości, a jeśli tak, to zupełnie inaczej ją zinterpretowała. Oparła głowę o sofę i zwróciła swój wzrok na Griffa.

— Czy to potworne, że poczułam ulgę na wiadomość o jego śmierci?

To pytanie było jak wiadro zimnej wody. Szok natychmiast ustąpił, pozostawiając Griffa z nieznacznym poczuciem winy. Biedna dziewczyna. Musiała się strasznie zadrećzać, myśląc, że zabiła tę nędzną kreaturę, jaką był lord Felix, a teraz czuła się winna, bo go jej nie było żal.

— Nie — powiedział jej szczerze. - To nie jest potworne. Pewien jestem, że nie tylko ty tak się czujesz.

Uśmiechnęła się cierpko.

— Nie, pewnie nie. Skrzywdził wiele osób. — Ich spojrzenia znów się spotkały. — Wiem, że to straszne cieszyć się, że ktoś nie żyje, ale myślę o tym, co mogło się stać, gdyby dalej działał...

— Ile jeszcze osób by skrzywdził — dokończył cicho Griffin. Bogowie, jak bardzo chciałby tu mieć August-

-Raynesa, żeby móc tej kanalii poluzować zęby. Finley skinęła głową.

— Nie winię go za to, co mi zrobił. To znaczy przez chwilę winiłam, ale on nie był wtedy sobą. Nie wiedział, co robi.

Griffin wybuchnął ostrym śmiechem.

— Za łatwo wybaczasz.

— Czyżby? — odparła. — Od kiedy to odpowiedzialny może być napój?

- Podziwiam to, że szukasz dobra w każdym człowieku, ale pozostaje faktem, że on był okropnym utra-cjuszem, który za często lubił sobie wypić i czerpał radość z krzywdzenia ludzi słabszych od siebie.

Miała szeroko otwarte oczy, a jej wzrok wyrażał... złość.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że był aż takim łajdakiem?

Nie rozumiał jej gwałtowności.

- Stanowczo tak. Czytałem sprawozdania długie jak moje ramię, które opisywały, jakim był draniem. Jesteś ostatnią osobą, po której spodziewałbym się, że będzie go bronić.

-Jak mogę potępić człowieka, którego nawet nie znałam? — Finley wyglądała tak, jakby się miała zaraz rozplakać. - Człowieka, którego moja matka szanowała i kochała? Dobry Boże, może cieszy mnie, że on już nie cierpi, ale nigdy nie mogłabym go znienawidzić!

Griffin zamrugał, zaskoczony.

— Chwilę. A o kim mówimy?

Finley zamarła. Powoli otworzyła usta.

- O moim ojcu?

Nie wiedział nawet, czy ma się śmiać, czy przeklinać.

— Ja mówiłem o lordzie Felixie. Niech skonam, Finley, nigdy bym się tak nie wyraził o twoim ojcu. Mój własny uważał go za jednego z najlepszych ludzi i jestem pewien, że się nie mylił.

Jej policzki poróżwiały.

— A ja muszę być okropna, skoro po części cieszę się, że odszedł.

— Nie. Sama powiedziałaś, że jego cierpienie dobiegło końca. Na Boga, musiałaś uważać mnie za zupełnie pozbawionego serca, wierząc, że mówię o twoim ojcu.

Zaśmiała się.

— Odrobinę tak. Cieszę się, że się myliłam. Mówiąc szczerze, nie jest mi przykro, że już nie muszę się przejmować Felixem, a jeszcze bardziej się cieszę, że nie mam go na sumieniu.

Coś się wtedy stało — jakaś drobna zmiana w jej wyrazie twarzy, co sprawiło, że zaraz wyciągnął logiczny wniosek.

— Myślisz, że Dandy to zrobił.

— Nie - odparła natychmiast. - Nie zrobiłby tego. Griffin uniósł jedną brew, starając się przy tym

zachować neutralną minę, ale wewnątrz znienawidził Dandy'ego za to, że w tak krótkim czasie udało mu się zdobyć zaufanie Finley. Czy Griffa broniłaby równie zajadle, gdyby to on znajdował się na miejscu Dandy'ego?

— Pewnie nie — przyznał niechętnie. A potem nie mógł się powstrzymać od dodania: — Dandy nie ubrudziłby sobie rąk. Kazałby to zrobić komuś innemu.

— Nie, gdyby to była sprawa osobista. Griffinowi nie podobało się, że Finley tak świetnie

rozumie charakter Dandy'ego ani też to, że jej słowa zabrzmiały niemal tak, jakby go za to szanowała.

—Jack Dandy to kryminalista, Finley. Niezależnie od tego, jak bardzo byś chciała, żeby było inaczej, nie jest dobrym człowiekiem.

— Niektórzy by powiedzieli, że ja też nie jestem. Niezupełnie - odpowiedziała, zadziornie unosząc brodę. - Widziałeś', do czego jestem zdolna. To nie znaczy, że jestem mordercą, i to samo tyczy się Dandy'ego.

Tu go miała. Westchnął.

— Nie, nie znaczy. Ale jest jednym z najbardziej osławionych bossów przestępczych w tym mies'cie nie bez powodu. Bo *chce* być.

Teraz byli kwita, bo ona też nie mogła się z tym kłócić. Cofnęła dłoń.

— Czemu kłócimy się o Jacka Dandy'ego? Griffin z ociąganiem cofnął też swoją.

— Bo częś'ć ciebie go lubi. Finley uśmiechnęła się gorzko.

— Część mnie chciała też zadusić twoją ciotkę. Myślę, że muszę jak najszybciej przejąć kontrolę nad moją mroczną połową.

Cieszyły go te słowa, ale też czuł ciężar na sercu. Kiedy dwie połówki duszy Finley się połączą, nie będzie już tą słodką dziewczyną, jaka siedzi w tej chwili obok niego. Z drugiej strony przestanie również być tak niebezpieczna jak jej druga tożsamość. Będzie po trochu obiema i może go już wtedy tak nie lubić. On też może ją lubić mniej.

A jednak musieli podjąć takie ryzyko.

Otworzyły się drzwi salonu i do środka weszli Sam, Emily i Jasper, a za nimi dwie pokojówki niosące tace z herbatą, kanapkami i słodyczami. Griffin i Finley zaraz zostali wciągnięci do rozmowy z tamtą trójką, tak więc Griff miał bardzo mało czasu na żałowanie, że nie pocałował Finley Jayne, kiedy miał okazję.

Później tego dnia, powodowana motywami, których nie rozumiała, Finley wysłała wiadomość do pewnego domu w Whitechapel. Zawierała tylko jedną linijkę tekstu: *Powiedz mi, że nie ty to zrobiłeś.*

Czekała na odpowiedź. Była już bezpieczna, ale jednak знаła prawdę o własnym udziale w sprawie śmierci lorda August-Raynesa. A jeśli Dandy zabił lorda Felixa przez to, co mu powiedziała, mimo wszystko była do pewnego stopnia odpowiedzialna za śmierć tego łotra.

Tej nocy nic nie nadeszło, ale następnego ranka, kiedy Finley była sama w jadalni, kamerdyner dostarczył jej liścik na srebrnej tacy. Jej imię, nazwisko i adres napisano na kopercie mocnym, czarnym tuszem. Pieczęć na odwrocie też była czarna, a w wosku odbita została prosta litera D gotyckiego kroju.

Palce jej drżały, kiedy przełamała pieczęć i wyciągnęła gruby, wysokiej jakości papier. Na swoje jednozdaniowe zapytanie otrzymała jednozdaniową odpowiedź:

Oczywiście, że nie, skarbie.

Wrzuciła liścik do kominka i poszła spotkać się z Griffinem w bibliotece. Dostała odpowiedź i nie było nic więcej do dodania w tej sprawie.

Ale jakaś jej część pozostawała niezadowolona. To nie wystarczyło. Jack Dandy zaprzeczył, jakoby zabił lorda Felixa, lecz mroczna część Finley wiedziała, że Dandy jest na tyle sprytny, by po prostu skłamać.

ROZDZIAŁ 10

Następnego ranka do Finley przyszła kolejna przesyłka. Przyniesiono ją rano, kiedy razem z innymi - łącznie z Samem - cieszyła się śniadaniem w całkiem przyjaznej atmosferze. Wyglądało na to, że ratując Griffina, zaskarbiła sobie wdzięczność nie tylko lady Marsden, ale też dużego człekodroida.

- Co to takiego? — zapytała Emily z oczami jak spodki, kiedy Finley przyjęła duże różowe pudełko obwiązane elegancką czarno-różową prążkowaną kokardą.

- Nie wiem - odpowiedziała zgodnie z prawdą. Lady Marsden uniosła jedną brew.

- To z salonu madame Cherie. Cokolwiek to jest, musiało dużo kosztować. - Kiedy Finley wpatrywała

się w nią z otwartymi oczami, dodała z uśmiechem: — No, nie stój tak, dziewczyno. Otwórz!

Rękami drżącymi z emocji Finley rozwiązała wstążkę i przewiesiła przez oparcie sąsiedniego, pustego krzesła. Zdjęła wieko, a następnie rozsunęła delikatną bibułę koloru pudrowego różu...

Westchnęła. Wewnątrz pudełka znajdował się kostium na bal przebierańców - suknia wróżki z opalizujących hebanowych piór, które lśniły głębokim fioletem, bogatą zielenią i jasnym błękitem. Do sukni dołączona została maska do kompletu.

— To najwspanialsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam — wyszeptała Emily.

Finley była skłonna się z tym zgodzić. Zdecydowanie nigdy jeszcze nie miała czegoś tak ekskluzywnego. Nawet gors sukni był tego samego koloru co pióra — jak upierzenie pawia.

Zdumiona uniosła wzrok znad sukni, by zobaczyć grymas na twarzy Griffina i tajemniczy uśmiech na twarzy jego ciotki.

— Zdaje się, że masz wielbiciela, panno Finley. To bardzo odważne z jego strony, posłać ci tak ekstrawagancki prezent.

— Przeczytaj bilecik — zasugerował Griffin zduszonym głosem, jakby mówił przez zaciśnięte zęby. Czyżby był zazdrosny? Ten pomysł zdawał się zbyt nieprawdopodobny, by był prawdziwy, a jednak Griff sprawiał wrażenie zdecydowanie niezadowolonego. Albo był zazdrosny, albo uważał, że cała ta sytuacja

jest nieodpowiednia — bardzo niestosowne było, żeby dżentelmen wysyłał taki prezent dziewczynie. Było to raczej coś, co mężczyźni kupowali swoim kochankom.

Nagle Finley wystraszyła się. Nie chciała otworzyć bileciku. Piękny kostium stracił swój urok przez sposób, w jaki został dostarczony. Jednak wszyscy ją obserwowali, więc nie miała innego wyjścia, jak tylko podnieść małą kopertę i wyciągnąć z niej kartkę.

Włóż to dziś wieczorem. Przyjdę po ciebie o dziewiątej. Idziemy na bal Pick-a-Dilly.

Jack

— Od kogo jest ten prezent? - zapytał Griffin niskim głosem.

Finley zerknęła na niego, a serce waliło jej jak młotem. Odchrząknęła.

— Od Jacka Dandyego — wyszeptała.

Griffin nic nie powiedział, lecz widziała, jak zbieleły mu kłykcie, kiedy mocno chwycił filiżankę z kawą. Twarz miał nieruchomą jak głaz, ale oczy ciskały gromy.

— Nie możesz iść — wypalił Sam. - To nie jest odpowiednie miejsce dla dziewczyny.

Emily zmarszczyła brwi.

— Och, ale pewnie ty byś mógł pójść, tak, Samuelu Morganie?

Muskularny młodzieniec zaczerwienił się.

— To niebezpieczne, Em. Mężczyźni mogą lepiej się bronić.

—Ja potrafię się lepiej bronić niż większość mężczyzn - przypomniała mu ostro Finley. Nie lubiła, kiedy jej mówiono, co ma robić - a ta druga część niej bardzo chciała się wybrać na ten bal. Nigdy na żadnym nie była — niejako gość. Siedziała tylko w głupiej służbówce z innymi pokojówkami, wystukując rytm muzyki stopą i popijając ciepłą lemoniadę, ale nigdy nie była jedną z tancerek czy debiutantek w pięknej sukni.

— Oczywiście zrobisz, co będziesz chciała - powiedział Griffin, a jego głos wciąż brzmiał dziwnie nisko. — Nikt tu nie będzie twierdził, że nie jesteś w stanie o siebie zadbać, gdyby zaistniała taka potrzeba.

Finley patrzyła na niego. Czy mówił poważnie, czy też były to puste słowa? I czemu jakaś część jej chciała, żeby zażądał, by nie poszła na ten bal? Chciała, żeby zachował się jak tyran, kazał jej zwrócić suknię Dandy'emu i nigdy się już z nim nie spotykać.

— To może okazać się korzystne — zauważyła lady Marsden swobodnie (nawet trochę za swobodnie). — Na ten bal przyjdzie sporo przedstawicieli londyńskiego półświatka, jak i sporo osób z klas wyższych. Idealne miejsce do uzyskania informacji na temat Ma-chinisty i jego planów.

Finley czytała o Machiniście w gazetach. To jego peelerzy podejrzewali o spowodowanie ostatnich awarii automatów. Kątem oka spojrzała na Sama. Twarz miał napiętą i bladą, ale poza tym obojętną. Powin-

no mu chyba zależeć na znalezieniu mężczyzny stojącego za atakiem, wskutek którego niemal stracił życie? Więc wyświadczyłaby mu tym swoistą przysługę, prawda? Gdyby poszła.

Ale to Emily ją w końcu przekonała — nie gniewny Griffin, zraniony Sam czy nawet przebiegła lady Marsden. To drobna Emily w spodniach, z niesfornymi lokami i przykrótkimi paznokciami. Wstała z krzesła i obeszła stół, żeby zobaczyć, co się znajduje w pięknym pudełku. Bładą dłonią pogładziła przepiękny gors sukni.

— Będiesz wyglądać jak księżniczka — wyszeptała, a jej głos przeszedł w westchnienie.

Tak - pomyślała Finley. Tak właśnie będzie wyglądać. I pewnie też tak się będzie czuć, do tego na balu, na którym szemrana część Londynu bawi się z arystokracją i wszystkim pomiędzy, gdzie Jack Dandy będzie na swój sposób księciem.

Pochwyciła spojrzenie Griffina, pewnie zadzierając brodę. W końcu on jej nie zaprosił. Wszyscy by pomyśleli, że jest jego kochanką - albo prostytutką — gdyby się z nią pojawił. Ale Jack Dandy mógł ją zabrać na bal bez takich problemów. Jack Dandy był z jej warstwy społecznej, a Griffin King nie.

- Masz rację, powinnam zrobić to, co zechcę — powiedziała, panując nad drzeniem głosu. - I to też zrobię.

Griffin nie lubił uciekać się do przemocy. Dzięki swoim talentom rzadko musiał wykorzystywać siłę pięści. Mimo to musiał prezentować tężyznę fizyczną, jak to powszechnie było przyjęte wśród klas wyższych. Wielu znanych mu młodych mężczyzn preferowało boks czy szermierkę, ale on sam trenował wedle zasad jujitsu. Była to pochodząca z Japonii sztuka walki, w której samurajowie wykorzystywali swoje ręce i ciała jako broń w miejsce mieczy lub broni palnej.

Ostatnio Jasper Renn podzielił się z nim wiedzą na temat kung-fu, którego podobno nauczył się w San Francisco. Odbywali ze sobą sparingi, ucząc się nawzajem różnych ciosów i pozycji. Griffinowi podobały się fizyczne i umysłowe aspekty obu sztuk walki i pewnego dnia zamierzał odbyć podróż do Chin i Japonii, by móc się uczyć od prawdziwych mistrzów.

Ciężko oddychał i pocił się, mimo że był nagi od pasa w górę. Ubrany tylko w spodnie - nawet stopy miał bose — zmagął się z niewidocznym przeciwnikiem.

Może powinien nauczyć tak walczyć Finley? Może wtedy uznałaby go za równie pociągającego i niebezpiecznego jak Jack-cholerny—Dandy. Bo co właściwie tkwi w takich mężczyznach, że dziewczynom na ich widok mięknią kolana i pustoszeje głowa? Ktokolwiek spłodził tego szubrawca, na pewno był człowiekiem majątnym i o wysokiej pozycji, bo było go stać na to, żeby zapewnić swojemu nieprawemu synowi najlepszą edukację dostępną w Anglii.

— To chyba nie fair tak walczyć ze swoim cieniem -zabrział rozbawiony głos ciotki. — W końcu nie może się nawet bronić.

Podnosząc koszulę, Griffin wytarł nią twarz i klatkę piersiową, zanim wsunął ręce w rękawy.

— Radzi sobie — odparł z wymuszoną lekkos'cią. Kordelia uśmiechnęła się, podchodząc do niego.

— Po poprzednim dniu dziwi mnie, że masz dość sił, żeby ruszyć palcem, a co dopiero ćwiczyć.

Griffin wzruszył ramionami.

— Czuję się dobrze. — Właściwie to czuł się wspaniale, co zdawało się przeczyć wszystkim jego teoriom, że Eter pozbawia go sił życiowych. A jednak przy innych okazjach miewał wrażenie, jakby stracił dziesięć lat życia.

— Wyśmienicie. Pomyślałam sobie, że może dobrze by było, gdybyś też udał się na bal Pick-a-Dilly. Zobaczyłbyś, czego możesz się dowiedzieć o Machiniście i jego *machinacjach*, z braku lepszego słowa.

Zmarszczył brwi, dostrzegając w jej spojrzeniu coś, co nie do końca mu się podobało, i czując w umyśle lekką zachętę, by się z nią zgodzić.

— Taki mam zamiar, ale to nie jedyny powód, dla którego proponujesz mi wyjście. Ten powód musi być niezwykle istotny, bo inaczej nie wchodziłabyś do mojej głowy, a wielokrotnie cię prosiłem, żebyś tego *nie* robiła.

Większość osób odwróciłaby wzrok, słysząc ten ostry ton, ale Kordelia wzruszyła tylko ramionami

i wytrzymała jego spojrzenie. Griff w przeciwieństwie do innych wyczuwał jej wtargnięcia i to ją ogromnie irytowało.

- Dobrze może ci zrobić zobaczenie panny Jayne wśród jej podobnych.

- Wśród jej podobnych? Powiedziałaś to takim tonem, jakby była plebejuszka.

Mina ciotki była znacząca, a intencje nietrudne do odgania.

- Dużo jej do tego nie brakuje, GriffEnie. Owszem, jest to wyjątkowa dziewczyna. Jak również bardzo ładna i intrygująca. Rozumiem, czemu cię pociąga, ale swoimi względami przysporzysz jej więcej szkody niż pożytku.

Skrzyżował ręce na piersi w klasycznej pozie obronnej, ale nie mógł się powstrzymać przed zapytaniem:

-Jak to?

— Sam i Emily mogą być bez problemu wzięci za twoich pracowników, ale to, w jaki sposób patrzysz na pannę Jayne... Cóż, natychmiast widać, że ci się podoba.

Policzki Griffina poczerwieniały.

— I co z tego? Kordelia podeszła bliżej.

— Okaż jej względy, a ludzie zaczną plotkować. Z góry założą, że łączy was coś niestosownego — zwłaszcza że mieszka w twoim domu. Masz ją ochraniać, Griffinie. Nie chcesz przecież wykorzystać swojej

pozycji albo choćby stwarzać takich pozorów. Reputacja Finley została na zawsze zrujnowana. - Na twarzy ciotki odmalowała się troska. - Ona nie jest dla ciebie, mój drogi.

Była to jedna z tych chwil, kiedy Griffin miał ochotę zachować się jak rozpuszczony bachor - tupnąć nogą i oznajmić, że jest księciem i może robić, co mu się podoba. Ale to by było zbyt samolubne. Oczywiście mógł robić, co chciał, ale to Finley by przez to ucierpiała.

Zahaczył kciukami szelki wiszące luźno przy spodniach i założył je na ramiona.

— Nigdy nie przejmowałaś się obyczajnos'cią, ciociu Delio. Skąd ta nagła troska?

Ostre rysy Kordelii złagodniały od smutku.

— Bo chcę, żebyś ustatkował się pewnego dnia z normalną dziewczyną, a nie z taką, przez którą możesz zginąć albo jeszcze gorzej — która zniknie bez śladu i będziesz się zastanawiał, co się z nią stało. Czy żyje, czy nie, jest bezpieczna czy może cierpi?

Niemożliwe było złościć się na Kordelię, kiedy tak otwarcie opowiadała o swoim życiu. Nie chciała, żeby doświadczył podobnego bólu, z jakim ona żyła na co dzień, zastanawiając się, czyjej mąż jeszcze żyje. Wciąż żywiąc nonsensowną nadzieję.

Griffin przytulił ją, nagle zdając sobie sprawę z tego, jak dużo jest od niej wyższy, a ona, kobieta, którą zawsze uważał za tak niezwykle potężną, zdawała się krucha i drobna w jego ramionach.

— Daję słowo, że będę ostrożny, ale nie mogę obiecać nic więcej. Nie mogę nakazać sercu, co ma czuć.

Gdyby to było tak proste, to zaraz kazałby swemu nierozważnemu sercu zapomnieć o Finley Jayne, gdyż dało się łatwo zauważyć, że z kolei jej serce biło dla kogoś' innego.

Finley miała tylko nieco ponad godzinę do przybycia Jacka Dandy'ego, a stała w swojej sypialni ubrana jedynie w krótką jedwabną koszulę, używając lokówki do włosów. Doświadczenie zdobyte w czasie pracy pokojówki bardzo jej się przydawało przy przygotowaniach do wyjścia na bal. Mogła poprosić o pomoc jedną z tutejszych służebnych — ale po co, skoro sama była w stanie sobie ze wszystkim poradzić?

Poza tym nie chciała dawać Griffinowi kolejnych powodów do złośczenia się na nią. Od śniadania zamienił z nią ledwo kilka słów.

Od kiedy dostarczono prezent od Jacka.

Spojrzała na kostium wiszący w otwartej szafie. Nawet w przytłumionym świetle lampy pióra mieniły się pięknymi barwami.

Poczucie przyzwoitości nakazywało jej grzecznie odtrącić zaloty Dandy'ego razem z zaproszeniem na bal, ale tak bardzo pragnęła tam iść... Chciała też, żeby Griffin zobaczył ją przed wyjściem, żeby przekonał się, jak ona pięknie wygląda w tej kreacji. Czy to takie złe?

Bez wątpienia, ale nie powstrzymało jej przed pragnieniem tego w głębi ducha.

Unosząc lokówkę ze ślicznego grzejnika, który to zestaw podarowała jej matka na ostatnie urodziny, Finley umieściła ostatnie proste pasmo włosów między cylindrem a zakrzywioną klamrą i szybko zawinęła. Uważała przy tym, żeby nie przyłożyć żelazka za blisko skóry. Może i szybko goją się jej rany, ale to nie znaczyło, że oparzenie nie będzie bolało.

Kilka chwil później oswobodziła włosy z lokówki i do pozostałych dołączył kolejny doskonale zakręcony pukiel. Kilka pociągnięć szczotką, żeby wygładzić przód, i Finley mogła zacząć układać wymarzoną fryzurę, upinając włosy w odpowiednich miejscach. Kiedy skończyła, część loków opadała jej na plecy, a inne okalały twarz delikatnymi sprężynkami. Doskonale -poza tym dziwnym czarnym pasmem. Czyżby było dłuższe...?

Finley właśnie miała włożyć swój piękny, czarny koronkowy gorset, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? - zawołała, sięgając szybko po szlafrok i zarzucając go na siebie.

— Emily — zabrzmiała stłumiona odpowiedź. — Mam coś dla ciebie.

Finley była zaintrygowana. Coś dla niej?

— Wejdz.

Drzwi otworzyły się i Emily weszła do środka, niosąc średniej wielkości pudełko.

— Ach, jeszcze się nie ubrałaś.

Nigdy się nie spodziewała, że usłyszy od kogoś te słowa, a zwłaszcza od dziewczyny.

— Czy mogłabyś mi pomóc z gorsetem? Emily uśmiechnęła się.

— Właśnie po to tu jestem. - Postawiła pudełko na łóżku i zdjęła wieczko. - Zrobiłam to specjalnie dla ciebie.

Finley otworzyła usta ze zdumienia, kiedy Emily uniosła najniezwyklejsze urządzenie, jakie kiedykolwiek widziała.

— Czy to... czy to *gorset*?

Uśmiechając się szeroko, Emily skinęła głową.

— Podoba ci się?

Finley podeszła bliżej, ostrożnie wyciągając dłoń, żeby dotknąć zimnego metalu. Stalowy gorset — cienkie, błyszczące paski z wytłoczonymi kwiatami i liśćmi, które złączone zostały drobnymi zawiasami, by umożliwić swobodne poruszanie się. Małe koła zębate i inne elementy ozdobne zostały przyłutowane w miejscach, gdzie między paskami występowały większe przerwy. Gorset wyglądał jak ogród kwiatów z przemysłowego metalu.

— Szczeliny są na tyle małe, że kule i większość ostrzy się nie przedostanie, a jeśli ktoś cię uderzy, to drań połamie sobie palce.

Pewna część Finley postrzegala gorset jako odrobinę przerażający, ale piękny. Druga strona nie mogła się doczekać, żeby go włożyć. W rzeczywistości była to zbroja. Normalna dziewczyna nie powinna w ogó-

le potrzebować pancerza, ale taka, która często igrała z niebezpieczeństwem i chciała ochraniać siebie i przyjaciół, od razu go polubiła.

— Pomyślałam, że mogłabyś go dzisiaj włożyć — powiedziała Emily, posyłając jej niepewne spojrzenie. — Podoba ci się?

— Och, Emily! - Finley objęła ją w nieczęstym przypiływie emocji. — Jest cudowny! Wybacz mi, że wcześniej tego nie powiedziałam. Byłam zbyt oczarowana, żeby mówić.

Emily westchnęła w jej uścisku.

— O, to dobrze! Teraz nie będę się aż tak martwić, kiedy cię nie będzie.

Finley jeszcze raz ją uścisnęła za te słowa.

— To pomóż mi go założyć.

Z tyłu gorset miał zwykłe metalowe oczka i tasiemkę, żeby można go było dopasować do sylwetki. Niewielka metalowa listewka zamykała się na wiązaniach, żeby chronić nieosłonięte ciało. Metal przylgnał do torsu Finley jak miękki materiał, a nie sztywna stal. Był dość obcisły, ale pozwalał jej się poruszać równie swobodnie jak jej zwykła bielizna, jeśli nie bardziej. A najwspanialsze, że był zaskakująco lekki i wygodny.

— Jest niesamowity — wyszeptała, oglądając się w sięgającym podłogi lustrze, obracając w lewo i w prawo, żeby zobaczyć, jak gorset się porusza.

Emily promieniała ze szczęścia, składając razem ręce.

— Dziękuję.

— To *ja* dziękuję. - Finley ścisnęła jej ramię. — Zobaczmy, jak wygląda razem z kostiumem.

Jej przyjaciółka —*przyjaciółka* - pomogła jej założyć przepiękną pierzastą suknię, ściągnając materiał w dół, kiedy Finley wsuwała ręce w niewielkie, ozdobione piórami rękawki, które osunęły się nisko na jej ramionach. Następnie zwinne paluszki szybko pozapinały haftki z tyłu sukni.

— Miałam rację — wyglądasz jak księżniczka. Stojąc przed lustrem, Finley wygładziła dłońmi

przylegający przód i pierzastą spódnicę.

— Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego.

— Włóż maskę. — Emily podała jej pierzasty dodatek. Maską była równie czarna i lśniąca jak suknia, obramowana pawią zielenią jak stanik i ozdobiona piórami. Nad policzkami po bokach układała się w spiczaste końce, a osłona na nos była lekko zaokrąglona z ostrym zakończeniem, wyglądała jak niewielki dzióbek. Finley zawiązała wstążki z tyłu głowy, chowając kokardę pod włosami.

Emily miała szeroko otwarte usta.

— Nie ruszaj się stąd — poleciła, zanim wybiegła z pokoju. Finley posłuchała przyjaciółki, a chwilę później dziewczyna wróciła z aparatem fotograficznym i stojakiem. Szybko ustawiła go na dywanie, poprawiła obiektyw przypominający akordeon i wycelowała go w Finley.

— Uśmiech!

Więc Finley uśmiechnęła się, a zaraz rozbłysnął flesz, po którym gwiazdy zatańczyły jej przed oczami. Potrząsnęła głową, podczas gdy Emily paplała coś o emulsji, światłoczułym czymś i o specjalnym papierze. Kiedy kolorowe światła zniknęły, spojrzała w dół i zobaczyła przed twarzą trzymane przez Emily zdjęcie — przedstawiało piękną kobietę w stroju ptaka.

Och! To *ona*.

Emily naprawdę była genialna. Wynała metodę niemal natychmiastowego wywoływania fotografii. Tak więc Finley mogła spojrzeć na siebie i zobaczyć nie potwora, ale... kogoś pięknego. Z trudem powstrzymała łzy, które stanęły jej w oczach. Choć bardzo polubiła Emily, nie była jeszcze gotowa na to, żeby ta zobaczyła, jak płacze. Jeszcze nie.

— Żebyś mogła zapamiętać tę noc na zawsze — powiedziała Emily z nieśmiałym uśmiechem.

Finley podziękowała jej — i znów ją uścisnęła — a potem nastał czas, żeby zeszła na dół i poczekała na Jacka. Zarzuciła na ramiona czarną pelerynę z kapturem, którą spięła u szyi, i wyszła.

Kiedy dotarła do głównego holu, stanęła jak wryta na widok samego diabła! Stał przed nią wysoki, szczupły mężczyzna, od stóp do głów ubrany na czarno. Lśniące, ciemne loki sięgały mu do ramion, a czarna maska zasłaniała niemal całą bladą twarz, ukazując tylko jego wyraziste usta i ciemne oczy. Górna część maski przechodziła w parę rogów, a spod długiego płaszcza wyglądał zakończony strzałką ogon.

Emily na ten widok zrobiła nagły wdech. Diabeł uśmiechnął się, ukazując białe zęby, i skłonił w pas.

— Hej, skarbie. Przedstawisz mnie swojej koleżance?

W Pick-a-Dilly Circus, niedaleko Covent Garden, stał duży kopulasty budynek. Kolorowe proporce przebiegały od szczytu kopuły do różnych miejsc wzdłuż krawędzi budynku, na końcu zbiegając w dół po ścianie. Na zewnątrz było słychać muzykę ponad hałasem ruchliwej ulicy i gwarem tłumu.

W okolicy było mnóstwo bawiących się, którzy nie mieli chęci lub pieniędzy, żeby wejść do środka. Wewnątrz przebywała większość arystokratów, którzy chcieli skorzystać w pełni z dostępnych atrakcji. Na dworze znajdowały się pomniejsze rozrywki, ale dla wszystkich dostępne było jedzenie i napitki, jak również muzyka i tańce.

Griffin wyglądał przez otwory wycięte w masce — przedstawiającej pysk lwa - gdy jego powóz zbliżał się do celu. Nie powinien był tu przyjeżdżać. Pijackie zabawy go nie pociągały z tego względu, że alkohol czy opiaty często utrudniały mu kontrolowanie swoich zdolności. Tak więc musiał pozostać trzeźwy — a bycie trzeźwym w towarzystwie osób, które zdecydowanie takie nie były, potrafiło być bardzo męczące.

Otworzył skrytkę w ścianie obok siebie i przemówił do znajdującego się tam wzmacniacza głosu.

- Stań tutaj. Resztę drogi przejdę pieszo.

Chwilę później wchodził po stopniach prowadzących do cyrku, a długi płaszcz powiewał za nim. Dowie się wszystkiego, czego będzie w stanie, o Ma-chiniście i może odszuka swojego amerykańskiego znajomego Jaspera Renna, a potem wyjdzie. Nie miał zamiaru spędzić całego wieczoru, stojąc pod ścianą jak idiota i oglądając Finley z Dandym. Pokusa porachowania kości temu draniowi byłaby zbyt wielka.

W głównym budynku największa sala została odgradzona okrągłą ścianką biegnącą po obrys całej areny. Pomiedzy tą ścianką a strukturą zewnętrzną znajdował się korytarz, w którym straganiarze sprzedawali piwo i poncz, prażone orzeszki i inne pikantne przekąski. Było też kilka kramów, gdzie sprzedawano pamiątki przedstawiające cyrk i pracujących w nim artystów.

Przez kwadrans Griff spacerował po tym korytarzu. Od jednego ze sprzedawców kupił kubek cydru i usadowił się przy południowym wejściu do głównego namiotu. To w tym miejscu miał się spotkać z Ren-nem mniej więcej... teraz.

- Czołem, nieznajomy.

Griffin uśmiechnął się. Punktualny jak zawsze. Obrócił się i zobaczył zbliżającego się do niego młodego mężczyznę w stroju amerykańskiego kowboja, z autentycznymi zakurzonymi butami i ostrogami. Miał czarną maskę zakrywającą mu górną część twarzy.

— Czołem.

Zdecydowanie zachodnie przywitanie brzmiało niezręcznie wypowiedziane z angielskim akcentem. Przez chwilę rozmawiali zgodnie z konwenansami, po czym Griffin przeszedł do interesów.

— Machinista - powiedział cicho. - Co o nim słyszałeś'?

Renn zdjął kapelusz i podrapał się po głowie.

— Są tacy, co mys'lą, że ten cały Machinista bawi się tylko tymi drobnymi skokami i atakami na chybił trafił, szykując się do czegoś' większego.

Założył stetsona z powrotem.

Griffin rozważył tę teorię i pokręcił głową.

—Jeśli przygotowuje się do czegoś' większego, to może te mniejsze akcje nie są wcale takie „drobne” ani „na chybił trafił”, jak mogłoby się zdawać. Może po prostu eksperymentuje, żeby dopracować swoją technikę.

— Czyli?

— Ażebym to ja wiedział. Budowanie mechanicznego zabójcy? A może automaton, którego mógłby kontrolować na odległość, żeby za jego pośrednictwem popełniać zbrodnie?

Renn zagwizdał.

— Masz rację. To wcale nie brzmi jak coś małego. Nie, zdecydowanie nie.

— Potrzebna mi twoja pomoc, Jasper. — Griffin celowo użył imienia, a nie nazwiska Renna, by zabrzmiało to przyjaźniej. — Machinista jest odpowiedzialny za atak na mojego przyjaciela, w którym został on po-

ważnie ranny. Jeśli planuje coś niebezpiecznego, chcę go powstrzymać. I to szybko. Kowboj skinął głową.

- Rozumiem. Zrobię, co będę mógł. Wpadnę jakoś pojutrze i przekażę ci wszystkie informacje, jakie uda mi się znaleźć.

Griffin odetchnął z wielką ulgą.

- Dziękuję.

Renn nie był szlachetnie urodzony, ale miał swój honor. Jego bardziej „pospolite” pochodzenie pozwalało mu przebywać w kręgach, gdzie moralność nie była jasno określona. Griffin nie mógłby się tam pojawić. Nigdy nie udałoby mu się udawać kogoś innego, ale prawdziwy amerykański kowboj natychmiast stał się w Londynie kimś sławnym - egzotyczny i dziwny, no i niezwiązany tymi samymi zasadami.

Właśnie miał się pożegnać i ruszyć do domu, kiedy podeszły do niego dwie identycznie ubrane kobiety. Natychmiast rozpoznał niezwykłą wiśniową czerwień ich włosów, ostrzyżonych na pazia. Były to siostry Cardinal - akrobatki występujące na trapezie. Dziś miały na sobie porcelanowe maski z namalowanymi twarzami, które wyglądały niemal dokładnie tak jak ich własne — co sprawiało dość niepokojące wrażenie - oraz ozdobione kryształkami gorsety i pumpki z trenami z długich, białych strusich piór.

- Witamy, panowie — powiedziały chórem. — Nie zechcielibyście wejść z nami do środka? Tam jest znacznie weselej niż tutaj.

Griffin nie mógł odmówić, kiedy jedna z bliźniaczek wyciągnęła ku niemu dłoń. Wychowano go na dżentelmena, a dżentelmen nie odtrąca lekceważąco damy. Podał jej swoją rękę, którą chwyciła delikatnym, choć silnym uściskiem. Jej maska się uśmiechała, ale czy prawdziwe usta pod nią również - tego już nie wiedział.

Akrobatki poprowadziły obu gości ze sobą, odsuwając ciężką czerwoną zasłonę, pełniącą funkcję drzwi do wewnętrznej sali. Rozbrzmiewała tu żywa muzyka, ludzie tańczyli, a w tłumie przechadzali się artyści cyrkowi. Później miało się odbyć wielkie przedstawienie, w którym bez wątpienia miały wziąć udział również siostry Cardinal.

Gdy tylko znaleźli się w środku, Griffina uderzyło to, jak było tam gorąco, tłocznie i wilgotno od potu. Mimo to muzyka go porwała, a podekscytowanie tłumu wypełniało powietrze - Eter — niezwykłą energią, której nie mógł ignorować.

Coś przyciągnęło jego spojrzenie. Młoda kobieta we wspaniałym kostiumie z piór, w którym wyglądała jak najbardziej egzotyczny z ptaków. Jego serce uderzyło mocniej, kiedy ją rozpoznał. Jego zmysły odnalazły ją, nawet kiedy sam jej nie szukał.

Finley. I trzymała się Jacka Dandy'ego jak zakochana.

ROZDZIAŁ 11

Co ja tu robię? - pytała samą siebie Finley, kiedy rozglądała się po zatłoczonym cyrku. Owszem, jej towarzysz był czarujący. Przystojny w dość złowieszczy sposób i tak uroczo kaleczył, a jednocześnie pięknie układał słowa, że chłoneła każde wychodzące z jego ust. Nie mogła jedynie zrozumieć, dlaczego właśnie ją zechciał zaprosić w to miejsce.

Oczywiście tak naprawdę to nie chciał miłej Finley Jayne. To jej mroczna połowa interesowała Jacka Dandy'ego, a ta właśnie część stawała się coraz silniejsza z każdą chwilą spędzoną na balu. Finley czuła, jak drapie kraty wyimaginowanej klatki, w której ją zamknęła w głębi siebie. Spodobałoby się jej to miejsce i towarzystwo - ale nie mogła jej wypuścić. Nie

całkowicie. Nie pamiętała, co się działo ostatnio, kiedy to się stało, a nie miała zamiaru znów zaryzykować.

- Wszystko w porządku, skarbie?

Spojrzała w oczy ślące jej zaniepokojone spojrzenie zza diabelskiej maski i uśmiechnęła się lekko.

- Trochę oszołomiona. Dandy skinął głową.

- Rozumiem. Mnie takie rojowiska też wytrącają z równowagi. Zatańczymy?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, porwał ją na parkiet, wziął w ramiona i poprowadził do walca. Byli zdecydowanie za blisko według zasad przyzwoitości, choć jeszcze nie skandalicznie blisko. Pan Dandy najwyraźniej dobrze wiedział, jak umiejętnie lawirować na granicy stosowności.

- Czy pozwolisz mi zauważyć, jak uroczo tego wieczoru wyglądasz? - powiedział jej koło ucha, dość cicho, żeby tylko ona usłyszała.

Finley przeszedł dreszcz.

- Dziękuję. Kostium jest przepiękny. Nie powinieneś być tyle wydawać. Twoja szczodrość naprawdę mnie onieśmiela.

Uścisnął jej dłoń.

- Nigdy nie bądź nieśmiała. Zaslugujesz na to, by cię traktować po królewsku. Zdecydowanie przez ludzi lepszych niż ja, ale coś nie mogę się powstrzymać.

Przełknęła.

- Na niebiosa, dobrze wiesz, co powiedzieć dziewczynie.

Zaśmiał się na to — głośny, radosny dźwięk, który zagłuszył muzykę, kiedy Dandy odrzucił głowę do tyłu. Finley rozejrzała się wokoło, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy. Musieli go usłyszeć wszyscy w odległości co najmniej mili.

Na skraju tłumu stał wysoki mężczyzna w lwiej masce, ubrany w czarno-biały strój wieczorowy, wyraźnie szyty na miarę na jego szczupłą, barczystą sylwetkę. Gdy ją obserwował, światło żyrandoli wywoływało rudozłote refleksy w jego brązowych włosach.

Griffin.

Poczuła wewnętrzny wstrząs, jakby całe ciało nagle wybudziło się ze snu. Co on tu robił? I kim, do diabła, była ta skąpo ubrana wiedźma uwieszona na jego ramieniu? Finley poczuła w ustach nieprzyjemny smak i stwierdziła, że jest małostkowa. Nie miała nic do powiedzenia w sprawie czegokolwiek w życiu Griffina Kinga, a już na pewno nic odnośnie tego, z kim się może zadawać, skoro jej samej towarzyszył tu boss przestępczy. Mimo to jego widok z tą dziewczyną nie sprawiał jej żadnej przyjemności.

A sądząc po tym, jak Griff zaciskał usta, jego wcale nie cieszyło to, że zobaczył ją z Jackiem.

Co by na to wszystko powiedziała Emily? Przyjaciółka kazała jej obiecać, że ją obudzi, kiedy wróci do domu, i opowie wszystko ze szczegółami. Jack w swoim ironicznym kostiumie zrobił na niej duże wrażenie, ale też nie było zbyt wiele młodych kobiet, na których jakaś cecha Jacka nie zrobiłaby wrażenia.

Zresztą było równie dużo takich, jakie oczarowałby Griffin.

Ale Finley postawiłaby ostatniego pensa, że była *jedyną* młodą kobietą, którą obaj równie mocno fascynowali i denerwowali.

Ciekawe - kilka chwil temu nie powiedziałyby, że jej upodobanie do obu jest równe. Jej druga połowa wzniosła się bliżej ku powierzchni, kiedy zobaczyła Griffina z tamtą dziewczyną z niemożliwie czerwonymi włosami.

Oderwała od niego wzrok i skupiła się na fularze Jacka. Było to najbezpieczniejsze miejsce na zawieszenie spojrzenia, które jednak co chwilę zdradliwie wędrowało ku odkrytej części jego szyi, do szczęki i wyżej, do jego niezwykłych ust.

Miał niewielki dołek w brodzie. Czy zauważyła to wcześniej? Cóż, był to bardzo atrakcyjny dołek.

- Powierzasz moją niezwykłość pamięci, duszyczko?

Jej usta wykrzywiły się w zadziornym uśmiechu.

- Czy zawsze miałeś o sobie takie wysokie mniemanie, panie Dandy?

Przechylił głowę.

— Myślałem, że już zgodziłaś się mówić mi Jack. Rzeczywiście.

— Czemu mnie tu zaprosiłeś, Jack? Pamiętam, jak mówiłeś, że mam uciec od ciebie tak daleko, jak to tylko możliwe.

Wzruszył ramionami.

— Może chciałem się przekonać, czy masz wolę silniejszą od mojej. Zdaje mi się, że mnie lubisz, skarbie.

Zarumieniła się, ale coś jej podpowiadało, że nie powinna przy nim być za skromna.

— Mnie się wydaje, że to *ty* lubisz *mnie*. Przyciągnął ją do siebie.

— Jaki facet przy zdrowych zmysłach by nie lubił?

I co miała na to odpowiedzieć? Od jego słów robiło jej się gorąco — zbyt gorąco — i sprawiały, że chciała odszukać Griffina w tłumie. Czy nadal ją obserwował?

— Szukasz swojego księcia? — głos Dandy ego stracił coś z poprzedniej lekkości i brzmiał teraz tak, jakby jego udawana obojętność wymagała dużego wysiłku.

Finley uniosła wzrok i zobaczyła w oczach Jacka coś, co wyglądało na ból. Czyżby naprawdę go zraniła?

-Jack, ja...

— Nie przejmuj się, skarbie. Wiem, jak działa świat.

Obrócił ją wokół parkietu szybkimi i wdzięcznymi piruetami, że poczuła się niemal tak, jakby mieli zaraz płynnie unieść się w powietrze. Nagle stanął — tak gwałtownie, że wpadła na niego, a jedyne, co powstrzymało jej upadek, to uścisk obejmujących ją silnych ramion Dandy ego.

Spojrzał jej prosto w oczy, a sala zdawała się dalej wirować wokół niej.

— Będę dalej grał, bo myślę, że jesteś tego warta, ale nie pozwolę, żeby ze mną pogrywano. Rozumiesz? Pewnego dnia będziesz musiała wybrać.

Patrzyła na niego, czując skurcz w żołądku. Rozumiała, ale jednocześnie miała mętlik w głowie. Czy brał ją za bałamutkę? Otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, obronić się, ale nie zdołała niczego z siebie wydusić. Jack wygiął usta w cierpkim uśmiechu. Walc się zakończył i Dandy sprowadził ją z parkietu w niezręcznej ciszy.

— Przepraszam — powiedziała Finley. Jack spojrział na nią.

— Ale za co, skarbie? Skrzywiła się na jego słodki ton.

— Za cokolwiek zrobiłam, czym cię zraniłam.

— Zraniłaś? Jestem Jack Dandy, pieszczotko. Jestem jednym z najzimniejszych, najtwardszych drani w Londynie. Nic mnie nie może zranić, więc nie zajmuj tym swojej ślicznej główki.

Finley odwróciła wzrok, czując się okropnie. Jak na nieszczęście, spojrzała prosto w oczy Griffina.

Griffin powtarzał sobie, że powinien się odwrócić, ale nie potrafił. Chciał podejść do Finley i zabrać ją od tego wszystkiego, lecz musiał też myśleć o własnej towarzyszcze i właśnie miało się zacząć wieczorne przedstawienie.

Wtedy to poczuł — zakłócenie w Eterze. Przypominało lekką falę - drzenie czegoś, co połaskotało go

w kark, posyłając w dół kręgosłupa zimny dreszcz. Rozejrzał się i zobaczył małego, patykowatego automatonu z tacą kelnerską zmierzającego w stronę Finley i Dandy'ego. Poruszał się niezgrabnie, ale z determinacją. Dotarł do Finley...

— Nie! — zawołał Griffin, rzucając się przed siebie. Wyparowały mu z głowy wszelkie mys'li o stosowności i dobrym wychowaniu. Przepychał się przez tłum, walcząc ze zwartą masą ludzi, żeby się dostać do dziewczyny.

Ale było za późno. Automaton już trzymał ją za gardło.

Czas zdawał się zwalniać. Zmieniło się widzenie Griffina — patrzył na ludzi i otoczenie przez zasłonę Eteru, wszędzie Isriiły aury. Podwójna aura Finley jarzyła się ciemnym kolorem — barwą jej drugiej połówki. Dandy próbował walczyć z automatonem, Jasper miał w dłoni pistolet i biegł obok Griffina. Kowboj nie strzeli, jeśli nie będzie musiał - za mały margines błędu. Ktos' mógłby zostać ranny — albo gorzej.

Wtedy Finley chwyciła chude metalowe ramię, które trzymało ją za gardło. Zwykły człowiek nie miałby szans w takim starciu, ale Finley nie była zwykłym człowiekiem. Złamała ramię automatonu w złączu łokciowym i zerwała rękę napastnika z szyi.

Po czym użyła metalowego ramienia, uderzając z dziką siłą w panel kontrolny, podczas gdy wokół niej ludzie wrzeszczeli i uciekali. Byli jak przerażone

gazele — biegnąc ku wyjściu, bali się tylko tego, że mogą stać się kolejną ofiarą maszyny. Tymczasem Finley tłukła tę rzecz na śmierć, z braku lepszego słowa, jej własną ręką. Automaton próbował się bronić, ale nie był zbudowany z myślą o walce, tylko podawaniu jedzenia. Dziewczyna urwała drugie ramię podobnie jak pierwsze i oba wcisnęła w szyję napastnika, przerywając złącza i odłamując zębatki.

Griffin i Jasper zatrzymali się kilka stóp od niej. Mogli biec dalej, ale nie pozostało im nic do zrobienia. Ze zniszczonej maszyny unosiły się iskry, otaczając uśmiechniętą twarz Finley jak fajerwerki.

Jej mroczna strona w pełni przejęła kontrolę.

Goście, którzy nie uciekli w popłochu, obserwowali całe zajście z dystansu i teraz podchodzili bliżej jak ciekawskie koty, chcąc zobaczyć dziewczynę, która właśnie zniszczyła maszynę dosłownie gołymi rękami.

Kostium Finley został rozdarty, ukazując coś, co wyglądało jak metalowy gorset. Griffin słyszał, jak ludzie szeptali o tym — szeptali o niej. A Finley wyglądała tak, jakby gotowa była sprać na kwaśne jabłko każdego, kto odważyłby się podejść. Griff musiał ją stąd zabrać. Stanowiło to duże ryzyko dla jego reputacji, za dużo też ujawni, ale nie mógł jej tu zostawić, żeby kogoś skrzywdziła albo żeby ktoś skrzywdziła.

Ruszył do przodu, powstrzymując Dandy'ego, który właśnie miał zamiar dotknąć Finley.

— Nie rób tego. Chyba że chcesz stracić tę rękę, Dandy.

Dandy nie był głupi, zamarł w miejscu, obserwując wszystko uważnie zza diabelskiej maski. Griffin podszedł do Finley, jakby była spłoszonym zwierzęciem.

— Finley?

Spojrzała na niego, słysząc swoje imię.

— Bogaty chłoptaş. Jak i pan Dandy. Ależ ze mnie szczęściara.

— Zabierzemy cię stąd - powiedział Griffin, starając się jednocześnie utrzymać jej spojrzenie i zadziałać swoją eteryczną magią. Gdyby mógł kontrolować jej aurę, może udałoby się mu ją uspokoić, ale wtedy wszyscy by zobaczyli, że coś jej zrobił, nawet gdyby nie wiedzieli, co dokładnie.

Na szczęście dla niego, pomysł ten zdawał się przypaść Finley do gustu.

— Dobra. To dokąd chcesz iść?

— Dokądkolwiek zechcesz - skłamał. - Pojedziemy moim powozem.

Odrzuciła głowę do tyłu i wyprostowała się, przyciągając spojrzenia świadków do rozdarcia na sukni i znajdującego się pod spodem metalu, tak ściśle przylegającego do skóry.

— Dziś nie na welocyklu, wasza książęca mość? Griffin uśmiechnął się.

— Dziś nie.

Patrzyła na jego wyciągniętą dłoń przez chwilę, zanim podała mu swoją. Jej palce zadrżały, kiedy ich

spojrzenia znów się złączyły. Tym razem posłał ku jej aurze swoją moc. Finley zamrugła.

— Griffin?

— Oto i moja dziewczyna — wymamrotał cicho, żeby nie słyszał nikt poza nią. Tłum podchodził niebezpiecznie blisko, pociągnął więc Finley ze sobą, a Jasper chronił ich tyły, idąc tuż za nimi. Griffin słyszał, jak Dandy zajmuje się ciekawskimi gapiami, którzy chcieli ruszyć w ich ślady.

Chwilę później Griffin pomógł Finley wejść do powozu, a Jasper usiadł naprzeciwko nich.

— Co z nią nie tak? - spytał Griffina. Ten pokręcił głową.

— Nic. Jest po prostu dwiema osobami walczącymi o kontrolę nad jednym ciałem.

Kowboj uniósł wysoko brwi, ale na jego twarzy malowało się współczucie.

— Biedactwo.

— Griffin? — rozbrzmiał cienki głos.

Odwrócił się ku niej. Finley patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami w bladej twarzy.

— Nie chcę już taka być — wymamrotała, opadając na wyściełane siedzenie. — Nie cierpię tego, że nie mogę się kontrolować. Proszę. Pomóż mi.

Griffin uścisnął jej dłoń.

— Pomogę. Daję ci słowo.

Jej usta wygięły się w lekkim uśmiechu.

— Dziękuję. Wiedziałam, że mogę ci zaufać.

Obserwował ją, kiedy zasypiała, wyczerpana po przejściach. Miał nadzieję, że uda mu się nie zawieść tego zaufania. Miał nadzieję, że uda mu się jej pomóc, bo myśl o tym, czym Finley może się stać, jeśli on zawiedzie, była zbyt potworna, by ją w ogóle rozważać.

ROZDZIAŁ 12

Nagłówek w porannej gazecie głosił: „Morderczy Szał Automata Skutecznie Ukrócony przez Tajemniczą Dziewczynę w Stalowym Gorsecie!”.

A pod spodem mniejszym drukiem: „Książę Greythorne Porywa Niezwykłą Niewiastę z Ramion Oslawionego Dandy ego”.

W całym Londynie rozmawiano o Finley. Kim jest ta dziwna dziewczyna, którą każdy chce poznać?

Mężczyzna znany jako Machinista nie był pod wrażeniem. Griffin King zdobył kolejne z jego cacuszek. Teraz to już tylko kwestia czasu, zanim młody książę i inteligentna panna O'Brien odkryją prawdę.

Nadeszła pora, by ruszyć z planem do przodu. Wkrótce Brytania i cały świat zobaczą to, co on będzie chciał im pokazać. Zobaczą to.

Nawet wspaniały Griffin King i jego menażeria niezwykłych przybłęd nie zdołają go powstrzymać.

Finley nie wiedziała, co znajdowało się w napoju, który podał jej Griffin, ale cokolwiek to było — było *wspaniale*. Jakby unosiła się na fruującym łożu z obłoków, ciepła i bezpieczna na letnim niebie, tylko bez słońca rażącego w oczy.

Powiedział, że ma to pomóc połączyć obie częścici jej osobowości, ale nie czuła się tak jak zawsze, kiedy kontrolę przejmowała jej mroczniejsza połowa. Czuła się szczęśliwa, odprężona. Spokojna.

— Masz śliczne oczy — powiedziała Griffinowi z uśmiechem.

— Wszystkie cztery.

Usłyszała jego śmiech, jak gdyby dobiegał z drugiego końca długiego tunelu.

— Dziękuję. A teraz połóż się. Właśnie tak.

— Nie wykorzystasz sytuacji, prawda? — Poduszki pod jej głową były tak cudownie miękkie. Tak *miło* było się położyć. — W powieściach zawsze przestrzega się młode kobiety, żeby były ostrożne i nie pozwoliły się wykorzystać bogatym młodzieńcom.

-Jesteś tu całkowicie bezpieczna. Emily jest tutaj, by strzec twojej cnoty.

— Szkoda. - Finley zdawało się, że usłyszała chichot Emily, ale był tak odległy, że nie miała pewności.

— Wygodnie ci, Finley? — zapytał Griffin. Uśmiechał się, słyszała to w jego głosie.

Chciała przytaknąć, ale jej głowa nie mogła się poruszyć.

— W rzeczy samej, tak.

Potem wszystko stało się trochę niewyraźne. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że jej mroczna połowa unosi swoją senną głowę, ale nie miała dość siły, żeby z nią walczyć. Co ciekawe, ona też nie była zbyt silna. Griffin zadawał jej pytania, na które odpowiadała, ale nie miała najmniejszego pojęcia, co mówi. Chciała odpędzić sen, żeby móc lepiej się skupić.

Odplynęła, a kiedy się obudziła, odkryła, że minęły ponad dwie godziny od chwili wypicia mikstury Griffina. Wciąż leżała na sofie w bibliotece, a nieopodal stał Griffin, wkładający do kartonu coś, co wyglądało na grawerowaną mosiężną tubę.

— Co to? - zapytała.

— O, jesteś — odpowiedział, obracając się, by spojrzeć na nią z uśmiechem. — Myślałem już, że prześpisz lunch. To cylinder fonografu. Nagrałem naszą sesję, żebyś mogła później odsłuchać, gdybyś miała ochotę.

To, że nagrają bez jej wiedzy, nie było tak do końca w porządku, ale miał rację: chciała usłyszeć, co się działo, kiedy jej „nie było”. Ostrożnie usiadła.

— Skończyliśmy?

— Na dzisiaj. - Griffin podszedł i kucnął przy sofie, żeby chwycić dłoń Finley. — Jak się czujesz?

Kiedy spoglądała w jasny błękit jego oczu, zakręciło jej się trochę w głowie, jak wtedy, kiedy jeszcze będąc dzieckiem, kręciła się w kółko tak długo, aż w końcu padała na ziemię.

- Dobrze - odparła ochryplym głosem. Bogowie, oby się tylko przed nim nie zbłąźniła. Ostatnią rzeczą, jakiej Griffin King potrzebował, to żeby szalała za nim jak jakaś' zauroczona idiotka. Uratował ją zeszłej nocy, czym zaskarbił sobie jej dożgonną wdzięczność - jak również będzie jej przykro, jeśli narazi go na wstyd czy skandal.

- Wspaniale. - Wstał, wciąż trzymając jej dłoń. -Czy mogę towarzyszyć ci do ogrodu? Jest wspaniały dzień, szkoda byłoby nie skorzystać.

Powoli Finley wstała z sofy. Miała wrażenie, że jej mózg przechylił się lekko na prawo, potem na lewo, zanim znalazł się na właściwej pozycji. Griffin puścił jej rękę, kiedy już stała pewnie, i podał ramię.

- Co się stało? - zapytała, kiedy szli przez główny hol, a następnie skręcili w boczny korytarz. Starła się ignorować to, jak mocne było ramię Griffina i jaki był wysoki. Dziwne, ale czuła się, jakby widziała go po raz pierwszy albo całkiem innymi oczami.

Uśmiechnął się.

- Wolałabyś usłyszeć prostą odpowiedź czy też długą, rozwlekłą i naukową?

- Zacznijmy od prostej. Ciągle mam watę w głowie od tej okropnej mikstury, którą kazałeś mi wypić.

— Po pierwsze, uważam, że powinienem ci powiedzieć, że cię nie wykorzystałem, zgodnie z prośbą. — Zaśmiał się, kiedy spłonęła rumieńcem. - Podałem ci delikatny środek rozluźniający, który otwiera umysł na wpływ mesmeryczny. Kiedy byłaś spokojna, zdołałem przywołać twoją drugą połowę bez wywoływania takiego stresu, jaki zwykle poprzedza zmianę. Postępując w ten sposób, pozwalamy obu połówkom żyć bez konfliktu, nakładamy obie osobowości na siebie, powoli naprowadzając je na drogę do złączenia się w jedno.

Finley nic nie powiedziała. Kilka chwil zajęło jej przyswojenie słów Griffa przez mgłę panującą w jej umyśle.

— I to wystarczy?

— Nie. Mamy jeszcze dużo pracy przed sobą, ale poszło łatwiej, niż przewidywałem. Myślałem, że będę miał przynajmniej obitą szczękę, ale nie uderzyłaś mnie ani razu.

Cóż to była za ulga! Finley czułaby się strasznie, gdyby jej druga połowa uderzyła Griffina, kiedy próbował jej pomóc. Ale... on zdawał się akceptować, że to *może* się wydarzyć.

— Czujesz się w jakiś sposób inaczej?

— Trochę — odpowiedziała, świadoma tego, że jej myśli zdawały się płynąć w nietypowym kierunku. Jeszcze mocniej uświadomiła sobie, że Griffin był przedstawicielem innej płci, i nie czuła się aż tak win-

na za swoją drugą naturę. Była spokojna, ale silniejsza, przyjazna, ale nie płochliwa. Było to dziwne uczucie. — Ciągle jestem sobą, ale jestem też inna. Skinął głową.

— Wrażenie przybierze na sile, kiedy twoje dwie osobowości będą się scalać, ale gdy proces się zakończy, będziesz się z tym dobrze czuć, nie będziesz musiała się już martwić, że jedna strona zdominuje drugą.

I to sprawiało, że warto było znosić uczucie niepokoju pod skórą.

— Dobrze. Griffin... - Przerwała, próbując dobrać słowa, którymi mogłaby opisać wszystko, co czuje. Nie było takich. - Dziękuję. Wiem, że nie było ci ze mną łatwo, a mimo to byłeś dla mnie taki dobry.

Uniósł do góry jeden kącik ust w krzywym uśmiechu.

— Uważam, że jesteś tego warta.

Finley zarumieniła się lekko i starała się ukryć uśmiech zadowolenia, kiedy znowu zrównała z nim krok.

Do ogrodu wyszli głównym wyjściem zamiast świeżo naprawionymi drzwiami w gabinecie Griffina. Na trawniku niedaleko domu stał płócienny baldachim na słupkach. Rzucił cień na nieskazitelnie biały obrus na stole zastawionym półmiskami z wędlinami, pieczywem, serami i owocami. Na widok tej uczy Finley zaburczało w brzuchu. Potwornie zażenowana, położyła na nim rękę. Griffin tylko się zaśmiał.

— Sam umieram z głodu - szepnął cicho, oszczędzając jej w ten sposób dalszego zażenowania. A mógłby usłyszeć to każdy — Emily, Sam, Kordelia i nawet Jasper, kowboj poznany poprzedniego wieczoru. Wszyscy zebrali się wokół stołu.

— No nareszcie! - rzucił Sam niecierpliwie. — Już myślałem, że padnę tu z głodu.

Wydawał się trochę bardziej drażliwy niż zazwyczaj. Finley pomyślała, że może to mieć coś wspólnego ze sposobem, w jaki Jasper Renn patrzył na Emily.

Griffin uniósł brew.

— Ty zawsze umierasz z głodu - nie było to powiedziane złośliwie, lecz w tonie przyjacielskiego przekomarzania, którego Finley nauczyła się spodziewać z jego strony. Zaciekawilo ją, czy Griffin King, księżę Greythorne, kiedykolwiek tracił panowanie nad sobą.

Była skłonna założyć się, że kiedy to następowało, był to spektakularny widok.

Tak, już się zmieniała. Wczoraj myśl o złości mężczyzny zaniepokoiłaby ją. Ale też bardzo się zmieniała, odkąd przybyła do tego domu. Fragmenty jej samej zaczynały się składać, jak części od dawna niedokończonych układanki.

Griffin poprowadził ją do stołu. Był księciem, więc zasiadał u szczytu. Lady Marsden zajęła miejsce na drugim końcu, a Sam na prawo od Griffina, dzięki czemu znalazł się obok Emily, która wyglądała na bardzo skrepowaną tym, że siedzi obok chłopaka, któ-

rego ubóstwia. Ten oferma zdawał się tego nie zauważać, a może, biorąc pod uwagę zaściśnięte szczęki, widział aż za wiele. Finley usiadła na pustym krześle po lewej stronie Griffina, obok Jaspera. Chłopcy, którzy wstali na jej widok, teraz ponownie zajęli swoje miejsca. Amerykanin uśmiechnął się do niej. Był bardzo przystojny z rudawozłotymi włosami, wydatnym podbródkiem i swobodnym uśmiechem.

- Wyglądasz dziś naprawdę ładnie, panno Finley.

Przyjęła ten komplement z uśmiechem, jednocześnie zażenowana, że poprzedniego wieczoru zobaczył jej drugą naturę.

- Dziękuję.

- Będziesz musiała wybaczyć Jasperowi - powiedział Griffin. - Flirtowanie przychodzi mu równie naturalnie jak oddychanie.

Jasper pokazał zęby, ani trochę niezażenowany przytykiem.

- Właśnie tak. Jeśli mogę dodać, panno Finley, jesteś jak podmuch świeżego powietrza.

Wszyscy się na to roześmiali, nawet Sam, choć Finley zauważyła, że jego ciemne spojrzenie pozostało poważne.

- Wczoraj w nocy ktoś włamał się do Muzeum Madame Tussaud - powiedziała chwilę później lady Marsden, sięgając po ser.

- Co skradziono? - zapytała Emily.

- *Kogo* skradziono? - poprawił Jasper, wywołując ogólny śmiech.

Lady Marsden posłała mu rozbawione spojrzenie.

— Jakże spostrzegawcze z twojej strony, panie Renn. Scotland Yard uważa, że to tylko żart inspirowany jubileuszową atmosferą, ale złodzieje zabrali podobiznę Wiktorii.

— *Królowej Wiktorii?* — zapytała Finley, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia.

Ciotka Griffina skinęła twierdząco głową, unikając jej wzroku. Nie czuła się w towarzystwie Finley komfortowo, odkąd wtargnęła do jej umysłu.

— Właśnie tej.

— To musi być żart - skomentował Sam, upychając ser i wędliny między dwie pajdy chleba. — Po co ktoś chciałby ukraść woskową kukłę starej kobiety? — Pokręcił głową.

Griffin przez chwilę obserwował przyjaciela, a jeden kącik ust uniósł mu się w lekkim uśmiechu. Potem zwrócił się do ciotki:

— To nie może być zbieg okoliczności, że podobiznę królowej skradziono akurat w czasie trwania obchodów jej diamentowego jubileuszu.

— W rzeczy samej — zgodziła się lady Marsden. — Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że wśród przedmiotów skradzionych z muzeum znajdowała się szczotka do włosów królowej.

Jasper zmarszczył brwi.

— Szczotka? — prychnął lekceważąco, z jabłkiem w dłoni odchylając się na krześle. — Po co ktoś chciałby ukraść coś takiego? Była złota?

Kordelia spojrzała na niego z góry, najwyraźniej niepokieszona jego niedostateczną brytyjskością.

— Był to podarunek od księcia Alberta. — Kiedy Jasper spojrzał na nią bez zrozumienia, dodała: — Świętej pamięci męża królowej. Umarł trzydzieści sześć lat temu, a ona wciąż go opłakuje.

Jasper uniósł brwi ze zdziwienia.

— To dopiero stara szczotka.

Lady Marsden przewróciła oczami, a Finley ukryła uśmiech, wkładając do ust winogrono.

Griffin uniósł dojrzałą, czerwoną truskawkę i dokładnie ją oglądał przed wzięciem do ust.

— Czy Yard podejrzewa Machinistę o kradzież? Kordelia wzruszyła ramionami.

— Na daną chwilę nie są pewni, ale zdaje się to prawdopodobne.

Griffprzełknął owoc i wytarł palce z soku.

— Czego on chce? Nie mogę nic wywnioskować na podstawie tego szaleństwa.

— Co jeszcze zniknęło z muzeum? — zapytała Emily. — Może jeśli zrobimy listę wszystkich rzeczy, które zabrał, uda nam się wymyślić, jaki ma cel.

Finley między wierszami odczytała to, czego dziewczyna nie powiedziała wprost - że może też lepiej rozumieją, dlaczego to robi. Machinista bawił się automatonem, który zaatakował Sama.

— Nie wiem — odpowiedział Griffin. — Sala muzealna była zdewastowana. Kustosz miał mi przysłać listę po ukończeniu inwentaryzacji. Jestem pewien, że ma

mnóstwo pracy przy kolekcji, którą Franks przekazał muzeum po śmierci.

Finley nie wiedziała zbyt wiele o sir Augustusie Wollastonie Franksie, ale słyszała, że w testamencie zapisał muzeum kolekcję, w której skład wchodziło między innymi ponad tysiąc zabytkowych piers'cieni z różnych kultur.

— Jakiś związek może istnieć — skomentowała lady Marsden.
- Ale i tak powinieneś postępować ostrożnie.

Griffin uniósł jedną brew.

— Bo zazwyczaj jestem tak lekkomyślny. To nie ja kiedyś złapałem przestępcę wyłącznie przy użyciu jednego z moich butów.

Policzki lady Marsden zaróżowiły się lekko, kiedy uwaga wszystkich skupiła się na niej.

— Rzeczywiście. Wybacz mi, że jestem względem ciebie odrobinę nadopiekuńcza.

— Nie — odpowiedział Griffin stanowczo, ale z iskrą w oku. - Odmawiam wybaczenia ci troszczenia się o mnie, kiedy tak niewiele robię, by na to zasłużyć.

Może Finley to sobie wyobraziła, ale wydawało jej się, że zobaczyła, jak Griffin posyła Samowi znaczące spojrzenie. Mało subtelny sposób na przekazanie idei.

Lady Marsden uśmiechnęła się i już więcej na ten temat nic nie powiedziała, najwyraźniej udobruchana gładkimi słowami bratanka.

Chwilę później zjawiała się pani Dodsworth — z pilną sprawą dzwonił ojciec Sama, więc Griffin pośpie-

szął do domu, by przyjąć rozmowę, a za nim ruszyła Kordelia, w tempie stosowniejszym dla damy.

Finley uśmiechnęła się nerwowo do Emily, która kręciła się na swoim krześle obok ponurego Sama. Tylko Jasper wyglądał na zupełnie spokojnego. Obserwował przez chwilę pozostałą dwójkę, po czym zwrócił się do Finley:

- Znasz może jujitsu lub kung-fu? Potrząsnęła głową, przekonana, że się przesłyszała.

- Słucham?

-Jujitsu i kung-fu. - Uniósł pięści. - Pradawne metody walki.

Wpatrywała się w niego. Zdecydowanie musiało mu brakować co najmniej jednej klepki, żeby zadać takie pytanie.

- Nie — odpowiedziała.

- Hmm. Myślałem, że książkę cię nauczył. A chciałabyś się nauczyć? To się może przydać takiej dziewczynie jak ty.

Jak ona. Pomyślała o tym, jak pokonała lorda Fe-lixa, i kusił ją, żeby powiedzieć Amerykaninowi, że niepotrzebna jej znajomość żadnych tajemniczych sztuk, ale zgadzała się z nim częściowo. Nie umiała porządnie walczyć, a z jej szczęściem do pakowania się w kłopoty umiejętność bronięcia się byłaby bardzo przydatna.

- Tak — odpowiedziała, zaskakując nie tylko Jaspера, ale również Emily i Sama. — Chciałabym.

Kowboj wyglądał na niezwykle ucieszonego takim rozwojem wypadków.

— Nigdy żem się nie bił jeszcze z dziewczyną. Uśmiechnęła się do niego, ani trochę niezawsty-

dzona tym, że jej usta wygięły się odrobinę zalotnie.

— Ale nie jestem zwykłą dziewczyną, prawda, panie Renn?

— Proszę mi mówić Jasper, panno Finley. Skoro jesteś dość silna, żeby mnie zbić na miazgę, to mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że sam użyję swoich zdolności.

Nie było to pytanie, ale Finley odpowiedziała, jakby nim właśnie było.

— Oczywiście, że nie, choć mam nadzieję, że najpierw pokażesz mi podstawy.

A w zasadzie jakie on ma zdolności? — pomyślała. Te tajemnicze słowa zwiększyły jej ciekawość. Renn skrzywił się, lekko urażony.

— To by nie było po dżentelmerisku, jakbym nie pokazał.

— Zaraz, zaraz... — wtrącił się Sam. — To jest głupie. Nie możesz walczyć z dziewczyną. I nieważne, jaka jest silna. — Spojrzał na Finley. — Bez urazy.

Finley uniosła brwi, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo zabrała głos Emily:

— Samuelu Morganie! To najokropniejsza rzecz, jaką powiedziałeś. Jakie to ma znaczenie, że jest dziewczyną? Jest najsilniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam, nie licząc ciebie, ty potworny tępaku.

Policzki Sama poczerwieniały nieznacznie.

— Kiedy jest taka - wskazał palcem na Finley — nie jest aż taka silna. A ja *nie jestem* tępy.

— O tak, jesteś — upierała się Emily. — A ona uczy się, jak połączyć obie części swojej osobowości, więc to będzie dla niej dobre ćwiczenie.

Finley zarumieniła się, gdy Emily wspomniała o jej dwóch połówkach, ale Amerykanin nie wydawał się ani trochę skonsternowany. Albo Griffin już mu o wszystkim powiedział, albo też po wczorajszym zdarzeniu nie miało to dla niego znaczenia.

— Macie tu jakieś miejsce do trenowania? - zapytał. Emily skinęła twierdząco.

— Salę balową.

Na jego twarz powoli wypłynął uśmiech.

— Dziękuję, panno Emily.

Emily wydawała się skonfundowana.

— Proszę bardzo...

Udali się do domu całą czwórką, z Emily i Samem na czele. Finley słyszała, jak prowadzili ożywioną rozmowę, i uśmiechnęła się. Może mają jeszcze szansę.

Weszli do sali balowej i Jasper natychmiast wskoczył do ringu boksterskiego ustawionego przy ścianie. Finley poszła za nim. Zdjął surdut i koszulę, nie wstydząc się ani trochę nagiego torsu — nie żeby miał się czego wstydzić. Był dobrze zbudowany - jak klasycz-

na rzeźba — i choć Finley podziwiała jego ciało, jednak nie pojawił się ten dziwny ucisk w żołądku, jaki czuła przy Grimnie.

Cieszyła się, że włożyła krótką spódnicę, która zapewniała jej pełną swobodę ruchów.

Jasper oparł się niedbale o słupek w rogu.

— Założyli się - szepnął konspiracyjnie, wskazując Emily i Sama.

Finley zerknęła na nich.

— Naprawdę?

Jasper podał jej rękę, żeby pomóc wejść na ring, przyjęła ją uprzejmie.

— Myślałam, że to tylko trening.

— Ja też — zgodził się Amerykanin. — Wygląda na to, że twoi przyjaciele mają inne zdanie.

Finley spodobało się, że uważał ich za jej przyjaciół, ale nie była na tyle naiwna, by w to uwierzyć. Teraz jest zaledwie przybłądą, którą Griffin przygarnął, ponieważ czuł się za nią odpowiedzialny. Na razie jej to odpowiadało. Woląa zasłużyć na ich uznanie, niż dostać je za nic.

Jasper owinał najpierw jej rękę, a potem swoje paseczkami cienkiej tkaniny.

— Ochroni twoje kłykcie — powiedział, odrywając pasek materiału zębami. - Wchłonie też pot.

— Albo krew — dodała.

Jasper uniósł wzrok, spoglądając jej w oczy. W piwnych głębiach kryło się rozbawienie.

— Albo krew - zgodził się. - Obyśmy jej za dużo nie przelali.
Finley wzruszyła ramionami.

— Moje rany szybko się goją. Jasper zaśmiał się.

— Moje nie.

— Emily może cię wyleczyć.

Skinęła głową w stronę rudej Irlandki. Kowboj rzucił szybkie, pełne uznania spojrzenie przez ramię.

— Tak myślę, że pewnie może zrobić wszystko, co sobie postanowi — powiedział, po raz pierwszy z prawdziwą powagą. Łatwo było też zauważyć, że Emily spodobała się ta pochwała, jak również to, że Sam spochmurniał.

Trójkąt miłosny — pomyślała Finley. *Jak dramatycznie.* Zamrugła. Rzadko używała sarkazmu. Najwyraźniej eksperyment Griffina zadziałał. Obie jej części zaczynały się *łączyć*.

Kiedy ich ręce były już porządnie zabezpieczone, Jasper zaczął od nauczania Finley podstaw sztuk walki. Pokazał, jak ma stać i uderzać. Przybierał różne pozy, żeby zademonstrować postawy, dzięki którym atak był bardziej skuteczny. Nauczył ją też zadawać ciosy tak, żeby nie wyrządziła sobie większej krzywdy niż przeciwnikowi, i wyjaśnił, jak ważne jest szybkie reagowanie. Wtedy właśnie postanowił ujawnić przed nią, że jego talent polegał na *niezwykle* szybkim poruszaniu się. Tak szybkim, że aż się rozmazywał w oczach.

Finley się nie bała - była podekscytowana. Chciała zobaczyć, co Jasper potrafi zrobić. Chciała zobaczyć, co *sama* potrafi zrobić.

Zaczęli powoli, z Jasperem na zmianę instruującym i podpuszczającym ją, gdy poruszał się po ringu. Kiedy Finley zrobiła coś dobrze — na przykład kopnęła tak, że dosięgłaby jego szczęki - chwalił ją, a kiedy popełniała błąd, przerywał, żeby ją poprawić.

— Musisz ciągle trzymać gardę — mówił. — Nieuczciwy przeciwnik będzie celował w miejsca, dzięki którym najszybciej cię wyautuje — głowę, brzuch i krocze.

Gdy tylko zwrócił na to jej uwagę, Finley poczuła diabelską pokusę. Zadała mu cios w brzuch — nie była tak wredna, żeby celować w jego... ekhm... *obszary dolne*. Ale Jasper wyczuł jej zamiar, bo szybko — niezwykle szybko - uchylił się. I uśmiechnął.

- Właśnie tak - powiedział. - Pamiętaj o tych miejscach, jeśli jakiś facet będzie ci się kiedyś naprzykrzał, ale staraj się nie pokazywać tak swoich zamiarów. - Jak gdyby chcąc podkreślić wagę swoich słów, stuknął ją delikatnie kłykciami w brodę. — Tu już bym cię miał.

Kilka minut później oboje ciężiej oddychali, ale Finley czuła, że w końcu zaczyna przyswajać rytm tej dziwnej sztuki. Ucho bolało ją od ciosu, którego nie udało jej się uniknąć, ale lewy policzek Jaspera też był czerwony po jej uderzeniu.

— Dalej, Finley, dziewczyno! - zawołała Emily. - Powal go na łopatk!

Finley uśmiechnęła się do przeciwnika, który wyszczerzył się do niej w odpowiedzi. Ruszył na nią, ale instynktownie uchyliła się i wyprostowała, uderzając go pięścią w twarde brzuch. Nie używali już samych technik dalekowschodnich, w rozgrywce pojawiły się elementy pięściarstwa.

— Uff! — Jasper zgiął się wpół. Znow trafiła go w szczękę, podskakując na palcach z ledwo pohamowaną energią.

Kiedy się wyprostował, wyglądał na ostrożnego, ale zdeterminowanego.

— Widzę, że do zabawy dołączyła twoja przyjaciółka.

Chwilę jej zajęło, zanim zrozumiała, co miał na myśli. Jej druga połowa się pojawiła, ale bez zwykłej intensywności. Czuli się, jakby mogła walczyć — lub tańczyć — całą noc. Ale wciąż wszystko kontrolowała.

— Na to wygląda — powiedziała. Jasper uśmiechnął się.

— Dobrze. To teraz moja kolej.

Zanim doszła do tego, o co mu chodzi, ruszył na nią tak szybko, że ledwo zdążyła zrobić unik. Nawet dostała pięścią w ramię przez swoją nieumiejętność dostatecznie szybkiego reagowania.

Jej mroczniejsza połowa miała bardziej wyczułone instynkty i odruchy, więc sięgnęła po ten właśnie

talent, uchylając się i wijąc, podczas gdy Amerykanin poruszał się szybciej, niż miał prawo normalny człowiek.

Sprowadził ją do narożnika, a ona wskoczyła na słupek i zwinnie przeskoczyła saltem nad głową Jaspera. Od tyłu uderzyła go mocno w nerki. Jej radość nie trwała jednak długo, ponieważ Renn natychmiast podciął jej nogi.

Emily wołała, żeby wstała, Sam krzychał słowa zachęty do Jaspera, ale ani ona, ani kowboj nie reagowali, obserwując się nawzajem.

Kątem oka — kiedy pojawiała się jej mroczniejsza połowa, wyostrzał jej się też wzrok - Finley zobaczyła, jak otwierają się drzwi do sali balowej i wchodzi Griffin. Znowu poczuła ten dziwny ucisk w żołądku, ale nie była pewna, czy to na widok Griffina, czy może też wyglądającego niemal złowieszczo młodego mężczyzny, który kroczył obok niego. Co, u diabła, robił tu Jack Dandy?

To pytanie by zadała, ale w tej właśnie sekundzie Jasper wykorzystał jej opuszczoną gardę i błyskawicznie uderzył. Nie mógł wiedzieć, jak bardzo była rozkojarzona, więc jego pięść trafiła ją prosto w twarz. Poczowała okropny ból, przeszywający całą głowę, gwiazdy zawirowały jej przed oczami, kolana ugięły się i Finley upadła ciężko na matę.

ROZDZIAŁ 13

Kiedy Finley doszła do siebie, otaczał ją krąg zatroskanych twarzy - z których najbardziej zmartwiona była twarz Jaspera. Jack Dandy, jak zauważyła, też stał na ringu, ale nie pochylał się nad nią, tylko z ponurą miną opierał się o liny.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Griffin. Finley ostrożnie skinęła głową.

- Tak. Choć możliwe, że zaraz umrę ze wstydu.

Mówiąc szczerze, w tej chwili czuła się, jakby naprawdę należała do grupy - jak gdyby ich troska czyniła ją jedną z nich.

Jego markotna mina rozjaśniła się.

- Nie wiedziałem, że ćwiczycie z Jasperem. Zaczekałbym albo ogłosił się przed wejściem.

Finley zwróciła spojrzenie na Amerykanina.

— Powinnam była wiedzieć, że nie mogę spuszczać z ciebie wzroku. - Po czym dodała: — Chciałabym już wstać.

Griffin podał jej rękę, a pozostali odsunęli się. Finley, kiedy wstała, skupiła uwagę na Dandym.

— Panie Dandy — odezwała się — co pan tu robi?

— Przeuroczo znów cię zobaczyć, panno Jayne — odparł gość w typowy dla siebie lakoniczny sposób. — Przepraszam za przerwanie treningu, ale chciałem zapytać o twoje zdrowie po wydarzeniach wczorajszego wieczoru.

Zwróciły się na nią wszystkie spojrzenia, przez co zaczerwieniła się z zakłopotania.

— Czuję się dobrze, dziękuję. Jest mi tylko przykro, że zrobiłam z siebie takie widowisko.

Wzruszył ramionami.

— Nie mam nic przeciw widowiskom. — Utrzymał jej spojrzenie chwilę dłużej, niż wypadało, po czym zwrócił się do Griffina: — I chciałem jego książęcej mości przynieść prezent.

Uwaga świadków przeniosła się na Griffina, za co Finley była szczerze wdzięczna.

— Pan Dandy poinformował mnie właśnie, że późno w nocy dostarczono mu pewną przesyłkę na adres w Whitechapel. — Griffin rzucił szybkie spojrzenie na gościa. — *Ktoś* zostawił mu na progu skradzioną woskową podobiznę królowej Wiktorii.

— Biedaczka była w samej bieliźnie — dodał Dandy. — Myślę sobie, że rano wywołałaby spore zamie-

szanie, jakbym sobie nie przypomniał, że coś tam zostawiłem, i nie cofnął się po to.

— Do figury przyczepiony był liścik — powiedział Griffin, rozkładając kartkę z drogo wyglądającego papieru. — Jest tu napisane: *W podziękowaniu za zmyślne rozwiązanie naszego wspólnego problemu. Oddana F.J.*

Teraz wszyscy popatrzyli na Finley. Sama by to zrobiła, gdyby mogła. Szczeka jej opadła.

— Myślisz, że to *ja* wykradłam królową z muzeum i zostawiłam ją półnągą pod drzwiami pana Dandy'ego? - Było to niedorzeczne, ale na tyle prawdopodobne, że się wystraszyła.

Griffin podał jej liścik.

— Został napisany na mojej osobistej papeterii. Widzisz znak wodny?

Finley uniosła papier do światła i zobaczyła godło Greythorne'ów ukryte w splocie.

— To nie jest moje pismo — powiedziała mu. I naprawdę nie było.

— Może to pismo twojej *przyjaciółki* — zasugerował Sam przez zaciśnięte zęby.

Oczywiście, on pomyślałby o niej najgorsze - zdała sobie sprawę Finley. O każdym tak myślał.

— Moje pismo się nie zmienia, niezależnie od tego, kim jestem - broniła się, rozumiejąc, jak niedorzeczne to wszystko musi się zdawać Jackowi Dandy'emu, i zawstydzila się faktem, że obchodziło ją to, co o niej myślał.

- Poza tym — wtrącił Griffin — nie miała dość czasu, żeby iść do Muzeum Figur Woskowych, ukraść figurę, zostawić ją u Dandy'ego i wrócić do domu. A już na pewno nie niezauważona.

-Jasne, że mogła to zrobić - kłócił się Sam. - Po prostu nie chcesz przyznać, że sprowadzenie jej tutaj było błędem.

Emily położyła mu rękę na ramieniu, ale on strącił ją i stanął w rogu ringu, plecami do nich.

- Przepraszam - powiedział Jack Dandy, znów skupiając na sobie ich uwagę. — Nie uważacie, że odrobinę podejrzanę jest, że ktoś zostawił figurę królowej na moim progu z inicjałami panny Finley na pańskiej papeterii?

Finley wpatrywała się w niego. Przez chwilę myślała, że i on ją obwinia, dopóki znowu nie przemówił Griffin.

— Też tak myślę. Pomijając wszystko inne, Finley nie byłaby tak nieroztropna, żeby pozostawić tak jawny dowód przeciw sobie samej na figurze woskowej. Nikt by tego nie zrobił - skierował ten logiczny argument do mocno zaczerwienionego Sama.

— Ale jeśli nie Finley, to kto? - przemówiła Emily. — Nie urażając Finley, ale kto jeszcze mógł zdobyć twoją papeterię, Griff?

Finley nie czuła się urażona. Też chciała poznać odpowiedź.

Griffin zerknął na Dandy'ego i zdecydował, że tamten może usłyszeć to, co ma zamiar powiedzieć.

— Każdy, kto miał dostęp do któregośkolwiek z moich domów, mógł łatwo wkraść się do gabinetu i zabrać papier z mojego biurka albo z jednego z pokoi gościnnych. Wszyscy macie taki papier w sypialniach.

Jasper odgarnął włosy z twarzy.

— Ktoś się nieźle trzyma, żeby wyglądało na to, że to panna Finley ukradła figurę, i żeby jeszcze zdawało się, że działa razem z Dandym. — Spojrzał na Jacka. -Bez obrazy.

Dandy skinął głową.

— Nie obraziłem się. A skoro już wypełniłem swój obowiązek, pójdę sobie. Chciałem się tylko upewnić, że skarb nie wpłatał się w żadne kłopoty.

Finley się zarumieniła. Nie umknęło jej, jaką przysługę wyświadczył jej Jack, przychodząc tu.

— Dziękuję - powiedziała, podchodząc do niego. Dandy uśmiechnął się zawadiacko.

— Nie dziękuj, gołębiczko. Kiedyś ja będę potrzebował przysługi i wtedy się zgłoszę. — Po czym zwrócił się do Jaspera: — Ej, jankesie. W czwartki organizuję takie tam walki na gołe pięści. Panna Finley może podać adres.

Finley spłonęła silniejszym rumieńcem. Jasper odparł, że o tym pomyśli. Jack pożegnał się, zwinnie prześlizgnął między linami na parkiet i nieśpiesznie wyszedł z sali. Finley ze smutkiem obserwowała, jak odchodzi. Lubiła Jacka.

Kiedy odwróciła się do pozostałych, wszyscy na nią patrzyli.

— Po co ktoś miałby to zrobić? — zapytała Emily. Griffin zmrużył oczy.

— Nie wiem, ale ktoś bardzo się postarał, żeby rzucić cień na Finley. Najpierw kiedy Scotland Yard badał okoliczności zamordowania Felixa August-Ray-nesa, a teraz przy tej sprawie.

Sam wystąpił do przodu.

— Była przesłuchiwana w sprawie morderstwa? Jasna cholera, Griffin. Co ona tu jeszcze robi?

Finley sama się nad tym zastanawiała. Griffin spojrzał gniewnie na przyjaciela.

— Nie popełniła żadnej z tych zbrodni, Sam. Ktoś stara się sprawić, żeby wyglądała na winną, żebym ją wyrzucił. Wydaje mi się, że to Machinista chce wywołać spięcia w moim domu, żebym zostawił go w spokoju. I wierzę, że mam na to dowód.

To ucięło spór. Wszyscy patrzyli na Griffina, który wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić.

— Kiedy wcześniej rozmawiałem z zarządcą, powiedział mi, że ktoś wyłamał zamki na bramie do jaskini dziadka, gdzie odkrył organity i rudę. Wydaje się dość dużym zbiegiem okoliczności, że gajowy z tego terenu odszedł kilka tygodni temu. Jestem właściwie pewien, że ten „gajowy” ukradł część rudy. Bóg jeden wie, co jeszcze mógł zabrać. To on wysłał ten list i wykradł podobiznę królowej z Muzeum Figur Woskowych. Jestem pewien, że to on właśnie jest Machinistą.

— Ale po co? — zapytał oszołomiony Jasper.

— Nie wiem - odpowiedział Griffin. — Gdyby włamał się tylko do jaskini, to byłbym przekonany, że zależy mu jedynie na rudzie, ale najwyraźniej chodzi o coś więcej. Coś osobistego. I chce, żebyśmy podejrzewali Finley.

— Z tym to sama sobie nieźle radzi — warknął Sam. Finley zmusiła się do spojrzenia w jego gniewne oczy. Nie zrobiła nic złego.

Griffin zignorował słowa Sama.

— Męcz mi tylko, że jeśli to naprawdę Machinista, najwyraźniej nas obserwuje. Bo inaczej skąd by wiedział o znajomości Finley i Dandy'ego?

Finley poruszyła się niespokojnie. Myśl o tym, że ktoś ją obserwuje, była denerwująca i trochę niedorzeczna, ale list w dłoni Griffina stanowił przekonujący dowód.

— Ale po co złodziej zachował ubranie figury? - zapytał Jasper. - Po co ukradł szczotkę królowej? Nie zarobi na tym dużo, a zresztą nie słyszałem, żeby ktoś próbował opchnąć rzeczy Wiktorii.

Finley zaczęło się kręcić w głowie. Nic tu nie miało sensu.

— Czy zastanowiłeś się nad możliwością — zaczął Sam poważnym tonem - że Finley współpracuje z Machinistą? Zaczynasz zajmować się jego sprawą, a tu nagle zjawia się ona i miesza ci w głowie.

Finley musiała przyznać, że było to uzasadnione podejrzenie. Nie podobała jej się ta sugestia, ale sama by tak pomyślała w odwrotnej sytuacji.

Emily najwyraźniej się z tym nie zgadzała. Obróciła się do Sama.

— Samuelu Morganie! Jeśli nie masz nic pożytecznego do dodania, to nie otwieraj ust!

Szorstkie policzki Sama spłonęły jaskrawą czerwienią.

— No dobrze. Najwyraźniej nikt tu nie chce słuchać głosu rozsądku. Wiedziałem, że powrót był błędem.

Obrócił się na pięcie, wyskoczył z ringu i szybko wyszedł z sali.

Finley zmrużyła oczy, ujęła ramię Emily i uściśnięła lekko. Odwróciła się do Griffina.

— Sam powiedział niegłupie rzeczy. Nie powinieneś mi ufać.

Griffin zwrócił na nią surowy wzrok.

— Nie, nie powinienem. — I dodał: - Musimy udać się do Madame Tussaud. Może Machinista zostawił jakiś ślad. Emily, woskowa figura królowej jest w twoim laboratorium. Zobacz, czego możesz się z niej dowiedzieć.

Emily przygryzła dolną wargę.

— Griff, jeśli on poza rudą zabrał też organity... Griffin zacisnął usta.

— Wciąż musiałyby odkryć, do czego można ich użyć. Miejmy nadzieję, że wziął je tylko za jakąś maź i bardziej interesowała go ruda. To by napędzało jego maszyny przez bardzo długi czas.

Emily pokiwała głową, ale Finley widziała troskę w jej oczach. Wiedziała, że organity potrafią leczyć —

sama się o tym przekonała — ale musiało być coś więcej, skoro Emily aż tak się martwiła.

— Jasper, pójdziesz ze mną - powiedział Griff, wychodząc z ringu. — Kiedy Em będzie w laboratorium, my pójdziemy do Madame Tussaud.

Finley poczuła się zagubiona.

— A co ja mam robić?

Griffin odwrócił głowę. Pochwycił jej spojrzenie.

— Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zostaniesz tutaj, zwłaszcza że nasz znajomy tak się tobą interesuje. Pomóż Emily w laboratorium.

Nie próbował traktować jej lekceważąco, ale Finley doskonale wiedziała, kiedy się ją odprawia. Równie dobrze mógł jej powiedzieć, żeby siedziała w pokoju i nie pakowała się w kłopoty. Wiedziała, że Griffin ma rację, ale i tak czuła się wykluczona.

Jednak nie była jedną z nich.

Sam udał się do tawerny i zastał Leona siedzącego przy ich zwykłym stoliku.

— Mój chłopcze! - zawołał mężczyzna, kiedy Sam przysiadł się do niego. — Co się dzieje? Wyglądasz, jakbyś właśnie stracił najlepszego przyjaciela.

— Przyjaciół - poprawił go Sam ponurym głosem, ruchem ręki zamawiając kufel piwa u kelnerki. — Są tak oczarowani Finley Jayne, że nie widzą tego, co mają tuż pod nosem.

Leon przybrał strapioną minę, kiedy dziewczka barowa postawiła przed Samem kufel.

- Ta dziewczyna, o której mi opowiadałeś'? — zapytał. — O której mówiłem, że pewnie przyniesie ze sobą kłopoty?

Sam potwierdził.

- Oj tak, i to przez duże K. Tylko że Griffin się w niej zadurzył i nie chce przyznać, że może ona nie jest tak wspaniała, jak mu się wydaje.

Na twarzy Leona malowały się troska i zrozumienie. Sam wiedział, że zrozumie. Rozumiał wszystko, co dotyczyło Emily i Griffa, i jak Sam się czuł z tym, co mu zrobili. Rozumiał, jak to jest, kiedy czuje się tak, jakby znajdowało się na zewnątrz i tylko zaglądało do środka.

- Opowiedz mi, co się stało, przyjacielu. Sam łyknął piwa i to włas'nie zrobił.

Griffin i Jasper pojechali welocyklami do Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud na Marylebone Road. Z reguły Griffin nie lubił używać motorów w dzień, z racji na to, jak przyciągały uwagę. Welocykle były dos'ć nowym i kosztownym środkiem transportu, przez co też od razu wskazywały, że prowadzący jest bogaty. Ponadto każdy motor w jego stajni został spersonalizowany dla osoby, której był przezna-

czony, przez co jeszcze bardziej rzucały się w oczy. Ludzie i tak już plotkowali o księciu Greythorne i o tym, z jakimi ludźmi się zadaje.

Pomijając wszystko, trzeba było przyznać, że na welocyklach można się dużo szybciej poruszać w mieście, więc korzyści przeważały nad plotkami.

Zostawili motory z tyłu długiego, eleganckiego, białego budynku, blokując silniki tak, by nie mogły wytwarzać pary, przez co stawały się bezużyteczne dla tego, kto zechciałby je ukraść. Wątpliwe, żeby komukolwiek udało się zabrać choć jeden, gdyby nie miał siły Finley lub Sama.

— Co się dzieje z Samem? — zapytał Jasper. Griffin rzucił w jego kierunku zaskoczone spojrzenie.

— Jest zły.

— Tyle sam zrozumiałem — odparł Amerykanin ze śmiechem. - Zdaje się w ogóle nie lubić panny Finley. Nie bardziej, niż ty lubisz Jacka Dandy'ego.

Griffin na to nie odpowiedział. Nie miał żadnego kontrargumentu, by Jasper uwierzył, że Finley i Dandy wcale go nie obchodzą.

— Sam to mój najlepszy przyjaciel - powiedział. -A już go nie znam.

— Odmieni mu się - odrzekł Jasper, kiedy zbliżali się do drzwi wejściowych.

— Naprawdę w to wierzysz? Amerykanin wzruszył ramionami.

— Może najpierw będzie potrzebował porządnego kopnięcia w tyłek. — Pokazał zęby w uśmiechu. — Zgłaszam się na ochotnika.

Griffin roześmiał się, a kiedy Jasper otworzył drzwi do muzeum, wszedł pierwszy, wciąż się uśmiechając.

Muzeum Figur Woskowych nie należało już do rodziny Tussaud, więc Griffin poprosił o spotkanie z osobą zarządzającą, a kiedy człowiek ten się zjawił, przedstawił siebie i Jaspera. Mężczyzna, który nazywał się White, był niezwykle szczęśliwy, mogąc w swoim przybytku gościć księcia. Kiedy Griffin oznajmił, że chciałby zobaczyć miejsce, z którego ukradziono figurę królowej Wiktorii, pan White nawet się nie zawahał. Była to jedna z zalet bycia tylko o stopień niżej w hierarchii od księcia koronnego - rzadko, jeśli w ogóle, kwestionowano jego decyzje czy czegoś mu odmawiano.

Kustosz poprowadził ich do sali, gdzie znajdowała się wystawa królewska. Griffin był tu już wcześniej i raczej nie zachwycił go niezwykle wizerunki współczesnych i historycznych postaci. Za to Jasperowi trudno było utrzymać głowę nieruchomo — jego oczy biegały od figury do figury.

Griffin posłał mu rozbawione spojrzenie.

— Przed wyjściem możemy wstąpić do komnaty horroru, jeśli chcesz.

Kowboj skinął tylko, już zajęty kolejną niezwykle realistycznie przedstawioną postacią.

— Oczywiście nie otwieraliśmy tej wystawy od kradzieży - poinformował ich White. - Na pewno nie muszę mówić, że jest to bardzo niedogodne, biorąc pod uwagę diamentowy jubileusz królowej.

— Tak - zgodził się Griffin. - Zwłaszcza przy dużej liczbie odwiedzających obecnie miasto turystów.

— W rzeczy samej. Na szczęście są jeszcze ci, którzy zapłacą za możliwość zobaczenia miejsca, gdzie figura stała, kiedy ją skradziono. Człowiek, czego zapewne nie muszę powtarzać waszej księżęcej mości, to dziwna istota.

Z tym Griffin się jak najbardziej zgadzał, co też powiedział, kiedy pan White prowadził ich prosto do królewskiej wystawy. Podobizna księcia Alberta stała samotnie, na zawsze uwieczniona w wieku lat czterdziestu. Dziwnie byłoby zobaczyć tego mężczyznę stojącego obok królowej takiej, jaką była obecnie.

— Czy jest jakiś świadek kradzieży? - zapytał Griffin pana Whitea.

— Nie. Mamy strażnika nocnego, ale biedaczek został pozbawiony przytomności przez tego złodziejskiego zbira. Mocno oberwał, ma pękniętą czaszkę.

Kustosz miał dziwny wyraz twarzy - jak gdyby próbował rozwiązać zagadkę. Przez chwilę Griffin zastanawiał się, czy może strażnik współpracował ze złodziejem, ale szybko odrzucił tę teorię. Kradzież woskowej figury nie była warta utraty pracy, a gdyby

strażnikowi zapłacono, żeby wpuścił złodzieja, to nie zostałyby tak poważnie raniony.

- Czy coś jeszcze zostało zabrane?

- Nie. To właśnie skłoniło Scotland Yard do założenia, że chodzi tylko o nieszkodliwy żart.

- Wątpię, czy strażnik by się z tym zgodził - zauważył Griffin.

- Czy mógłby nam pan podać jego adres? Chciałbym z nim pomówić, kiedy tu skończymy.

Kolejna korzyść z bycia księciem: ludzie rzadko się o coś dopytywali. Pan White najwyraźniej był ciekaw, dlaczego Griff chce rozmawiać ze strażnikiem — w ogóle czemu interesował się tą sprawą - ale zachował pytania dla siebie.

- Oczywiście, wasza książęca mość. Zaraz go dla pana znajdę.

Kustosz nie został długo, kiedy zaprowadził ich na miejsce. Musiał pracować przy wejściu, no i zapisać dla nich adres strażnika, ale poprosił Griffina, żeby ten wezwał go, gdyby czegokolwiek potrzebował — absolutnie czegokolwiek. Potem uklonił się i wyszedł.

Jasper poczekał, aż mężczyzna odejdzie, zanim spytał:

- Nie masz czasem dość, jak ludzie tak cię cmokają w zadek?

Griffin zwrócił się do niego z prześmiewczą powagą:

- Tak. Jest to koszmarnie męczące, jak tak wszyscy robią, o co tylko ich poproszę. Moje życie jest przez to okropne.

Jasper pokręcił głową, unosząc brwi i uśmiechając się kpiarsko.

— No, jest mi ciebie strasznie szkoda.

- Naprawdę. A dla twojej wiadomości, wcale nie podoba mi się, że ludzie lecą na wyścigi, mało sobie nóg nie połamią, żeby mnie zadowolić. — Griffin zmarszczył brwi. — I zazwyczaj chcą czegoś w zamian. Trudno poznać, kto jest prawdziwym przyjacielem.

Griffin przeszedł pod jedwabną liną, która otaczała wystawę, i kucnął przy miejscu, w którym przedtem stała figura królowej.

Kto by zrobił coś takiego? I dlaczego? Rozejrzał się po okolicy, nie zauważając niczego, ani jednego włosa, ani skrawka materiału, ani...

Coś jednak było. Z kieszeni płaszcza wyciągnął szkiełko i niewielki nożyk.

-Jas, chodź i spójrz na to.

Kowboj podszedł bliżej.

- Co to?

— Smar.

Griff zdjął ostrzem drobinę tłustej substancji, uważając przy tym, żeby nie zadrapać podłogi. Powąchał.

- Taka sama konsystencja i zapach jak na miejscach przestępstwa popełnionych przez automaton.

Jasper schylił się nad jego ramieniem, żeby lepiej się przyjrzeć.

— Machinista?

Griffin uśmiechnął się. Nie miał powodu do zadowolenia z tego, że jego przypuszczenia się potwierdzi-

ły, ale tak właśnie było. Czuł, że są coraz bliżej złapania przestępcy, choć jeszcze nie mieli pojęcia, gdzie lub kim jest.

— Tak. Nasz przebiegły przyjaciel ostatnio nie próżnował.

— Po jaką cholere miałby ukraść woskową kukłę, kiedy zawsze preferował metal?

— Nie wiem.

Griffin zamknął smar między dwoma szkiełkami. Później odda go Emily do dokładniejszej analizy. Jasper zmarszczył brwi.

-Jeśli nie wiesz, to czemu wyglądasz na takiego zadowolonego z siebie?

Griff błysnął krzywym uśmiechem.

— Bo się dowiemy.

W tej chwili powrócił pan White z adresem strażnika. Griff podziękował kustoszowi, po czym szybko wyszli razem z Jasperem, wracając do welozykli i ruszając do dzielnicy, w której mieszkał strażnik.

Niedługo później, po lawirowaniu w ruchu ulicznym z najwyższą prędkością, z jaką mogli jechać, by jeszcze móc omijać pieszych i konie, zapukali do drzwi niewielkiego, ale przytulnego i czystego domu w Shoreditch.

— Daleko, żeby dojeżdżać do pracy — zauważył Jasper, kiedy czekali na progu.

Griffin wzruszył ramionami.

— Obecnie metro bardzo ułatwia londyńczykom podróżowanie.

Jasper skrzywił się na wspomnienie o podróżowaniu pod ziemią. Kowboj nie lubił ciasnych miejsc tak samo jak Griffin.

— Nie — powiedział Griffin z lekkim uśmiechem. -Ja też go nie lubię.

Drzwi otworzył krępy mężczyzna, niższy od Griffa, ale przynajmniej dwukrotnie szerszy. Griffin spojrzał na kartkę, którą dostał od kustosza.

- Pan Angus MacFarlane?

— Ta — odpowiedział mężczyzna, patrząc na drogie ubranie Griffina i pistolet tylko częściowo zakryty przez płaszcz Jaspera. Rude brwi zmarszczyły się nad bystrymi, niebieskimi oczami. - Czym mogę służyć, panowie?

Griffin podał mu rękę.

- Griffin King, księżę Greythorne. To mój współpracownik, Jasper Renn. Chcielibyśmy z panem porozmawiać o kradzieży w muzeum.

MacFarlane nie wyglądał, jakby zrobiło to na nim wrażenie. Raczej na przestraszonego.

— Mogę poprosić o jakiś dowód tożsamości, *wasza książęca mość?*

Jasperowi nie udało się ukryć śmiechu. Griffin posłał mu zirytowane spojrzenie, kiedy wyciągnął jedną ze swoich wizytówek.

Rosły Szkot spojrzał na nią, wydrukowaną na wyśmienitym papierze, i najwyraźniej zdecydował, że jest to - jak i Griff-autentyk. Zwolnił przejście.

- Zapraszam.

— Dziękujemy.

Griff przeszedł próg jako pierwszy, a za nim wszedł Jasper.

— Zaproponowałbym coś do picia, ale nie mam nic, do czego tacy jak wy są przyzwyczajeni. - MacFarlane powiedział to tak, jakby była to wina Griffa. Nic nowego. Z wiedzą, że przed księciem otwiera się wiele drzwi, przychodziła też wiedza, że nie wszyscy będą go za to darzyć sympatią.

— Nie mamy zamiaru nadużywać pańskiej gościnności, panie MacFarlane — powiedział z czarującym uśmiechem. - W rzeczy samej, zajmiemy jak najmniej pańskiego czasu. Pan White powiedział, że nie widział pan napastnika. Czy tak?

— Tak, wasza książęca mość. Podkradł się ten drań od tyłu i diablo w łepetynę mi przywalił. Obudziłem się cały zalany krwią.

Griffin popatrzył uważnie na mężczyznę, który nie miał bandaża, sińca czy nawet opuchlizny na swojej niemal całkiem łysej głowie.

— Zdaje się, że wszystko dość dobrze się zagoiło. MacFarlane poruszył się niespokojnie.

— Oto właśnie chodzi. Aż trochę za dobrze. Cholernie dziwna rzecz, proszę o wybaczenie.

Wciąż z pochmurną miną, Griff zapytał:

— Mógłbym zobaczyć miejsce, gdzie został pan uderzony?

Szkot wzruszył ramionami, najwyraźniej składając całe to spotkanie na karb arystokratycznej ekscen-

tryczności, i obrócił się, żeby książkę mógł się dobrze przyjrzeć jego potylicy. Griffin widział skórę mężczyzny pod rzednącymi rudymi włosami.

Pokój był dobrze oświetlony i stali blisko okna. Griffin wyciągnął z kieszeni szkło powiększające i zbliżył je do dużej czaszki MacFarlanea. O tu, tuż nad kalafiorowatym uchem...

— Czy był pan bokserem, panie MacFarlane?

— Ta, wasza książęca mość. Kiedy byłem młodszy. Do niczego wielkiego nie doszedłem i zostało mi tylko obtłuczone ucho. Znalazł pan to, czego pan szukał? To jakoś gdzieś w tym miejscu.

Griffin widział. Cienką, różową kreskę świeżo zagojonej skóry tuż nad zniekształconym uchem. Krew mu zastygła w żyłach.

— Widzę, tak.

— To teraz rozumie pan, czemu będę owinięty bandażem, jak pójdę do pracy.

Rozumiał. Każdy, kto by to zobaczył, pomyślałby, że MacFarlane wcale nie został zraniony. Griffina zdziwiło, że jemu zdecydował się pokazać bliznę.

— Czy w okolicy rany znalazł pan jakąś dziwną substancję? - zapytał, chowając szkło powiększające na powrót do kieszeni. — Rozumiem, że mogło być ciężko to stwierdzić przy tak dużej ilości krwi.

MacFarlane spojrział na niego, potem na Jaspera i znowu na Griffa, jakby nie mogąc się zdecydować, ile może im powiedzieć. Griffin nie winił go, bo historia strażnika i tak już była mało wiarygodna.

— Był smar, wasza książęca mość. Taki, jakiego używamy, żeby automatomy w muzeum gładziutko działały. Myślałem, że dostanie mi się do głowy i rana mi się będzie babrać, ale on... ją zagoił.

Griffin panował nad wyrazem twarzy, podczas gdy wzbierała w nim panika.

— I całe szczęście. Chyba dobrze będzie, jak jednak założy pan bandaż, a ja zapewniam, że nie zdradzę pańskiej tajemnicy. — Uśmiechnął się. — Zajęliśmy panu już dość czasu. Sami wyjdziemy. Do widzenia, panie MacFarlane. Proszę zachować wizytówkę na wypadek, gdyby coś jeszcze pan sobie przypomniał.

Kiedy byli już na zewnątrz, pod ciemnymi chmurami grożącymi deszczem, Jasper zwrócił się do Griffina:

— Rana tego człowieka zagoiła się tak samo jak rana, na którą mi panna Emily nałożyła tę specjalną maść, z tego czegoś, co znalazł twój dziadek.

Griffin przytaknął ponuro, przekładając nogę nad welocyklem.

— Machinista ma organity i odkrył, jak ich używać.

ROZDZIAŁ 14

Laboratorium Emily różniło się od wszystkiego, co Finley kiedykolwiek widziała i jeszcze zapewne kiedyś zobaczy. Wyglądało jak makabryczny sklep z zabawkami albo kryjówka szalonego wynalazcy. Wszędzie dookoła porozkładane były części automatonów, rozmaite zębatki i maszynie. Na blacie ciągnącym się wzdłuż całej jednej ściany leżały porzucane narzędzia. W powietrzu unosił się zapach rozgrzanego metalu i smaru wymieszany z woniami medykamentów. Przy przeciwległej ścianie czekały na użycie zlewki i palniki. Na wysokich regałach stały przezroczyste butelki z płynami w przeróżnych barwach, podczas gdy naczynia ze szkła koloru soczystego kobaltu i ciemnego bursztynu zawierały substancje wrażliwe

na światło. Wyglądały bardzo ładnie tak ustawione — jak klejnoty różnych kształtów i rozmiarów.

W jednym kącie siedział duży kot w kolorze metalicznej szarości. Wyglądał, jakby zszedł z ryciny w książce o kotach z egzotycznych dżungli — tyle że zrobiony z metalu. Był piękny i trochę... niepokojący jednocześnie.

Na długim stole pośrodku pomieszczenia leżał trochę zaśniedziały mosiężny automat z zdjętym przednim panelem. Finley przypominał rysunki z książek o anatomii, które Silas sprzedawał w swojej księgarni. Na szczęście tak samo jak kot był z metalu, a nie z ciała. Patykowata maszyna, którą Finley zniszczyła w cyrku, leżała na drugim stole. Pomyślała, że Sam słusznie uważał ją za niebezpieczną, kiedy zobaczyła szkody, jakie wyrządziła gołymi rękami.

Woskowa królowa Wiktoria leżała na stole najbliżej niej, wyglądając tak realistycznie, że Finley przeszedł dreszcz. Wyglądała jak trup — biedna stara kobieta pozbawiona ubrania i życia. Finley czuła się, jakby powinna ją oplakiwać, przykryć prześcieradłem i odmówić nad nieruchomą postacią krótką modlitwę.

Ale była to właściwie lalka, przypomniała sobie, podchodząc bliżej. Wosk, nie ciało. Mimo to zawahała się na chwilę, zanim spróbowała jej dotknąć. Szturchnęła w żebra — wosk był twardy i nie odkształcał się pod jej palcem. Westchnęła z ulgą.

Emily uśmiechnęła się do niej po drugiej stronie stołu.

— Myślałaś może, że usiądzie i cię ugryzie? Finley zaśmiała się, odrobinę zażenowana, ale nie na tyle, że nie mogła się sama z siebie pośmiać.

— Nie myślałam dalej niż do momentu podniesienia się.

-Jest dość niepokojąca. Przypomina mi troszkę moją babkę O'Brien.

Miły uśmiech na twarzy Emily zadziałał znacznie lepiej, żeby uspokoić nerwy Finley, niż świadomość, że mogła łatwo zniszczyć figurę, gdyby ta zrobiła cokolwiek dziwnego. Pozwoliła spojrzeniu wędrować po woskowej postaci, wreszcie postrzegając ją jako coś niegroźnego.

Zmarszczyła brwi. Złodziej przyznawał figurze dość człowieczeństwa, by pozostawić ją częściowo ubraną — po to tylko, żeby umieścić ją w Whitechapel, miejscu, o którym godność zapomniała.

— Czemu zabrał jej suknię, skoro chciał ją tylko zostawić na progu domu Jacka?

— O, mówisz mu po imieniu? — w głosie Emily słychać było swawolną uszczypliwość. — Jesteście już aż tak bliskimi znajomymi?

Finley nie mogła powstrzymać uśmiechu.

— I ty mi dokuczasz, kiedy zarówno Sam, jak i ten śliczny kowboj walczą o twoje uznanie? — Znów spojrzała na woskową figurę i cała jej wesołość wyparowała. - Um, Emily? Chyba wiem, czemu zabrał całą figurę.

Emily przeszła na jej stronę stołu i popatrzyła tam, gdzie wskazywała Finley.

— Och, tak. Od razu zauważyłam, że ich nie ma. W miejscu, gdzie powinny znajdować się szklane oczy figury, ziały tylko puste oczodoły.

— Widać nawet, gdzie zostały wydłubane — powiedziała Finley, wskazując na linię rzęs. Bogowie, nieprzyjemnie się na to patrzyło. — Na co komuś szklane oczy?

— Do wielu różnych rzeczy. Ludzie je noszą, lalki takie mają. Używa się ich też w wyrafinowanych automatach.

Finley gwałtownie odwróciła głowę w jej stronę.

— Słyszałam okropne historie na temat tego, do czego ludzie wykorzystują takie maszyny.

Emily skrzywiła się.

— Nie wierz we wszystko, co usłyszysz. Znam kilka bardzo humanoidalnych maszyn, które są traktowane przez właścicieli z szacunkiem.

— Myślisz, że Machinista ukradł tę figurę dla jej oczu?

— Może — albo do własnego dzieła, albo na sprzedaż. Prześlę notkę do mojego dostawcy i zapytam, czy słyszał o kimś, kto próbował sprzedać takie błękitne oczy. Pewnie można by za nie dużo dostać, bo musiały być wzorowane na oczach Jej Wysokości.

Z ręką na biodrze Finley spoglądała na mniejszą dziewczynę ze znacznym szacunkiem.

— Jesteś bardzo użyteczną osobą, Emily O'Brien. Irlandka napuszyła się z dumy.

— Sama jesteś nie najgorsza. Ja nigdy bym nie weszła na ring z Jasperem.

— Cóż, myślę, że Jasper miałby inne rzeczy na myśli, gdybyście znaleźli się sami w jakimś odosobnionym miejscu.

Policzki Emily zaróżowiły się.

— On tylko lubi się ze mną droczyć. To nie na poważnie.

Finley przewróciła oczami.

— Dziewczyna tak bystra jak ty nie może być taka niedomyślna. Czy próbował cię pocałować?

— Nie! Oczywiście, że nie.

Finley oparła łokieć na stole niedaleko ramienia woskowej Wiktorii i uśmiechnęła się.

— A Sam?

Rumieniec na policzkach Emily pociemniał.

— On też nie. Pokręciła głową.

— To niedopuszczalne. Dwóch przystojnych mężczyzn starających się o twoje względy, a ty żadnego nie pocałowałaś. Oczywiście na twoim miejscu spo-liczkowałabym Sama za bycie takim gburem. Pocałuj Jaspera. Jest dużo bardziej czarujący.

— Czarujący względem każdej poznanej dziewczyny — odpowiedziała Emily niezbyt delikatnie.

Finley uniosła jedną brew.

— Zazdrosna?

Emily szturchnęła Finley palcem w ramię z taką siłą, że aż dziewczyna się lekko zachwiała.

— A ty? Pocałowałaś Dandy'ego?

— Nie. — Finley wyprostowała się. Jej umysł wypełnił wizerunek twarzy Jacka Dandy'ego. - Myślisz, że dobrze całuje?

Przedtem obwiniałyby za te myśli swoją mroczniejszą naturę, ale teraz nie była tego już taka pewna.

— Myślę, że ma dość doświadczenia, żeby naprawdę nieźle całować. - W oczach Emily pojawiły się iskierki. — A co z Griffinem?

Finley udała, że nie rozumie, i z wielkim zainteresowaniem zaczęła przyglądać się swoim paznokciom.

— Co z nim?

— Pocałował cię?

— Nie. — Skrzywiła się. - Bogowie, jestem dla niego przypadkiem dobroczynności — dziewczyną, za którą czuje się odpowiedzialny. Nic więcej.

Emily nie wyglądała na przekonaną.

— Widziałam, jak na ciebie patrzy i jak ty patrzysz na niego. Myślał o tym. Wierz mi.

Na ustach Finley pojawił się lekki uśmiech. Pochyliła się bliżej, na wypadek gdyby maszyny mogły ją usłyszeć, i zwierzyła się:

-Ja też o tym myślałam, ale chyba nie za mądrze byłoby to zrobić - nie, kiedy on próbuje mi pomóc. Mogłoby to wszystko skomplikować.

— To możesz wrócić do Dandy'ego — w głosie Emily brzmiało rozbawienie, kiedy dokładnie oglądała lewą rękę figury. — Jestem pewna, że bardzo chętnie zgodzi się, żebyś' na nim poćwiczyła. Może wtedy Griffin zrozumie, że cię chce.

— Nie, dziękuję. Na nikim nie będę ćwiczyła. Nie potrafię tak żonglować dwoma adoratorami jak ty.

Ale już w chwili kiedy to mówiła, Finley poczuła w piersi dziwny skurcz. Lubiła Griffina i uważała, że jest bardzo przystojny, ale czuła też coś do Jacka Dandy'ego. Te dwa uczucia nie były wcale takie same, podobne jedynie w tym, że obaj mężczyźni jej się podobali, każdy na swój sposób. Nie powinna tak myśleć o żadnym z nich. Było to niestosowne i po prostu nie powinna wyobrażać sobie całowania kogokolwiek, kiedy tajemniczy wróg próbował sprawić, żeby uznano ją za kryminalistkę, i zrujnować jej życie.

— Co to takiego? — zapytała, wskazując dopiero co zauważone niewielkie wyźłobienia w wosku na bokach twarzy postaci.

Emily zmarszczyła brwi.

— Nic nie widzę.

Chwilę zajęło Finley us'wiadomienie sobie, że nie ma przywidzeń, tylko widzi figurę tak, jak zobaczyłaby ją jej mroczniejsza połowa - nadnaturalnie ostrym wzrokiem.

— Przyjrzyj się bliżej. W wosku są ślady.

Wciąż z wyrazem niedowierzania, Emily zsunęła gogle na oczy i nałożyła na oba okulary dołączone do

nich szkła powiększające. Obróciła niewielkie gałki po obu stronach, regulując ostrość obrazu, kiedy pochylała się nad woskową twarzą. Wciąż poprawiając powiększenie, przyjrzała się najpierw jednej stronie, a następnie drugiej.

— Wyglądają na ślady po suwmiarce. Ktoś mierzył twarz królowej.

— Czy mogli to zrobić w muzeum, kiedy wytwarzali figurę?

Emily pokręciła głową, ostrożnie oglądając resztę woskowej postaci w poszukiwaniu śladów.

— Kiedy to tylko możliwe, robi się je, wykonując odlewy i biorąc pomiary z pierwowzorów. Królowa przeszłaby taką procedurę, zanim figura została wykonana. Te, jak przypuszczam, zostały zrobione przez naszego złodzieja.

— I znowu pytam: dlaczego? — Finley wyprostowała się, krzyżując ręce na piersi. — Co knuje ten cholernik?

— Nie wiem — wymamrotała Emily, najwyraźniej równie skonsternowana jak Finley. Znow uniosła gogle. - Ale chciał rzucić winę na ciebie, więc może powinniśmy zadawać inne pytania?

Finley nie mogła się z nią nie zgodzić.

— Kim on jest? I skąd mnie zna?

— Ona oznacza kłopoty, a nikt inny tego nie widzi. — Nadąsany Sam siedział rozparty na sofie

w mieszkaniu Leona na Russell Street. — Facet ze Scotland Yardu przyszedł do domu, żeby przesłuchać ją w sprawie morderstwa syna jej byłego pracodawcy, a wszyscy na to tylko: „Biedna Finley”. — ostatnie słowa powiedział sztucznym falsetem, który aż ociekał obrzydzeniem i kpina.

Jego starszy przyjaciel wszedł do maleńkiego salonu z niewielkiej kuchni i podał mu kubek kawy. Sam przyjął go z wdzięcznością, krzywiąc się, kiedy gorąca ceramika go oparzyła. Metalowa ręka Leona oczywiście nie czuła gorąca, ale Sama — nawet ta z metalem we wnętrzu - owszem.

Postawił kubek na niskim stoliku przed sobą i spojrzał na ślad po oparzeniu na dłoni. Przez chwilę się utrzymywał, szczypiąc, po czym stopniowo zaczął zanikać, aż pozostało po nim tylko lekko zaróżowione miejsce, które swędziało, a potem już całkiem nic.

— To zupełnie niezwykle - powiedział Leon, siadając obok na krześle. W każdym calu wyglądał na dżentelmena w swojej nieskazitelnej jedwabnej kamizelce i marynarce z wełny czesankowej. — Czy zawsze tak szybko goiły się twoje rany?

W czasie jednej z ich rozmów Sam opowiedział Leonowi o swojej niezwyklej sile i umiejętnościach samoleczenia, które ostatnio stały się potężniejsze.

- Nie aż tak szybko — odpowiedział. — Z reguły potrzebowałem trochę maści Emily, żeby rany się zagoiły do końca.

— A, tak. — Leon uśmiechnął się nieznacznie. — Genialna, acz makiaweliczna Emily. Co umieszcza w tej maści, o której mówisz?

Sam się zawahał. Opowiadanie własnych sekretów to jedno, ale przysiągł Grimnowi, że nigdy nie ujawni prawdy o organitach.

— Nie jestem pewien — odpowiedział, znów spoglądając na swoją dłoń, żeby nie musieć kłamać przyjacielowi prosto w oczy. - Nigdy mi nie powiedziała.

Na chwilę zapadła cisza, kiedy Leon napił się gorącej, mocnej kawy. *Cafe-espress*, jak ją nazywał.

— Opowiedz mi więcej o tej całej Finley. Wydaje się dość niezwykła, jak również niebezpieczna.

— Tak — zgodził się Sam. - Odkąd Griffin ją przygarnął, mamy same kłopoty. Wychodzi i wraca, kiedy chce, zadaje się z kryminalistami, jest podejrzewana o morderstwo, a teraz... Teraz okazuje się, że może mieć związek ze sprawą, którą zajmuje się Griff. Nawet jeśli to nie jej wina, głęboko w tym siedzi. Wiem to.

— Niezłomny książę Greythorne — Leon powiedział to z nutą kpiny. — To tylko chłopiec, Samuelu. Do tego pewnie zadurzył się w tej dziewczynie i odmawia widzenia w niej czegokolwiek poza ideałem.

Sam chrząknął, unosząc kubek do ust. Kawa parzyła go w język, ale była bardzo smaczna.

— On wie, że ona nie jest normalna — powiedział. — Widział, do czego jest zdolna, ale wydaje mu się, że może ją naprawić.

— Niektórych ludzi już się nie da naprawić. — Leon postawił swój kubek na stoliku. — Z tego, co powiedziałaś, wydawało mi się, że nie obchodziłoby cię, gdyby książę wyszedł na głupca po tym wszystkim, co ci zrobił. — Miał oczywiście na myśli to, co zrobili mu Griffin i Emily. Zrobili z niego odmieńca. — Mógłbyś po prostu odejść.

— To ciągle są moi przyjaciele — odparł Sam. — Nie chcę, żeby ktokolwiek zrobił im krzywdę.

- Mój drogi chłopcze, jeśli boisz się o bezpieczeństwo swoich przyjaciół, to musisz coś zrobić w sprawie tej dziewczyny.

Grymas na twarzy Sama przerodził się w wyraz zdziwienia.

— Na przykład co?

Leon wzruszył ramionami, wykonując wyrafinowany gest, jak to potrafili tylko ludzie z kontynentu. Tak w każdym razie podejrzewał Sam.

- Spraw, żeby zobaczyli, jaka jest naprawdę. Zmusz ją do pokazania prawdziwej natury.

Sam przemyślał tę kwestię ze zmarszczonymi brwiami. -Jak?

Gospodarz uśmiechnął się cierpliwie.

- Nie ma w tobie nawet krzty przebiegłości, prawda? Jakże to szlachetne. Musisz ją przycisnąć do muru. Mówiłaś, że ta jej... przypadłość z reguły ujawnia się, gdy ona czuje się zagrożona. Zagroź jej prawdą, zmusz

do ujawnienia się przed twoimi przyjaciółmi. Wtedy zobaczą, że od początku miałeś rację.

Sam zastanowił się. W ustach Leona brzmiało to tak łatwo.

- Masz rację.

- Wiek daje pewne korzyści — zażartował jego przyjaciel z uśmiechem.

Rozmawiali jeszcze chwilę o innych rzeczach, dopóki Leon nie dopił kawy i nie oświadczył, że niestety, musi w tym momencie zakończyć ich spotkanie.

- Obawiam się, że jestem umówiony, ale zobaczymy się ponownie wkrótce, tak?

Sam wstał, górując nad nim. Pomimo potężnych rozmiarów i siły czuł się młodo i głupio przy tym światowym człowieku, który zaakceptował swoją odmienność z gracją i lekkością. Może pewnego dnia Sam będzie mógł zrobić to samo i nie myśleć o swojej nowej ręce - o swoim sercu - jako o czymś obcym i niewłaściwym, jako o zdradzie tych, którzy byli mu najbliżsi.

- Oczywiście - odparł, przyjmując wyciągniętą dłoń. Nawet nie zauważył, jak chromowe palce uściśniły jego własne, kiedy Leon pochwycił jego dłoń obiema swoimi. W miejscu, które dotykało gorącego kubka z kawą, metal był ciepły.

- Dziękuję - powiedział Sam, kiedy szli w stronę drzwi. — Doceniam to, że poświęciłeś mi swój czas i służyłeś radą.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

— Pomogę ci, kiedy tylko będziesz tego potrzebował, przyjacielu. Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętał. Dobry z ciebie człowiek. Postąpisz słusznie w sprawie swoich przyjaciół, a oni ci za to podziękują.

Sam uśmiechnął się. Kiedy ostatnio czuł, że ktoś go tak dobrze rozumie?

— Do widzenia, Leonie. Szybki ukłon ciemnej głowy.

— Samuelu...

Sam opuścił budynek, ciężko stąpając po krętych schodach, i wyszedł w zanikające światło popołudnia. Czuł się szczęśliwy po raz pierwszy od dłuższego czasu. Wróci do Mayfair i zmusi innych do zobaczenia tego, jaka Finley jest naprawdę. Wtedy zorientują się, że miał rację i wcale nie jest idiotą. Dostrzegą prawdę, a Finley pobiegnie prosto do Jacka Dandyego, gdzie jest jej miejsce.

Miał tylko nadzieję, że uda mu się jej pozbyć, zanim kogoś zrani.

Po wizycie w muzeum i u strażnika Jasper poszedł porozmawiać ze swoimi informatorami, obiecując, że pojawi się wieczorem. Griffin wrócił do domu, gdzie zastał Emily i Finley w piwnicznym laboratorium nad woskową Wiktoria. Ich gorliwe miny sprawiły, że podróż ciasną windą uznał za niemal znośną.

— Znalazłeś coś? - zapytały chórem.

— O tak — odpowiedział, rozglądając się po pokoju. — Sam jeszcze nie wrócił?

Emily pokręciła głową, a w jej dużych oczach malowała się wyraźna troska. Wyglądała jak sierotka, zawinięta w fartuch i w goglach. Jej toporne buty sprawiały wrażenie za dużych na stopy, a gogle za dużych na głowę. Nawet pukle jej miedzianych włosów wydawały się być nieodpowiedniego rozmiaru. Przy niej Finley wyglądała jak wojownicza Amazonka, w swoim skórzanym gorsecie, bluzce z krótkim rękawkiem i czarnych pumpach. Obcasy jej skórzanych butów wyglądały na dos'ć solidne, by zgnieść nimi kości na pył.

— Co odkryłeś? - zapytała Emily.

Griffin odwrócił się w jej stronę, zawstydzony, że poświęcił czas na podziwianie Finley, kiedy powinien się skupić na bieżącej sprawie.

— To sprawka Machinisty. Znaleźliśmy ten smar. Trochę dostało się go do rany nocnego strażnika, przez co się zagoiła dużo szybciej, niż powinna. Machinista ma organity i dodaje je do smaru, którego używa w swoich automatonach.

Emily zmarszczyła czoło w skupieniu.

— Nie mam pojęcia, jak te stworzonka miałyby się przydać w smarze do złączy, ale przeprowadzę różne testy.

— Nie znalazłabyś organitów w innych próbkach? -zapytała Finley.

Emily pokręciła głową, a jej długie włosy zamiotły po ramionach.

- Muszą mieć z czego czerpać energię, żeby żyć, no i imitują to, do czego akurat są dołączone. Musiałabym mieć świeżą próbkę, żeby je wykryć, bo w innym wypadku są martwe i wyglądają jak to, w czym się znajdują.

Griffin nie był pewien, ile Finley z tego rozumie. Właściwie to sam nie był pewien, czy to do końca rozumie, a przecież dorastał z wiedzą o organitach i o tym, jak działają.

- Testy to dobry pomysł, Em - powiedział.

- Chodź i zobacz, co znalazłyśmy - zaproponowała Emily, wskazując figurę woskową.

Griffin był zdziwiony, kiedy dziewczęta pokazały mu puste oczodoły i przypuszczalne ślady po suwmiarce.

- Wątpię, żeby chciał sprzedać te oczy. Podejrzewam, że sam buduje automatona.

- Królową Wiktorię? - głos Finley wyrażał takie niedowierzanie, że usta Griffina wygięły się w lekkim uśmiechu.

- Tak - odpowiedział. - Mógłby zabrać go na jedną z uroczystości jubileuszowych i na przykład wysadzić.

- Ale po co? - to Emily zadała to ważne pytanie. - Jaką mógłby mieć motywację, żeby popełnić taki bezsensowny akt przemocy?

Finley wzruszyła ramionami. - Jak dotąd jego przestępstwa były dość przypadkowe.

— Nie. — Griff zmarszczył brwi, kiedy przez głowę przebiegał mu milion myśli. — Tylko wydają się przypadkowe, bo nie znamy jego zamiarów.

Chciałby, żeby była tu Kordelia. Zawsze dużo lepiej radziła sobie z zagadkami niż on, ale wyjechała do Devon, żeby zobaczyć, jakie szkody wyrządzono w jaskiniach - i żeby dowiedzieć się więcej o tym tajemniczym gajowym, który nagle zniknął. Wydawało się oczywiste, że to musiał być sam Machinista, ale Griff chciał mieć pewność.

— A co z Dandym? - zapytała Finley. Kiedy Griffin spojrział na nią, umknęła wzrokiem. — Jeśli ten cały Machinista jest takim mistrzem zbrodni, to chyba Dandy powinien wiedzieć o nim *cokolwiek*.

Przez chwilę — choć bardzo krótką — Griffin pomyślał, czy podejrzenia Sama co do Finley nie są jednak prawdziwe? Naprawdę niczego o niej nie wiedział. W ogóle jej nie znał, a jednak...

Nie mógł uwierzyć, że jest przestępczynią.

— Nie - odpowiedział stanowczo, tym razem przeklinając w duchu, kiedy znów spuściła wzrok. — To znaczy... — Co właściwie miał na myśli? Odchrząknął. - Szczerze wątpię, by Dandy nam coś powiedział, nawet gdyby posiadał jakieś informacje. W określeniu

„złodziejski honor" jest sporo prawdy. Jest też możliwe, że ci dwaj ze sobą współpracują. Nie zaryzykuje utraty własnej pozycji w półświatku. Już i tak dużo ryzykował, przynosząc nam tę figurę woskową. Finley skrzyżowała ramiona na piersi.

— Nie zaszkodziłoby zapytać.

Griffin zacisnął zęby. Nie chciał, żeby Finley spotykała się Dandym, nie dlatego, że się o nią martwił -obawiał się, że sympatia Dandy'ego do niej była odwzajemniona.

Przełknął smak zazdrości wzbierający mu w przełyku.

— Dobrze - zgodził się. - Zapytaj go. Ale umów się z nim na neutralnym terenie. Nie chcę, żebyś szła do jego domu sama. Machinista wie, kim jesteś, i może wciąż cię obserwować — albo Dandy ego. Nie stwarzajmy mu okazji, by cię zaatakował.

Na początku ich znajomości nie byłaby przerażona tym pomysłem, ale teraz widać było, że nie pomyślała o tym i że ta możliwość nappełniała ją niepokojem.

— Dobrze. Tak zrobię.

Emily nagle podniosła głowę, jakby uderzona nagłą myślą.

— Znam kogoś, kto może będzie mógł nam coś powiedzieć!

— Kogo?

Emily zmrużyła chytrze oczy.

— W innych miejscach też znaleźliśmy smar Ma-chinisty. Był nawet w automatonie, który zaatakował Sama.

Griffin skinął twierdząco.

— Na tej podstawie wysnuliśmy teorię, że to Machinista odpowiada za awarie maszyn. Ale powiedzia-

łaś, że nie wiesz, co zrobił z tą maszyną - przypomniał bardzo łagodnym tonem, żeby nie uznała jego słów za przytyk.

- To było, zanim zdałam sobie sprawę, że rozwinęłam własną umiejętność rozmawiania z maszynami.

Zdecydowanym krokiem przemaszerowała do dużych stalowych drzwi w odległym kącie laboratorium. Griffin poczuł się nieswojo.

- Em, co robisz?

- Coś, co powinnam była zrobić dawno temu, tylko byłam za dużym tchórzem.

Emily otworzyła skarbiec, obracając wielkie koło. Dało się słyszeć syknięcie - to uchodziła para, kiedy kręciły się zębátky mechanizmu zamykającego — a potem głośnie klik, kiedy Emily pociągnęła drzwi.

Wewnątrz stał automaton, który zaatakował Sama. Na jego widok Griffinowi niemal zamarło serce. Wyglądał jak wielki żelazny człowiek o kanciastym ciele i jednej długiej ręce z szuflą w miejscu dłoni. Miał koła z szerokimi bieżnikami i niewielką kopułę nawigacyjną zamiast głowy.

- Emily... — Finley zrobiła krok do przodu, odruchowo chcąc powstrzymać kruchą Irlandkę przed podejściem bliżej do tego monstrum. Griffin położył jej rękę na ramieniu, co wymagało od niego niezwyklej determinacji, bo sam chciał pójść za Emily.

- Bądź gotowa - szepnął Finley na ucho. - Na wszelki wypadek.

Skinęła głową.

— Zaraz go uruchomię — poinformowała ich Emily. —
Lepiej się odsuńcie. Gdyby coś się działo, nie atakujcie go,
dopóki nie powiem. Potrzebuję chwili na połączenie się z nim.

Griffin osobiście uważał, że to za duże ryzyko, ale sam by tak postąpił i tylko dlatego nie próbował jej niczego wyperswadować. Stał tam tylko, w ciszy i napięciu, gdy drobna dziewczyna sięgnęła do góry i włożyła karbowany mosiężny pręt do otworu zapłonowego na przedzie automatonu. Każdy pracujący mechanizm miał podobny otwór. Zapobiegało to przypadkowym przerwom w dostawie prądu czy zapłonem, ale był to system na tyle prosty, żeby maszynę w razie czego możliwie szybko wyłączyć.

Emily obróciła pręt. Karby wydały ostry klikający dźwięk, kiedy znajdowały zapadki i przestawiały je na właściwe pozycje. Rozległo się głuchoe łupnięcie, po którym rozbrzmiał warkot i odgłos rotacji trybów. Silnik zaczął szumieć w przygotowaniu do procedur startowych. Automaton zatrzęsł się, kiedy źródła zasilania — wykonane z rudy, którą odkrył dziadek Griffina - zaczęły działać, po czym rozległ się dźwięk przypominający sapnięcie potężnych miechów.

Stwór budził się do życia.

Emily stała przed nim, czubkiem głowy nie sięgając nawet trzech czwartych wysokości maszyny. Jej ręce wydawały się malutkie na tle podniszczonego i brudnego przedniego panelu — na wierzchu jej lewej dłoni widać było czarną smugę.

Ze swojej pozycji Griffin mógł widzieć, jak Emily zamknęła oczy, a na jej twarzy rysował się wyraz koncentracji. Jakkolwiek „przemawiała” do metalu, to na pewno nie dźwiękiem. Gdyby to *coś* żyło, powiedziałyby, że chodzi o telepatię. Ale tak, nie miał na to zjawisko odpowiedniej nazwy.

Automaton dudnił ciągle, nie wykonując żadnego ruchu. Mimo to Griffin nie mógł się odprężyć. Gotów był zrównać dom do fundamentów, gdyby okazało się to konieczne do zniszczenia tej bestii.

Twarz Emily zbladła, przez co piegi na niej stały się bardziej widoczne. Mocno zaciskała usta, na jej czole pojawiły się podłużne bruzdy i przyciskała dłonie do metalu, jak gdyby miała dość sił, by go powstrzymać. Jak długo to trwało, Griffin nie miał pewności, ale nagle zauważył, że Emily drży — i nie były to tylko przechodzące przez nią wibracje maszyny.

-Em?

Zrobił krok do przodu. Finley zerknęła na niego kątem oka, ale nie poruszyła się. Oboje czekali, wstrzymując oddech.

Pukle długich rudych włosów opadły Emily na czoło, kiedy pochyliła głowę. Ten jękliwy dźwięk — czy pochodził od niej, czy od maszyny? Griff nie był pewien. Podszedł jeszcze bliżej.

- Emily?

Oboje z Finley zobaczyli krew w tej samej chwili. Cienką stróżką ciekła Emily z nosa, kapiąc na jej fartuch. Krople krwi rozbryzgiwały się na podłodze mię-

dzy butami. Kolana zaczęły się pod nią uginać, ręce pozostawiały wilgotne siady na brudnym mosiądzu, kiedy ześlizgiwały się po panelu.

- Wyłącz to! - polecił Griffin, rzucając się do przodu.

Finley ruszyła do akcji. To ona złapała Emily, kiedy ta upadała. Griffin chwycił pręt zapłonowy dokładnie w tej chwili, kiedy automat zaczął groźnie unosić ramię. Warkot i turkotanie zwolniło, aż w końcu ucichło. Ręka opadła z głośnym szcękaniem i w laboratorium zapanowała cisza.

ROZDZIAŁ 15

Nie ruszaj się. Finley siedziała na podłodze laboratorium, z głową Emily opartą na kolanach. Chusteczką wytarła krew z bladej twarzy, po czym złożyła materiał w prostokąt i zatamowała krwotok. Jasne nie-bieskozielone oczy Emily patrzyły na nią. Widziała w nich cierpienie, ale również coś jeszcze - triumf.

- Przemówił do mnie — wyszeptała Emily.

- Później możesz nam powiedzieć, czego się dowiedziałaś - odparła Finley. - Teraz musisz przez chwilę odpocząć.

Nic nie było tak ważne, żeby nie mogło poczekać. Widok udreżonej Emily poruszył Finley bardzo głęboko. Zależało jej na tej dziewczynie. Była to pierwsza osoba od dawna, którą mogła nazwać przyjaciółką, i myśl o tym, że może tę przyjaźń stracić, przerażała ją.

Finley usłyszała, jak stalowe drzwi skrzypią na zawiasach. Czy to maszyna? Zaraz usłyszała kliknięcie zamka, a po nim obrót koła. To Griffin zamknął skarbiec. Zmrużyła oczy i westchnęła cicho z ulgą.

To uczucie nie trwało jednak długo. Miała właśnie pomóc Emily wstać, kiedy drzwi do laboratorium otworzyły się z hukiem i do środka wkroczył Sam, z powiewającymi za nim połami szarego płaszcza. Rozejrzył się po pomieszczeniu, a kiedy jego wzrok padł na Finley, oczy stały się jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj.

— Co, do diabła, jej zrobiłaś? - warknął, ruszając na nią jak byk na muletę.

Instykt podpowiedział Finley, że powinna odsunąć się od Emily i pozostawić inicjatywę Griffinowi, tak więc zrobiła. Griffin spojrział gniewnie na Sama i już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy Emily go wyprzedziła.

— To tylko krwawienie z nosa — wyjaśniła. — Rozmawiałam z kopaczem, Sam.

Na twarzy Sama odmalował się szok.

— Ty co...?

— Położyłam na nim ręce i przemówił do mnie. — Emily wycierała nos poplamioną chusteczką. - Pomyślałam, że może powie mi coś o Machiniście, żeby Finley nie musiała pytać Dandyego.

— Uruchomiłaś to coś - przerwał jej Sam, wskazując palcem Finley — dla niej?

Finley miała ochotę potrząsnąć głową. Emily jeszcze nie doszła do siebie po tym wszystkim, w prze-

ciwnym wypadku domyśliłaby się, że nie powinna nic mówić o „rozmawianiu” z tym przeklętym metalem dla Finley. Wiedziała, jak bardzo Sam dba o Emily, nawet jeśli żadne z nich tego nie wiedziało. Ledwo miała czas się przygotować, zarejestrować, że jakaś jej część chce tej najwidoczniej nieuniknionej walki.

— To mogło ją zabić!!! - szalał Sam, stając przed nią, gotowy do natarcia. — Nie pozwoliła mi umrzeć, ale dla *ciebie* ryzykowała życiem! Nie jesteś warta jej życia. Nie jesteś warta jej krwi!

Stało się to tak szybko, że Finley ledwo miała czas zdać sobie sprawę, co się dzieje. Duże, silne — niezwykle silne - ręce chwyciły ją, uniosły i rzuciły. Finley przeleciała w powietrzu, jakby z bardzo daleka słysząc krzyk Griffina i Emily. Uderzyła o ścianę z siłą, która spowodowałaby u normalnego człowieka poważne obrażenia. Spadła na stół, a potem na podłogę, pociągając za sobą jakieś żelastwo: w tym część ramy welocykla, zegar i różne narzędzia.

O Boże, jak to *bolało*. Jej płuca usiłowały zaczerpnąć powietrza. Krztusiła się kurzem. Otarła usta wierzchem dłoni i zobaczyła krew - przygryzła sobie język, kiedy uderzyła o ścianę.

Powoli się podniosła, oceniając szkody. Pozostali wciąż byli daleko, przy skarbcu. Griffin i Emily krzyczeli na Sama, na przemian próbując go przekonywać i karcić. Griffin starał się zatrzymać młodego olbrzyma, ale Finley wiedziała, że nie zdoła na długo odwrócić jego uwagi.

Sam Morgan rwał się do walki, i to właśnie z nią. W tym pokoju nie było nikogo, kto mógłby go powstrzymać, nawet ona nie dorównywała mu siłą. Jeśli Griffin nie wykorzysta swoich umiejętności, to nie będzie miała wyboru - Sam zmusi ją do konfrontacji. Wiedziały to obie połówki, tak więc dla celów samozachowawczych pozwoliła przemianie się dokonać. Nie trzeba było wiele wysiłku - przemoc zawsze ułatwiała zmianę. Teraz jednak różniła się od poprzednich tym, że mroczna część nie przejęła kontroli całkowicie. Zazwyczaj Finley już nie mogłaby świadomie o sobie zdecydować.

Wypełniła ją energia, dając siłę tam, gdzie przedtem była słabość, brak czucia w miejsce bólu i złość zamiast strachu. Kiedy podniosła się, uczyniła to z uśmiechem i przywołała Sama drwiącym ruchem palca.

- Oto i ona - powiedział Sam, wycierając usta wierzchem dłoni. - Prawdziwy potwór.

Wysoki, umięśniony, młody mężczyzna ruszył na nią z groźną miną. Finley utrzymała pozycję i pozwoliła mu podejść. Już ją miał uderzyć, kiedy chwyciła jego spodnie w pasie, lewą rękę kierując za ramiona. Użyła jego pędu, żeby go unieść, obrócić i rzucić na ziemię. Plecami rąbnął o podłogę - aż poczuła drgania przez klepki parkietu.

W ciągu kilku sekund wygiął ciało i zerwał na nogi z większą gracją, niżby się spodziewała po kimś jego rozmiarów. Ledwo zdążyła uchylić się przed wielką

pięścią, kontrując ostrym hakiem w brodę przeciwnika. Rękę Finley przeszył ból. Jasna cholera, czy Emily wzmocniła czaszkę Sama metalem?

Potrząsając dłonią, Finley cofnęła się, czekając, aż przeciwnik wykona kolejny ruch. Chciała być bardziej agresywna. Chciała wspiąć się po nim jak po drzewie, zacisnąć na nim nogi jak małpa i bić go po twarzy, dopóki się nie podda lub nie straci przytomności. Jednak wiedziała, że ten manewr pewnie skończyłby się gorzej dla niej niż dla niego. No i nie miała zamiaru być w tej walce „złą stroną”. Będzie się bronić, ale nie atakować.

Cios trafił ją w lewy policzek, znów unosząc w powietrze. Miała wrażenie, że wjechał na nią powóz. Bokiem uderzyła o stół, na którym leżała woskowa królowa, zrzucając kukłę na podłogę, kiedy solidny mebel przesunął się o kilka cali, zostawiając rysy na drewnianej podłodze. Czowała, jak pękają jej żebra, i przeszył ją potworny ból, kiedy opadła na blat. Jęknęła.

Jej ramienia i twarzy dotknęły czyjeś delikatne ręce. Należały do Griffina.

— Przerwij to - błagał.

Każdy oddech sprawiał Finley ból. Pokręciła głową.

— To nie ja mogę przerwać tę walkę. Griffin spojrzał do góry.

— Sam, przestań, *natychmiast*. Finley nic złego nie zrobiła.

— Idiota! - rzucił Sam, ruszając w ich kierunku. - Tak się w niej zadurzyłeś, że niczego nie widzisz. Po-

patrz na wszystko, co się stało, odkąd ją tu sprowadziłeś'. Była podejrzana o morderstwo. Pracuje z Dandym, a ty i tak ciągle próbujesz ją chronić. Co ona ma zrobić, żebyś zobaczył, jaka jest naprawdę? Poderżnąć jednemu z nas gardło?

Finley usiadła, krzywiąc się przy tym ruchu. Nie miało znaczenia, czy pozostanie na ziemi, czy wstanie — Sam i tak nie odpuści, a część jej bardzo chciała kontynuować walkę tak długo, aż jedno z nich nie będzie już w stanie się podnieść.

-Jeśli cokolwiek będę ciąc, ty wielki, tępy ośle, to tylko twój język - a potem każę ci go połknąć.

Sam wydał głuchy ryk, podniósł ją za szyję, jakby była szmacianą lalką, i trzymał w powietrzu, tłukąc bezlitośnie. Finley szumiało w głowie, czuła, jak po twarzy spływa jej coś gorącego i mokrego — pewnie miała złamany nos, i nie tylko. Gdyby była normalna, już by pewnie nie żyła. Ale nie była i żebra już się zrastały. Niestety, zauważyła, że rozcięta warga Sama też się już prawie zagoiła. Wspaniale. Był większy, silniejszy i do tego szybciej leczył swoje obrażenia.

Palce na jej gardle zacisnęły się mocniej, odcinając dopływ powietrza. Łapała oddech jak wyrzucona na brzeg ryba, trzymając się ramienia Sama, żeby cały ciężar ciała nie obciążał jej szyi. On ją zabije...

- Sam! - był to głos Griffina. Wszystko się jej rozmywało przed oczami, ale kątem oka zobaczyła, jak Griff chwytą Sama za ramię. - Puść ją!

Sama całkowicie zaślepiła wściekłość, bo zamiast ją puścić, uniósł swobodną rękę i wierzchem dłoni uderzył Griffina z taką siłą, że powalił go na podłogę. Emily krzyknęła.

To właśnie ostatecznie popchnęło Finley poza krawędź. Kiedy jej umysł i wzrok ogarniała już ciemność, widok powalonego Griffina i pełen cierpienia krzyk Emily dały jej zastrzyk energii. Otworzyła się i porzuciła wszelki lęk i kontrolę, a jej dusza radowała się w tej krótkiej chwili ekstazy, gdy złączyły się jej dwie połówki.

Znów widziała wyraźnie. Za Samem zobaczyła wstającego Griffina, którego oczy lśniły nienaturalnym blaskiem. Już wiedziała, co się dzieje, kiedy książę Greythorne używa swoich właściwości, a tu nie było basenu, który pochłonałby energię. Musi to zakończyć, zanim wszyscy zginą.

Udało jej się wciągnąć do płuc trochę powietrza. Obie dłonie zacisnęła na nadgarstku i przedramieniu Sama. Napinając brzuch, podciągnęła do góry kolana, aż do piersi. Skupiła całą siłę na dolnych kończynach i wyrzuciła nogi przed siebie jak skaczący zając.

Kopnęła Sama w klatkę piersiową. Grube podeszwy butów uderzyły go z ogromną, rozpaczliwą siłą. Finley usłyszała nieprzyjemny trzask, kiedy go trafiła. Sam stęknął i upuścił ją, zataczając się do tyłu, aż uderzył w regał — z półek posypał się deszcz książek.

Finley od razu pojęła, że to starcie zaszło za daleko. Nie była pewna, czy to ten okropny chrzęst, czy może

mina Sama jej to uświadomiły, ale zanim zdążył osunąć się na podłogę, zrozumiała, że jest ciężko ranny.

Wola walki uleciała z niej raptownie, pozostawiając po sobie niepokój. Podeszła na drżących nogach i opadła na kolana przy powalonym przeciwniku.

- Czy wszystko z nim w porządku? - zapytała, choć wcale nie chciała poznać odpowiedzi.

Emily jakoś udało się znaleźć stetoskop, którego metalową końcówkę przyłożyła do szerokiej piersi Sama, jednocześnie wkładając sobie do uszu słuchawki. Jej twarz była całkiem biała, kiedy spojrzała na Griffina.

-Jego serce - szepnęła, a ręce drżały jej równie silnie jak głos.

Finley przełknęła z trudem. Sam rzeził, jakby miał trudności z oddychaniem. Z jego ust ciekła strużka krwi. Szeroko otwarte oczy szukały spojrzenia Emily.

— Em... - szepnął chrapliwie, z krwią spływającą mu po brodzie. Miał szeroko otwarte oczy i wyglądał teraz bardziej jak przestraszony chłopiec niż szalejący ledwo chwilę temu mężczyzna. - Nie chcę umierać.

Finley ścisnęło się gardło i zapiekły oczy. Nigdy sobie tego nie wybaczy - i pozostali też jej nie wybaczą. Jak mogła tak stracić kontrolę? Co prawda tylko się broniła, ale nigdy nie chciała skrzywdzić Sama, jedynie powstrzymać.

Emily odwróciła się w jej stronę. Po pełnym lęku i dzikim spojrzeniu nie było już śladu. Wyglądała na spokojną i opanowaną — może nawet za bardzo.

— Podnieś go — rozkazała. — Zanieś do sali medycznej.

Finley była tak odrętwiała, że nawet nie spytała, gdzie to jest. Zrobiła po prostu to, co jej kazano. Najwyraźniej mroczna połowa nie opuściła jej zupełnie, pewnie dlatego, że Finley dręczyło poczucie winy.

Griffin zaprowadził ją do innego pokoju, położonego niedaleko laboratorium. Był mały, ale wręcz przerażająco czysty i dobrze oświetlony. Pośrodku pomieszczenia stał stół, nad którym wisiał ogromny żyrandol. Finley zdała sobie sprawę, że jest to sala operacyjna. Szybko zanosła Sama do stołu. Miał okropnie bladą twarz, a jego skóra lśniła od potu.

- Przepraszam - szepnęła Finley łamiącym się głosem. — Tak mi przykro.

- Rozepnij mu koszulę - zażądała Emily, a ona tak gorliwie przystąpiła do działania, że oderwała guziki kamizelki Sama i rozerwała mu koszulę — solidny batyst ustępował jak bibuła.

Pierś Sama była szeroka i umięśniona, a w miejscu, gdzie go kopnęła, już zaczynał pojawiać się siniec - nie najlepszy znak.

— Umyj ręce — odezwała się Emily. — Będziesz mi pomagać. Griffin, wyjmij z szafki eter i listerine. I czysty materiał.

- Co zrobisz? — zapytała Finley.

Emily spojrzała na nią niepokojąco rzeczowym wzrokiem.

— Rozetnę mu klatkę piersiową i naprawię serce.

Przez chwilę Griffin myślał, że Finley zemdleje, tak zbladła, ale potem potrzęsnęła głową i poszła do umywalki.

Skaleczył wewnętrzną stronę policzka o zęby, kiedy Sam go uderzył, i czuł w ustach smak krwi, widział też krew na swojej koszuli. Nie był nawet zły. Teraz ważne jest tylko uratowanie Sama. Znowu.

Gdyby Finley nie zwyciężyła, to co on by zrobił? Czuł w tamtej chwili, jak wypełnia go Eter. Uczyniłby znacznie większe szkody. Mógł zabić ich wszystkich.

Za bardzo to przypominało poprzedni raz, kiedy operowali Sama. Mniej krwi i ran, ale i tak było to potworne. Nie chciał stać tam i obserwować, jak Emily robi wszystko, co konieczne, ale nie miał też zamiaru zostawiać jej samej. Przyłożył więc nasączony eterem tampon do ust i nosa Sama i patrzył, jak jego przyjaciel pogrąża się w głębokim śnie, a potem pozbierał igły, pompę i rurki potrzebne do transfuzji. Kiedy Emily ostatnio operowała, odkryli, że jego grupa krwi jest zgodna z grupą Sama. Szybko podłączył aparaturę, przekłuwając żyłę po wewnętrznej stronie ramienia Sama, a potem zrobił to samo u siebie. Następnie podłączył niewielką pompę, którą Emily zrobiła z części maszyny do szycia. Natychmiast się uruchomiła i w ciągu kilku sekund wytwarzała dość pary, żeby wyciągać krew z jego ramienia i przepompować ją do żył Sama. Był to sposób szybszy niż czekanie, aż zadziała grawitacja.

Podczas gdy on podłączał maszynę do transfuzji, Emily przygotowywała własne narzędzia i wylewała listerine — środek odkażający doktora Listera — na swoje ręce i tors Sama. Potem uniosła skalpel i zrobiła szybkie nacięcie w klatce piersiowej. Finley podawała Emily wszystko, czego potrzebowała, wykonując polecenia szybko i bez słowa. Nawet kiedy używała jakiegoś okropnego urządzenia do rozwarcia połamanych żeber Sama, nie zawahała się, choć potwornie zbladła.

Emily zmarszczyła brew, kiedy zajrzała do wnętrza klatki piersiowej Sama.

— Co, do diabła...?

— O co chodzi? — zażądał Griffin.

— Nic, czym trzeba się teraz przejmować - odpowiedziała krótko. - Jeden z zaworów wlotowych się zepsuł. Finley, podaj mi ten z tacy obok ciebie.

Finley to zrobiła, szeroko otwierając oczy, kiedy patrzyła na stół operacyjny.

Emily pracowała szybko i sprawnie, ale Griff był w pełni świadomy tego, że czas mija, kiedy zakładała zaciski i usuwała zepsuty zawór. Z każdą sekundą Sam był bliżej śmierci. Nie wiedział, ile już spędzili tu czasu, ale wydawało się, że całą wieczność. Jeszcze nie zakreśliło mu się w głowie od utraty krwi, więc wiedział, że nie minęło zbyt wiele czasu. Pompa dalej pracowała miarowo, przetaczając krew.

— Finley, musisz przytrzymać razem jego złamane żebra, żeby mogły się zrosnąć. Inaczej zagoją się w nieprawidłowej pozycji.

Finley głośno przełknęła, ale nie zawahała się sięgnąć do klatki piersiowej Sama i wykonać polecenie Emily. Irlandka wyrzuciła zepsuty zawór do wiadra u jej stóp, wzięła się do nakładania nowego, wytarłszy mokre ręce w kawałek materiału. Kiedy zawór był już na miejscu, zdjęła zacisk. Griffin wstrzymał oddech. Miał sztywne ramiona i pulsowała mu cała prawa strona twarzy, ale nie poruszył się.

Emily uśmiechnęła się.

— Działa.

Griff i Finley nie powiedzieli ani słowa, ale ich wspólne westchnienie było wystarczającym wiwatem. Griffin wyłączył pompę i wyjął igłę z ręki, obserwując Emily. Genialna Irlandka wciąż wpatrywała się w pierś Sama, trzymając w rękach rozszerzacz do żeber.

— O co chodzi, Em? - zapytał, naklejając opatrunek i zginając rękę, żeby zatrzymać krwawienie.

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem, ale to niesamowite. Spójrz.

Griffin nie był wrażliwy na takie widoki, ale zajrzenie do wnętrza przyjaciela wymagało całej jego determinacji. Uczucie niepokoju szybko zastąpiło zainteresowanie. Niewielkie zielono-niebieskie pasemka owinęły się wokół mechanicznego serca Sama, okalając świecący na zielono kryształ zasilający w jego centrum.

— Czy to...?

Emily skinęła, spoglądając mu w oczy.

— Organity. Kiedy go otworzyłam, zobaczyłam, że już same próbowały naprawić zawór.

—Jak to możliwe?

Usunęła rozszerzacz i Finley puściła już zrastające się żebra.

— Kiedy wymieniłam ramię Sama, użyłam organitów do odtworzenia jego ciała. Zastąpiły jego strukturę komórkową. Najwyraźniej z ręki przeniosły się do klatki piersiowej. Pewnie także do pozostałych części ciała.

Griffin w zadziwieniu pokręcił głową.

— Co by wyjaśniało jego zwiększoną zdolność samoleczenia.

Emily zaczęła zszywać ciało pacjenta — precyzyjnie i pewnie, niczym szwaczka, która jedynie naprawia rąbek spódnicy. Rzuciła okiem na Finley.

— Twoją też — powiedziała. — Eksperymenty twojego ojca sprawiły, że organity są częścią ciebie.

Griffin przeniósł wzrok ze zdziwionej Finley na spokojną twarz Sama. Był niezwykle szczęśliwy, że jego przyjaciel wydobrzej - i że będzie mógł go potem obdrzeć ze skóry za zachowywanie się jak kompletny dupek.

— Wyglądały, jakby przyciągał je rdzeń mocy.

— Tak. — Na twarzy Emily malowała się wielka koncentracja. — Będę musiała przeprowadzić kilka testów, ale już mam zarys teorii na ten temat.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Emily była jedną z najwrażliwszych osób, jakie znał. Płakała nad rannymi ptaszkami, ale w obliczu prawdziwego kryzysu

porzucała sentymenty i koncentrowała się na zadaniu. Było to coś, co w niej podziwiał, choć na pewno szok dopadnie ją później i przez dzień lub dwa będzie się trzęsła jak osika.

Kiedy Sam był już połatany, Emily obmyła ranę listerine, osuszyła ją i na koniec nałożyła warstwę maści z organitami, żeby przyspieszyć i tak już szybkie gojenie. Potem przyłożyła coś, co wyglądało jak płaska część stetoskopu, tuż nad sercem Sama. Długi prowadzący od niego przewód był podłączony do małego gramofonu stojącego na pobliskim stoliku. Z maszyny rozległ się odgłos bicia serca.

— Będzie prawie jak nowy, kiedy się obudzi — powiedziała, idąc do umywalki, żeby umyć ręce. Zdjęła poplamiony fartuch i wrzuciła go do kosza na pranie stojącego w rogu.

Finley zaniósł do urny walki narzędzia chirurgiczne. Później Emily je wyjąłowi. Griffen skupił uwagę na dziewczynie, która nadal była właściwie obca, a została tak szybko wciągnięta w ich życie i otaczający je dramat. Stała przy umywalni, ściskając mokrymi dłońmi białą glazurę. Jej zgarbione ramiona zaczęły się trząść.

- Finley? - Ruszył w jej stronę.

Jej łkanie łamało mu serce. Nie były to ostrożnie ronione łyzy dobrze urodzonej młodej damy, którą nauczono, żeby nigdy nie robiła scen i nigdy nie wyglądała brzydko. Było to poruszające szlochanie kogoś, kto strasznie cierpi. Wymienili z Emily spojrzenia.

— Finley — starał się mówić jak najłagodniej. Kto wie co mogłaby zrobić w tym stanie emocjonalnym, jeśli jej mroczniejsza połowa wciąż była obecna, a Griffin został już dość poobijany, jak na jeden wieczór. Zresztą Finley też.

Kiedy dotknął jej ramienia, obróciła się i rzuciła mu w ramiona z płaczem. Zaskoczony, obejmował ją przez chwilę, głaszcząc po włosach i uspokajając, podczas gdy Emily patrzyła na wół zażenowana, na wół zatroskana.

— To... to moja wina — wyszeptała Finley. — Prawie go zabiłam.

Mówiła prawdę, nie dało się temu zaprzeczyć, ale Griffin nie miał zamiaru jej z tego powodu oskarżać.

— On próbował zabić ciebie — nie chciał tego mówić, ale to też była prawda. Nie był pewien, pod wpływem jakiego szaleństwa działał jego przyjaciel, ale najwyraźniej myślał, że Finley skrzywdziła Emily. Nie wątpił, że Sam mógł ją łatwo zabić w gniewie.

-Już dobrze - powiedział, poklepując ją po plecach. — Samowi nic nie będzie. Tobie też nie. — Był tak cholernie szczęśliwy, że mógł to powiedzieć.

Finley skinęła głową, ale nie spojrzała mu w oczy, kiedy wyślizgnęła się z jego ramion. Przód koszuli miał mokry od jej łez. Pociągnęła nosem i wytarła oczy.

— Pójdę się na chwilę położyć.

Griffin obserwował bezradnie, jak odchodzi. Nie wiedział, co ma zrobić czy powiedzieć. Wszyscy byli pod wpływem silnych emocji. Zmieszana Emily od-

sunęła się, żeby dać Finley przejść, wzrokiem odprowadzając ją do windy.

A potem Griffin i Emily zostali razem z Samem, którego serce biło mocno i głośno za ich plecami. Nieważne, jak bardzo chcieli pobiec za Finley, to Sam potrzebował teraz ich uwagi i to do niego poszli, zmuszeni wybierać pomiędzy przyjaciółmi.

Finley poszła prosto do swojego pokoju, znalazła w garderobie sakwojaż i zaczęła upychać do niego tyle swoich rzeczy, ile zdołała. Zmieściło się prawie wszystko, nie miała zbyt wiele dobytku. Kiedyś zwróci Griffinowi pieniądze za te ubrania.

Kiedy tylko popadała w kłopoty, instynkt pchał ją do ucieczki, a ta sytuacja nie stanowiła wyjątku. Nie miało znaczenia, że lubiła Griffina i Emily czy Jaspera. Sama znali dłużej i był ich prawdziwym przyjacielem. Zmuszeni wybierać między nią a nim, wybiorą jego — i słusznie.

Nie mogła tu zostać, wiedząc, że prawie go zabiła. Jeśli pozostali jeszcze jej nie nienawidzili, to wkrótce znienawidzą. Lepiej odejść teraz, nim ją wyrzucą jak śmieć.

Szła głównym holem, kiedy wpadła na wchodzącego Jaspera Renna.

- Uciekasz? - zapytał, patrząc na bagaż w jej ręce. Potwierdziła.

— Najdalej, jak dam radę.

— Znam to uczucie. Jakbyś kiedyś czegoś potrzebowała, nie wahaj się uderzać do mnie.

Finley pokiwała głową ze ściśniętym gardłem.

— Ty też, Jasperze.

Wyszła frontowymi drzwiami w zanikające światło dnia. Zapadał wieczór, ale ciemność nie kwapiła się, by nadejść szybko i zakończyć ten okropny dzień.

Stajnie były otwarte i Finley zabrała ten sam welocykl, którego używała przedtem. Następnego dnia jakoś go zwróci, ale na razie myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej odjechać.

Gogle chroniły jej oczy przed wiatrem, ale nie chroniły przed łzami, które z trudem powstrzymywała. Odepchnęła je razem ze wszystkimi myślami, skupiając się tylko na swoim celu, kiedy pędziła przez zatłoczone ulice miasta. Wozacy wymachiwali pięściami, kiedy wciskała się przed nich, płosząc konie, a przechodnie krzyczeli, kiedy prawie się o nich ocierała, ale ona ignorowała wszystkich, pochylona nisko nad kierownicą.

Kiedy dotarła do celu, zaparkowała pojazd na ulicy, blokując mechanizm startowy. Szkoda, że nie umiała tego zrobić za pierwszym razem, bo wtedy nie musiałyby wnosić tej cholernie ciężkiej bestii na dach, chroniąc ją przed złodziejami.

Weszła po kamiennych schodach i zapukała do drzwi. Było to jedyne miejsce, do którego mogła

przyjść. Jedyne, gdzie zostanie zaakceptowana i nikt nie będzie jej zadawał pytań.

Kiedy drzwi otworzyły się, spojrzała w oczy człowieka stojącego na progu.

- Muszę się gdzieś zatrzymać — powiedziała. - Na jakiś czas.

Jack Dandy zrobił krok do tyłu, szerzej otwierając drzwi, żeby mogła wejść.

- Hej, skarbie. Tak się zastanawiałem, kiedy się zjawisz.

ROZDZIAŁ 16

Odeszła. Griffin stał w drzwiach pokoju, który do niedawna był pokojem Finley, i tępo patrzył na łóżko, w którym nikt nie spał, na niemal zupełnie opróżnioną szafę. Nie oszukiwał się, wmawiając sobie, że wróci. Wiedział, że zabrała wszystko, co zdołała.

Powinien był wiedzieć, że ucieknie po tym, co się wczoraj stało. Należało z nią porozmawiać, ale był zbyt zajęty Samem i dziwnym odkryciem, którego Emily dokonała w trakcie operacji.

Ciało Sama próbowało się instynktownie naprawić, a organy w jego krwi wzmocniły jeszcze tę umiejętność.

Tyle mogli się nauczyć od Finley, która urodziła się z organkami we krwi. A teraz odeszła, a on obwiniał

o to siebie. Powinien był wiedzieć, że będzie się czuła odpowiedzialna za obrażenia Sama, mimo że to jego porywczy przyjaciel posunął się za daleko.

Wyszedł z pustego pokoju i ruszył wzdłuż korytarza. Musiał znaleźć Finley i sprowadzić ją z powrotem. Ale dokąd mogła się udać? Do matki? Griffin stanął jak wryty.

Jack Dandy.

Zaklął — głośno i długo - i nie obchodziło go, kto może to usłyszeć. Oczywiście, że tam poszła. Przy Dandym nie czuła się oceniana. Akceptował ją taką, jaka jest — a przynajmniej akceptował mroczniejszą część jej osobowości. Finley nie powinna przebywać z człowiekiem tak moralnie niepewnym, jak Jack Dandy. Jej miejsce było tutaj, przy Griffinie - i przy pozostałych członkach grupy. Jednak nie potrafił tego uzasadnić. To znaczy chciał jej pomóc i wiedział, że byłaby wartościowym dodatkiem do jego ekipy, ale co zyskiwała Finley? Dach nad głową? Kogoś, kto wykorzystywał jej specjalne zdolności, zamiast cenić ją za to, kim jest?

Stanął w korytarzu, nie wiedząc, co począć. Posiadał dość pieniędzy i władzy, żeby robić, co tylko zechce, ale nie miał pojęcia, jak powiedzieć dziewczynie, że pragnie, by była częścią jego życia.

Jasper zawiadomił go, że dał znać swoim różnym znajomym. Jeszcze niczego nie słyszał o Machiniście, ale według plotek napady automatów nie były przypadkowe, lecz zaplanowane.

Czyżby złoczyńca obrał za cel Sama, a później Finley? Czy też oboje tylko przypadkowo stanęli na drodze realizacji jego planów? Tego Griff nie wiedział -nie mógł tego rozpracować — i ta bezsilność sprawiała, że zgrzytał zębami z frustracji. Nie chciał być bezsilny. Nie był!

Powinien sprawdzić, jak się miewa Sam, który poprzedniego wieczora został przeniesiony do własnego łóżka przez czterech silnych lokajów. Emily wzięła pierwszą zmianę, podczas gdy Griffin próbował się przespać, a potem zamienili się, dopóki opryskliwy Sam nie powiedział mu, żeby poszedł wreszcie do swojego pokoju i przestał nad nim wisieć.

Będą musieli poważnie porozmawiać o tym, co się stało. Nie będzie łatwo. Miał ochotę porządnie stłuc Sama za zaatakowanie Finley. Ale choć był niesamowicie zły, czuł też niezwykłą ulgę, że jego przyjaciel przeżył.

Niestety, bez czegoś, czym mógłby zająć myśli, jazda windą do laboratorium wydawała się długa i okropna.

Szarpnął fular pod szyją. Kilka sekund temu nawet nie zauważał węzła, ale teraz zdawało mu się, że się dusi. Wiedział, że to wszystko jest w jego umyśle, co nie zmieniało faktu, że nie znosił tej piekielnej windy, i tego, że ciemność otaczała go ze wszystkich stron jak ceglany mur.

Sto pięćdziesiąt dziewięć, sto sześćdziesiąt. Jeszcze tylko trochę i będzie po wszystkim. Wziął głę-

boki wdech, czerpiąc z Eteru i run na swoim ciele siłę i spokój. Nienawidził tej tchórzliwej strony swojej natury, ale od śmierci rodziców nie znosił zamkniętych przestrzeni. Śnił o tym — a może widział to w wizji -że umarli w powozie, uwięzieni jak zwierzęta w klatce. Od tego czasu, kiedy tylko musiał gdzieś pojechać, starał się brać welocykl, unikając powozu parowego, chyba że był konieczny, jak przy okazji wizyty u matki Finley.

Wreszcie winda stanęła. Griffin pchnął bramkę i otworzył drzwi laboratorium. Wziął głęboki wdech i wszedł do środka.

— Musisz coś zrobić z tą swoją przypadłością — przywitała go Emily.

— Wiem - odpowiedział. Podchodząc do niej, przeczesał włosy ręką. — Powiedz mi coś nowego, Em.

Była to bardziej prośba niż sarkazm.

— Cóż... - zaczęła. - Przeprowadziłam kilka testów na automatonie - tym, który prawie zabił Sama.

Griffinowi podobało się, jak zawsze udało jej się wcisnąć gdzieś to *prawie*. Maszyna *naprawdę* zabiła Sama. Jego zniszczone serce stanęło tuż przed tym, zanim Emily dała mu nowe.

— Chyba go znowu nie uruchamiałaś? Skrzywiła się. Ze swoimi piegami i dużymi oczami wyglądała jak poirytowany skrzat.

— Oczywiście, że nie.

— Co odkryłaś?

— Chodź i sam zobacz — powiedziała, podchodząc do stołu warsztatowego, na którym wykonywała większość mechanicznych prac. Griffin poszedł za nią.

-Jak mówiłam, automaton przemówił do mnie, a w każdym razie odezwał się. Nie wiem tylko, czy konkretnie do mnie, czy też powtarzał to, co kazano mu zrobić.

Griffin zmarszczył brwi.

— Kazano mu zrobić? Czy zaprogramowano, żeby zrobić?

Skrzywiła się ponownie.

— Wychodzi na to samo, przynajmniej w tym przypadku. Powiedział mi, że ktoś coś majstrował przy jego procesorze myślowym — tym, gdzie przechowywane są wszystkie polecenia. Do tej pory szukałam usterek w budowie lub błędnych danych wejściowych w systemie operacyjnym. Ale Machinista nie zmienił oprogramowania maszyny, ulepszył je. Nie zauważyłam tego wcześniej, bo nie szukałam fizycznie - tylko przeprowadzałam testy diagnostyczne. Wydaje mi się też, że to majstrowanie stało się bardziej widoczne w ciągu miesięcy, kiedy automaton był tu przechowywany w ciemności.

Griff przechylił głowę.

— Słucham uważnie. Pokaż mi, co odkryłaś.

Emily wskazała na stół. Leżała na nim mała kopuła, wielkości mniej więcej ludzkiej czaszki. Był to metalowy pancerz, który skrywał procesor myślowy automatonu. Był taki mały, bo większość tego typu

maszyn pracujących miała dwa oddzielne procesory —jeden do zwykłych zadań, jak poruszanie się, zasilanie i tym podobne rzeczy, i drugi do specjalnych poleceń. Do mniejszego procesora można było wprowadzić pewną liczbę kart perforowanych, które maszyna przeszukiwała, żeby działać według nich przy wyjątkowych okolicznościach. Główny procesor mógł mu kazać kopać i jak ma kopać oraz co ma robić z gruzem. Drugorzędny procesor, ten „myślący”, zawierał standardy postępowania w nietypowych sytuacjach, jak na przykład kiedy dokopie się do ściany, ale będzie się musiał dostosować do przeszkód w okolicy — wobec wszystkiego, co mogłoby utrudnić pracę.

Emily uniosła kopułę i otworzyła zatrzask na tylnym panelu. Niewielka klapka zaskrzypiała cicho na zawiasach, odsłaniając silnik. Tryby, które poruszały karty perforowane, były nieruchome.

GrifHn obejrzał mechanizm.

- Czego mam szukać? Podała mu szkło powiększające.

- Użyj tego. Powiedz mi, jeśli zobaczysz coś dziwnego.

Chwycił szkło za hebanową rączkę i przytrzymał je nad kopułą, pochylając się, by przez nie spojrzeć. To, co zobaczył, sprawiło, że zmarszczył brwi. Malutkie, przypominające pnącza nitki splotły się z maszyną.

- Czy to jest to, o czym myślę? - zapytał, spoglądając na przyjaciółkę.

Skinęła głową.

— Ścieżki organitów. Zostały jakoś' wprowadzone do procesora myślowego tej maszyny. Wydaje mi się, że przez smar Machinisty. Próbką, którą mi dałeś, wciąż ma w sobie trochę żywych stworzonek. Zareagowały, kiedy umieściłam je przy ogniwie zasilającym —jakby je przyciągało.

— Spowodowały awarię?

Zaprzeczyła zniecierpliwiona. Czasem Emily zapominała, że nie wszyscy są tak inteligentni jak ona -albo że nie posiadają tych samych informacji.

— Nie. Silnik działa tak, jak powinien. Właściwie organity go nawet usprawniły. Maszyna zareagowała na sytuację bez kart perforowanych.

— Automaton stał się rozumny? - nie zdołał ukryć niedowierzania.

Oczy Emily błyszczały i prawie tańczyła na palcach w swoich ciężkich butach.

— Tak! Czy to nie cudowne? Griffin uniósł brew.

— Tak też można to określić. — Jak i słowem *przerażające*. Metal myślący samodzielnie? Nie dało się przewidzieć, jakie cudowne rzeczy lub tragedie mogą z tego wyniknąć. Ale przynajmniej teraz wszystko miało sens.

Organity żyły na kamieniach głęboko we wnętrzu ziemi, w wyniku tego powstała ruda. Jedno było częścią drugiego, więc kiedy ruda wydzielala energię, organity ku niej dążyły i wchodziły z nią w interakcje. W przypadku automata organity przyciągnęło og-

niwo w jego silniku myślowym, a następnie zmieniły one sposób jego działania.

— To samo spotkało nas! — zawołała Emily. - Zeszłej nocy zobaczyliśmy, co organity zrobiły w ciele Sama. To przez ogniwo w jego sercu. Wszyscy przez całe życie mieliśmy z nimi styczność. To połączenie ogniw i używania organków spowodowało skok w naszej ewolucji genetycznej.

Griffin miał ochotę krzyczeć z radości. Zagadka maszyn została rozwiązana! Ale raptownie jego uśmiech zniknął. Każdy, kto spędzał dużo czasu przy rudzie i materiale, w którym występowały organity, mógł być „niezwykły”. Niewielkie ilości organitów znajdowały się w wodzie i w glebie. Rudę wykorzystywano w tysiącach miejsc, na wiele sposobów. Bóg jeden wie, jak mieszkańcy Brytanii - i całego świata - zostali odmienieni. Był to zbyt wielki problem, by zająć się nim tu i teraz, ale kiedy już schwytają Machi-nistę i przekreślą jego plany — było to coś, co powinni zbadać wspólnie z Emily. Dopiero wtedy Griff będzie się martwił konsekwencjami wykorzystania organitów w tak wielkim zakresie.

- Automaton w kółko powtarzał jedną frazę, kiedy się z nim połączyłam - powiedziała Emily kilka chwil później, kiedy oboje już trochę ochłonęli. - „Wyzwolę cię”. Może to zapłata - nagroda - za usługę. Albo też Machinista postrzega siebie jako stwórcę, dającego życie maszynom.

Dobry Boże...

— Czy to w ogóle możliwe? Wzruszyła ramionami.

— Zmienił je. O tym, czy potrafią samodzielnie myśleć, jeszcze się przekonamy. Mogłabym się rozejrzeć w tunelach kolejowych, gdzie pracował ten kopacz. Może znajdę przesłanki co do tego, jak drastycznie zmieniło się jego oprogramowanie. Mógł w ten sposób otrzymać nowe zadanie — które przerwaliśmy.

— Minęło już sześć miesięcy — przypomniał jej Griff. — Wszelkie ślady pewnie dawno zniknęły.

— Ale obejrzenie miejsca, w którym kopał, może nam dostarczyć pewnych informacji.

Miała rację. Griffin po raz pierwszy od zajęcia się tą sprawą poczuł przyływ nadziei.

— Skontaktuję się z firmą kładącą tory. Powinni wiedzieć, gdzie pracował kopacz w ciągu kilku miesięcy przed atakiem.

— Nie zdziwiłabym się, gdyby wyszło na jaw, że tego dnia byliśmy bardzo blisko. Maszyna pewnie zaatakowała Sama i tych robotników, bo myślała, że chcą jej przeszkodzić w wykonaniu zadania.

— Do diabła — jęknął Griffin. — Prawie rozerwani na strzępy, bo ktoś namieszał w silniku maszyny. Skąd Machinista wiedział, że to się stanie?

Emily wzruszyła ramionami.

— Mógł to być przypadek. Czy ktokolwiek, kto pracował z twoimi rodzicami, mógł rozpowiadać o organkach?

Griffin nie miał na to odpowiedzi.

— Nie mam pojęcia. Z tego, co mi wiadomo, wszyscy przysięgli milczeć. Oczywiście królowa Wiktorja o nich wie. To ona nakazała, żeby pozostały tajemnicą. Obawiała się, co się może stać, jeśli wpadną w niepowołane ręce.

— Tak jak teraz?

Griffa drażniło, że nie może znaleźć rozwiązania zagadki.

— Nawet jeśli ktoś złamał śluby milczenia, musiałby zdradzić, gdzie dokładnie zlokalizowane jest wejście do jaskiń. Nie tak łatwo je znaleźć.

Nagle fragment piekielnej układanki trafił na swoje miejsce i Griffin gwałtownie uniósł głowę.

— Chyba że już wiedział. Emily zamrugwała.

— Słucham?

Wszystko nabrało sensu.

— Ten gajowy, który nagle porzucił pracę. Zarządca mówił, że dostał się do jaskini. Musiał też ukraść moją papeterię, żeby rzucić podejrzenia na Finley. Znał moich rodziców i rodziców Finley. Machinista brał udział w badaniach moich rodziców, może nawet był uczestnikiem ekspedycji.

Emily otworzyła szeroko oczy.

— Na niebiosa!

Coś ostro szarpnęło Griffina w brzuchu, rozpalając ogień z żaru, który tlił się w nim już od dłuższego

czasu. Wypełnił go nieznos'nym pragnieniem zemsty. Uniósł głowę i spojrzał prosto w oczy Emily.

- A jeśli śmierć moich rodziców ma z tym związek? Co, jeśli zabił ich Machinista, jak i wszystkich innych związanych z ich badaniami? — Obudziło się gdzieś w nim głęboko coś dzikiego. Czy to możliwe, że jest tak blisko zabójcy swoich rodziców?

— Nie możesz być tego pewien — odrzekła niepewnie. — Nie rób tylko czegoś głupiego.

Nie miał zamiaru robić czegokolwiek impulsywnie. Teraz musiał być jeszcze ostrożniejszy niż wcześniej. Jeśli Machinista miał kontakt z jego rodzicami i ojcem Finley, to musiał znać też ich sekrety i słabości. Griffin na pewno go złapie, choć nie będzie to łatwe.

Zakończy to wszystko i odda cześć pamięci rodziców.

Czarny kosmyk w jej włosach stał się dłuższy i bardziej rzucający w oczy. Finley nie mogła już go ignorować. Pojawiło się to, kiedy zaczęła pracować przy pomocy Griffina nad przejęciem kontroli nad swoją drugą połową — kiedy obie próbowały się połączyć w jedno. Zeszłej nocy Finley udało się zachować kontrolę i „cień” stał się jej częścią, a nie tylko czymś, czego musiała się strzec.

Niedbale zwinęła włosy w węzeł na karku i spięła. Wciąż była trochę obolała po wczorajszej walce

z Samem, ale siniaki już znikwały, nawet bez pomocy „stworzonek” Emily. Czy Sam dziś rano obudził się już całkiem zdrowy?

Griffin na pewno już odkrył, że odeszła. Był zmartwiony czy zadowolony, że jej nie ma? Właściwie nie miało to znaczenia. Zdecydowała się odejść i teraz musiała się tego trzymać.

Włożyła koszulę i orientalną sukienkę z fioletowego jedwabiu z wyszytymi złotą nicią smokami. Sukienka była długa, ale po bokach miała rozcięcia, żeby zwiększyć swobodę ruchu — gdyby wdała się w bójkę, Finley byłaby w stanie używać nóg. Kilka tygodni temu nawet by o tym nie pomyślała. Tak bardzo się zmieniła w ciągu krótkiego czasu spędzonego w domostwie księcia Greythorne. Miała nadzieję, że w większości na lepsze.

Choć kiedy pomyślała o tym, jak użyła nóg w potyczce z Samem, zrobiło jej się słabo.

Skończyła się ubierać, włożyła buty i wyszła z pokoju. Podejrzała, że jest to sypialnia, której używał Jack, kiedy czasem spędzał noc w Whitechapel. Pokój urządzone w kolorach wiśniowym i hebanowym — wszędzie bogate aksamity i lśniące jedwabie, a pośrodku ogromne łóżce, w którym wygodnie zmieściłyby się cztery dorosłe osoby. Wydawało się to trochę przesadne, ale też Jack raczej nie był człowiekiem, który cokolwiek robiłby na pół gwizdka.

Jednak było to bardzo miłe z jego strony, że oddał Finley swój pokój. I zachowywał się jak najbardziej

po dżentelmerisku — a nie było to słowo, jakiego użyłaby większość ludzi, opisując Jacka Dandy'ego. Nie zadawał pytań, a ona sama nie zwierzyła mu się z niczego. Jak mogła mu powiedzieć, że prawie kogoś zabiła? A jednak, jeśli ktokolwiek mógłby ją zrozumieć, to chyba właśnie Jack.

Szła wąskim korytarzem, a jej ciężkie buty cicho stąpały po wzorzystym chodniku, który ciągnął się w dół po schodach, zakrywając lśniąca dębinę barwami szkarłatu, złota i granatu.

Jacka znalazła w bibliotece, gdzie rozmawiali tej nocy, gdy złożyła mu wizytę po raz pierwszy. Jack -nie wiadomo kiedy przestała o nim myśleć jako o Dan-dym — siedział na brzegu biurka, krzyżując długie nogi w błyszczących czarnych butach. Ubrany był od stóp do głów na czarno. Nawet niestarannie zawiązany fular był z połyskliwego czarnego jedwabiu.

Długie włosy opadały mu falami na ramiona - były jeszcze wilgotne po kąpieli. Rozmawiał przez telefon. Musiał być naprawdę bogaty, skoro stać go na takie urządzenie.

— Nic mnie nie obchodzą konwenanse, Knobby -warknął do mikrofonu. — Jak ci co mówię, to masz to zrobić. Czy jest co w tej twojej imbecylnej łepetynie, co tego nie łapie? Dobra. A teraz nie zawracaj mi głowy, chyba że będziesz miał co użytecznego.

Rzucił odbiornik na miejsce z przekleństwem na ustach.

— Oj, oj - rzuciła Finley żartobliwym tonem od drzwi. — Co by powiedziała twoja matka, gdyby usłyszała takie słownictwo?

Jack uniósł głowę. Może odezwała się próżność Finley, ale zdawało jej się, że ciemne oczy pojaśniały na jej widok.

— O, obudziła się śpiąca królewna. A jak myślisz, od kogo się tych słów nauczyłem, skarbie? Od mamusi. — Uśmiechnął się. - Ładnie dziś wyglądasz.

On też tak wyglądał, ale Finley miała dość rozsądku, by nie mówić tego na głos. Jack Dandy był jednym z najbardziej niebezpiecznych i przystojnych młodych mężczyzn, jakich знаła — i wiedział o tym.

— Dziękuję — odpowiedziała. — Nie masz przypadkiem odrobiny kawy?

Wskazał na srebrny dzbanuszek i filiżanki stojące na tacy obok niego, na biurku.

— Świeżo zaparzona. Sam zmieliłem, dla twojej przyjemności.

— Jesteś człowiekiem wszechstronnie uzdolnionym — powiedziała zalotnie, podchodząc bliżej.

— Nie znasz nawet połowy moich talentów, słońce - odrzekł w podobnym tonie. — Weź też rogalik. Musisz coś zjeść.

Finley zaburczało w brzuchu na widok maślanych, rumianych wypieków leżących na porcelanowym talerzyku. Uśmiechnęła się zawstydzona, a Jack się zaśmiał. Też wziął sobie rogalika.

Finley zabrała śniadanie i usiadła, stawiając talerz i filiżankę na niskim stoliku przed sobą. Kawa była dokładnie taka, jak lubiła. Oderwała fragment rogalika -łatwo ustąpił, wciąż był lekko ciepły. Włożyła kawałek pieczywa do ust, zamykając oczy z zadowolenia, kiedy poczuła cudowny maślany smak na języku.

— Przepyszne — powiedziała, kiedy już oprzytomniała dość, żeby coś powiedzieć.

Jack obserwował ją z ciekawością.

— Mogłabyś je jeść każdego ranka, jakbyś chciała. Zamarła z kolejnym kawałkiem rogalika w połowie drogi do ust.

— Słucham?

Uśmiechnął się do niej, jakby bawiło go jej zdziwienie.

— Możesz zostać tu ze mną, jak długo będziesz chciała.

Nie mogło być przypadkiem, że w tej kwestii nie było słyhać ani krztyny cockneya.

Finley nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Szczodrość Dandy'ego nie była zupełnie niespodziewana, ale też nie całkiem niewinna. Gdyby tu zamieszkała, w końcu Jack oczekiwałby od niej czegoś w zamian, a myśl o tym, czego mógłby chcieć, była jednocześnie straszna i ekscytująca.

— Dziękuję — powiedziała w końcu. Zdawało się to bezpieczniejsze niż jednoznaczne „tak” lub „nie”, zwłaszcza że część jej chciała powiedzieć „tak”.

Jack wzruszył ramionami.

— Wiem, że w chwili, kiedy jego książęca mość przyjdzie po ciebie, wrócisz z nim do Mayfair, ale jakbyś kiedyś czegoś potrzebowała... — Nie dokończył oferty.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Nagle Finley zaschło w ustach. Bogowie, co się działo? Jack włożył resztę rogalika do ust, przeżuł i otrzepał z dłoni okruszki.

— Zeszłej nocy spytałaś mnie, co wiem o tym Machiniście - powiedział, przerywając dziwnie wzrastające napięcie. - Nie działałem z nim, ale znam takich, co to robili. Dość skryty, zajmuje się raczej maszynami. Moi współpracownicy słyszeli o różnych kradzieżach i anarchiach, co się je Machiniście przypisuje, ale nie ma dowodów. Wie, jak się nie wychylać — w jego głosie słychać było podziw, co przypomniało Finley, że jakkolwiek atrakcyjny był Jack, to nie był „dobrym chłopcem”.

— Doceniam twoją pomoc - powiedziała szczerze. — Wygląda na to, że Machinista jest jakimś duchem.

Jack przechylił głowę.

— To chyba nie takie trudne, jak złom odwała za ciebie całą brudną robotę.

Tak, chyba tak — pomyślała.

— A kto ją robi za ciebie? — zapytała, zanim zdołała się powstrzymać.

Jack uśmiechnął się do niej, ukazując te proste białe zęby, z powodu których kojarzył się jej z wilkiem.

— Człowiek potrzebuje kilku tajemnic, skarbie.

Jak na przykład, czy zabił lorda Felixa — dla niej. Od tej myśli Finley zakręciło się w głowie. Z jednej strony było niezwykle romantyczne pomyśleć, że ktoś może dla niej zabić. Z drugiej to straszne, że Jack mógł zabić kogoś z błahego w sumie powodu. Co prawda lord Felix chciał ją bardzo skrzywdzić, ale Finley udało się uciec prawie bez szwanku. Należało go ukarać, ale zabić? Mimo to nie zdołała wykrzesać z siebie nawet okrucha poczucia winy. Bardziej dręczyła ją świadomość tego, że pociągają morderca, niż samo morderstwo.

Nie chciała jedynie, żeby Jack był zbrodniarzem — przyznała to sama przed sobą. Lubiała go i nie chciała być taką osobą, która darzyłaby uczuciem zabójcę.

Stukanie do drzwi frontowych wyrwało ją z zamyślenia. Spojrzała w stronę holu. Jack tylko się uśmiechnął nad filiżanką.

— Ciekawe, kto to może być? — powiedział cierpko. — Bądź tak miła i otwórz drzwi, dobrze?

Dziwne, że ją o to prosił, ale skoro był dla niej tak dobry i przyjął ją, kiedy tego potrzebowała, nie przyszło jej do głowy, żeby odmówić. Odstawiła filiżankę na stolik, wstała z sofy i powoli wyszła z pokoju.

Odsunęła zasuwę i otworzyła ciężkie drewniane drzwi, ujawniając niezwykłą niespodziankę.

Na schodach stał Griffin.

Jack przewidział, że przyjdzie, ale nie wierzyła w to, a już w ogóle nie podejrzewała, że może się to wydarzyć tak szybko. I ani przez chwilę nie pomyślała, że

będzie tak szczęśliwa, widząc go. Skąd wiedział, gdzie jej szukać? Czy pomyślał o niej najgorsze i założył, że pójdzie do Jacka? Czy też po prostu znał ją na tyle dobrze, że wiedział z góry, iż uda się do tej osoby, która zdawała się rozumieć ją równie dobrze, jak on sam?

- Hej — odezwał się chrapliwym głosem. Wyglądał na zmęczonego. Na szczęce miał wielki siniak, w miejscu, gdzie uderzył go Sam. Krwiak rozlewał się po policzku, otaczał prawe oko i przechodził przez nos, zostawiając fioletową smugę pod lewym. To musiało bardzo boleć. Biedny. Finley chciała dotknąć jego twarzy, ale nie poddała się tej pokusie.

- Hej — powtórzyła słabo, częściowo chowając się za futryną. — Jak tam Sam?

- Dochodzi do siebie — odpowiedział z lekkim uśmiechem. — Czarujący jak zawsze.

Roześmiała się, bardziej z poczucia ulgi niż czegokolwiek innego. Sam wracał do zdrowia, a Griffin jej nie nienawdził.

- Nie musiałeś przychodzić aż tutaj, żeby mi to powiedzieć.

Postawił stopę na progu, zmniejszając odległość między nimi.

- Nie po to przyszedłem.

- Aha. - Było to jak prysnięcie zimną wodą w twarz. Otworzyła drzwi szerzej, cofając się. — Przyszedłeś do Jacka? Jest w...

- Finley! - Przestraszyła się, kiedy Griff uderzył dłonią we framugę tuż nad jej głową. Pochylił

się ku niej tak, że ich twarze dzieliło tylko kilka cali. W jego oczach lśnił blask, którego nie rozumiała, ale jej serce zabiło szybciej. — Nie przyszedłem tu też do Dandy'ego.

- Więc... - Odchrząknęła. Wydawało jej się, że piszczy jak mała dziewczynka. — Dlaczego tu jesteś?

- Dla ciebie?

Griff musiał zdawać sobie sprawę, że ona nie pasuje do jego domu, do niego i jego przyjaciół. Nie będą jej chcieli po wczorajszych wypadkach.

- GriffHnie, ja...

Nagle przekroczył próg i górował nad nią, pełen determinacji. Słodki, cierpliwy Griffin zniknął, a w jego miejsce pojawił się książę Greythorne, jeden z najpotężniejszych ludzi w Anglii.

- Nie obchodzi mnie, że poszłaś do Dandy'ego — powiedział głosem niskim, ale ostrym. - Jeśli chcesz obwiniać się za obrażenia Sama, to proszę bardzo, możesz być tak głupia. I nie obchodzi mnie, że mogłabyś bez trudu roztrzaskać mi czaszkę. Przyszedłem tu po ciebie i jeśli będę musiał, przerzucę cię sobie przez ramię jak worek ziemniaków i zaniosę aż do Mayfair. Zabieram cię do domu, gdzie twoje miejsce.

Dom. Ile czasu minęło, odkąd czuła, że ma jakiś dom?

- No, no, nawet ja dostałem gęsiej skórki — odezwał się za jej plecami lekko kpiący głos Dandy'ego.

Czując, jak gorąco rozlewa się po jej policzkach, Finley spojrzała przez ramię na jej mrocznego wyba-

wiciela. Jack trzymał w ręku jej bagaż. Musiał pobiec na górę do sypialni i pozbierać rzeczy Finley, kiedy tylko poszła otworzyć drzwi. Wiedział, że ona odejdzie, kiedy przyjdzie po nią Griffin. I nie dawał jej wyboru.

— Lepiej idź z nim, skarbie — powiedział, zanim zdążyła cokolwiek wykrztusić. — Nie chcę, żeby ten jegomość zjawiał się u moich drzwi, jak mu się tylko spodoba. Muszę myśleć o swojej reputacji — mówił lekkim tonem, ale nie wierzyła w jego bez troskę. I choć wiedziała, że nie pasuje również do jego świata, żał jej było opuszczać go tak szybko.

— Dziękuję — powiedziała, biorąc od niego torbę. Spojrzała mu w oczy. - Za wszystko.

Skinął tylko głową, prezentując ten swój enigmatyczny uśmiech, który wydawał jej się tak czarujący.

Odwróciła się do Griffina, który wziął od niej bagaż.

- Opiekuj się nią - powiedział Jack. Zabrzmiało to dość złowieszczo.

Griffin posłał mu ostre spojrzenie.

- Będę.

Finley poczuła się trochę jak kość między dwoma głodnymi psami. Spojrzała jeszcze przez ramię na Jacka i pomachała mu na pożegnanie. Odpowiedział jej salutem i rozbawionym uśmiechem, po czym zamknął drzwi.

Powóz parowy Griffina czekał przed budynkiem, ale na drzwiach nie było jego książęcego herbu, gdzie

normalnie był umieszczany. Kierowca, siedzący na wysokim siedzeniu, miał na sobie prostą czerń zamiast liberii Greythorne'ow.

- Naprawdę wyniósłbyś mnie stamtąd jak worek ziemniaków? — zapytała.

Posłał jej szelmowski uśmiech, po czym rzeczywiście podniósł ją i przewiesił sobie przez ramię - tak błyskawicznie, że nie zdążyła zareagować. W następnej chwili już wisiała głową w dół na jego plecach, mając widok na jego doskonale skrojone spodnie.

Griffin zaniósł ją do powozu i wrzucił do środka, jakby ważyła nie więcej niż dziecko. Śmiejąc się i piszcząc, upadła na siedzenie. Griff wszedł do środka i usiadł naprzeciwko niej. Zamknął drzwi i zastukał w dach, żeby zasygnalizować kierowcy, by ruszył.

Gdyby którekolwiek z nich wyjrzało przez okno, mogłoby zobaczyć obserwującego ich mężczyznę, który nie był Jackiem Dandym. Mężczyznę, który skrzywił się, widząc ich razem. Skręcił w boczny zaułek i wsiadł do powozu, którym kierował automat.

ROZDZIAŁ 17

Sam wolałby zjeść szkło, niż przeprosić Finley, zwłaszcza że ta wariatka prawie go wykończyła. Ale to on zaczął walkę i próbował ją zabić, więc byli chyba kwita.

Jednak Emily była na niego wściekła, podobnie jak Grimm. Będzie musiał bardzo wszystkich przeproszać za ten bałagan, a Finley to dopiero początek.

Będzie zmuszony zrobić to już dzisiaj, bo najwyraźniej mieli jakieś plany. Chcieli zejść do sieci tuneli pod miastem, a nie zamierzał pozwolić im zapuszczać się w takie miejsca bez niego. Nie miało znaczenia, jak silny był jego irracjonalny strach, że będzie tam na niego czekał automat, żeby go ostatecznie rozerwać na kawałki. Grimm nienawidził podziemi i ciasnych pomieszczeń, a jednak opanowywał swój strach. Sam nie chciał być etatowym tchórzem w zespole. Poza tym

będzie tam Finley, a on nie zostawi przyjaciół z nią sam na sam. Nie miało znaczenia, że nie była tak zła, za jaką ją uważał - i tak była niebezpieczna. Każdy, kto mógł go tak łatwo powalić, powinien być pilnowany.

Nacięcie na klatce piersiowej, które wykonała Emily, zagoiło się, jak gdyby nigdy nie miał tam żadnej rany. Dotknął tego miejsca, wyczuwając pod skórą bicie sztucznego serca. Wydawało się naturalne, wcale nie brzmiało jak praca maszyny.

Kiedy zmierzył się z faktem, że może stracić życie na podłodze laboratorium, doznał czegoś, co Grimm nazywał iluminacją. W tamtej chwili, choć nadal nie podobało mu się, że ma w sobie metal, zrozumiał, że woli to od śmierci.

Emily uratowała mu życie. Znowu. Jak mógłby jej się kiedykolwiek odwdzięczyć, zwłaszcza że zachowywał się wobec niej jak zupełny dupek?

Był już całkiem zdrowy po ciosie, który zaserwowała mu Finley. Nie lubił jej i nie ufał, ale musiał przyznać, potrafiła walczyć. I była silna. Gdyby udowodniła, że jest godna zaufania, byłaby dobrym członkiem zespołu, zwłaszcza w przypadku kłopotów. Emily byłaby z nią bezpieczna, a Finley mogłaby chodzić z Em w miejsca, w których on, Griff i Jasper nie mogli się pokazywać - lub nie chcieli. Bezpieczeństwo Emily dużo dla niego znaczyło. Była tak drobna i delikatna, tak krucha.

A jednak to on wiecznie zbierał cięgi, a Emily go naprawiała.

Pocierając w zamyśleniu pierś dłonią, Sam odrzucił kołdrę i wstał z łóżka. Umył się i ogolił, a potem ubrał w brązowe spodnie, koszulę i miodową kamizelkę i nawet próbował zawiązać porządnie fular, choć od tego diabelstwa swędziała go szyja. Ostatecznie poddał się i zszedł na dół, żeby spotkać się z pozostałymi. Nie było sensu dalej tego odkładać.

Rankiem niebo zakryły chmury, a popołudniowe powietrze przesyciła lekka mgła, co uniemożliwiało zjedzenie posiłku na zewnątrz, więc Sam znalazł całą trójkę w jadalni, tuż przed lunchem.

Czekało na niego nakrycie. Ten widok trochę zmniejszył jego zdenerwowanie. Nie potępiali go zupełnie, skoro byli gotowi zasiąść z nim do posiłku.

Jeszcze nie usiedli, tylko stali przy swoich krzesłach wokół stołu, kiedy wszedł do pokoju. Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę, trzy pary oczu wpatrywały się w niego w milczącym oczekiwaniu.

Wyglądało na to, że nie mieli zamiaru niczego mu ułatwić. Lepiej mieć to z głowy jak najszybciej. Podeszedł do Finley, która wyglądała na tak niepewną, jak on się czuł. Przynajmniej to ich łączyło - jak i umiejętność szybkiego leczenia, sądząc po jasności siniaków na jej twarzy. Griffin jednak prezentował się zupełnie inaczej. Sam aż się skrzywił, kiedy na niego spojrział.

Podał Finley rękę.

- Chciałem przeprosić za swoje wczorajsze zachowanie. Nie miałem prawa tak cię potraktować. Może

ci nie ufam, ale to był błąd i bardzo cię za to przepraszam.

Uniosła jasne brwi. Pewnie słyszała w życiu znacznie lepsze przeprosiny.

— A ja przepraszam za to, że prawie cię zabiłam. -Umknęła wzrokiem, zmieszana.

Sam musiał się na to uśmiechnąć. Też słyszał już lepsze przeprosiny. Każde z nich niezbyt lubiło to drugie, ale przynajmniej byli wobec siebie szczerzy.

Następnie Sam obrócił się do GrifTina. Tym razem nawet nie wyciągnął ręki — zresztą jego przyjaciel też nie.

— Z nami w porządku? Griffin pomógł go chwilę.

— Chyba tak — powiedział w końcu z cieniem uśmiechu na ustach. - Ale należy ci się ode mnie porządne manto.

Gdyby był to ktokolwiek inny, Sam by się roześmiał. Fizycznie Griffin mu nie dorównywał, ale Sam widział, do czego jego przyjaciel jest zdolny, i wiedział, że nie powinien go lekceważyć.

— Brzmi fair.

Została jeszcze Emily. Kochana, urocza Emily. Skrzyżowała ramiona na piersi, a w jej pięknych, dużych oczach błyszczała stanowczość, do której Sam nie był przyzwyczajony - nie, kiedy patrzyła na niego. Zmienił to, co ich łączyło, i to nie na lepsze. Wiele stracił w jej oczach.

— Dziękuję, że uratowałaś mi życie — powiedział głośno, tak żeby usłyszeli wszyscy. — Znowu. Spróbuję na to zasłużyć.

To trochę zmięczyło jej serce — nie bardzo, ale był to jakiś początek. Opuściła ramiona.

— Dobrze.

Wreszcie usiedli do stołu, Sam znalazł się na swoim miejscu obok Emily i naprzeciwko Finley. Nie czuł się w tej sytuacji zbyt komfortowo. Griffin opowiedział mu o ważnych odkryciach, jakich ostatnio dokonali wraz z Emily.

— Machinista odpowiada za śmierć twoich rodziców? — Omal nie uderzył szczęką o stół. — Jesteś pewien?

— Tak pewien, jak mogę być — odpowiedział Griffin. — Dowiem się więcej, kiedy ciotka Kordelia wróci dziś z Devon.

Wydawało się to zbyt dziwaczne, by było prawdziwe — jak coś z powieści awanturniczych, które Sam lubił czytać, o śmiałych bohaterach i diabolicznych złoczyńcach.

— Później zejdziemy do podziemi — oznajmił Griffin. — Do miejsca, gdzie walczyliśmy z kopaczem. Podobał ci temu?

Szczerze mówiąc, Sama nie obchodziło, że wychodził przez to na słabeusza, ale wolałby raczej wyrwać sobie z piersi mechaniczne serce i zdeptać je, niż wrócić do tego ciemnego, okropnego miejsca.

— Tak — odpowiedział stanowczo, w roztargnieniu pocierając tę rękę, w której pod skórą krył się metal. -I pójdę z wami.

Po tym rozmowy właściwie ustały. Choć Sam przeprosił, zrobił to, co powinien, w ich grupce wciąż panowało napięcie, a on był dość bystry, żeby domyślić się, że nie tylko z jego powodu. Ciekawiło go, co właściwie działo się między Grimmem i Finley. Spoglądali na siebie, kiedy sądzili, że nikt tego nie widzi.

I zastanawiał się też, czy Emily w ogóle spojrzy na niego. Nie chciał nawet rozważać, że już nigdy nie będą przyjaciółmi. Wypełni tę przepaść między nimi, choćby miało go to zabić.

Zaczął po lunchu, proponując, że będzie niósł wszelki potrzebny jej sprzęt z laboratorium. Podziękowała mu, ale powiedziała:

— Potrzebuję tylko swojej torby.

Poklepała skórzaną konduktorę, zawieszoną na ramieniu.

Swoje miedziane włosy obwiązała prostą chustką, na lnianą koszulę założyła skórzany gorset, a do tego sięgające kolan spodnie ozdobione koronką. Jej wysokie, sznurowane buty z brązowej skóry były już trochę zniszczone. W stroju Emily nie było niczego niezwykłego, zazwyczaj tak się ubierała, ale czasem Sama uderzało, jaka jest śliczna, jakby oglądał ją nowymi oczami. Była to jedna z tych chwil i aż oniemiał z wrażenia.

Odwróciła wzrok. Czyżby dostrzegła zachwyty w jego oczach?

- Ale możesz iść ze mną — powiedziała cicho. — Jeśli chcesz.

Poczuł uniesienie, jakby nazwała go bohaterem. Nic nie odpowiedział, ale kiedy ruszyła w stronę drzwi, poszedł z nią, znacznie skracając krok, by iść w jej tempie.

Dołączyli do pozostałych w stajniach — zjawił się też Jasper Renn, który miał im towarzyszyć - i wszyscy wsiedli na welocykle. Griffin jechał na przedzie, prowadząc całą kawalkadę. Na ulicach panował spory ruch — co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę jubileusz i fakt, że znajdowali się w okolicy pałacu Buckingham. Dotarcie do wylotu podziemi przy Vauxhall Bridge Road zajęło więcej czasu, niż powinno. Sam nie był pewien, czy chciał, żeby dojechali tam jak najszybciej, czy też żeby w ogóle nie dojechali. Powracał oto do miejsca, gdzie w ziemię wsiąkła jego krew, i towarzyszyły temu niezwykle silne emocje.

Griffin poprowadził ich w dół schodów do ciemnych tuneli pod tętniącymi życiem ulicami Londynu.

Na samym dole Griff, Emily, Jasper i Sam wyciągnęli swoje „ręczne pochodnie”, które Emily skonstruowała właśnie na takie okoliczności. Były to długie cylindry z ogniwem zasilającym i żarówką za niewielkim szkiełkiem. Znacznie ułatwiają wędrowanie w ciemnościach. Niestety, jednocześnie ich światło sprawiało, że cała grupa również była widoczna.

Jasper, dżentelmen jak zawsze — niech go licho — zaproponował, że będzie oświetlał drogę Finley, ta jednak odmówiła.

— Wygląda na to, że dobrze widzę w ciemnościach — powiedziała mu z cierpkim uśmiechem. -Zdaje się, że codziennie dowiaduję się o sobie czegoś nowego.

Czy jest coś, czego ona nie potrafi? — pomyślał Sam z goryczą. Nie zdziwiłoby go, gdyby nagle z tyłka wyrosły jej skrzydła.

Musieli przeciskać się przez prowizoryczną barierę mającą nie dopuszczać nieupoważnionych osób do miejsca robót, które teraz były prowadzone zdecydowanie dalej niż sześć miesięcy temu. Otoczenie zmieniło się, nie budząc żywych (i strasznych) wspomnień, co sprawiało, że Samowi łatwiej było zejść w głąb tunelu.

Emily spojrzała na Sama przez ramię.

— Wszystko w porządku? — zapytała delikatnie. Większość koszmarów Sama dotyczyła właśnie

tego miejsca. Czuł, że zaraz może w nim zapłonąć znajomy gniew. Może Emily jeszcze zapyta, czy nie potrzebuje nowej pieluchy? Jednak wiedział, że ona naprawdę się o niego troszczy.

— Tak - odpowiedział, co nie było do końca kłamstwem. Czuł, że nerwy ma nadwreżone jak banknot, który przeciąga między sobą dwóch bankierów, ale dało się to jeszcze wytrzymać. Nie paraliżował go strach, nie wydawało mu się, że w każdym cieniu czai się kolejna maszyna, która chce się na niego rzucić.

Myśl o kopaczu sprawiła, że znów przypomniał sobie wydarzenia z poprzedniego dnia. Gdyby tyl-

ko zostawili drzwi do skarbcza otwarte, nie zaatakowałby Finley. Pewnie byłby zbyt przerażony, żeby w ogóle pomyśleć o skrzywdzeniu kogokolwiek. Co za dziwaczna myśl! Dowodziła tylko tego, jak bardzo chciałby cofnąć się w czasie i zrobić wszystko inaczej.

Grimn spojrział na niego, ale niczego nie powiedział. Sam wiedział, że jego przyjaciel upewnia się tylko, że wszystko z nim w porządku, więc zdecydowanie kiwnął głową, dając mu znać, że podoła zadaniu. Griffin odpowiedział identycznym gestem, a Sam zauważył, że ma mocno zaciśnięte usta. Jemu też zupełnie nie podobały się te tunele.

W końcu, po kwadransie marszu, dotarli na miejsce. Sam rozpoznał je jako pierwszy. W sumie nie było tam niczego szczególnego — po prostu krótki odcinek tunelu, gdzie kładziono tory pod nową linię metra. Ale pamiętał ten niewielki fragment kamiennego rzymskiego muru, który został odkryty w trakcie robót, pociemniały od setek lat przebywania pod zwałami ziemi. Patrzył na niego tamtego dnia, kiedy się wykrwawiał. Pamiętał, że zastanawiał się, czy niebo jest tak piękne, jak ten niewielki starorzyski fresk.

Kiedy jego towarzysze zaczęli szukać poszlak, Sam stał tam, zamyślony, oświetlając poszczególne fragmenty okolicy. Szukał krwi, ale żadnej nie znalazł, dzięki Bogu. Wszystko zostało wyczyszczone lub zasypane nowymi warstwami ziemi. Ilu robotników chodziło po szkarłatnej plamie, rozrzucając niewielkie fragmenty jego samego, gdziekolwiek stawiali nogi?

— Szukajcie tuneli, które wyglądają, jakby tu nie pasowały - powiedział Griffin. — Albo gruzu, którym zamaskowano przejście. Nie będzie łatwe do znalezienia. Machinista jest bardzo sprytny.

Machinista... Tylko pięć minut sam na sam z tym draniem znacznie poprawiłoby mu nastrój.

Zdawało się, że ostatnimi czasy wszędzie przydarzały mu się iluminacje, dlatego też uznał za bardzo stosowne, że światło jego pochodni trafiło na sporą stertę kamieni usypaną przy ścianie. Coś było z nimi nie tak. Coś wyglądało dziwnie.

Podszedł do gruzu z sercem dziko wybijającym melodię zdenerwowania. Wziął pochodnię do lewej ręki, a prawą — tą wzmocnioną metalem - zaczął zdejmować ze stosu jeden kamień po drugim. W ciągu kilku sekund usunął ich dość, żeby odsłonić wąską szczelinę, z której wydobywał się lekki podmuch powietrza. Zza kupy gruzu ukazało się przejście - szerokie na jakieś sześć stóp i wysokie na osiem.

- Znalazłem! — zawołał przez ramię, wracając do odgarniania kamieni ze zdwojonym entuzjazmem. Był dumny, że odkrył to przed innymi, znów po długim czasie niemocy czuł się użyteczny.

Finley jako pierwsza zjawiała się u jego boku i razem udało im się całkowicie odsłonić tunel, zanim dołączyła do nich pozostała trójka. Znowu na przód wyszedł Griffin — jak zawsze przejmując rolę dowódcy.

Za nim szła Finley, potem Jasper i Emily, żeby nic jej się nie stało, gdyby na czele pochodu wywiązała się

walka lub gdyby Jasper musiał strzelać. Sam zamykał pochód na wypadek, gdyby atak nastąpił z tyłu. Był to stały układ, z tym że teraz za Griffinem szła jeszcze Finley, żeby go osłaniać. *Albo wbić mu nóż w plecy* — pomyślał Sam. Jeszcze nie wiedział, czego się po niej bardziej spodziewa.

Szli dość długo, gęsiego, przez korytarz o ścianach ze skały i ziemi. Nie było tu tak wąsko, żeby czuł się uwięziony, ale i tak było dość ciasno. Znajdowali się pod ziemią w sekretnym tunelu bez oświetlenia i bez łatwej drogi ucieczki.

Ciekawe, jak czuł się Griffin? Zawsze lepiej sobie radził ze swoimi lękami niż Sam. Kiedyś Sam będzie w stanie spojrzeć na automata i nie pomyśleć przy tym, że ten zaraz go zabije.

W końcu po czasie, który zdawał się wiecznością, stanęli. Tunel kończył się ślepo.

— To nie ma sensu — powiedziała Emily, przesuając po tunelu światłem pochodni. — Po co wykopywać tunel donikąd?

Griffin skierował światło na ścianę. Z miejsca, w którym stał, Sam widział dziury w ziemi, jak gdyby coś zostało w nią wbite. Uniósł pochodnię jednocześnie z Griffinem i wspólnie oświetlili sklepienie.

— To chyba kłapa - powiedział Sam, zauważając niewielkie nacięcie w skale. — Te nakłucia w ścianie to ślady po tym, jak ktoś - lub coś - się tu wspinał. Finley, wejdź mi na ramiona i zobacz, czy dasz radę ją unieść.

Dziewczyna spojrzała na niego nieufnie. Westchnął.

- Dobra. To chodź tu i daj mi wejść na *twoje* ramiona. Nie możemy być pewni, co tam jest, ale cokolwiek by to było, my mamy największe szanse na przeżycie.

- No dobra, wejdę na ciebie — odparła. Udało jej się precyzyjnie przycisnąć obok Jaspera i Emily, by dotrzeć do Sama. Przytulili się do ścian, żeby jakoś się minąć. Nie było dość miejsca, żeby Sam kucnął, więc pochylił się tyle, ile dał radę, a Finley wspięła się na niego, opierając rękami o ściany tunelu. Przykucnęła na jego ramionach, a on powoli wstał. Kłapa zaskrzypiała, kiedy dziewczyna ją uniosła, a z góry posypała się ziemia. Sam zakaszłał.

—Jestem pod dywanem czy czymś takim — powiedziała Finley. — Nie widzę...

Rozległo się ciche pacnięcie — odgłos odrzucanego na bok ciężkiego dywanu — a potem okrzyk:

- O Boże!

- Co widzisz?! - zawołał Grimm.

Sam starał się spojrzeć do góry, ale Finley zasłaniała mu prawie cały widok. Widział jednak kawałek jej twarzy, więc gdziekolwiek się pojawiła, było to miejsce dobrze oświetlone.

- Griffinie Kingu, czy to ty? - odezwał się władczy kobiecy głos.

Grimn zaklął pod nosem i przepchnął się do miejsca, gdzie stał Sam.

- Tak, madame.

- Chodź tu natychmiast! — zawołała kobieta. — A ty, dziewczyno, wyłaź z tej dziury.

—Już idę! - odpowiedział Griffin, ze zdenerwowaniem i zażenowaniem podnoszącymi jego głos o oktawę. — Sam - syknął. - Muszę się tam dostać.

- No, to wchodź - odparł Sam. Finley wykonała już polecenie, więc Griffin miał wolną drogę.

Griffin wspiał się zwinnie na ramiona Sama i szybko wszedł do pomieszczenia na górze.

Sam usłyszał, jak jego przyjaciel mówi coś cicho, a potem Griffin zawołał do pozostałych uczestników podziemnej wyprawy:

- Sam, Jasper, Emily? Wejdźcie tu, proszę.

Sam zaczął czuć się jak stołek, ale nic nie mówił, kiedy najpierw pomógł wejść Emily, a potem Jasperowi. Następnie udało mu się wspiać przy użyciu wystających z ziemi głazów, dopóki obiema rękami nie sięgnął brzegów wejścia i mógł się podciągnąć.

Znalazł się w dużym salonie, tak bogato urządzone, że przy nim rezydencja Greythorne'ów wyglądała jak wiejska chata. Finley, Jasper i Emily stali zbici w gromadkę, gapiąc się na Griffina, który rozmawiał ze starszą kobietą ubraną na czarno.

Otrzeponując ziemię z płaszcza, Sam zignorował szeroko rozwarte oczy pozostałych, gdy spojrzeli na niego. W końcu w takim domu musiała być służba, która posprząta odrobinę brudu.

- A kim jest ten młody człowiek? - odezwała się starsza dama surowo.

Sam otworzył już usta, żeby odpowiedzieć, kiedy zorientował się, kim jest ta kobieta.

- Przedstawiam Sama Morgana, Wasza Wysokość — powiedział Griffin.

Jasna cholera. Królowa Wiktorja. Właśnie wyleźli spod podłogi w pałacu Buckingham.

- Nie mogę uwierzyć, że spotkałam królową! - zachwycała się Emily w drodze z pałacu do miejsca, gdzie zostawili welocykle.

- Wolałabym ją poznać, nie mając tyle ziemi we włosach — zauważyła Finley. Wtargnięcie do królewskiego salonu, kiedy wyglądała jak szczur, była upokorzeniem, które nie opuści jej aż do śmierci.

Mimo to niesamowite było poznanie kobiety, która władała imperium brytyjskim. Finley spodziewała się, że królowa Wiktorja będzie wyższa.

Griffin nic nie mówił. Jej Wysokość zaproponowała im powóz, ale Griffin uprzejmie odmówił, twierdząc, że i tak już narobili zbyt wiele zamieszania.

Oczywiście musieli opowiedzieć o tunelu prowadzącym do pałacu. Nie robi się takich odkryć, żeby potem nie pisać ani słowa osobie najbardziej zainteresowanej - to oczywiste. Bogowie, Wiktorja mogła kazać wtrącić ich wszystkich do więzienia, gdyby miała taką ochotę. Więc Griffin naturalnie opowiedział jej, jak znaleźli przejście i co właściwie robili w tunelach. Delikatnie mówiąc, królowa się zdener-

wowała, zwłaszcza kiedy Griffin oświadczył, że teraz jest już absolutnie pewien, że to Machinista ukradł jej szczotkę z muzeum. Poprosił też, żeby poinformowano go, gdyby osobista służba królowej zauważyła, że z apartamentów zniknęło coś jeszcze. Ale w tak dużym miejscu kto by w ogóle zauważył brak jakiegoś drobiazgu?

Nim wyszli, robotnicy już zaczęli prace nad zasypaniem wykopu i naprawieniem podłogi. Finley nie wątpiła, że do jutra tunel będzie całkowicie zablokowany, a Machinista straci dojście do pałacu. Wspaniale.

Finley i pozostali byli pod wrażeniem spotkania z królową, lecz Griffin szedł cichy i skupiony, ręce trzymał w kieszeniach długiego, szarego płaszcza. Ubrudził się trochę podczas ich przygody, ale nie było to nic, z czym nie poradziłaby sobie sprawna pokojówka. Finley była ciekawa, o czym tak rozmyślał.

Zrównała się z nim, pozostawiając rozmowy o królowej pozostałej trójce. Byli tak zadziwieni tym, co się wydarzyło, że chyba zupełnie zapomnieli o spięciach w grupie. Sam nawet roześmiał się z czegoś, co powiedział Jasper! Emily szła między nimi - niczym mały kotek między dwoma dużymi kocurami.

- O czym myślisz? - zapytała. Griffin spojrzał na nią, zaskoczony.

— O czymś, czego wolałbym nie rozważać, ale co zakleszczyło mi się w myślach i nie chce puścić.

W czasie ich krótkiej znajomości Finley nigdy nie słyszała, by mówił z taką powagą. Cokolwiek go dręczyło, musiało to być wielkie zmartwienie.

Pytałaby dalej, gdyby nie dotarli właśnie do miejsca, gdzie zostawili welocykle. Uruchomiła swój i podążyła za resztą grupy z powrotem do Mayfair. Ulice pełne były arystokratów zmierzających do Hyde Parku, co robili codziennie o piątej. Jechali tam wierzchem lub w konnych powozach. Było to miejsce, gdzie należało zachowywać się powściągliwie i bez pośpiechu. Nowoczesne pojazdy poruszały się zbyt szybko, a całe to rytualne przedsięwzięcie polegało wszak na pokazaniu się i oglądaniu innych.

GrifEn nigdy tego nie robił, ale też nie przypominał innych parów, jakich kiedykolwiek Finley miała okazję oglądać, kiedy pracowała jako pokojówka. Czemu nie chodził na przyjęcia i bale jak inni młodzieńcy w jego wieku? Z tego, co o nim słyszała — i sama widziała - w ogóle nie przepadał za socjetą. Czy nie powinien się pokazywać w towarzystwie? Pewnego dnia ożeni się z kobietą, która będzie godna zostania jego księżną, i założy rodzinę. A wtedy ona, Emily, Sam i Jasper znajdą się na ulicy.

Bogowie, cóż za ckliwe myśli! Niczemu nie służyły, więc zepchnęła je w głąb umysłu. W końcu sama odejdzie i wyjdzie za mąż, więc jakież to miało znaczenie? Żadnego, a ona na pewno się tym nie przejmowała. W końcu GrifEn i tak nie mógłby się z nią ożenić. Niezły żart!

Kiedy wrócili do rezydencji, Finley odepchnęła na bok wszelkie myśli o Griffinie i małżeństwie. Lady Marsden wróciła z Devon i chciała się z nimi spotkać w gabinecie. Natychmiast się tam udali, nawet nie myjąc się przedtem.

Kordelia czekała na nich, chodząc w tę i z powrotem, a jej srebrne łańcuszki sięgające od nosa do ucha ls'nily w padających przez okno słonecznych promieniach późnego popołudnia. Zerknęła na przybyłych i otworzyła usta ze zdziwienia.

— Co się wam stało? - Zadziwiające, że potrafiła wszystko powiedzieć takim tonem, jakby była urażona.

Griffin wyjaśnił jej, co się wydarzyło. Jego ciotka nie wiedziała, czy ma być przerażona, czy rozbawiona tym, jak wtargnęli do apartamentu królowej. Szybko jej twarz przybrała poważny wyraz, kiedy Griffin oznajmił, że o wykopanie tunelu podejrzewa Machinistę.

— Ale po co zabierałby figurę z galerii Madame Tussaud? - zapytał Sam. - Przecież miał dostęp do pałacu. Mógł zabrać stamtąd wszystko, co chciał.

— Trudno byłoby to zrobić tak, żeby nikt nie zauważył - powiedziała Finley. - Nie można sukni wcisnąć za koszulę czy do kieszeni. Może i był dość bezczelny, żeby pójść do pałacu, ale też wystarczająco ostrożny, żeby nie dać się złapać.

— Był na tyle ostrożny, że nikt go nie zauważył - zgodziła się lady Marsden. - Bo gdyby został zauwa-

żony, istniałyby spore szanse, że Wiktorja go rozpozna.

Griffin uniósł głowę. Wszyscy popatrzyli na lady Marsden zaintrygowani.

— Wiesz, kim jest?

— Tak mi się wydaje. Zarządca go opisał i zgadza się to z innymi relacjami, jakie słyshałam, ale wspomniał o jednej rzeczy, o której nie powiedział nikt inny. Machinista ma metalową dłoń. Własną stracił w wypadku lata temu - w wypadku, o który, jak mi się zdaje, obwiniął twojego ojca, Griffinie.

Griffin zmrużył oczy.

— Więc znał mojego ojca.

— Brał udział w wyprawie — odpowiedziała jego ciotka, pokazując mu zdjęcie. - Leonardo Garibaldi. Był jednym z najlepszych przyjaciół mojego brata — i jedynym członkiem ekspedycji, którego ciała nie odnaleziono. Oczywiście dlatego, że w rzeczywistości nigdy nie zginął.

Finley spojrzała na zdjęcie nad ramieniem Griffina. Stali tam jego rodzice, tacy piękni i szczęśliwi, a obok inni ludzie, wśród których rozpoznała swojego ojca. Czy było to z jej strony głupie, że na ten widok odczuła smutek, choć nigdy go nie poznała?

Skupiła wzrok na Garibaldi. Wydawało jej się, że obok niej Sam gwałtownie wciągnął powietrze, ale zanim zdążyła na niego spojrzeć, lady Marsden znów przemówiła:

— To Garibaldi chciał upublicznić istnienie organitów. Uważał, że mogą zmienić świat. Był wściekły, kiedy królowa kazała im zachować wszystko w tajemnicy. Sądziła, że gdyby ludzkość dostała coś tak cudownego w swoje ręce, znalazłby się na pewno ktoś, kto by ich użył do czynienia zła.

— Miała rację - zgodził się Griffin. — Byłoby to straszne, zwłaszcza że wiemy teraz, że to organity odpowiadają za rozwinięcie się naszych wyjątkowych zdolności. Ale Garibaldi już wie, jakie posiadają właściwości, również o powielaniu ludzkiej tkanki.

Teraz wszyscy patrzyli na niego.

— Co odkryłeś? — zapytała lady Marsden. Griffin zerknął na Emily.

— Właściwie Emily to odkryła. Zobaczyła, co potrafią zrobić organity, kiedy odtworzyła rękę Sama. A ostatnio widzieliśmy, jak organity stały się integralną częścią organizmu Sama. Gdyby Garibaldi miał próbki czyjejś skóry lub włosów, mógłby stworzyć kopię tej osoby. Sobowtóra - przynajmniej w sensie ciała. Musiałby tylko zbudować szkielet, na którym wszystko mogłoby się oprzeć - jak automat.

Potworna prawda jego słów wreszcie dotarła do oszołomionego umysłu Finley. Machinista ukradł szczotkę królowej i pewnie też inne osobiste przedmioty. Miał jej części i miał organity. A na woskowej twarzy Wiktorii z pustymi oczodołami pozostały ślady po suwmiarce.

Finley popatrzyła na Griffina i zobaczyła, że on też już wie. Serce jej stanęło w piersi. Słowa Emily umocniły lęk:

- On chce zastąpić królową jej automatonowym sobowtórem.

ROZDZIAŁ 18

Automatonowa królowa Wiktoria. Pomysł ten wydawał się zbyt niedorzeczny, ale jednocześnie zbyt okropny, by go zignorować. Było mnóstwo strasznych planów, które Machinista - Leonardo Garibaldi - mógłby zrealizować, mając mechaniczną monarchię. Griffin wolał nawet nie myśleć o wszystkich możliwościach, jakie to dawało.

Jeśli ich teoria była zgodna z prawdą - a on i Emily rzadko się mylili, kiedy byli co do czegoś zgodni — to Garibaldi albo budował, albo już prawie skończył najbardziej przypominający człowieka automaton, jaki świat kiedykolwiek widział. Metal z powłoką z ciała i procesorem logicznym zmienionym przez organity, w wyniku czego maszyna mogłaby sama *myśleć*. Rozumna istota - przynajmniej rozumna na tyle, na

ile pozwoli jej Garibaldi. Taka, która nie tylko będzie przypominać królową z pewnej odległości, ale będzie jej dokładną fizyczną kopią. Machinista mógłby wejść wszędzie, w tym na wiele z nadchodzących uroczystości jubileuszowych.

— Musimy powstrzymać Garibaldiego — powiedział Griffin. — Niezależnie od jego zamiarów, nie możemy pozwolić, żeby sobowtór królowej grasował w mieście ani gdziekolwiek indziej.

— Myślisz, że Garibaldi by to wszystko zrobił, gdyby Wiktoria nie była tak kategoryczna? - zapytał Sam. Pozostali zwrócili na niego zaskoczone spojrzenia, a on uniósł ręce w obronnym geście. — Tylko pytałem.

—Jakiegokolwiek miał intencje na początku, teraz nie są one dobre - odparł Griffin. - Nie zapominajmy, że może też być mordercą. To przez niego kopacz zaatakował ciebie i tamtych robotników. I może być odpowiedzialny za śmierć moich rodziców, jak i za śmierć wielu ich współpracowników.

Sam odwrócił wzrok, mocno zaciskając szczęki. Griffin żałował, że musiał wspomnieć o kopaczu, ale nie mogli sobie pozwolić na okazywanie współczucia Machiniście. Ani teraz, ani nigdy.

— Ciociu Kordelio — powiedział — musimy natychmiast zawiadomić pałac Buckingham. Jako że moja ostatnia wizyta tam była dość nietypowa, czy mogę polegać na tym, że powiadomisz Jej Wysokość o zaistniałej sytuacji?

Jego ciotka skinęła głową, pobrząkując cicho srebrnymi łańcuszkami.

— Zaraz się tam udam.

Następnie Griff zwrócił się do Emily:

— Em, będziesz musiała wyposażyć nas na każdą możliwą okoliczność. Znajdź coś, co pozwoli szybko i skutecznie unieszkodliwić automatona.

Jej rude brwi uniosły się.

— Nie prosisz o zbyt wiele?

— Musimy nastawić się na najgorsze - odpowiedział poważnie. — Garibaldi jest najwyraźniej szalony. Nie da się przewidzieć, co może zrobić, a zdrada może być z tego wszystkiego najmniej niepokojąca.

— A co ze mną? - zapytał Jasper. - Jak już się w to wplątałem, chyba nie spodziewacie się, że będę siedział na tyłku, co? Ani panna Finley czy Sam.

Jak zwykle oddanie Jaspiera dla kraju innego niż własny było dla Griffina doświadczeniem uczącym pokory.

— Ćwicz — odpowiedział. — Trenuj. Musisz być gotowy, w jak najlepszej formie i zdolny opanować nowe umiejętności. - Wiedział, że Jasper jest niezwykle szybki. Emily również jego leczyła maścią z organkami, co zwiększyło tę prędkość. — Po naszej stronie mamy jedynie element zaskoczenia. Emily stworzyła kilka niesamowitych broni. Wyposaży cię i będziesz mógł z nimi ćwiczyć.

Kowboj skinął stanowczo głową.

— Zrobi się.

Griffin zwrócił się do Finley:

— Finley, Garibaldi wie, kim jesteś'. Znał twojego ojca. Logiczne wydaje się, że ma jakieś' pojęcie o twoich właściwościach - jest niezwykle ważne, żebyś nauczyła się panować nad sobą. Chcę, żebyś ćwiczyła medytacje, których cię nauczyłem. Później potrenujemy razem.

Znów obrócił głowę.

— Sam, jesteś naszą sekretną bronią. Garibaldi może wiedzieć, że jesteś silny, ale nie jest możliwe, żeby wiedział, jak jesteś niepokonany. Musisz być wypoczęty, całkiem zdrow i gotowy do walki.

Dziwne, ale Griffinowi wydawało się, że jego przyjaciel zbladł. Czyżby w ciemnych oczach dostrzegł poczucie winy?

— Będę gotów — odpowiedział Sam.

To musiała być paranoja, ale Griffin był prawie pewien, że w tonie Sama wyczuwał zdenerwowanie.

— Spróbuję dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko zdołam, z Eteru - ciągnął dalej. - Później przekażę wam wszystkie informacje.

Jego towarzysze zrozumieli, że powinni odejść, i jedno po drugim wyszli z pokoju. Tylko Sam zawahał się na progu, ale Griffin zignorował to - na razie. Miał teraz ważniejsze rzeczy na głowie.

Griffin zamknął drzwi gabinetu i natychmiast wziął się do roboty. Zdjął cienki, ciemnoszary, wełniany płaszcz i fular, pijąc napój, który przygotował jakiś czas wcześniej. Zawierał niewielką ilość laudanum, co miało pomóc mu się odprężyć i obniżyć na-

turalne osłony, aby mógł łatwiej przywołać Eter. Stał się tak dobry w blokowaniu tej sfery, że czasem nie przychodziła, gdy próbował się z nią połączyć.

Nie lubił zażywać wywaru, gdyż od laudanum wytwarzanego z maku lekarskiego często uzależnieni byli eterowi nałogowcy. Narkotyk ten był w równej mierze niebezpieczny, jeśli nie bardziej, jak energia, którą wyzwalał.

Griff rozpiął kołnierzyk i położył się na dywaniku przed kominkiem. Ciepło go uspokajało, próbował usunąć z głowy wir myśli, ale kurczowo trzymał się jednej rzeczy - swojej wściekłości. Tkwiła głęboko w nim, tak zimna, że wątpił, by jego przyjaciele nawet ją zauważyli, ale była tam. I rosła.

Próbował ją wypuścić, kiedy otworzył się na Eter. Opłynęła go ciepła energia, ale trzymał ją na dystans łatwiej niż przedtem. Kontrolował, ile jej wpuszczał, a kiedy otworzył oczy, czuł się tak, jakby był w dwóch światach jednocześnie. Widział ten realny takim, jaki był, a na nim jeszcze jedną, tajemną warstwę. Przebywał w świecie duchów, tej części płaszczyzny eterycznej, która nie tyle wymagała kontroli, co skupienia. Wstał.

Nie musiał robić nic poza czekaniem i myśleniem o rodzicach. Stanęli przed nim kilka chwil później, wyglądając tak, jak pamiętał ich sprzed wypadku. Jego wysoki i silny ojciec z oczami, które Griffin odziedziczył po nim, i z długimi bokobrodami, których ledwo dotknęła siwizna. Jego matka, drobna i szczupła z gę-

stymi, kasztanowymi włosami, zielonymi oczami i różanymi policzkami. Wyglądali tak młodo, ale to nie oni się zmienili. To Griffin stawał się coraz starszy.

Matka uśmiechnęła się do niego, choć spojrzenie miała poważne.

- Nie powinieneś tu być, kochanie. Podróżowanie przez świat duchów nie jest dla ciebie zdrowe.

— Nie zostanę na długo. Obiecuję.

Cholera, dobrze było ich zobaczyć. Po ich śmierci odwiedzał rodziców zbyt często i zostawał zbyt długo. Nie był w stanie pozwolić im odejść, a wydawali mu się tacy prawdziwi. W końcu zdał sobie sprawę, że przez niego nie mogą robić tego, co powinni czynić w zaświatach. Nie było łatwo, ale pozwolił im odejść. Teraz skontaktował się z nimi po raz pierwszy od tamtej chwili.

Wydawało mu się niezwykle dziwne widzieć ich *prawie* tak wyraźnymi i pełnymi życia, jacy byli kiedyś. Ale nie do końca. Nie byli cieleśni. Może zauważył to, bo jego smutek po ich utracie, choć wciąż silny, nie był aż tak przytłaczający jak kiedyś.

— Czego potrzebujesz, synu? — zapytał go ojciec. -Nie przybyłbyś tu, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego.

- Chcę, żebyście opowiedzieli mi o Leonardzie Garibaldim — powiedział. — Uważam, że jest odpowiedzialny za waszą śmierć. I wydaje mi się, że używa organitów do zbudowania automatonowego sobowtóra królowej.

Tak jak się spodziewał, rodzice byli w szoku. Garibaldi był ich przyjacielem.

— Leonardo nigdy nie wybaczył królowej, że kazała zachować organity w tajemnicy — powiedziała Helena King w zamyśleniu. — A twemu ojcu nigdy nie wybaczył, że się ze mną ożenił.

Tego Griffin przedtem nie słyszał.

— A teraz kieruje swój gniew na królową — i na mnie. — Może Machinista wykorzystał go tylko po to, żeby zdobyć organity, ale Griffin wziął to do siebie.

Jego ojciec skinął głową.

— Bądź ostrożny, Griffinie. Leonardo nie jest szalony, kieruje nim poczucie słuszności. Naprawdę wierzy, że robi rzecz właściwą. Tacy przeciwnicy zawsze są najbardziej niebezpieczni. Nie popełnij błędu niedoceny go.

-Jeśli będziesz musiał, przypomnij mu mnie - zasugerowała Helena z determinacją. - Jeśli cię skrzywdzi, będę go nawiedzać do końca świata.

Griffin wpatrywał się w matkę. Nigdy nie słyszał, by mówiła takim tonem. Jej słowa wywołały w nim dreszcz. Wiedział, że dotrzyma tej obietnicy i doprowadzi Leonarda do szaleństwa.

— Możecie pomóc mi go znaleźć? — zapytał. Jego ojciec pokręcił widmową głową.

— Wiesz, że nie, synu. Istnieją zasady zabraniające duchom ingerencji w świat żywych.

— W tym przypadku złamałabym je — powiedziała matka Griffina, bardzo go zaskakując. - Ale nawet

wtedy moglibyśmy ci tylko pokazać, gdzie Leonardo żył, kiedy my jeszcze żyliśmy, a nie gdzie mieszka teraz. Nawet umarli mają ograniczenia. Żeby go zlokalizować, musielibyśmy sięgnąć... — Przerwała, marszcząc brwi.

— O co chodzi? - zapytał Griffin. Naszło go dziwne uczucie — jakby lodowy palec przejeżdżał mu po plecach. Jego rodzice spojrzeli po sobie.

— Czujesz to? - zapytała Helena King. Jej mąż potwierdził.

— Wezwanie.

—Jakie wezwanie? — Griffin przenosił wzrok z jednego na drugie. - Dlaczego wydaje mi się, jakby ktoś nas obserwował?

Zwróciły się na niego oczy duchów, tak prawdziwe, a jednak tak nierealne.

— Bo ktoś nas obserwuje. Jesteśmy wzywani, jak gdyby na seans. Ktokolwiek to jest, ma coś osobistego, co do nas należało, i skupia się na tym, by nas przywołać.

Jego matka wyglądała na zmartwioną.

— Griffinie, musisz iść. Nie możesz być z nami, kiedy...

Ale było już za późno. Otoczenie zmieniło się wokół niego, wirująca mgła zastąpiła gabinet i zakreśliło mu się w głowie. Nie miał się czego złapać, kiedy poczuł się wyrwany z własnego bezpiecznego domu. Ledwo udało mu się utrzymać na nogach, wirowało

mu w głowie, aż w końcu mgła zaczęła się rozrzedzać, by ukazać niewielki, ciemny salon.

Na wysokim fotelu siedział mężczyzna z jedną nogą założoną na drugą. W dłoni trzymał kolczyk. Griffin natychmiast rozpoznał, że należał do jego matki. Miała na sobie tę parę, gdy zginęła. Wiedział to, bo kiedy zobaczył jej ciało, był już tylko jeden, a drugi ponoć zagubił się w wypadku. Ten człowiek mógł go zdobyć, tylko jeśli tam wtedy był. Wiedza, że siedział przed nim Leonardo Garibaldi — zabójca jego rodziców - powinna napęlić go gniewem, ale czuł jedynie chłód. Czuł się martwy.

Garibaldi oparł się wygodnie w fotelu, oczy miał zamknięte w skupieniu, a na głowie jakieś dziwne urządzenie - metalową obręcz z kolcami, które zdawały się wbijać w jego czaszkę. Małe zębaki obracały się i terkotały, powodując powolne falowanie obręczy, przez co naciskała różne punkty na głowie mężczyzny w wymierzonym, dokładnym rytmie. Przypominała te, których używano do przyzywania duchów w melinach eterowych. Garibaldi wzywał jego matkę, a Griffin i jego ojciec znaleźli się tu tylko dlatego, że byli akurat z nią.

Obserwował, jak nad ciałem Garibaldiego pojawił się cień — duch. Była to jego eteryczna postać. Silna projekcja - co wskazywało, że podróże w Eterze nie były dla złoczyńcy nowością. Griffin poczuł się nieswojo, choć wiedział, że nie powinien być zaskoczony.

Garibaldi wiedział wszystko o nim i o jego przyjaciółach. Zapewne był przygotowany na każdy ich atak.

Jedyną przyjemnością w tym wszystkim dostarczył mu widok zdziwienia na widmowej twarzy Garibaldiego. Nie spodziewał się całej rodziny.

— Spójrzcie tylko - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Cały klan Kingów. Mój drogi chłopcze, bardzo wyrosłeś, odkąd ostatnio cię widziałem.

Ręce Griffina zacisnęły się w pięści, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, przemówiła jego matka:

— Czego chcesz, Leonardo?

Wyraz twarzy Włocha zmienił się, kiedy spojrzał na matkę Griffina - stał się łagodniejszy.

— Chciałem cię zobaczyć, Heleno. Miałem nadzieję, że porozmawiamy.

Miała surową minę.

— O czym moglibyśmy rozmawiać? Zabiłeś mnie. Zabiłeś mojego męża, a teraz zagrażasz synowi. Nie chcę mieć z tobą w ogóle do czynienia.

Błada dłoń sięgnęła jej policzka. Matka Griffina wzdrygnęła się, a Garibaldi odskoczył, jakby go uderzyła.

— Nie miałaś zginąć, Heleno. Nie ty. Zawsze wspierałaś mnie w moich badaniach. Chciałem pomóc ci dojść do siebie po utracie męża i może zająć jego miejsce.

Helena zbladła, a prześwitująca skóra jej policzków stała się zauważalnie biała.

— Nigdy bym za ciebie nie wyszła.

Jak gdyby chcąc dodać wagi swoim słowom, zrobiła krok w stronę męża. Garibaldi sięgnął i chwycił ją za ramię. Mocno ją trzymał eterycznymi palcami, podczas gdy Helena próbowała się wyrwać.

Ojciec Griffina ruszył na Machinistę.

— Natychmiast ją puść, łotrze!

Garibaldi uniósł dłoń - była metalowa i lśniły na niej wyryte runy. Rozbłysło światło, które pokonało przestrzeń między nim a byłym księciem i pochłonięło go. Światło otoczyło Edwarda Kinga i zapadło się, pozostawiając tylko mały punkcik, a potem pustkę w miejscu, gdzie przedtem stał ojciec Griffina.

Z ust jego matki wydostało się westchnienie. Garibaldi uciszył ją:

— Cicho, moja droga. Nie został zniszczony, tylko wygnany z tego miejsca.

— Nie powinieneś był tego robić — powiedział cicho Griffin. W piersi rosło znajome uczucie. Garibaldi skierował na niego swoją dziwną dłoń. W drugiej trzymał obiekt, którego widok sprawił, że Griffa przeszedł dreszcz. Duchowe pudełko. Były niezwykle rzadkie - więzienia dla duchów. Esencja ducha mogła zostać pochwycona i złączona z pudełkiem — i jego właścicielem — na zawsze.

Ten bydlak chciał uwiezić jego matkę, przywiązać ją do tego pudła i zachować dla siebie.

— Widzę, że poznajesz ten przedmiot. — Garibaldi uniósł pudełko i pokiwał nim kpiąco. — Wiesz też, że

posiadam moc. Moc, której zamierzam użyć. A teraz bądź grzeczny, bo użyję jej na tobie.

Griffin zaśmiał się, a jego eteryczną postać wypełniło ciepło. W przeciwieństwie do Garibaldiego on nawet w tym świecie był wciąż związany ze swoim ciałem. Nie był duchem i nikt — *nikt* — nie miał nad nim takiej mocy. Najgorsze, co mógł mu zrobić Garibaldi, to odesłać z powrotem do jego ciała. Ale jego matka mogła zostać przez niego uwięziona, a wtedy nawet Grimm nie mógłby jej uratować.

Ten łotr miał go w garści i wiedział o tym. Usta mężczyzny wykrzywiły się w powolnym uśmiechu.

— Teraz, jak już się rozumiemy, pójdiesz sobie, jeśli jeszcze kiedyś chcesz zobaczyć matkę. Jeśli nie, to kiedy się obudzę, wezmę się za twoich przyjaciół. Chcesz się założyć, czy uda mi się wyciągnąć ich duchy z ciał?

Nie wydawało mu się, żeby coś takiego było w ogóle możliwe, ale nie chciał ryzykować życia swoich przyjaciół. Nie chciał też stracić matki - nie z rąk tego potwora. Jej miejsce było w Niebie - w krainie duchów — razem z mężem.

Kiedy pomyślał o ojcu, na nowo wezbrał w nim gniew. Jak Garibaldi śmie wciągać w to jego rodziców - czy już nie skrzywdził ich dostatecznie? I jak ten człowiek śmie stać tu z Griffinem i grozić mu?

Nie mógł rzucić się na niego, bo wtedy tamten skrzywdziłby jego matkę. Nie mógł też na nim użyć

swoich umiejętności, bo mógłby niechcący narazić ją na niebezpieczeństwo.

Spoglądając na ciało Garibaldiego siedzące w fotelu, wpadł na pewien pomysł. Obrócił się do łotra z uśmiechem.

— Czy ma pan jakiś wpływ na świat materialny pod tą postacią?

Garibaldi spojrzał na niego gniewnie.

- Oczywiście, że nie.

Podróżujący w Eterze mogli wpływać tylko na inne duchy. Ale Griffin nie był zwykłym podróżnikiem.

— A ja tak — powiedział. By dowieść prawdy swoich słów, przesunął się - teleportował, z braku lepszego słowa - do fotela i chwycił rękami gardło Garibaldiego. Duchowa postać mężczyzny straciła oddech, metalową ręką sięgając do gardła.

Griffin spojrzał na matkę, mocniej zaciskając palce.

- Uciekaj.

Posłała mu zmartwione spojrzenie, ale nie spierała się. Po prostu zniknęła, uwolniona, gdy Garibaldi stracił koncentrację.

Kłamstwem by było, gdyby Griffin powiedział, że nie kusilo go, by wszystko zakończyć w tej chwili, ale nie był mordercą. Nie miał zamiaru zmienić się w to, co tak bardzo chciał teraz zniszczyć. Co nie powstrzymało go przed przytrzymaniem łotra trochę

dłużej. Garibaldi zaczął sinieć, a jego duchowa postać słabła i migotała.

Niechętnie Griffin zwolnił uścisk. Gdy mężczyzna starał się złapać oddech, zabrał kolczyk matki, który Garibaldi trzymał w swej cielesnej dłoni. Przynajmniej na razie Machinista nie będzie miał żadnej władzy nad jego rodzicami.

To jednak nie uszło mu na sucho. Gdy ciało Garibaldiego w szoku wciągało do siebie na powrót jego ducha, jego eteryczna postać uniosła swą metalową rękę i uderzyła Griffina tą samą energią, jaką wcześniej trafiła jego ojca. Palce chłopaka zacisnęły się na kolczyku dokładnie w tej chwili, kiedy został pociągnięty z powrotem do swojego ciała we własnym domu.

Usiadł gwałtownie na podłodze, z ciepłym złotem wbijającym mu się w dłoń. Uratował matkę, ale na jak długo? Wciąż nie miał pojęcia, gdzie się ukrywa Garibaldi ani jak dokładnie planuje wykorzystać automa-tona. Ponownie był w punkcie wyjścia.

Choć może niezupełnie. Wiedział teraz, że Garibaldi ma pewną władzę w Eterze, i będzie lepiej przygotowany przy ich następnym spotkaniu. Wiedział też, że słabym punktem złoczyńcy była Helena King, jego matka. Wykorzysta to, jeśli będzie musiał. Poza tym, niezależnie od wszystkiego, dowie się o Garibaldim więcej, niż on sam wie o sobie. I kiedy tylko nadarzy się okazja, zniszczy urządzenie do oscylatorycznej transferencji Eteru, jakie widział na jego głowie.

Sprawi, że Garibaldi już nigdy nie będzie w stanie skrzywdzić jego rodziców i przyjaciół. Choćby miał przy tym zginąć.

Kiedy tego samego dnia, przed obiadem, Finley spotkała się z Griffinem w jego gabinecie, wydała stłumiony okrzyk przerażenia.

— Co ci się stało?!

Uśmiechnął się do niej słabo. Pod oczami miał ciemne podkowy, a jego skóra była lekko szarawa.

— Ból głowy — wyjas'nił. — Spędziłem trochę za dużo czasu w Eterze i teraz za to płacę.

Usiadła obok niego na sofie.

— Wszystko w porządku?

— Nic mi nie będzie. Już to przechodziłem. Chciała mu wierzyć, ale wyglądał na bardzo chorego.

— Zrobiłeś coś, czego nie powinieneś, prawda? Kolejny zmęczony uśmiech.

— Powiedzmy, że trochę nagiąłem zasady eterycznej etykiety, i więcej nie dodajmy. Nie zawołałem cię tutaj, żeby rozmawiać o tym, ile posiadam bądź nie posiadam zdrowego rozsądku.

Wskazał stół przed nimi. Na kawałku lnianej tkaniny stała niewielka flaszeczka z tuszem. Były tam też inne przedmioty, które razem zdawały się sugerować,

że Griffin chce napisać list. Tylko jeden nie pasował do tej teorii.

— Co to takiego? - spytała Finley, pokazując groźnie wyglądające urządzenie przypominające pistolet z igłą.

— To przyrząd do tatuażu — odpowiedział Griff, zdejmując zatyczkę z buteleczki. — Em go dla mnie zrobiła. Zrobię ci tatuaż.

Pokręciła głową.

— Wcale nie.

Uśmiechnął się. Ach, więc jej lęk bawił go, tak?

— Nie będzie prawie w ogóle bolało. Zobacz, sam mam ich kilka. - Odciągnął kołnierzyk koszuli, żeby pokazać jej fragment celtyckiej plecionki na klatce piersiowej, otoczonej dziwnymi symbolami. Tusz na jego ciele był lekko niebieskawy, już nie świeży i czarny. - Sam je zrobiłem. Mam też tatuaże na plecach. Jeden z tatuowanych artystów z Pick-a-Dilly był tak uprzejmy i je dla mnie wykonał.

Przez chwilę pomyślała, że może powinna mu przypomnieć, iż obnażanie skóry przed młodą kobietą było bardzo niestosowne, ale wtedy inna jej część kazała jej się zamknąć i cieszyć widokiem, więc to właśnie zrobiła. Ta druga część była też bardzo zainteresowana tatuowaniem, więc przysunęła się, żeby lepiej się przyjrzeć.

— Czemu się tak ozdobiłeś?

— Niektóre są osobiste, ale pozostałe pochodzą z badań mojego ojca — i moich własnych. Runy po-

magają mi kontrolować i skupiać moje zdolności, do tego wyostrzają umysł i duszę.

— Co chcesz, żeby mój tatuaż robił?

— Chcę ci dać kilka run - powiedział, przemywając igłę szpitalnie pachnącym płynem, który pamiętała z laboratorium Emily. - Nic przerażającego ani okropnego. Tylko coś, co ma pomóc twoim dwóm połówkom w końcu się połączyć i obudzić twoją świadomość.

Spojrzała na niego nieufnie.

— To brzmi jak więcej niż tylko kilka.

Kolejny uśmiech, tym razem ciepły i uspokajający. Byłby z niego wspaniały naciągacz.

— Nie zajmie to wiele czasu i postaram się, żeby bolało jak najmniej. Jestem w tym dobry.

Oceniając po tych tatuażach, które widziała na nim, uwierzyła mu.

— No dobrze. I nie boję się, że będzie bolało. Nie jestem jakąś głupiotką dziewczyną.

Griffin nadal się uśmiechał.

— Nie. Nigdy bym cię tak nie nazwał. — Spoważniał. — Czy mogę ci ufać?

Po kręgosłupie Finley przebiegł lekki dreszcz niepokoju. -Tak. Nigdy by go nie zdradziła, niezależnie od tego, co by jej powiedział.

Odwrócił wzrok, z roztargnieniem przekładając instrumenty.

— Wszedłem do Eteru, żeby porozmawiać z rodzicami.
Otworzyła szerzej oczy.

— Potrafisz to robić? — Niesamowite! Potrafił kontaktować się z umarłymi. Oczywiście natychmiast pomyślała, czy mógłby się skontaktować z jej ojcem...

— Tak - odpowiedział. - Potrafię, ale nie wiem, czy byłbym w stanie skontaktować się z twoim ojcem.

Zbladła. -Jak...? Machnął ręką.

— Zgadywałem, nic więcej. Kiedy byłem w Eterze, pojawił się Garibaldi. Przyzywał ducha mojej matki, a mój ojciec i ja zostaliśmy przeniesieni wraz z nią. Machinista próbował uwięzić ducha mojej matki.

Finley z trudem mogła w to uwierzyć.

— Nie wiedziałam, że takie rzeczy są możliwe. I co zrobiłeś?
Na ustach Griffina pojawił się lekki uśmiech.

— Nauczyłem się czegoś od ciebie i chwyciłem go -jego ciało fizyczne - za gardło. To go osłabiło na tyle, że musiał wypuścić moją matkę. — Uśmiech zniknął. — Ale on posiada sporą moc w Eterze — i to mi się nie podoba.

— Co zamierzasz zrobić?

— Nie jestem jeszcze pewien. Tym razem go powstrzymałem i w przyszłości też dam radę, ale musimy go znaleźć i postawić przed obliczem sprawiedliwości tak szybko, jak to możliwe, zanim znów spróbuje.

Finley wskazała na tacę.

— Czy zrobienie mi tatuażu pomoże w tym?

— Taką mam nadzieję. — Przybrał stanowczy wyraz twarzy.

— Tak.

— To do dzieła. Co ja mam zrobić?

— Obróć się tylko plecami do mnie. Będziesz musiała poluzować górną część sukni, żebym miał dostęp do twoich pleców.

Plecy? Jej gołe plecy? To przeczyło wszystkiemu, czego nauczyła ją matka o tym, jaka powinna być porządna dziewczyna. Ale jej mroczniejsza część ożywiła się na myśl o rozbieraniu przed Griffinem - nawet jeśli tylko odrobinę.

Na niebiosa, jeśli tak miało wyglądać połączenie się jej dwóch osobowości w jedno, to nie była taka pewna, czy tego chce. Przedtem wszystko było dla niej pod względem moralnym czarne lub białe, a teraz stawało się niepokojąco szare.

Drżącymi palcami Finley rozpięła guziki na ramieniu orientalnej sukni, do miejsca, gdzie kończył się jej prawy rękaw. Griffin odsunął jedwab i odsłonił jej ramię. Nie powinna się aż tak przejmować. Już wcześniej odkrywała ramiona.

Kilka stóp dalej w kominku płonął niewielki ogień, więc wcale nie było jej zimno. Tak naprawdę, kiedy tylko dłoń Griffina dotknęła jej ciała, Finley zrobiło się bardzo ciepło.

— Najpierw przemyję to miejsce — powiedział. — Możesz poczuć chłód.

Podskoczyła, kiedy mokrą szmatką dotknął jej łopatki.

— Och! — To nie był lekki chłód! Znowu poczuła ten szpitalny zapach. Wspaniale, będzie pachniała jak gabinet chirurga.

— Teraz narysuję na tobie runy. Obróciła się, żeby spojrzeć na niego.

— Myślałam, że je wytatuujesz?

— Tak, ale najpierw je narysuję. Potem na rysunku zrobię tatuaż - mniejsza szansa, że popełnię jakiś błąd.

Zwężała oczy.

— Nie napawasz mnie pewnością co do twoich umiejętności w tej dziedzinie, wasza książęca mość.

— Obróć się i przestań biadolić, kobieto — nakazał, ale jego głos brzmiał zbyt wesoło, by to polecenie było obraźliwe.

— Zacznę od *uruz*, która wzmaga siłę i pomaga przepędzić z wątplenie w siebie i słabość.

Finley zadrżała, gdy czubek pióra poruszył się delikatnie na skórze jej ramienia. Najpierw prosta kreska w dół, potem ukośna od góry, która zginała się, by dalej biec równolegle z pierwszą — jak trochę dziwne małe „n”.

— Zimno ci? - zapytał Griffin.

— Załaskotało - odpowiedziała, trochę zawstydzona.

Zaśmiał się.

— Przepraszam. Następnie *gebo* dla równowagi, potem *sowilo* dla skierowania na siebie i wzmocnienia woli. — Pewnymi ruchami rysował każdą runę, kiedy mówił. X, a potem kanciaste S, jak mała błyskawica. — Najważniejsze są *ehwaz* dla partnerstwa i *ingwaz* dla wyśrodkowania i skupienia. - Te symbole — M i romb — zostały umieszczone na dolnej części jej łopatkki. Poczowała lekkie mrowienie na skórze.

— To zdecydowanie więcej niż kilka — przypomniała Grirłinowi, znów zastanawiając się, czemu właściwie się na to zgodziła. Musiała zwariować.

— Są małe - odpowiedział, jakby to robiło jakąkolwiek różnicę. — Nie ruszaj się.

Następnie w ruch poszła igła. Finley obserwowała, nie bez lęku, jak Grimm nalał trochę tuszu do zbiorniczka w „pistoletcie”. Zaraz miał zostawić na niej swoje znaki — trwałe znaki, które będzie nosiła do końca życia. Było to trochę przytłaczające.

— Gotowa? — zapytał.

Wiedziała, że właśnie teraz powinna odmówić, jeśli chciała. Dawał jej szansę uniknięcia tego. Ale jeśli te znaki miały jej pomóc — pomóc *im* — to nie miała innego wyboru.

— Gotowa — odpowiedziała.

Niemal widziała jego uśmiech, choć była odwrócona do niego plecami.

— Zuch dziewczyna. To może być dość dziwne uczucie, ale nie będzie bolało, obiecuję.

Usłyszała kliknięcie przekręcanego klucza lub nakręcanego mechanizmu. Potem rozległo się ciche brzęczenie, a następnie jej skóry dotknęła igła, podążając po liniach pierwszej runy.

Grimn miał rację. Nie bolało, ale nie było też zbyt przyjemne. Trochę denerwujące — jakby ciągle lekko żądliła ją bardzo delikatna pszczoła. Jednak poza tym lekkim dyskomfortem było coś jeszcze — trzepotanie pod jej skórą, dziwne wrażenie siły - którą miała przynieść runa - rozchodzące się żyłami. Następne były X i kanciaste S, z których każda wywoływała inne uczucie, kiedy tusz był wprowadzany pod skórę Finley. Może to tylko wyobraźnia, ale wydawało jej się, że coś do tej pory chwiejnego nareszcie się w niej ułożyło — jak gdyby była wagą z jednakowymi odważnikami na obu szalach.

Od czasu do czasu Griff przerywał, żeby przetrzeć jej plecy — co było jeszcze mniej przyjemne. Obróciła głowę, by spojrzeć na szmatkę na stole. Między plamkami czarnego tuszu widziała czerwone punkciki.

— Krwawię? — zawołała z niedowierzaniem. Nie mówił nic o krwawieniu!

— To normalne — zapewnił ją. - Uspokój się, Finley. Zaraz skończę, a jak będziesz grzeczna, dam ci ciasteczko.

— Kruche? - zapytała. Skoro miała dać się przekupić, cena powinna być godziwa.

— Oczywiście. Już prawie skończyłem. — Pozostały już tylko dwie runy. Igła brzęczała i kłuła — dener-

wujące, ale wciąż bezbolesne. Jak poprzednio, każdy nowy symbol zdawał się przekazywać Finley swoje znaczenie, łącząc intencje z jej skórą i krwią.

Moc run, jak wyjaśnił Griffin podczas pracy, nie zależała od ich rozmiaru, tylko od intencji i woli w nich zawartych. No i jego krwi w tuszu.

- Czy to dlatego moje ramię jest takie gorące? Przez twoją krew? — Ta myśl nie zaniepokoiła jej tak, jak powinna.

- Możliwe. Moje połączenie z Eterem dodaje runom mocy.

Brzmi to jak magia — pomyślała Finley, kiedy Griffin przetarł jej skórę czystą szmatką nasączoną listeri-ne.

- Nałożę ci na plecy trochę maści, żeby wszystko szybciej się zagoiło.

- Czy powinniśmy używać organitów, skoro wiemy, co powodują? — Tylko trochę się zaniepokoiła, kiedy poczuła chłodną maść na skórze.

- Mogą jedynie uczynić nas silniejszymi - odparł. -W twoim przypadku, jako że organity były w twojej krwi od samego początku, powinny sprawić, że runy jeszcze szybciej staną się częścią ciebie.

Jego „powinny” wystarczyło jej. Poza tym miał rację — miała je w sobie od samego urodzenia.

W odpowiedzi na jej niewypowiedziane pytanie na całym ciele odczuła dziwne mrowienie. Spowiło ją gorąco — jak gdyby zanurzała się w ciepłej wodzie. Było to zupełnie nowe doznanie — jej części, wszystko

wewnątrz, zostało posegregowane i ułożone na nowo -tym razem poprawnie.

— To cholernie *niesatnowitel* — zawołał Griffin za jej plecami.

- Co? - zapytała, przytrzymując przód sukienki, kiedy wstała.

— Czemu czuję się tak dziwnie?

Rysy Griffina złagodniały, gdy zagościło na nich zdumienie. Przytrzymał przed nią lustro.

- Spójrz.

Finley popatrzyła i westchnęła głośno. W jej włosach były już dwa jednolicie czarne pasma — po jednym z każdej strony, od skóry głowy, w niemal doskonałej symetrii, aż po końcówki.

Popatrzyła zdumiona na Griffina uśmiechającego się w lekko zadufany sposób, którym doskonale wyrażał „a nie mówiłem”.

— Wygląda na to, że runy już działają.

Tej nocy Finley w ogóle nie mogła zasnąć. Runy na plecach wciąż mrowiły, choć nie tak intensywnie jak wcześniej. Jej skóra była wrażliwa, jak gdyby ktoś natarł to miejsce drucianą szczotką. Jej włosy były czarne, a krew wciąż wrzała, choć teraz czuła się raczej pełna energii, a nie zdenerwowana.

Przysiadła na balustradzie niewielkiego balkonu przy swojej sypialni, usadowiona jak ptak na barierce nie szerszej od jej ręki. Zadziwiające. Przedtem bała-

by się siedzieć w tak niebezpiecznej pozycji, ale teraz... Teraz wierzyła, że nie spadnie, a nawet jeśli, to będzie w stanie się czegoś chwycić.

Nie oszukiwała się, że Griffin i jego tatuaże naprawiły ją, ale na pewno coś robiły - być może otwierały ją na połączenie obu części jej osobowości, ułatwiając cały proces. Bała się tego równie mocno, jak pragnęła.

Kiedy jej obie części wreszcie się całkowicie połączą, czy jakaś wciąż będzie przeważać? Czy będzie tego świadoma? Czy będzie tak inną osobą, że w ogóle się nie rozpozna? Były to rzeczy, które nie pozwalały jej zasnąć. Miała prawo się tego obawiać, ale choć się bała, to głęboko w sercu czuła pewność, że musi to zrobić.

Rozkoszowała się chłodnym powietrzem. Londyn nie zawsze pachniał tak pięknie, jak w tej chwili - jak róże, wilgotna gleba i jaśmin, a do tego odrobina węgla, pary i metalu. Wokół siebie słyszała turkot kół powozów na bruku, wirniki sterowca wysoko na niebie, jego reflektory wyglądające jak gwiazdy, co jakiś czas rżenie konia - nie mogła zrozumieć, czemu ludzie nadal uparcie używali koni w transporcie, skoro istniały powozy parowe. Biedne konie...

Słyszała też muzykę dochodzącą z pobliskiej posiadłości. Tęskne dźwięki skrzypiec wzruszały ją. To tam powinien być Griffin, zamiast starać się uratować świat. Powinien tańczyć z jakąś nudną debiutantką, która nie potrzebuje tatuażu, żeby być normalna -i nie potrafi rzucać dorosłymi mężczyznami, jakby byli lalkami.

Bardzo niezyczliwe z jej strony, myśleć tak o nim po tym, kiedy tyle dla niej zrobił, ale musiała sobie przypomnieć, że pochodzą z różnych światów. Tak będzie łatwiej i może w końcu minie jej to głupie dziewczęce zauroczenie.

Mys'lała o tych jego jasnych, szaroniebieskich oczach, kiedy cos' usłyszała po prawej stronie. Obróciła głowę, zaskoczona, że jej wzrok jest teraz tak dobry, że dostrzegła postać stojącą na innym balkonie, prawie na drugim końcu domu. Po rozmiarze oceniła, że to Sam. A kiedy tamten człowiek przeskoczył balustradę, była *pewna*, że to Sam. Nikt inny nie dałby rady skoczyć z tej wysokości i nie połamać sobie nóg.

Obserwowała, jak pobiegł do stajni. Dokąd miał zamiar jechać? Cały dzień zachowywał się dziwniej niż zwykle - był rozkojarzony. Mniej więcej od czasu rozmowy z Kordelią. Wydało jej się dziwne, że po obrażeniach, jakie odniósł Sam, i tak zdawał się współczuć Machiniście. W zasadzie to bronił tego złoczyńcy, prawda? Dlaczego?

Rozum mówił jej, żeby się nie ruszała stąd, ale instynkt kazał jej pobiec za nim, i posłuchała instynktu. Alternatywą było siedzenie na tym cholernym balkonie aż do wschodu słońca.

Zamiast powoli zejść po ścianie, przeszła przez balustradę. Zsunęła się jak najniżej, chwytając rzeźbionych filarów, a potem zeskoczyła na trawę. Po cichu podążyła za Samem, zachowując bezpieczny dystans.

Przycisnęła się do ściany, kiedy chłopak wyprowadził swój welocykl. Nie zauważył jej — był zbyt skupiony na tym, by nikt nie spostrzegł jego wyjazdu. Kiedy Sam oddalił się wystarczająco, Finley wyprowadziła welocykl, który przywykła określać jako swój.

Sam jeszcze trochę pchał motor po drodze, nim przerzucił przez niego długą nogę i uruchomił silnik. Finley pozwoliła mu uzyskać lekką przewagę, po czym ruszyła za nim. Ruch stał się większy, kiedy mijala rezydencję, w której najwyraźniej odbywało się przyjęcie, sądząc po ilości powozów. Morgan pewnie nie zauważy, że jest śledzony, ale dla pewności pozwoliła wyprzedzić się niewielkiemu parowemu faetonowi. Z łatwością mogła śledzić Sama, jeśli tylko nie oddalił się za bardzo. Dzięki Bogu, zdawał się nie mieć równie wyostrzonych zmysłów jak ona, inaczej już by wiedział, że za nim jedzie.

Pojechała za Samem do Covent Garden - dom niezbyt wyszukany, ale również nie ubogi. Zwykła siedziba ludzi z klasy średniej. Więc co, u diabła, on tu robił, pukając do drzwi frontowych o tak późnej godzinie? Wszyscy przyzwoici ludzie już spali. Dowodem na to mógł być fakt, że Sam, ona i pewnie cała arystokracja nie spali...

Finley zaparkowała welocykl w pewnej odległości, w mroku, żeby chłopak go przypadkiem nie zobaczył, i obserwowała, jak otworzyły się drzwi domu. Sam

powiedział coś do osoby na progu i wszedł do środka. Nie widziała, kto jest jego gospodarzem, ale kiedy tylko drzwi się zamknęły, szybko podeszła do najbliższego oświetlonego okna. Szczęśliwie było uchylone, więc słyszała rozmowę, która już trwała w środku.

- Wykorzystałeś mnie - powiedział Sam głosem drżącym od gniewu i rozczarowania.

- Czyżby? - zapytał męski głos z dziwnym akcentem. - Jak?

- Żeby dostać się do księcia Greythorne. Żeby zdobyć informacje o nas.

Finley zmarszczyła brwi. Co, u diabła? Powoli stanęła na palcach, żeby zerknąć do środka. Sam stał na środku pokoju, górując nad rozmówcą — człowiekiem, którego lewa dłoń była zrobiona z jasnego, lśniącego metalu. Finley rozpoznała tę dłoń i tę twarz. Sam rozmawiał z Leonardem Garibaldim — Machinistą.

- Do jasnej cholery - szepnęła. W jaki sposób ten duży głupek wpakował się w taką kabałę? Po jego minie widać było, że został okłamany i zdradzony przez Machinistę.

- I były to bardzo dobre informacje — odpowiedział Garibaldi. Finley zgadła, że akcent jest pewnie włoski. — Byłeś bardzo obfitym źródłem, przyjacielu.

- Nie ujdzie ci to na sucho — przysiągł Sam przez zaciśnięte zęby. - Zabieram cię do Scotland Yardu.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się smutno.

- Nie, nie zabierasz. Nie doceniasz mnie, przyjacielu. Ale często tak robisz. Dlatego tak bardzo cię lu-

bię. Ale teraz, jak wszystko inne, nasza przyjaźń musi, niestety, umrzeć. Przepraszam, Samuelu. Nie tylko za zdradzenie cię, ale za pozostawienie z moją wspaniałą zabawką, którą sprowadziłem tutaj właśnie na taką okoliczność.

Finley otworzyła szeroko oczy, kiedy drzwi do pokoju raptem z hukiem wyleciały z zawiasów i ukazał się stojący za nimi wysoki na siedem i pół stopy metalowy człowiek. Jego głowa przypominała chromowaną czaszkę z oczami bez powiek i metalowymi zębami wyszczerzonymi w realistycznym grymasie. Wszedł do pokoju eleganckim krokiem, gładko poruszając rzeźbionymi kończynami.

Był niesamowity. Był straszny. I zmierzał prosto na Sama.

Garibaldi w tej chwili postanowił się ulotnić.

— Wybacz mi, przyjacielu — powiedział do Sama, a potem wybiegł z pokoju.

Trzasnęły drzwi frontowe. Finley zobaczyła, jak Garibaldi biegnie w stronę czekającego na ulicy powozu parowego. Wskoczył do środka i pojazd ruszył. Odsunęła się od okna i pobięła za nim, zdecydowana schwytać Machinistę.

Ale zatrzymał ją odgłos metalu uderzającego o metal. Z miejsca, gdzie stała, nie widziała całego pokoju, ale zobaczyła, jak człowiek z metalu uderza Sama w twarz, posyłając rośłego chłopaka na ścianę, z której posypał się deszcz tynku. Finley zaklęła, mimowolnie zwracając oczy na oddalający się powóz. Mogła podą-

żyć za Garibaldim albo pomóc Samowi. Jeśli pomoże Samowi, Garibaldi ucieknie, a ona będzie musiała to powiedzieć Griffinowi.

Ale jeśli popędzi za Garibaldim, to najprawdopodobniej tamten brutalny automat zabije Sama. Chłopak uważał ją za czarny charakter. Prawie ją udusił. Był praktycznie niepokonany w walce z człowiekiem, ale metal się nie męczy. Nie poddaje. Metal wyrwie mu płuca.

Finley westchnęła. Nie miała właściwie wyboru, prawda?

Miała nadzieję, że Griffin nie będzie zbyt rozczarowany - i że maszyna nie zabije jej i Sama. Pobiegnęła najszybciej jak mogła w stronę domu Machinisty i wskoczyła do środka przez otwarte okno.

ROZDZIAŁ 19

Jak mógł być taki głupi? Stojąc naprzeciwko automata z metalowym uśmiechem i oczami bez powiek, Sam był pewien, że nie wyjdzie z tego domu żywy. A nawet jeśli, z pewnością na to nie zasługiwał.

Myślał, że Leon - Leonardo - jest jego przyjacielem. Właściwie przekazał wrogowi wszystkie informacje, jakich ten mógł sobie zażyczyć: o GriffHnie, Finley i pozostałych. Też mi sekretna broń Griffa -zdradził ich wszystkich.

A teraz za to zginie. Może wtedy przyjaciele będą w stanie mu przebaczyć.

Uważnie obserwował maszynę, czekając na jej ponowny ruch, żeby móc skontrolować i uskoczyć. Na języku czuł krew po ostatnim ciosie. Kątem oka zobaczył, jak coś wpada do środka przez otwarte okno.

W pierwszej chwili myślał, że to jakieś zwierzę, sądząc po wydawanym odgłosie, ale kiedy stworzenie podniosło się z podłogi, zobaczył, że to wcale nie zwierzę. Była to Finley.

Ostatnia osoba, po której spodziewał się, że ruszy mu na pomoc. Czy może przyszła, by upewnić się, że automat go zabije?

Ale metalowy człowiek zdawał się równie zaskoczony jej widokiem. Zatrzymał się i obrócił ku niej swą lśniąca głowę, obserwując nowo przybyłą.

— Hej, złomowy mózdzku! — rozbrzmiał głos Finley. - Potrzebujesz pomocy?

Mówiła do Sama. Automat znów obrócił głowę, jak gdyby ciekawiła go odpowiedź chłopaka.

— Oferujesz mi pomoc? — upewnił się. Finley przewróciła jasnymi oczami.

— Tak, geniuszu.

Była w równie kiepskim nastroju jak on. Przez chwilę prawie lubił Finley Jayne.

— Więc bardzo chętnie ją przyjmę, dzięki. Najwyraźniej rozumiejąc wreszcie, że teraz ma

dwóch przeciwników, automat wydał dziwny brzęczący odgłos, któremu towarzyszyły lekkie kliknięcia.

— Co on robi? - zapytała Finley, podchodząc bliżej do Sama.

Sam wystarczająco dużo czasu spędził z Emilią, żeby wiedzieć, co oznaczają te dźwięki, ale z reguły były wynikiem czyichś działań.

- Dostosowuje się — odpowiedział zachrypniętym głosem. — Zmienia swoje oprogramowanie, żeby poradzić sobie z naszą dwójką.

Finley lekko rozwarła usta, z których uciekło ciche westchnienie. Sam zacisnął szczęki. Cholerny metalowy potwór, który potrafi myśleć samodzielnie. W jego żołądku wił się strach.

Na plecach stwora otworzył się panel, z którego wysunęły się dwie mniejsze metalowe ręce. Jego głowa obróciła się na szyi. W czasie również otworzył się panel, i wyłoniła się nowa twarz, identyczna jak ta po drugiej stronie. Teraz mógł obserwować i walczyć z obu stron.

- Szlag - wymamrotała Finley, szeroko otwierając oczy.

Sam w pełni się z tym zgadzał.

- Nie widzę mechanizmu wyłączającego - powiedział. - Musi jakiś mieć. Jeśli go nie znajdziesz, wyrywaj wszystkie kable, jakie uda ci się chwycić.

- I dać się porazić?! — zapytała z niedowierzaniem.

- Przeżyjesz — przypomniał jej i rzucił się na metalowego człowieka. Wydawało mu się, że usłyszał, jak zakłęła, kiedy ruszyła za nim.

Sam kopnął automata w przedni panel, wgniatając błyszczący metal. Maszyna zachwiała się, odsłaniając na tyle, że Sam mógłby zmieścić rękę w powstałej luce, ale zanim sięgnął do środka, został odrzucony silnym ciosem, który złamał mu szczękę. W głowie mu szumiało, kiedy otrząsnął się i podniósł, żeby zobaczyć

Finley, która nogami objęła szyję potwora, próbowała otworzyć jego panel i sięgnąć do skrytych w środku przewodów. Automaton ściągnął ją z siebie jednym ruchem i cisnął przez pokój, aż uderzyła o ścianę tuż nad kominkiem.

Sam złapał ją, zanim upadła na podłogę. Krwawiła z rany na głowie.

-Jedno z nas będzie musiało go zająć, a wtedy drugie go wyłączy — powiedziała.

Sam mruknął twierdząco.

- Odwróć jego uwagę. Zajmij się kablami. Spojrzała na niego.

—Jesteś pewien?

Nie. Pewien był tylko tego, że żołądek podskakiwał mu do gardła za każdym razem, kiedy metalowa bestia zwracała na niego swoje straszne ślepie. Był też całkiem pewien, że jedno z nich (a może oboje) zginie tu, jeśli zaraz nie wyłączą tego cholerstwa. Więc przełknął swój lęk i da się poobijać.

- Jestem pewien - odpowiedział przez zaciśnięte zęby. Jeśli ma umrzeć, to nie bez walki.

Zaatakowali razem.

Wtedy automaton znowu się zmienił. Zaczęło się od okropnego zgrzytania, kiedy jego przeguby trzaskały i wydłużały się. Ramiona poszerzyły się, rozepchnięte przez stalowe koła zębate. W ciągu kilku chwil stał się o stopę wyższy i co najmniej o dwie szerszy. Tarcze na jego rękach przesunęły się, cofnęły tak, że małe kolce — jak pazury — wysunęły się z jego kłyk-

ci. Porządny cios czymś takim mógłby bez trudu pozbawić człowieka oka.

Tym razem Finley i Sam zakleli jednocześnie.

— Moglibyśmy uciec - zasugerowała Finley. Sam zerknął na nią, nie uważając tej sugestii za tchórzliwą. Był to rozsądny wybór.

— O ile byś się chciała założyć, że pobiegnie za nami?

Jak gdyby rozumiejąc jego słowa, metalowy człowiek skinął i skierował na Sama jeden długi, lśniący palec.

— O Boże — wyszeptała Finley. Zrozumiał. Automaton zrozumiał i znów ruszył na nich.

— Uciekaj — rzucił Sam, podejmując decyzję. Stał między Finley a maszyną. - Zostaw mnie tutaj. Jak mnie zabije, to odejdzie. Nikt inny nie musi ucierpieć. To moja wina.

— Tak sobie myślę, że może przydałaby wam się pomoc.

Sam i Finley odwrócili głowy i zobaczyli Jaspera siedzącego na parapecie. Przerzucił nad nim drugą nogę i wszedł do pokoju. Z kabury u biodra wyciągnął wymyślny pistolet, a równocześnie Emily i Griffin wpadli przez drzwi.

— Nie strzelaj do jego procesora! — zawołała Emily, kiedy Jasper wycelował. - Jest nam potrzebny cały, jak chcemy znaleźć Garibaldiego.

Na dźwięk jej głosu automaton obrócił się do nowo przybyłych. Griffin wyskoczył przed Emily, a metalo-

wy człowiek uniósł go dwiema rękami, przyciskając ramiona chłopaka do jego boków.

— Griffin! - krzyknęła Finley. Ruszyła się, żeby zaatakować automaton, ale Sam ją powstrzymał.

— Poczekaj, Griff ma plan.

— Skąd wiesz? — zapytała.

Sam i Jasper spojrzeli na nią rozbawieni.

— Griff zawsze ma plan — poinformował ją Jasper, jak gdyby był to fakt niepodważalny.

I rzeczywiście, Griffin mógł poruszać rękami na tyle, że udało mu się unieść dłonie i chwycić trzymające go metalowe ramiona. Zamknął oczy i Samowi zdawało się, że jego przyjaciel zaczął lekko świecić. Było to tak, jakby widział wzbierającą w Griffinie moc.

Automaton zaczął drżeć. Palce na trzymających Griffina dłoniach otwierały się i zamykały sporadycznie. Druga para kończyn przesunęła się z tyłu na przód, kiedy metal ponownie się zaadaptował. Te dłonie dołączyły do pierwszej pary, zacieśniając uścisk na Griffinie. Sam usłyszał jęk przyjaciela. Griffin nie był jak on czy Finley — znacznie łatwiej było mu połamać kości.

— Jasper! — krzyknęła Emily. - Celuj w jego prawą stopę!

Jasper zareagował tak szybko, że jego ręka rozmazała się w smugę. W jednej chwili jeszcze trzymał pistolet, w następnej już strzelił do automaton, ale w maszynę nie uderzył zwykły pocisk, lecz promień energii, która zafalowała w powietrzu. Finley ruszyła

do przodu, kiedy noga stwora zaczęła się trząść i załamywać. Uwolnił kolejną rękę, by się na nią zamachnąć, ale dziewczyna była zbyt szybka i metal uderzył w podłogę, przebijając się przez deski jak przez bibułę. Skoczyła na ramiona stwora, drapiąc jego oczy, by zniszczyć receptory optyczne.

— Teraz, Em! — krzyknął Griffin.

Emily ruszyła do walki, a jej celem był panel kontrolny widoczny na otwartym przedzie metalowej istoty. Chciała go wyłączyć.

Przeczuwając, co się zaraz stanie, automat zwolnił jedną z rąk trzymających Griffina i zamachnął się nią na drobną postać dziewczyny. Jasper i Sam jednocześnie runęli do ataku, szybciej, niż zdawało się to w ogóle możliwe. Kowboj doskoczył pierwszy, ale maszyna odtrąciła go jak komara. Stalowa pięść uderzyła w podłogę, niszcząc więcej desek.

To w tej sekundzie Sam zrozumiał, że Renn nie miał wobec Emily niecnym zamiarów. Jasper powinien był strzelić w rękę stwora, ale nie myślał logicznie i jeśli to przeżyje, zostanie mu na pamiątkę sporo siniaków.

Sam dotarł do Emily w samą porę, osłaniając ją przed automatem. Pochwycił osłabioną lśniąca rękę obiema dłońmi i pchnął ją do tyłu z dzikim wrzaskiem. Tryby i złącza pękały i odpadały. Wystrzeliła śruba i uderzyła go w policzek tuż pod okiem z taką siłą, że zobaczył gwiazdy, ale nie puszczał, obracając, pchając i ciągnąc, dopóki nie urwał mechanicznej dłoni w nad-

garstku. Upuścił ją na podłogę, a jego własne dłonie krwawiły po tej walce.

Emily nie ucierpiała. Stała z palcami na panelu kontrolnym maszyny i patrzyła na niego.

- Sam!

Odwrócił się w samą porę, żeby chwycie lecącą na niego rękę pozbawioną dłoni. Siłą rozpędu uniosła go z podłogi i obróciła w stronę kamiennego kominka, w którym tlił się jeszcze niewielki ogień.

Sam napiął mięśnie, oczekując uderzenia, ale nikt nie zdołał przygotować się na przebicie ceglanej ściany, zwłaszcza kiedy zrobiło to stworzenie, dla którego było równie łatwo wbić palec w masło. Cegły rozbiły się na jego plecach i czaszce, niemalże eksplodując, kiedy został wbity w komin, a potem ciśnięty w dół aż do paleniska.

Otoczyło go gorąco. Leżał w kominku, a ręka automata — dziwnie zastygła - przyciskała go do żarzących się węgli, na których rozkwitły płomienie.

Wyrywał się i kopał pozostałości ceglanej ściany. Musiał się stąd wydostać, zanim stanie w ogniu jak kukła Guya Fawkesa.

Nagle chwyciły go czyjeś silne ręce. To była Finley. Pchnął mechaniczne ramię w górę, robiąc dość miejsca, żeby przy jej pomocy udało mu się wydostać z ognia. Rękami ugasił płomienie na ubraniu i wtedy zobaczył, jak automat pada niczym ścięte drzewo. Emily udało się go wyłączyć.

Niestety, właśnie w tamtej chwili maszyna wbijała Sama w kominek, więc jej korpus przywalił Emily i Griffina. Automaton rozbił podłogę wokół siebie, tworząc niebezpieczny krater, w którym wylądowali.

Sam ledwo zauważył ból własnych oparzeń. W jego duszy panował taki chłód, że ich prawie nie czuł. Rany się zagoją, ale nie pozbiera się tak łatwo po stracie najlepszego przyjaciela i... kimkolwiek była dla niego Emily. Spojrzał wściekle na Finley, zły, że uratowała jego, choć powinna była najpierw pomóc Griffi-nowi i Emily, ale wtedy zdał sobie sprawę, że przecież potrzebowała do tego jego pomocy. Choć była silna, nie byłaby w stanie unieść maszyny i jednocześnie wyciągnąć spod niej Emily i Griffina.

— Uniosę go — powiedział, już schylając się, żeby podeprzeć ogromny metalowy korpus ramionami. Szukał miejsca do postawienia stóp na skrzypiącej pod nim podłodze. Spojrzał na Jaspera, który krwawił z nosa i trzymał się za żebra, ale poza tym wyglądał dobrze, a potem na Finley.

— Wy ich wyciągniecie.

Sam powoli się prostował, unosząc metalowego człowieka. Połamana podłoga skrzypnęła i zadrżała w odpowiedzi. Mechaniczne serce waliło mu w piersi, kiedy w myślach się modlił - o to, żeby Griffowi i Emily nic się nie stało.

W podłodze była wielka wyrwa, która prowadziła aż do piwnicy. W słabym świetle Sam ledwo widział

stertę gruzu poniżej — metal, pył i drewno. Gdyby Emily czy Griffin spadli na sam dół, na pewno zostaliby poważnie ranni.

Kiedy uniósł metalowy korpus, nieprzytomna Emily zsunęła się bliżej wielkiej dziury. Serce Sama zamarło. Gdyby musiał, wskoczyłby z nią, stając między nią a czekającą na dole śmiercią.

Ale Jasper ruszył z tą nieludzką prędkością i uwolnił Sama od konieczności wybierania między Emily a Griffinem. Nie zdziwiło go, że Finley wskoczyła do krateru, żeby uwolnić Griffina z metalowych ramion, które wciąż go trzymały. Jasper wyniósł Emily z rumowiska. Sam znosił przytłaczający ciężar na plecach — czy to jego wyobraźnia, czy też stawał się lżejszy? — dopóki wszyscy nie wyszli spod maszyny, a potem powoli zaczął się wydostawać spod automatonu - ostrożnie, by ten go nie przygniótł. Nie zdziwiło go nawet zbytnio, kiedy pojawiła się przy nim Finley, przejmując od niego część ciężaru na własne barki, żeby mógł się wyswobodzić. Sam chwycił dłoń dziewczyny i pociągnął ją za sobą, kiedy wyskoczył spod maszyny, która ponownie upadła na podłogę, przebijając drewno.

Sam rozejrzył się, ciężko dysząc. Griffin już siadał, pocierając tył głowy i kaszląc. Zdaje się, że jego obrażenia były stosunkowo lekkie. Za to poblady kowboj patrzył na nich z wyrazem przestachu na twarzy.

- Ona potrzebuje lekarza - powiedział.

Sam spojrział na Emily, którą Jasper tulił w ramionach.
Wtedy zauważył krew.

Kilka godzin później Finley, Griffin, Jasper i Sam siedzieli w gabinecie, każde ze szklaneczką whisky w dłoni. Jeśli kiedykolwiek był dobry czas, żeby się napić, to właśnie teraz.

Wyglądali, jakby wrócili z wyprawy do Hadesu. Choć rany Sama już zupełnie się zagoiły, a Finley prawie, oboje byli brudni i poplamieni krwią. Spodnie i płaszcz Sama były poprzypalane i pokryte sadzą. Poobijani Grimm i Jasper ledwo chodzili. Jasper miał złamany nos. Grimm - pęknięte zebro, a na jego ramionach widniały fioletowe sińce w kształcie dłoni. Griffin pomógł im jak mógł, przy pomocy maści z organkami, ale resztę musiał zdziałać czas.

— Czy lekarz powiedział, kiedy Emily będzie się lepiej czuła? - zapytała Griffina Finley, ledwo mogąc na niego spojrzeć. Wciąż miał posiniaczoną twarz — tam, gdzie uderzył go Sam, a po walce z „zabawką” Machi-nisty jego lewe oko było tak spuchnięte, że nie mógł go otworzyć. Organity uleczą je oczywiście i zlikwidują opuchliznę, ale maści zajmie więcej czasu przedostanie się przez nieprzerwaną skórę.

Griffin pokręcił głową i napił się whisky.

— Ocknęła się, kiedy ją badał, i bardzo cierpiała, więc dał jej coś na sen. Powiedział, że właśnie tego jej teraz trzeba — potrzebuje czasu, żeby wyzdrowieć.

Wszyscy wspólnie odetchnęli, kiedy usłyszeli, że choć Emily jest ranna, to złamany ma tylko prawy obojczyk. Nie miała obrażeń wewnętrznych, ale przez dłuższy czas będzie posiniaczona i obolała. Takie były konsekwencje wylądowania pod dwustukilowym au-tomatem. Oczywiście lekarzowi musieli opowiedzieć coś innego. Finley nie pamiętała kłamstwa, jakie Griffin opowiedział mężczyźnie.

Sam brudną dłonią przetarł oczy.

— To moja wina.

— Na to wygląda — odparł beztrosko Jasper, uważnie go obserwując. - Zbratałeś się z nie tym, co trzeba, i pociągnęło to za sobą skutki. Teraz możesz się nad sobą użalać albo też wyciągnąć tę swoją tępą głowę z tyłka i pomóc nam wymyślić, jak to wszystko naprawić.

Finley uśmiechnęła się smutno i odciągnęła uwagę od Sama, mówiąc:

— Powinnam była ruszyć za Garibaldim. Gdybym wiedziała, że się zjawicie, żeby pomóc Samowi, postąpiłabym inaczej.

— Nie mogłaś tego wiedzieć — odpowiedział Griffin. — Nigdy nie przepraszaaj za to, że postanowiłaś komuś pomóc, zamiast gonić za łotrem. To, co zrobiłaś, było znacznie ważniejsze niż ściganie Garibaldiego. I, Sam, Jasper ma rację. Rozmyślanie nad tym, czego nie

mogłeś przewidzieć, nic nam nie da. Zostałeś zmanipulowany. Znajdziemy tego drania.

- Sporo czasu spędza w pubie Cętkowany Pies — powiedział Sam. — Tam go poznałem. Znali jego imię. - Zmarszczył brew. - Ale jest za sprytny, żeby tam teraz wrócić. Skąd wiedzieliście, gdzie znaleźć mnie i Finley?

Finley obróciła się, żeby spojrzeć na Griffina, też ciekawa odpowiedzi. Griffin uśmiechnął się.

- Na welocyklach znajdują się urządzenia namierzające. Zorientowaliśmy się, że was nie ma i że jesteście w jednym miejscu. Pomyśleliśmy, że... mogą być kłopoty, więc pojechaliśmy za sygnałem.

Przez chwilę Finley myślała, że to oznacza nieufność - do niej i Sama. Ale rosły chłopak dopił tylko zawartość szklanki i postawił ją na stoliku.

- Dziękuję - powiedział. Potem obrócił głowę, żeby spojrzeć na siedzącą obok niego na sofie Finley. — *I tobie też dziękuję.*

Uśmiechnęła się.

- Nie ma za co.

Griffin napełnił szklaneczkę Sama whisky, zanim uniosł swoją.

- Toast. Za Finley, która oficjalnie stała się częścią naszej grupy, czyjej się to podoba, czy nie.

Pozostali chłopcy unieśli szklanki.

- Za Finley - powtórzyli.

Rumieniąc się, Finley uśmiechnęła się i uniosła własną.

— Nie wiem jak wy, chłopcy, ale lubię mieć przy sobie silną kobietę — powiedział Griffin, który był zaskakująco wesoły, biorąc pod uwagę, że morderca jego rodziców wciąż przebywał na wolności. — Nie trzeba się przejmować tym, że należy wszystko za nią nosić, ani jej delikatnym zdrowiem.

Finley lekko zmarszczyła brwi.

— Nie jestem pewna, czy to komplement. Griffin uśmiechnął się filuternie.

— To komplement.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a kiedy Finley poczuła, że rumienią jej się policzki pod jego pełnym zachwyty spojrzeniem, Jasper klepnął się w uda i wstał.

— Czas już na mnie. Wszystkim dziękuję za miło spędzony wieczór.

Kiedy Amerykanin skierował się do drzwi, Sam zwrócił się do Griffina.

— A co z metalowym człowiekiem? Nie powinniśmy go tu przywieźć, żeby Em mogła go zbadać?

— Nie — odpowiedział Griffin, dopijając whisky. — Pozwolimy, żeby zabrał go Machinista.

Sam zmarszczył brwi.

— A czemu, w imię Wellingtona, mamy mu na to pozwolić?

Finley natężyła uwagę.

Griffin uśmiechnął się mimo mocno posiniaczonej twarzy.

— Bo kiedy to mnie dzisiaj podniosło, zauważyłem, że na spodzie głowy ma coś, co wygląda na urządzenie

naprowadzające. W końcu się naładuje, a wtedy wydaje mi się, że Garibaldi wyśle sygnał, żeby sprowadzić go do siebie.

— Skąd będziemy wiedzieć, że się naładował? — zapytała Finley.

— Bo kiedy mnie trzymał, udało mi się doczepić do jego ramienia — tego, którego nie zniszczył Sam -jedno z urządzeń namierzających Emily. Przy odrobinie szczęścia doprowadzi nas prosto do miejsca pobytu Machinisty.

Istniała możliwość, że im się nie uda. Garibaldi był bardzo inteligentny i przebiegły, ale Finley patrzyła na Grimna z coraz większym szacunkiem. Nic dziwnego, że nie przejął się ucieczką Garibaldiego.

— Bardzo sprytne — pochwaliła.

Wciąż się uśmiechając, Griffin wzruszył ramionami.

— To część mojego uroku.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy następnego ranka Emily otworzyła oczy, był przy niej Sam. Czekał już od wielu godzin. — Sam? — Zamrugła, żeby odpędzić sen z oczu. — Co tu robisz? — Spojrzała na drzwi sypialni, które pozostawiono otwarte - tak było stosowniej.

- Chciałem się upewnić, że nic ci nie jest - odpowiedział. — I nie jest? — Bardzo chciał usłyszeć odpowiedź. Na prawym policzku Emily miała otarcie, a zza kołnierzyka koszuli nocnej wyglądał granatowy siniec.

-Jestem trochę obolała - odpowiedziała, krzywiąc się, kiedy próbowała podnieść się i usiąść wyżej na poduszkach, pomagając sobie zdrowym ramieniem. -Może bardziej niż trochę.

Sam zerwał się z krzesła i delikatnie, jak gdyby była ze szkła, uniósł ją tak, żeby mogła usiąść. Potem wrócił na swoje miejsce.

— Przyniosłem tu twojego zwierzaka — powiedział, nie patrząc jej w oczy, i wskazał na mechanicznego kota. - Pomyślałem, że może będziesz chciała go mieć — na wypadek jakbyś czegoś potrzebowała.

Policzki Emily zaróżowiły się.

— Dziękuję.

Spojrzał na swoje dłonie. Były takie duże, o wiele większe od jej dłoni.

— Chcę przeprosić, Em. Zachowywałem się wobec ciebie jak ostatni kretyn.

Kiedy podniósł wzrok, obserwowała go z neutralnym wyrazem twarzy.

— Byłeś zły. Rozumiem to.

— To żadna wymówka. Ja... nie rozumiałem, czemu to zrobiłaś, ale już rozumiem.

— Naprawdę? - Wydawała się lekko zdziwiona. Skinął głową.

— Zeszłej nocy zrozumiałem, że zrobiłbym wszystko, żeby uratować ci życie - nawet pozwoliłbym, żeby przygniótł mnie metalowy człowiek.

— Nigdy nie oddawaj swojego życia za moje, Sam. Nie wybaczyłabym ci tego.

— Zaryzykowałbym. — Przełknął, czując suchość w gardle. - Byłem głupi, Em. Pozwoliłem Machini-ście się oszukać. Tańczyłem, jak mi zagrał.

— To moja wina — upierała się. - Gdybym po operacji wszystko ci powiedziała, nie czułbyś się tak zdradzony. Nie miałby możliwości cię zwabić i okłamać.

— To nie twoja wina.

— Więc twoja też nie. — Uniosła brodę stanowczo. Sam widział to aż nazbyt często, gdy się z nią sprzeczał.

Uśmiechnął się niepewnie, pocierając dłońmi uda. W takim tempie robi sobie dziury w spodniach.

— Wybaczysz mi?

— Tylko jeśli ty mi wybaczysz. — Już wybaczyłem.

Objęła jego palce swoimi.

— Zeszłej nocy uratowałaś mi życie — wyszeptał zachrypniętym głosem. — Znowu.

— Z tego, co słyszałam, uratowałeś mnie i Griffa. Finley powiedziała, że automat mógł nas zmiażdżyć, ale uniosłeś go, ryzykując własne bezpieczeństwo.

— Kiedy rozmawiałaś z Finley? - zapytał z groźnym spojrzeniem.

— Obudziłam się o czwartej. Usłyszała mnie i przysłała mi pomoc. — Zarumieniła się lekko, a Sam poczuł, że jego policzki też czerwienieją. Zgadł, do czego mogła jej być potrzebna pomoc, i był szczęśliwy, że zjawiała się Finley. Bóg świadkiem, że ani on, ani Jasper, ani nawet Griff nie mogliby tu nic zrobić. Gdyby ten stuknięty kowboj do niej przyszedł, Sam urwałby mu rękę.

— To miło z jej strony. Emily uniosła brew.

— Czy to oznacza, że ją zaakceptowałeś?

— Chyba tak. Kilka razy już mnie uratowała. Pozwoliła Garibaldiemu uciec, ale nie mogę powiedzieć, żeby mnie to jakoś szczególnie dręczyło.

Emily uśmiechnęła się do niego, gładząc kciukiem jego dłoń w taki sposób, że w ustach zaschło mu jeszcze bardziej.

— Cieszę się, że zmieniłeś co do niej zdanie. Lubię Finley.

— Griff też ją lubi.

— O tak. To chyba oczywiste, prawda? — Zaśmiała się, ale przerwała nagle, krzywiąc się.

— Potrzebujesz czegoś? — zapytał Sam z niepokojem. — Czegoś na ból?

Opierając się na poduszkach, spojrzała na niego czule, od czego serce zabiło mu mocniej, a cały świat skurczył się, by pomieścić tylko ich dwoje. Jej oczy wyrażały wszystko, co chciałby od niej usłyszeć.

Siedząc na krawędzi łóżka, pochylił się, z jej ręką wciąż trzymającą jego. Kiedy Emily zatrzepotała rzęsami, serce dziwnie mu zabiło. Sam uśmiechnął się. Jego serce nie musiało być z ciała, żeby czuć.

A kiedy usta Sama dotknęły jej warg, poczuł tak wiele. Jego serce tańczyło z radości. Swobodną ręką dotknął gładkiej skóry na jej policzku. Ile razy śnił o tym? Było lepiej, niż sobie potrafił wyobrazić.

Uśmiechnął się, wciąż z ustami na jej ustach. Ona też się uśmiechnęła, ale nie przerwali pocałunku. Po raz pierwszy od długiego czasu Sam poczuł, czym jest prawdziwe szczęście.

Kiedy Griffin wszedł do sali treningowej, Finley wisiała do góry nogami na linie, całą wagę ciała utrzymując na sznurze zawiniętym wokół obutej stopy i kostki. Miała na sobie krótkie spodnie, które tak lubiła, czarny skórzany gorset, koszulę bez rękawów i rękawiczki bez palców.

Czy wiedziała, że ma pończochy nie do pary?

Pewnie tak — pomyślał z uśmiechem.

— No, no — zaczął, idąc w jej stronę z rękami skrzyżowanymi na piersi. — Wiesz, że twoja twarz jest niemal tak czerwona jak pomidor? Może powinnaś' obrócić się z powrotem do zwykłej pozycji?

Podwinęła się do góry i chwyciła linę — podobnie jak robili to akrobaci w Pick-a-Dilly.

— Lubię pomidory - odpowiedziała, schodząc po sznurze zwinnie jak małpka. Potem dodała: - Wiesz, jesteś bardzo wesoły, biorąc pod uwagę, co się stało.

Wzruszył ramionami. Sam nie potrafił tego wyjaśnić.

— Wiem, że to dziwne, ale już samo to, że znam tożsamość mordercy moich rodziców, zdjęło mi wielki kamień z serca. Cieszy mnie, że jesteśmy tak blisko złapania go.

— Potrafię to zrozumieć. - Oceniała go spojrzeniem, a kiedy uniósł pytająco brwi, dodała: - Co z nim zrobisz, kiedy go złapiemy? Zabijesz czy przekażesz peelerom?

Konieczność rozważania tego wypełniała go wstydem. Honor wymagał zemsty, ale Griff wiedział, że zbrodniarza należało oddać w ręce władz.

— Nie wiem — odpowiedział. - Chyba będę potrzebował pomocy przyjaciół przy podjęciu tej decyzji.

Uśmiechnęła się.

— Może i tak, ale wydaje mi się, że nie przyszedłeś tu porozmawiać ze mną o Garibaldim.

— Nie. - Jego wesoły nastrój zniknął. — Kilka minut temu zatelefonował Jack Dandy.

Była zdziwiona, może trochę przyjemniej, niż Griffinowi się podobało, ale oczywiste było, że nie spodziewała się, że Dandy się odezwie.

— Co powiedział?

Griffin podał jej kartkę, na której zapisał słowa Dandy'ego.

— Że chciałby, byś do niego oddzwoniła.

Finley przez kilka sekund wpatrywała się w kartkę, zanim wzięła ją od niego.

— Ciekawe, czego może chcieć.

— Oboje wiemy, czego chce - odpowiedział szorstko Griffin. Przecież nie może być aż *tak* naiwna? Nie po wszystkim, co przeszła. — Chce ciebie.

Uniosła głowę. Na całe szczęście dla niej policzki miała już różowe po wcześniejszych ćwiczeniach, więc nie mógł stwierdzić, czy się zawstydzila.

— Powinnam od razu do niego zadzwonić. To może być coś ważnego.

Griffin poczuł na języku dziwną gorycz.

— Oczywiście. Idź do mojego gabinetu. Będiesz tam mogła prywatnie rozmawiać.

Dość wiedziała o świecie, by mimowolnie zrobić zażenowaną minę.

- Griffinie, mnie i Jacka Dandy'ego nie łączy nic... romantycznego.

Czy był aż tak beznadziejnie oczywisty?

- To i tak nie moja sprawa.

Przechyliła głowę - doskonale przedrzeźniając jego gest.

- Nie? Jestem gościem w twoim domu, a ty jesteś kimś w rodzaju obrońcy królestwa. Fakt, że jednego z twoich towarzyszy łączy coś z osławionym przestępcą, może powodować pewien... konflikt interesów.

Griffin zmrużył oczy. Jeszcze nie słyszał, by przemawiała takim tonem. Wiązało się to z połączeniem jej dwóch osobowości. Rzucanie mu wyzwania było tylko początkiem. Co ciekawe, podobało mu się to. Szczere wypowiedzi nie były czymś, co często słyszał z ust młodych kobiet.

- Masz rację - zgodził się. - Czy mam zaprotestować? A może postawić ci ultimatum? Dandy albo ja. Co byś na to powiedziała, panno Jayne?

Uniosła brwi.

- Pewnie wybrałabym Dandy'ego tylko po to, żeby zrobić ci na złość.

- Więc nie będę nic mówił i pozwolę ci dokonać własnego wyboru — i popełnić błędy.

Finley uśmiechnęła się na ten przyjemnie podany przycinek.

— Bardzo to uprzejme z twojej strony. Powiem ci, jeśli znajomość z Dandym zacznie zagrażać mojej pozycji w tym domu, a ty nie krępuj się powiedzieć mi, gdybym po drodze nie widziała sytuacji jasno.

— Zgoda, ale jeśli uznam, że nie przejmujesz się moimi troskami, wyrzucę cię z domu. Zaufanie ci to jedno, ale nie mogę pozwolić, żebyś stanowiła zagrożenie dla moich przyjaciół.

Skrzyżowała ramiona na piersi. — Jak Sam?

Takiej riposty się nie spodziewał.

— Sam nie wiedział, z kim ma do czynienia. Ty wiesz.

Patrzyła na niego przez chwilę przeszywającym wzrokiem.

— Sprawiasz, że bycie tyranem wydaje się nieraz bardzo atrakcyjne, wasza książęca mość. — Uniosła kartkę. — A teraz powinnam zadzwonić do pana Dandy'ego, zanim pomyśli, że zupełnie o nim zapomniałam.

Uśmiechnęła się do niego, a potem szybkim krokiem wyszła z sali.

Griffin obserwował, jak wychodzi, a kąciki jego ust unosiły się w uśmiechu niemal wbrew woli. Tak naprawdę to nie przejmował się Finley i Dandym — nie, jeśli chodziło o zaufanie. Dandy potrafił być bardzo czarujący, a dziewczyny zdawały się lubić niebezpiecznych chłopców — jakieś bzdury o tym, że zreformowany łotr to najlepszy materiał na męża. Ale myśl o Fin-

ley wchodzącej w romantyczny związek z Dandym męczyła go - bardziej, niż był skłonny przyznać.

Nazwała go tyranem. Powiedziała też, że jest atrakcyjny. Jego uśmiech poszerzył się. Jednego był pewien: odkąd Finley Jayne zjawiała się w jego życiu, nie było ono ani trochę nudne.

Finley skorzystała z oferty Griffina i poszła do jego gabinetu, żeby oddzwonić do Jacka. Wciąż była trochę zdenerwowana - w dobry sposób, jeśli to w ogóle możliwe — po tej rozmowie i potrzebowała kilku chwil, żeby ochłonać.

Griffin był zazdrosny o Jacka Dandyego. Podejrzewała to już wcześniej, ale aż do teraz nie była tego pewna. Griffin był *zazdrosny* — o nią. W tej chwili nie miało znaczenia, że nie może ich łączyć nic poza przyjaźnią. Dziś cieszyło ją jego apodyktyczne zachowanie.

Wciąż się uśmiechając, podniosła bogato zdobioną srebrną słuchawkę i poprosiła o połączenie z numerem, który podał Jack. W aparacie rozległ się trzeszczący dźwięk, potem trzykrotny dzwonek i kliknięcie.

— Hej, skarbie — odezwał się Jack.

Usłyszała jego charakterystyczny akcent, lecz uśmiech, który już wypływał na jej usta, zamarł, kiedy zdała sobie sprawę, że zwrócił się do niej bezpośrednio.

— Skąd wiedziałeś, że to ja?

— Tylko ty masz ten numer. Mam nadzieję, że twój przyjaciel książę nie podzieli się nim ze swoimi koleżkami peelerami. Byłoby mi to bardzo nie na rękę.

Finley zacisnęła palce na kartce.

— Nie zrobi tego. — Griffin to dobry człowiek, ale nie tak święty, żeby zapomnieć, jak bardzo Jack okazał się pomocny.

— Owinęłaś go sobie wokół palca, co? — Dandy zaśmiał się nieco drwiąco. — Dobra dziewczyna — powiedział to dość twardo.

Jego ton zirytował Finley.

— Nie owinęłam sobie Griffina wokół niczego.

— Griffina, co?

Zapadło milczenie. Zdradziła się, pokazała, że zależy jej na Griffinie. Z jakiegoś powodu uznała, że źle zrobiła, przyznając się do tego przed Jackiem Dandym.

— Czemu do mnie zadzwoniłeś, Jack?

— Nie jestem pewien, czy podoba mi się twój ton, skarbie. Może po prostu zapomnę, co chciałem ci powiedzieć. Jestem dość roztargniony.

Zamknęła oczy. Część jej chciała przeprosić - błagać, jeśli będzie trzeba — bo wiedziała, że nie skontaktowałyby się z nią, gdyby nie chodziło o coś ważnego. Inna część chciała rzucić słuchawkę.

— Nie graj ze mną w żadne gierki, Jack — powiedziała niskim głosem. — Nie wypada ci. Nie dałeś Griffinowi tego numeru tylko po to, żebyśmy się poprzekomarzali.

Znowu się zaśmiał.

— I jesteś. Już myślałem, że straciłaś pazur. Mam informacje, skarbie. Informacje na temat pewnego dżentelmena, który nazywa się Machinistą.

Serce Finley mocniej zabiło.

— Co takiego?

— A ile będzie to warte?

Prawie zapytała, czego chce, ale się rozmyśliła.

— Moją dozgonną wdzięczność - odpowiedziała z prześmiewczą słodyczą.

— Ranisz mnie, złotko — ale w jego głosie słycać było rozbawienie. — Może pewnego wieczoru przyjdiesz do mnie na kolację. Tylko my dwoje.

Nie był to dobry pomysł. Jack Dandy był niebezpieczny i trudny. Był też bardzo intrygujący... Jak szło to powiedzenie o trzymaniu wrogów bliżej niż przyjaciół? Nie była pewna, do jakiej kategorii zaliczał się Jack, ale pomysł trzymania go bliżej nie martwił jej tak bardzo, jak powinien.

Jaka była z niej dziewczyna? Podobał jej się Griffin, ale Griffin był z zupełnie innej sfery. Pociągał ją również Jack, który też był poza jej sferą, ale w zupełnie inny sposób. Ale Jack miał informacje, których potrzebowała.

— Zgoda. Przyjdę na obiad. Kiedy?

— Niczym się teraz nie przejmuj. Dam ci znać. A dziś jego książęcości przekaz, że w tej części świata chodzą słuchy, że Machinista planuje coś na dwudziestego drugiego.

— Co planuje?

— Nie wiem co — powiedział z irytacją. — Czy wiesz, jak ciężko było się dowiedzieć choć tyle? Machinistą nie jest zbyt rozmowny w temacie swych niecnych przedsięwzięć.

Było coś dziwnego, nawet lirycznego w tym, jak wymawiał te wyszukane słowa. Finley potrząsnęła głową.

— Wybacz, Jack. Po prostu liczyłam na coś więcej. Doceniam to, że do mnie zadzwoniłeś. Naprawdę.

— Niech będzie. — Wydawał się udobruchany. — Jak cośjeszcze usłyszę, to dam znać. I... skarbie?

— Tak, Jack?

— Uważaj na siebie, dobrze? Zatrudniam świetnego kucharza i nie chciałbym, żebyś przegapiła najlepszy posiłek życia z powodu własnego zgonu.

Finley uśmiechnęła się, słuchając jego słów i tonu. Może i skrył to w cierpkim humorze, ale słyszała w jego głosie szczerą troskę.

— Też bym bardzo tego nie chciała. Nie martw się o mnie.

Westchnął teatralnie.

— Coś nie wydaje mi się, żebym miał wybór w tej sprawie. - Potem nagle dodał: - Dobra. To ja znikam. Muszę zaplanować menu, prawda? Daj mi znać, jak wszystko pójdzie.

Połączenie zostało przerwane, zanim Finley zdążyła się pożegnać.

Speszona, odłożyła słuchawkę i poszła znaleźć Griffina, żeby dać mu znać, że cokolwiek zaplanował Garibaldi, miało to się wydarzyć za trzy dni.

Griffin przeglądał wszystkie informacje o Garibaldi, jakie udało mu się znaleźć wśród notatek ojca. Nie za dużo, żeby pomóc im odnaleźć złoczyńcę, ale pozwalało im lepiej go zrozumieć. Edward King obawiał się, że Garibaldi może zrobić coś nierozważnego, żeby udowodnić królowej Wiktorii, jak ważne są organi-ty dla współczesnej nauki. Do gabinetu wszedł Jasper i Griffin podniósł wzrok.

—Jas, co się dzieje?

Jasper potarł ręką tył głowy.

- Przyszedłem tylko powiedzieć, że jakbyś potrzebował mojej pomocy przy czymkolwiek, żeby dorwać tego całego Machinistę, to wchodzę w to.

- Dziękuję. Doceniam to - odrzekł Griff. Jego znajomy — nie, przyjaciel — wyglądał na rozkojarzonego. — Czy jest jeszcze coś, o czym chciałbyś pomówić?

Kowboj pochwycił jego spojrzenie.

- Wiesz, zrobiłem w życiu różne rzeczy, z których nie jestem dumny, i nie zawsze był ze mnie porządny facet. Ale praca z tobą przez te ostatnie parę dni... no, czuję się, jakbym dla odmiany był po dobrej stronie, i chciałem ci podziękować.

Griffin nie byłby bardziej zdziwiony, gdyby Jasper do niego strzelił.

- Yhm... nie ma za co. Jasper wzruszył ramionami.

- Słuchaj, co do tego, po co przyjechałem do Anglii...

Cokolwiek zamierzał powiedzieć, zostało przerwane przez pojawienie się Finley.

- O - powiedziała, zauważając Jaspiera. - Przepraszam, Griff. Myślałam, że jesteś sam. Wrócę później.

- Nie — powiedział kowboj. — Proszę zostać, panno Finley. Już skończyłem. — Rzucił ostatnie spojrzenie na Griffa, po czym odwrócił się na pięcie i poszedł w stronę drzwi.

- Porozmawiamy jeszcze później? — zapytał Griffin. Jasper spojrział na niego przez ramię i wzruszył ramionami.

-Jasne.

- O co chodziło? - zapytała Finley, patrząc na drzwi, za którymi zniknął Jasper, jakby spodziewała się, że wróci.

- Nie mogę powiedzieć — odpowiedział szczerze Griffin. - Z czym przyszłaś? - Było to może z jego strony nieuprzejme i szorstkie, ale był dziś dość rozstrojony.

- Rozmawiałam z Dandym - powiedziała Finley. — Mówił, że słyszał, że Garibaldi zaplanował coś na dwudziestego drugiego.

- Dwudziestego drugiego? — Griffin myślał o dacie przez chwilę. Jasna cholera! Spojrział na nią, wstrząś-

nięty. — To dzień jubileuszowego przejazdu Jej Wysokości przez Londyn.

To napełniło Finley niepokojem.

— Odnalezienie go w takim tłumie będzie prawie niemożliwe. Ale co zechce zrobić? Nie może przecież przeprowadzić swojego tworu przez ciżbę, prawda?

— Nie, ale mógłby zatrzymać gdzieś królową. Jeśli chce światu dać coś do zrozumienia, to takie miejsce będzie idealne. A jeśli włoży do tej maszyny bombę? Mógłby udawać, że automat to podarunek dla królowej, i wtedy go zdetonować. Albo mógłby porwać królową i podstawić na jej miejsce maszynę. Bóg wie, co zaplanował.

I w żaden sposób nie mogli się tego dowiedzieć.

— Co zrobimy?

— Do uroczystości zostały tylko trzy dni. W tej chwili najważniejsze jest ostrzeżenie królowej. Przy odrobinie szczęścia Machinista zabierze swoją zabawkę z domu w Covent Garden i zaprowadzi nas do swojej kryjówki. Inaczej będziemy bezużyteczni.

— A co z tym twoim urządzeniem? - Finley wskazała na silnik eterowy. — Czy możesz użyć tego albo swoich mocy, żeby odnaleźć Garibaldiego?

— To tak nie działa. Nie myśl, że nie próbowałem -wiele razy.

— Więc nie wiemy, co zrobi ani jak to zrobi, ale wiemy, kiedy to zrobi i że automatowa królowa jest częścią tego planu.

Griffin zacisnął usta.

— Właśnie tak.

— Cóż, to już coś, prawda? — powiedziała Finley z wyraźnie wymuszoną lekkością.

Griffin przeczesał włosy palcami.

— Jeśli go nie znajdziemy wcześniej, dopadniemy tego dnia. Nie obchodzi mnie, czy jedno z nas będzie musiało się ukryć w kufrze powozu królowej. Nie pozwolimy Garibaldiemu wykonać planu.

Musieli go powstrzymać. Los monarchii — całego kraju — zależał od tego.

ROZDZIAŁ 21

Następne dwa dni spędzili na rygorystycznym treningu i przygotowaniach. Emily pracowała w laboratorium nad różnymi broniąmi, a mając tylko jedną sprawną rękę, korzystała z pomocy Griffina, niewielkiego automata i swojego mechanicznego kota. Sam i Finley dwa razy dziennie odbywali sparring, a kiedy nie ćwiczyła z Samem, pracowała z Griflinem nad kontrolowaniem i dokończeniem procesu dołączenia swojej mroczej połowy. Jasper ćwiczył strzelanie z pistoletów elektrozakłócających i zwykłej broni i sprawdzał, jak potrafi być szybki, podczas gdy Kordelia mierzyła mu czas. Kowboj-wyrzutek szybko stał się częścią ich grupy i nikt nie kwestionował jego obecności.

Do pałacu Buckingham dostarczono list z ostrzeżeniem, że Machinista może zaatakować dwudziestego

drugiego. Podwojono ochronę królowej, która przesłała wiadomość zwrotną, iż ma nadzieję, że Garibaldi zostanie aresztowany wcześniej, tak *byśmy mogli wykonać zamierzony plan*.

Całe to zamieszanie wcale nie odsunęło myśli Griffina od faktu, że właściwie tylko czekają. Czekają, aż Machinista się ujawni, żeby mogli wykonać atak wyprzedzający.

Dwudziestego pierwszego, kiedy Griffin zostawił Emily pracującą w laboratorium i poszedł porozmawiać z Kordelią, małe urządzenie w jego kieszeni zaczęło brzęczeć i szumieć. Serce mu załomotało, kiedy wyjął maszynkę i spojrzął na nią. Miała się uruchomić, kiedy mechanizm, do którego doczepiona była jego zdalna część, zmieni położenie — Emily mówiła, że jest „wrażliwy na ruch”. Kiedy się uruchomi, nie przestanie działać, dopóki nie zostanie wyłączony. Prostokątne urządzenie w dłoni Griffa miało wbudowany wskaźnik, który pokazywał kierunek, w jakim poruszał się cel, a dźwięk wydawany przez urządzenie tropiące stawał się głośniejszy, im bliżej się było. Sygnał oznaczał, że Machinista uruchomił automata, którego zostawił w Covent Garden. Maszyna przemieszczała się.

Griffina przepełniła euforia. Nie miało znaczenia, że znajdował się w okropnej windzie wciąż pod ziemią. Przestał liczyć cegły i krzyknął z radością:

- Mam cię, Garibaldi, ty draniu, mam cię!

Wyciągnął z kieszeni płaszcz telegraf kieszonkowy i wysłał do Emily wiadomość, żeby wjechała na

góre, kiedy tylko będzie mogła, i przyniosła sprzęt. Potem wysłał wiadomość do Sama. Kolejną — do Jaspera, któremu polecił przyprowadzenie Finley. Powinien poprosić Emily, żeby zrobiła taki gadżet dla Finley. Ostatnią wiadomość wysłał do Kordelii, która przebywała w pałacu Buckingham, odczytując umysły służby i gości, żeby się upewnić, że Garibaldi nie umieścił wśród nich szpiegów. Tunel pod pałacem został zasypyany, więc nikt nie będzie mógł go użyć, żeby zakraść się do środka.

Kiedy w końcu wyszedł z windy, czekał już na niego Sam z szeroko otwartymi oczami.

— Czy to on? — spytał zapalczywie. Griffin skinął i klepnął go w ramię.

— Tak mi się wydaje, przyjacielu. Pomóż Emily przynieść sprzęt, zaraz powinni tu być Jas i Finley.

Sam zsalutował.

— Daj mi kilka minut, a potem poślij za mną windę. Griffin poczuł ucisk w żołądku. Nie znosił, kiedy

jego przyjaciel robił to, co właśnie miał zamiar zrobić, ale dla zaoszczędzenia czasu postanowił się nie kłócić. Obserwował, czując lekkie mdłości, jak Sam wcisnął swoje spore ciało w szczelinę przy klatce windy. Chwytając się kraty, opuścił do szybu. Kilka sekund później Griffin usłyszał świst, który szybko oddalił się i ucichł, kiedy Sam zsunął się po kablach do laboratorium.

Griffin odmówił krótką modlitwę, żeby jego przyjaciel nie spadł, a gdyby spadł, żeby szybko zagoiły się

jego obrażenia, po czym zasunął kratownicę i odesłał windę na dół, by Emily z Samem mogli zapakować do niej potrzebne rzeczy.

Wstąpił do gabinetu, gdzie nalał sobie szklanekę wody z kryształowego dzbanka, a z szuflady biurka wyciągnął kobaltową buteleczkę. Była to nowa wersja napoju eterycznego — takiego, który go nie zmęczy. Zdjął nakrętkę i nalał odrobinę do wody. Patrzył na szklanekę przez chwilę, po czym podniósł ją do ust i wypił gorzką zawartość jednym szybkim haustem. Już nie było odwrotu.

Na dnie szuflady leżało zdjęcie, na którym był razem z ojcem i matką. Zostało zrobione, kiedy miał trzynaście lat. Griffin podniósł je i przyjrzał się uśmiechniętym twarzom stojących za nim rodziców, którzy obejmowali się ramionami. Jego matka taka śliczna i młoda. Ojciec taki wysoki i dostojny. Wiedział, że jest pod wieloma względami podobny do niego, ale lubił myśleć, że uśmiech ma po matce.

- Już niedługo Leonardo Garibaldi odpowie za to, co wam zrobił — powiedział do ich podobizn.

Potem odłożył fotografię do szuflady, którą zamknął, i włożył klucz do kieszeni kamizelki.

Poprawiając mankiety, wyszedł z gabinetu i pobiegł na piętro, by się przebrać. Zniecierpliwienie śpiewało w jego żyłach. Niedługo uzyska sprawiedliwość.

Zebrał się w holu w ciągu dwudziestu minut od chwili, kiedy Griffin ich wezwał. Finley dla wygody

miała na sobie krótkie spodnie, pończochy i wysokie buty. Włożyła też długi czarny płaszcz, jednak na tyle wygodny, że zapewniał jej swobodę ruchów.

Wszyscy ubrani byli dość zwyczajnie, tylko każdy włożył parę solidnych butów na grubej podeszwie. Jednak Griffin odstąpił od normy - dołączył do nich ubrany zupełnie na czarno i bez fulara pod szyją.

Przypomina pirata — pomyślała Finley, kiedy go zobaczyła.

Ale najbardziej zdziwiła ich Emily. Ubrana była jak zwykle w krótkie spodnie i kamizelkę gorsetową na koszulce z krótkim rękawkiem. Miała na sobie kurtkę w wojskowym stylu — w kolorze mchu, który pasował do jej bladej skóry. Ale to nie jej ubranie zwróciło uwagę Finley — tylko wielki kot siedzący u jej stóp. Finley jeszcze nie widziała go uruchomionego, ale wyglądał teraz inaczej. Wysoki co najmniej na trzy stopy, miał głowę wielkości głowy człowieka, a z łap wystawały mu piekielnie ostre pazury. Miał powłokę ze spiżu, na której wygrawerowany został wzór przypominający sierść, a kocie oczy (aż nazbyt realistyczne) patrzyły na Finley z żelaznych oczodołów. Automat był jednocześnie piękny i przerażający. Finley nie była pewna, czy powinna go pogłaskać, czy trzymać się od niego tak daleko, jak mogła.

— W końcu ukończyłaś swoją kocicę - zauważył Griffin, gładząc dłonią metalową głowę kota. — Jest piękna, Em.

Emily rozpromieniła się, słysząc ten komplement.

— Wiem. Wprowadziłam pewne zmiany do projektu, żeby mogła nam pomóc podczas tej przygody.

— Sprzęt załadowany — poinformował Sam. — Jesteśmy gotowi.

Griffin spojrział w oczy każdemu z osobna.

— Nie muszę wam mówić, w jakim niebezpieczeństwie się znajdziemy. Garibaldi bez wątpienia będzie miał w swojej pracowni coś więcej niż tylko metalowego strażnika. Musicie się skupić, uważać i, na miłość boską, *trzymać się razem*. Zrozumiano?

Wszyscy skinęli głowami. Serce Finley dudniło w piersi jak rozpędzony pociąg. Otworzyła i zacisnęła dłoń, sprawdzając kastety, które zrobiła dla niej Emily. Były umocowane przy pomocy bransoletek na nadgarstkach i pierścieni na wszystkich palcach. Cienkie, ale wytrzymałe łańcuszki przeplatały się na jej dłoniach, sięgając do wygiętych metalowych osłon na każdym kłykcium. Będzie teraz mogła znacznie mocniej uderzać.

Wyszli w noc. Było sucho i chłodno, ani śladu deszczu w powietrzu. W stajniach każde wsiadło na swój welocykl.

Pojazd Emily różnił się od pozostałych. Miał dwa tylne koła zamiast jednego. W rozstawie około trzech stóp, zapewniały jej maszynie większą stabilność, potrzebną ze względu na wbudowany z tyłu bagażnik, w którym przechowywali broń i inny sprzęt. Jej kotka usiadła na nim. Potężne magnesy zapewniały, że nie spadnie w trakcie podróży.

Właśnie w tej chwili Finley zdała sobie w całej pełni sprawę, że Emily jest prawdziwym geniuszem.

Griffin uruchomił silnik, a pozostali go naśladowali. W ciągu kilku chwil pędzili już przez Mayfair do jeszcze nieznanego celu. Griffin miał urządzenie namierzające, więc jechali za nim, czasem zwalniając lub zatrzymując się, żeby mógł lepiej określić kierunek.

W końcu dotarli do doków na wschód od Victoria Embankment. Było tu niewiele latarni, a w zaułkach czaiły się głębokie cienie. Tu zapachy Tamizy były ostrzejsze i nieprzyjemne, przesycone słoną wonią ryb i znacznie bardziej gryzącym smrodem ludzkich odchodów. Wyostrzony zmysł powonienia Finley buntował się i zadrżała od obezwładniającego smrodu. Było potwornie.

— Proszę. — To była Emily. Posmarowała jej skórę pod nosem jakąś gęstą maścią. Nagle czuła tylko zapach lawendy — zwykle go nie lubiła, ale był znacznie lepszy od zgnilizny portu.

— Resztę drogi przejdziemy na piechotę — oznajmił Griffin, kiedy zebrali się w jednym z ciemnych zakątków. Cienie ukrywały welocykle przed wzrokiem przypadkowych przechodniów. — Zbierzcie swój sprzęt i ruszamy.

Kotka Emily stała przy niej, kiedy ta otworzyła bagażnik swojego pojazdu.

— Są tu ochraniacze na klatkę piersiową dla wszystkich. Jasper, mam dla ciebie amunicję i mechaniczny pistolet zakłócający. Ma dwa ustawienia, jedno na

silniki, a drugie na części ruchome. Powinieneś zauważyć, że działa lepiej niż starszy model. Chcę, żeby każdy wziął po jednym z tych urządzeń. — Uniosła małą metalowy przedmiot, kształtem przypominający dzwoneczek, i włożyła go sobie do ucha. — Działają tak, że będziemy mogli się porozumieć niezależnie od hałasu czy odległości.

Finley wpatrywała się w nią.

— Jesteś genialna.

Emily uśmiechnęła się.

— Tak. Jestem. — Potem dodała ciszej, żeby tylko Finley usłyszała: - Choć oddałabym część tego geniuszu, żeby walczyć tak jak ty.

Usta Finley wygięły się w powolnym uśmiechu.

— Ja nauczę ciebie, jeśli ty nauczysz mnie. — Było to coś więcej niż oferta przyjaciółki — była to obietnica, że przeżyją dzisiejszy wieczór.

- Zgoda. - Emily wzięła od niej słuchawkę i włożyła ją do prawego ucha Finley. - I jak? - szepnęła cicho.

Finley otworzyła szeroko oczy. Głos Emily brzmiał tak, jakby przemówiła normalnie.

— Doskonale.

- To dobrze. Potrzebujesz ochraniacza czy masz na sobie ten gorset, który ci dałam?

— Mam gorset — odpowiedziała Finley, dumna, że o nim pomyślała.

- Świetnie. - Emily odeszła, żeby sprawdzić, co u chłopaków. U boku Finley pojawił się GriffHn.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Tak - odpowiedziała, ze zdziwieniem zdając sobie sprawę, że to prawda. — Chcę, żeby już było po wszystkim.

-Ja też — zwierzył się. — To zacznijmy. Trzymaj się, Fin.

Fin. Zdrobnił jej imię, jak Em i Jasowi. Była jedną z nich. Ta świadomość ogrzała ją i zrównoważyła. W tej chwili nie miało znaczenia, czy przeżyje, czy umrze. Zaryzykuje własne życie u boku przyjaciół, a jeśli zginie, to nie na darmo.

Poruszali się jako zgrana grupa za Griffinem, który podążał za sygnałem urządzenia namierzającego. Kilka minut później stanęli przed starym magazynem, który wyglądał, jakby stał tu od młodzińskich lat Londynu. To, że w ogóle jeszcze stał, było cudem.

— To jest siedziba Machinisty? — szepnął Jasper z niedowierzaniem. — Nie robi wrażenia.

— To tylko przykrywka — odpowiedział cicho Griffin, a jego głos został wzmocniony przez słuchawki. — Prawdziwa siedziba znajduje się gdzieś w środku albo pod ziemią. - Wyłączył urządzenie tropiące i wsunął je do kieszeni. - Sam, idziesz na przód.

Duży cień Sama omiótł ich wszystkich, kiedy przeszedł do przodu. Jeśli za tymi drzwiami znajdowały się jakiegokolwiek pułapki, uderzyłyby w niego — a on mógł przeżyć prawie wszystko.

Sam otworzył drzwi. Wewnątrz panowała smolista ciemność. Ale wtedy rozległo się ciche kliknięcie

i brzdęk, Sam odskoczył z drogi i ledwo uniknął ciosu ostrzem siekiery w gardło. Broń wbiła się głęboko we framugę, z rączką wibrującą od siły uderzenia.

Emily podskoczyła, a Finley chwyciła jej dłoń. Drobna dziewczynę przestraszyła nie tyle sama siekiera, a to, gdzie mogła się wbić. Nawet Sam nie wyzdrowiałby po dekapitacji.

Kiedy Sam ruszył dalej, najwyraźniej niewstrząśnięty po bliskim spotkaniu ze śmiercią, Emily zatrzymała go i pokazała na swojego mechanicznego kota. Griffin gestem wyraził zgodę. Emily podwinęła lewy rękaw, ukazując długą, skórzaną obręcz z metalowym panelem, która otaczała jej przedramię. Panel otworzył się jak medalion, ukazując kontrolki. Emily coś poprawiła, przekreśliła jakieś pokrętła, a kiedy skończyła, metalowe zwierzę przejęło pozycję Sama na przedzie. Każdą kolejną pułapkę uruchomi kotka.

Kocie oczy oświetlały im drogę. Szli cicho przez puste wnętrze. Widać było, że miejsce to od dłuższego czasu nie było wykorzystywane, choć ślady stóp na kurzu zdradzały coś innego. Finley zmarszczyła brwi, zdając sobie sprawę, że ktoś usiłował zatrzeć te ślady. Emily poruszyła kontrolki na ramieniu i jej kot przycupnął, wydmuchując powietrze, które uniosło warstwę „nowego” kurzu, ukazując ślady butów odbite w warstwach pod spodem. Ktokolwiek zostawił te ślady — bez wątpienia Garibaldi — wdepnął w smar czy coś podobnego, przez co kurz przylgnał do deski, na której stanął.

Cholerny geniusz — pomyślała Finley dość cierpko. Może i Garibaldi jest sprytny, ale była przekonana, że nie dorównuje Emily.

Ślady prowadziły do drzwi dobrze ukrytych na tyłach magazynu. Kot usiadł i czekał, aż Sam je otworzy — a wszyscy przycisnęli się do ściany, na wypadek gdyby coś ich zaatakowało. Nic się nie stało, a kot powoli zszedł po schodach, które ukazały się za drzwiami. Metalowa bestia była cicha i zwinna jak jej prawdziwy odpowiednik.

Jedno za drugim zeszli do brudnego i mokrego tunelu. W powietrzu unosił się smród ryb i Finley wyczuwała coś jeszcze poza lawendą. Zrobiła wdech.

— Smar do maszyn — szepnęła, informując innych, że są na właściwym tropie.

Kotka dotarła do podnóża schodów. Finley patrzyła, jak z jej przedniej łapy coś wysunęło się na podłogę. Nagle całe pomieszczenie wypełniło światło, gazowe palniki w kinkietach na ścianach zapłonęły tak jasno, że prawie oślepiały.

Kiedy jej oczy przywykły do światła, zobaczyła, że Jasper wyciągnął oba pistolety, ale nic im bezpośrednio nie zagrażało.

Przynajmniej na razie.

Stały tu niezliczone rzędy automatonów jak czekająca na rozkazy armia. Niektóre bardzo przypominały metalowego człowieka, z którym walczyli poprzednio. Ten stał w odległym rogu. Niektóre były małe jak dzieci lub nawet wielkości lalek. Te Finley niepo-

koily najbardziej, z powodu jaskrawo pomalowanych twarzy, które nie miały w sobie nic z dziecięcej niewinności. Nawet pajęczy stwór z głową lalki nie budził w niej takiej grozy. Inne przypominały połączone kawałki złomu. Niektóre miały stopy, inne kółka. Niektóre miały twarze, inne nie miały niczego, co by nawet przypominało twarz. Ale jedno było pewne — zrobiono je z metalu i były silne.

Ale mechaniczna armia bladła w porównaniu z jej generałem.

Na samym przodzie stała stara kobieta: pulchna, z nieco obwisłymi policzkami, ubrana na czarno, z włosami w różnych odcieniach siwizny spiętymi w ciasny kok.

Była to królowa Wiktoria. Nie automaton pomalowany, żeby ją przypominać — był to doskonały sobowtór Jej Wysokości, który aż emanował życiem.

- Święta Mario i Józefie - szepnęła Emily. Jak zaczarowana, podeszła bliżej do... *tej rzeczy*, wyciągając zdrową rękę. Nikt nie był w stanie jej powstrzymać, wszyscy zamarli w szoku.

Jeśli Emily była geniuszem, to kim był Garibaldi, skoro wymyślił i zbudował coś takiego? Nikt, patrząc na tę postać, nie pomyślałby, że to może nie być królowa. Nawet jej dzieci by się pomyliły.

Palce Emily dotknęły twarzy automatonu i zaraz je odsunęła, jak gdyby się oparzyła.

— To skóra — szepnęła. — Prawdziwa skóra. Udało mu się. Zrobił organicznego automatonu.

Finley nie była pewna, czym to jest, ale wiedziała, że niczym dobrym. Wiedziała też, że nie jest dobrze, kiedy Wiktoria otworzyła nagle oczy.

— Intruzi — powiedział automaton, doskonale naśladowając głos królowej. — Nie jesteśmy rozbawieni.

- No, no, no — rozległo się z drugiego końca sali. Stał tam, w otwartych drzwiach, smagły mężczyzna średniego wzrostu i budowy. - Któż to uruchomił mój cichy alarm? Sam! Jak miło zobaczyć cię wciąż żywego.

Sam nic nie powiedział, ale Finley widziała, jak zaciska zęby.

— To ci się nie uda, Garibaldi — powiedział Griffin stanowczo.

Finley wiwatowała w duchu, wiedząc, jak musi mu być ciężko utrzymywać emocje na wodzy.

- Wydaje mi się, że jednak tak - drwił Garibaldi. - Długo i ciężko pracowałem, wasza książęca mość. Nie mam zamiaru dopuścić, żeby powstrzymała mnie zgraja dzieciaków. - Finley podskoczyła, kiedy spojrzał jej w oczy. - Wiele z tego zaczęło się przez twojego ojca, wiesz? To mój powóz próbował wtedy ukraść. Przyszedł do mnie, błagając o pomoc, a będąc jego przyjacielem, chciałem mu pomóc, ale wtedy zmienił się na moich oczach. Zaatakował mnie, inaczej nigdy bym do niego nie strzelił. Wtedy ostatecznie doszedłem do wniosku, że organity muszą zostać ujawnione. Żadnych więcej tajnych eksperymentów, które by się tak źle kończyły.

Wściekłość, z jakiegoś dziwnego powodu zarówno gorąca i zimna, wypełniła Finley. Wezbrała w niej ciemność i pozwoliła jej popłynąć żyłami, ale zamiast się jej poddawać, czerpała z niej siłę. Garibaldi mówił tak, jakby postąpił właściwie - jak gdyby wyświadczył jej ojcu przysługę, a nie zabił z zimną krwią.

— Mówisz to szczerze? — zapytała spokojnie. — Czy tylko denerwowało cię, że Greythorne zaufał mojemu ojcu, a nie tobie?

Twarz Garibaldiego pociemniała tak bardzo, że Finley zobaczyła to nawet z tej odległości. Trafiła w czuły punkt.

— Edward zwrócił się do Thomasa Shepparda, bo Sheppard nie składał żadnych obietnic królowej. Edward wiedział, że jeśli Sheppard zostanie złapany, będzie niewiele rzeczy wiążących jego eksperymenty z naszym odkryciem. Teraz jak bardzo szanujesz heroicznego księcia Greythorne?

Finley spojrzała na Griffina, który również spochmurniał. Tego nie wiedział o swoim ojcu. Ponownie zwróciła uwagę na Garibaldiego.

— Wydaje się, że sam nie dotrzymałeś słowa co do zachowania organitów w tajemnicy, sir. Książę chciał pomóc mojemu ojcu. Był prawdziwym przyjacielem, czego już nie można powiedzieć o tobie.

— Moja droga, to była samoobrona. Twój ojciec był tak dziki, że bałem się o własne życie, jak i powinni obawiać się twoi przyjaciele, kiedy mieszkasz z nimi pod jednym dachem. Przy okazji, muszę przeprosić za

ten incydent w Pick-a-Dilly. Kelner nie miał zaatakować ciebie ani nikogo innego. Ale błyskawicznie sobie poradziłaś z tym biedactwem. Zapewne odziedzyczyłaś mordercze skłonności po ojcu.

Gorąco popędziło od stóp Finley do jej twarzy, ale nie odwróciła wzroku. Nie będzie się wstydzić siebie samej.

— Dużo mówisz. Garibaldi uśmiechnął się.

— To prawda. Gadulstwo jest moją wadą, nie ma co zaprzeczać. Teraz już zamilknę i pozwolę, by przemówiły za mnie moje dzieci. - Przekręcił włącznik na ścianie. — Obudźcie się, moje skarby!

Podłoga pod ich stopami zaczęła brzęczeć i wibrować, kiedy pod maszynami zębatki ustawiły się w odpowiedniej pozycji. Nagle wszystkie automaty uniosły głowy, a pomieszczenie wypełniło głucho dudnienie, gdy każda maszyna została uruchomiona -nawet Wiktoria. Mechanizmy włączające Garibaldi umieścił na spodzie automatonów, żeby trudniej było je wyłączyć.

Pierwsza ruszyła Finley, po niej kot, a potem Sam. Zrobiła dokładnie to, co kazała Emily — pierwsza maszyna, którą chwyciła, miała podobną do głowy nasadkę, która świeciła od środka. Zerwała ją z metalowych ramion i rzuciła na podłogę, gdzie Sam zmiażdżył ją ciężkim butem, jakby była puszką fasoli. Następnie sięgnęła do wnętrza torsu i chwyciła tyle kabli, ile dała

radę, i szarpnęła. Światło wewnątrz maszyny zamrugało i zgasło, kiedy upadła na podłogę.

Jedna z głowy. Zostało jeszcze dwadzieścia pięć. Rozejrzawszy się wokół siebie, zobaczyła, jak Sam rozrywa jednego z mniejszych automatonów gołymi rękami. Griffin też walczył i pomagał Emily wyłączać maszyny przy użyciu jej mocy, kiedy Jasper obezwładniał je swoimi pistoletami. Finley i Sam wspólnie zajmowali się większymi stworami.

Griffin działał dalej. Garibaldi wrzucał jakieś rzeczy do sakwojażu. Miał zamiar uciec, kiedy oni zajęci byli walką. Usłyszała głos po lewej stronie i zobaczyła, że automatonowa Wiktorja też ruszyła w stronę Garibaldiego, prawdopodobnie po to, żeby wyjść razem z nim. Bliżej jakiś automaton wielkości człowieka usiłował dorwać Griffina.

Garibaldi zauważył zbliżającego się księcia i wyciągnął z kieszeni pistolet.

—Jeszcze krok, a dołączysz do swoich rodziców -a przynajmniej do ojca.

Griffin zawahał się, ale tylko na chwilę. Jego oczy zdawały się zmieniać — jak gdyby zostały rozświetlone od środka. Był piękny.

Kątem oka Finley dostrzegła okazję i wykorzystała ją. Pobiegnęła i skoczyła, chwytając łańcuch, który zwisał z sufitu, i z rozmachem kopnęła Garibaldiego w ramię. Potem obróciła się i wylądowała na ramionach dużego metalowego człowieka. Chwyła jego

czaszkę, przekręciła i pociągnęła. Głowa automatonu odpadła jak zakrętka słoika. Rzuciła ją na podłogę i zeskoczyła. Wylądowała obiema nogami na głowie automatonu i poczuła, jak blaszana powłoka ugina się pod jej butami. Potem obróciła się i wepchnęła ręce w panel na torsie stwora, chwytając i rwąc przewody. Maszyna upadła.

Szybko radzili sobie z armią Machinisty. Pozostała tylko garstka automatonów. Finley już niemal czuła smak zwycięstwa. Wtedy nagle tuż nad jej głową przeleciał grad kul. Finley rzuciła się na podłogę z takim impetem, że zaparło jej dech w piersi. Spojrzała w górę i zobaczyła dwa pulchne ramiona, których dłonie uniosły się w górę na makabrycznych zawiasach, ukazując dymiące lufy karabinów.

Mechaniczna królowa Wiktoria dołączyła do walki.

W pobliżu Jasper przeturlał się na plecy. Błyskawicznie użył pistoletu, by unieruchomić jeden z ostatnich automatonów na dość długo, żeby Emily mogła go wyłączyć. Jego ręka poruszyła się tak szybko, że Finley nie była pewna, czy zmienił broń, ale rozległy się dwa strzały. Ramiona królowej podskoczyły. Kiedy dym się rozwiął, Jasper trzymał w dłoni zwykły pistolet — a karabiny Wiktorii były osmalone wokół nadgarstków. Kowboj zniszczył oba, strzelając w lufy.

Finley chciała rzucić jakąś pochwałę, lecz jej uwagę przyciągnął Garibaldi. Machinista zakrzyknął z wściekłości, kiedy zobaczył szkody wyrządzone jego ukochanej maszynie. Dłonie Wiktorii wróciły

na miejsce, ale na jej rękach pozostały czarne ślady. Podeszła bliżej do swojego pana. Poruszała się wolno, ale po królewsku — z gracją. I cicho. Nie było słycać żadnego brzęknięcia ani kliknięcia, kiedy szła.

Finley rzuciła się do akcji, skacząc prosto na mechaniczną Wiktoria. Wylądowała na jej ramionach w samą porę, żeby zobaczyć, jak Sam wykańcza ostatnią z pozostałych maszyn. Chwyła królową za głowę, mechaniczne ręce sięgnęły do góry, by ją zrzucić — każdy ich cios był jak uderzenie sakiewką pełną monet — ale Finley nie puszczała. Stęknęła, ściskając i obracając z całej siły. W końcu poczuła, jak szyja puszcza, usłyszała, że metal w środku skrzypi i pęka. Pociągnęła i głowa królowej została jej w rękach.

Upuściła ją na podłogę z krzykiem. Wyglądała zbyt prawdziwie — w dodatku Garibaldi dodał żyły do cielesnego „kombinezonu”. Przez chwilę Finley miała wrażenie, jakby zabiła prawdziwego człowieka.

Zamarła na sekundę, ale to wystarczyło automatonowi. Bezgłowa Wiktoria obróciła się, uderzając ją w plecy z taką siłą, że wpadła na ścianę i osunęła się na podłogę.

Kiedy już udało jej się wstać, zobaczyła, jak Jasper strzela z pistoletu zakłócającego do bezgłowej królowej, która biegła ku niemu, tryskając krwią z szyi. Strzał cofnął automata, ale nie unieruchomił. Jasper uderzył dłonią w bok pistoletu.

Strzał powinien był zatrzymać maszynę, choćby tylko na chwilę, ale tak się nie stało. Uwaga mecha-

nicznej królowej skupiła się na Jasperze, który był teraz bezbronny.

Kiedy Jasper odrzucił bezużyteczną broń i wyciągnął inną, Emily podbiegła do maszyny i przyłożyła obie dłonie do torsu bezgłowej królowej. Pot spływał jej po czole.

Automaton szarpnął się. Nagle rozbłysło silne światło -jak przy eksplozji — które odrzuciło Emily do tyłu. Finley zdołała ją złapać i obie upadły na podłogę.

Otaczały je połamane automatomy — dymiące i parujące szczątki, porzrucane na ziemi jak dziwaczne metalowe zwłoki. Opryskała je krew Wiktorii, przez co widok był dos'ć makabryczny.

Obok Emily leżała jak umarła.

ROZDZIAŁ 22

Garibaldi splunął krwią obok leżącego na ziemi Griffina.

- Przyznaj się do porażki, chłopcze. Obolały Griffin wolno podniósł się na kolana.

- Nie. - Spojrzał na przyjaciół i zobaczył, jak niszczą mechaniczną Wiktorię. Widział, jak Emily i Finley padają na podłogę, i miał nadzieję, że nie są ciężko ranne. — To już koniec, Garibaldi.

Włoch podążył spojrzeniem za wzrokiem Griffina i zobaczył, co stało się z jego wynalazkiem. Wykrzywił twarz z wściekłości i rzucił się na chłopaka, kopiąc go brutalnie w klatkę piersiową.

— Wszystko zniszczyłeś!

Ochraniacz uchronił Griffina przed najgorszymi skutkami ciosu, ale kopniak i tak pozbawił go tchu. Upadł na bok na podłogę, walcząc o oddech. Nie zdą-

żył dojsć do siebie, kiedy został złapany za kłapy płaszcza i postawiony na nogi przez rozwścieczonego szaleńca.

— Wyrwę ci serce — wrzasnął Garibaldi, plując z każdym słowem. Kompletnie oszalał. Jego obsesja na punkcie udowodnienia użyteczności organitów w końcu pozbawiła go zmysłów, gdy dostrzegł zniszczony owoc swojej pracy. - Odeślę cię do mamusi i tatusia *w kawalkach*.

To wspomnienie rodziców obudziło Griffina. Pomyślał o nich i o tym, jak bardzo ich kochał, jak bardzo chciał, żeby byli z niego dumni. Niemal ich widział, stojących za Garibaldim.

Zaraz... Stali tam. Naprawdę ich widział.

Griffin rozejrzał się dookoła. Połączył się z Eterem, nie sięgając do niego świadomie. Był wszędzie wokół niego, jak piękne, migoczące światło. Widział też, jak jego rodzice byli połączeni ohydną, pulsującą, czarną linią energii z Leonardem Garibaldim. Nie mógł znieść tego, że jego rodziców dotyka to obrzydlistwo. Po niego też sięgała ta linia — jeszcze grubsza i ciemniejsza. W Garibaldim nie było już ani odrobiny dobroci, żadnej lekkości czy czystości duszy. Został zepsuty przez przekonanie o własnej prawości i był teraz czymś mrocznym i potwornym — tak bardzo, że aż zionął złem.

- Na co się gapisz? - warknął Garibaldi, potrząsając nim. Znowu go uderzył.

Griffin poczuł w ustach smak krwi. Potrząsnął głową, by rozjaśnić umysł.

- Moi rodzice — odpowiedział. - Są tu. Garibaldi uśmiechnął się szyderczo, wyrażając wyłącznie śmiertelną nienawiść.

- Przekaż im ode mnie pozdrowienia.

Powietrze wokół nich zamigotało i Grimm zauważył, że runy na metalowej ręce złoczyńcy zaczynają lśnić. Miało sens, że posiadał te starożytne symbole, skoro należał do ekipy jego rodziców, zanim ich zdradził. Na chwilę ich sylwetki zbladły — niemal zniknęły zupełnie - i Griff poczuł, że jego osłony słabną.

Coś ostrego, gorącego uderzyło go w bok w chwili, kiedy sięgał po większą moc i pozwalał, by Eter znów go wypełnił. Garibaldi trzymał go teraz jedną ręką i Griff spojrzał w dół, by zobaczyć, co powoduje ten potworny ognisty ból.

Tuż pod ochraniaczem z jego ciała wystawała rękojeść sztyletu. Kilka cali wyżej i już by nie żył. Gdyby tylko Grimm był lepiej przygotowany, silniejszy, wyczułby zagrożenie zawczasu. Łotr okazał się lepszy.

- Do zobaczenia w piekle, książę. Garibaldi odepchnął go na bok.

Grimm zachwiał się, ale nie przewrócił pomimo odrętwienia obejmującego dolną część jego ciała. W ustach poczuł więcej krwi. Eter spowijał go i wydawało mu się, że czuje witające go ciepłe ramiona matki.

Umierał.

— Nie — wycharczał. - Nie zobaczysz mnie tam, sukinsynu.

To się tak nie może skończyć. Jeśli Griff go nie pokona, Garibaldi uwięzi jego matkę.

Grimn zamknął oczy i stworzył przejście w umyśle, w duszy. Z radosnym zapamiętaniem wpuścił do swego wnętrza Eter. Pozwolił mu się wypełnić, aż czuł, jak przepływa mu żyłami. Ledwo mógł to wytrzymać.

Cały magazyn zadrżał, a z sufitu zaczęły spadać kawałki gruzu.

— Griffin! - to głos Finley, który usłyszał w słuchawce, przyzwał go z powrotem. Usłyszał jej udęczony ton i zrozumiał, że nie chce zostawić przyjaciół. Nie chciał zostawić jej. A gdyby teraz się poddał, wszyscy zginęliby razem z nim. Ostatkiem sił przyciągnął Eter do siebie, zawijając go i wzmacniając. Nigdy przedtem tego nie robił — nigdy nie czuł, że posiada kontrolę nad potężnym przepływem mocy. Zawsze czuł się raczej tak, jakby to on był kontrolowany, ale w tej chwili w ogóle się nie bał.

Spojrzał w dół i dostrzegł przepiękne światło otaczające jego ciało. Była to aura, jaśniejąca od mocy. Przyjął tyle energii, że płonął jak pochodnia na płaszczyźnie eterycznej.

Wyciągnął do przodu rękę, posyłając w pierś Garibaldiego pocisk czystej energii. Złoczyńca został rzucony do tyłu i upadł z łoskotem na podłogę. Musiał mieć na sobie jakąś zbroję, skoro tak szybko otrząsnął się po tym ciosie. Skierował na Griffa metalową rękę,

która zaczęła lśnić, wokół jej palców tańczyły błyskawice. Miał na głowie to dziwne, przypominające koronę urządzenie, którego używał podczas ich poprzedniego spotkania.

Generator Eteru. Niektóre z droższych eterowych melin miały takie maszyny zamiast mediów i spirytualistów. Urządzenia te mogły połączyć się z płaszczyzną eteryczną i czerpać z niej energię, ale często były niestabilne i mogły eksplodować, gdy za dużo jej pochłonęły - Eter nie był czymś stałym.

Nagle z metalowych palców Garibaldiego prosto w Griffina wystrzeliło światło. Uderzyło go tuż pod ochraniaczem — jego przeciwnik wiedział, gdzie wymierzyć cios. Ale zamiast go powalić, energia dołączyła do tej już w nim zebranej i wypełniła go, napinając jego skórę tak, że myślał, że zaraz eksploduje na milion kawałeczków.

Musiał ją wypuścić, ale tylko Eter utrzymywał go teraz na nogach. Griffin oparł się jedną ręką o ścianę, by nie upaść, a drugą wycelował w Garibaldiego, kierując na niego tę ciemną energię, która go wypełniała.

Wypuścił Eter.

Strumień energii przesunął wroga po podłodze, aż uderzył o pozostałości kilku automatów. Energia przeskoczyła na maszyny, wprawiając je w ruch, choć zostały wyłączone. Kończyny Garibaldiego drgały, wrzasnął z bólu.

W tej chwili Grimm wiedział, że mógłby zabić tego człowieka, gdyby tylko zechciał. Mógł go unicestwić,

tak jak Garibaldi unicestwił jego rodziców. Ale martwy Machinista miałby pełny dostęp do Eteru — i do matki Grimna.

Decyzję podjął łatwiej, niż się spodziewał. Opuścił rękę, przerywając przepływ energii między sobą i Machinistą. Garibaldi dalej wił się na podłodze — choć Griffin go wypuścił, wciąż buzował w nim Eter.

Griffin zamknął oczy i czuł ciepło pod powiekami. Nigdy wcześniej nie wchłonął tyle energii. Przyłożył obie dłonie do ściany i pchnął umysłem. Eter przeszedł z niego do ściany i rozniósł się po belkach budynku.

Z sufitu leciały kawałki gipsu i cała budowla zaczęła drgać i trząść się.

Pod Griffinem ugięły się nogi, ale ktoś go złapał. Był to Sam. — Trzymaj się, przyjacielu, póki cię stąd nie wyniosę.

Griffin skinął głową, bojąc się, że jeśli otworzy usta, Eter się z niego wydostanie i zabije ich wszystkich.

Sam podniósł go jak dziecko, uważając na wystający sztylet. Griffin coraz gorzej widział, cały świat wypełniało światło, ale dostrzegł, jak Finley podbiega do Garibaldiego i z całej siły go kopie. Potem pobiegła za resztą grupy i przejęła nieprzytomną Emily od Jaspera. Przyspieszyli wtedy, a kotka Emily biegła przodem, w górę po schodach i na zewnątrz walącego się magazynu.

Gdy już byli na dworze, Griffin klepnął dłonią w pierś Sama i wskazał na ziemię. Na szczęście jego ponury przyjaciel nie spierał się z nim. Postawił Griffina na nogi, ale nadal go podtrzymywał na wypadek, gdyby Griff upadł.

Dreńwota w kończynach się rozprzestrzeniała. Zaraz straci przytomność. Griffin przyłożył obie dłonie do zewnętrznej ściany magazynu i jeszcze raz pchnął umysłem — duszą — wypuszczając z siebie cały Eter.

Budynek zadygotał, a potem zawalił się z głośnym hukiem. Zapadł się, drewno konstrukcji łamało się jak wykałaczki pod gigantycznym butem. Siła implozji była tak wielka, że rzuciła Griffina na ziemię, gdzie powrócił ból z rany w brzuchu, i książkę wydał stłumiony okrzyk, wijąc się w agonii.

Pochylali się nad nim rodzice, a na ich twarzach malowała się troska. Sięgnęli do niego, a on poczuł, jak jego dusza się unosi, jak gdyby miała do nich dołączyć.

Wtedy stracił przytomność.

Nie było dość czasu, żeby zawieźć Griffina do domu. Emily wciąż była nieprzytomna i musieli ich oboje przenieść w jakieś bezpieczne miejsce. Już słyszeli syreny zbliżających się pojazdów peelerów. Nie było możliwości, żeby nikt nie zgłosił zawalenia się magazynu, nawet tak późno w nocy. Przy hałasie, jaki

się rozległ, ludzie pewnie myśleli, że ktoś zaatakował cały Londyn.

— Whitechapel — powiedziała Finley, mając nadzieję, że podejmuje właściwą decyzję. Poleciała Samowi ułożyć Griffina na jej welocyklu, podczas gdy Jasper położył Emily na jej własnym — razem z kotką. Sam przejął od niego Emily, a Jasper błyskawicznie poprzy-czepiał pozbawione kierowców welocykle do pojazdów Finley, Sama i swojego.

Finley prowadziła ich, gnając przez ulice z największą prędkością, jaką mogła rozwinąć. Kiedy dotarła pod znajomy adres w Whitechapel, ulżyło jej, gdy zobaczyła światło w oknie. Całe szczęście, bo była gotowa wykopać drzwi, gdyby nikogo nie zastała.

Jasper załomotał do drzwi, bo ona sama trzymała Griffina. Sam zaś miał w ramionach Emily. Mechaniczny kot warował u jej boku jak prawdziwy zwierzak, zdecydowany nie opuszczać swojej właścicielki.

Drzwi otworzył Jack Dandy ze swoim zawadiackim uśmiechem, ale uśmiech ten szybko zniknął, kiedy zauważył rannych. Odsunął się po prostu i przytrzymał drzwi, żeby weszli.

Finley zaniósła Griffina do sypialni na górę, a reszta podążyła za nią.

— Pierwsze drzwi na prawo - powiedział Dandy do Sama na szczycie schodów. Finley już zaniósła Griffina do pokoju, w którym spała. Miała na ramieniu torbę lekarską Emily i kiedy tylko położyła Griffina na łóżku, otworzyła ją drżącymi dłońmi.

U jej boku zaraz zjawił się Jack. Swoją długą, silną dłoń położył na jej dłoni.

— Widziałem gorsze rzeczy, skarbie. Nie wygląda na to, żeby nóż trafił w cos' ważnego.

— Skąd wiesz? — zapytała Finley, usilnie powstrzymując łzy. Jack ścisnął jej palce.

— Mam pewne doświadczenie z nożami i takimi tam. Sam mam na biodrze bliznę podobną do tej, jaką będzie miał książę. To co tam masz, czym można by go pozszywać?

Kiedy przychodziło co do czego, Finley ufała Jackowi — choć może niekoniecznie, jeśli chodziło o jej cnotę. Ale na pewno nie narazi życia Griffina. Jack był dość bystry, by wiedzieć, że jeśli książę Greythorne zaciągnie wobec niego dług wdzięczności, obróci się to na jego korzyść.

Pomagała, przytrzymując rannego, kiedy Jack wyciągnął ostrze, uciskała krwawiącą ranę. Użył listerine z torby Emily, żeby przemyć cięcie, co uspokoiło Finley. Jeśli wiedział, że ma robić to, co zrobiłaby Emily, to najwyraźniej naprawdę się na tym znał. Pracował szybko, a jego szwy były małe i równe.

Po wszystkim Jack zebrał zakrwawioną pościel.

— Zostań tu, ile będziesz chciała — powiedział. — Niedługo wychodzę. Mam sprawy do załatwienia.

Finley nie chciała wiedzieć nic więcej. Podeszła do Dandy'ego, owinęła ramiona wokół jego pasa i przytuliła się.

— Dziękuję - powiedziała, a z oczu płynęły jej łzy. -Bardzo dziękuję.

Jej pleców dotknęła niepewna dłoń.

— Nie płacz, skarbie. Zamoczysz mnie i się rozpuszczę. Jestem z cukru, wiesz.

Zaśmiała się i puściła go, ocierając oczy wierzchem nadgarstków — były to jedyne części jej rąk niepokryte krwią.

— Zapomniałam — powiedziała.

Jack uśmiechnął się krzywo, a w jego ciemnych oczach lśniło coś, czego wołała nie identyfikować.

— Coś mi się zdaje, że czeka nas pięciodaniowa kolacja — poinformował ją. — Może zająć większą część wieczora.

Finley skinęła, czując się o tyle lepiej, że nie obchodziło jej, iż Jack wyłudza od niej więcej czasu. Było warto.

— Brzmi fair — odpowiedziała.

Po tym Jack uchylił przed nią niewidzialnego kapelusza i wyszedł z pokoju. Kiedy go już nie było, Finley wyciągnęła z torby Emily atomizer z organitami, odsunęła bandaż z boku Griffina i zaaplikowała na ranę hojną ilość ziemiście pachnącej substancji. Zmusiła się nawet do odciągnięcia brzegu rany, żeby trochę leku wpłynęło między szwy.

Teraz mogła tylko czekać. Podciągnęła koc leżący u stóp łóżka, przykryła Griffina i usiadła na krawędzi materaca, żeby obserwować rannego. Sińce na jego

twary zaczynały już zanikać, pozostawiając na skórze zielonkawożółte ślady.

Podniosła jego lewą dłoń i trzymała w swojej, ignorując krew pod paznokciami. Była to jego krew. Starła się skoncentrować tylko na nim, nie na potwornościach tego wieczoru czy na przynoszącej ulgę myśli, że już po wszystkim. Nie chciała wyobrazić sobie, jak przerażająca mechaniczna królowa Wiktorii krwawi, przypominać, jak pomyślała, że świat się skończył, kiedy zobaczyła sztylet w boku Griffina.

Swoją mocą zawalił cały budynek. Pogrzebał pod gruzami automaton-królową i jej armię. Bez wątpienia zabił Leonarda Garibaldiego. Choć nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby tego morderstwem.

Ale też nikt nie pozna prawdy o tym, co tam zaszło. Miną miesiące, może lata, zanim odkryją, co pozostało po Machiniście i jego planach pod podłogą magazynu.

Czemu Garibaldi to zrobił? Tylko dlatego, że królowa uważała, że świat nie powinien dowiedzieć się o organitach? Dlatego że rodzice Griffina - i jej ojciec — się z tym zgodzili? Czy była to zemsta za to, że tych troje ludzi dalej pracowało nad organitami, kiedy on już nie mógł? A może chodziło o wszystkie te rzeczy naraz? Garibaldi najwyraźniej już dawno postradał rozum. Kto mógłby znać jego prawdziwe motywy?

Cieszyła się, że już po wszystkim i że teraz ich życie nie było podporządkowane rozwiązaniu tej zagad-

ki czy powstrzymaniu złoczyńcy. Teraz liczyło się tylko to, by Emily i Griffin wyzdrowieli. Wszystko inne mogło być co najwyżej miłym dodatkiem.

Miała nadzieję, że Jack się nie myli i że Griffin w pełni dojdzie do siebie. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby umarł jedyny człowiek, który wymagał od niej całkowitego zaufania i sam w zamian ufał jej zupełnie.

To Sam pomyślał, żeby zawiadomić Kordelię, że pokonali Garibaldiego. Nie powiedział jej o ranie Griffa ani o tym, gdzie się znajdują. Po pierwsze nie chciał jej martwić, a po drugie, choć Jack Dandy był tylko pospolitym przestępcą, przyjął ich pod swój dach i pomógł im, kiedy najbardziej tego potrzebowali. Dobry uczynek to dobry uczynek, jak rozumował Sam.

Siedział przy łóżku Emily, starając się nie zasnąć, czytając jedną z tanich powies'ci, które tak lubił, o kowbojach na amerykańskim Zachodzie. Dziwne, że tak podziwiał tę kulturę, a jednak chętnie udusiłby Jaspera, choć ten dowiódł, że jest dobrym przyjacielem. Zaczęły mu opadać powieki. Był tak cholernie zmęczony. Teraz, gdy było już po bitwie, czuł, że mógłby spać przez tydzień. Kiedy tylko dowie się, że z Emily i Griffinem wszystko w porządku, wtedy będzie mógł zasnąć.

— Sam?

Otworzył oczy i przesunął się do przodu na krześle, nagle zupełnie obudzony.

Emily wyglądała jak anioł na śnieżnej bieli prześcieradła, choć wątpliwe było, by jakikolwiek anioł postawił stopę w domu Jacka Dandy ego. Jej włosy ułożyły się w aureolę wokół głowy, a oczy, jasne jak szlachetne kamienie, spoglądały na niego, przejrzyste i wolne od bólu.

— Em. Jak się czujesz? - zapytał.

— Jakby nadepnął na mnie słoń — odpowiedziała z uśmiechem. - Nie jest źle, ale moja głowa... — Skrzywiła się. — W mojej głowie jest coś dziwnego.

Przysunął się bliżej na krześle.

— Mam zawołać lekarza? Zatrzymała go, chwytając jego dłoń.

— Nie potrzebuję lekarza.

— Skąd wiesz? Popatrzyła mu w oczy.

— Po prostu... wiem. Sam, wydaje mi się, że porozumienie się z zaawansowanym procesorem mechanicznej królowej mogło mnie zmienić, sprawiło, że myślę szybciej - i lepiej.

— Cholera - wyszeptał. — Już wcześniej za tobą nie nadażalem. Teraz to w ogóle nie będziesz chciała ze mną rozmawiać, jak jesteś jeszcze mądrzejsza.

Uśmiechnęła się i ucisnęła jego rękę.

— To chyba jedna z najmilszych i najgłupszych rzeczy, jakie kiedykolwiek powiedziałaś. Oczywiście, że

chcę z tobą rozmawiać. Nie ma nikogo, z kim chcę tak bardzo rozmawiać jak z tobą, Sam.

Było tak, jakby ktoś zapalił w nim świeczkę, malutki, migoczący płomyk, który ogrzewał go od środka.

- Nawet z Griffinem?

- Zwłaszcza nie z nim. Bogowie, on myśli, że to *on* jest mądrzejszy od wszystkich.

Zaśmiali się na to, a Emily rozejrzała się po pokoju, zdając sobie sprawę, że nie są w domu.

- Gdzie jesteśmy?

- Nie uwierzysz. — Pochylił się, żeby wyszeptać: — Finley przyprowadziła nas do Jacka Dandy'ego.

Wtedy Sam usłyszał głos w uchu.

- Słyszę cię, głupku. — Była to Finley. Słyszała, bo miała słuch... cóż, sam nie wiedział, do czego to przyrównać. A on słyszał ją dlatego, że wciąż miał w uchu tę specjalną słuchawkę.

- Przestań podsłuchiwać - syknął i wyciągnął małe metalowe urządzenie z ucha. Zgniótłby je, gdyby nie to, że zrobiła je Emily.

- Jak ma się Griffin? — zapytała Emily, wciąż uśmiechając się z rozbawieniem. - Pokonał Garibaldięgo?

Sam przełknął.

- Tak, ale Garibaldi go dźgnął nożem. Było kiepsko. Dandy i Finley go załatali. Pamiętała, żeby użyć na nim twoich „stworzonek” — ale nie przy Dandym.

Emily podniosła się na poduszkach.

— Jak kiepsko? Pokręcił głową.

— Nie wiem. Ciągłe jest nieprzytomny. Zawalił cały budynek, Em. Szkoda, że tego nie widziałas'. Zburzył go, jakby był domkiem z zapalek lub piasku.

— Chciałabym to zobaczyć. — Zmarszczyła brwi. — Czy w środku był Garibaldi?

Sam potwierdził.

— Dobrze. - Emily przybrała poważny wyraz twarzy. — Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem, że jest człowiek, bez którego świat będzie lepszy, ale Machinista był właśnie taką osobą. Choć wiem, że Griffina będzie trochę męczyć poczucie winy.

Zanim Sam zdążył się z nią zgodzić, ktoś zapukał we framugę otwartych drzwi. Sam obejrzał się i zobaczył stojącego na progu Jaspera. Oczywiście pojawił się akurat wtedy, kiedy Sam miał powiedzieć Emily, jak bardzo się cieszy, że nic jej nie jest i że nie wie, co by zrobił bez niej.

— Panno Emily, jesteś balsamem na zbolące oczy — powiedział jej i uchylił kowbojskiego kapelusza. - Cieszę się, że widzę cię przytomną.

— Dziękuję, Jasperze. Ja się cieszę, że widzę cię na nogach i wyglądającego dość zdrowo.

Sam się skrzywił.

— Chciałeś czegoś, Renn, czy będziesz tak tam stał całą noc?

— Emily uszczypnęła go mocno. Spojrzał na nią — nie wyglądała na zadowoloną.

Jasper wzruszył ramionami.

— Pomyślałem sobie tylko, że może zainteresuje was, że Griffin się obudził. — Obrócił się na pięcie i odszedł.

-Jesteś dla niego taki złośliwy - skarciła go Emily. Sam się skrzywił, ale nic nie powiedział. I nie przeprosił.

— Chcesz iść do Griffa?

Skinęła głową, więc pomógł jej wstać. Przeszli korytarzem do drugiej sypialni, gdzie Finley i Jasper siedzieli na brzegu łóżka, a Griffin pólleżał oparty na poduszkach, blady, ale przytomny.

— Dobrze was wszystkich widzieć — powiedział zachrypniętym głosem. — Już myślałem, że może nigdy nie będę miał okazji zaznać tej przyjemności. Nawet twoja paskudna gęba mi się podoba, Sam.

Sam uśmiechnął się.

— Ajak myślisz, kto cię stamtąd wytaszczył, wasza książęca mość?

— Dziękuję. - Tym razem Griffin spoważniał. -Dziękuję wam wszystkim. Dziękuję, że pomogliście mi w walce, i dziękuję, że ocaliliście mi życie.

— Sam byś to dla nas zrobił — przypomniał mu Jasper.

— Wystarczy, że przeżyłeś — dodała Finley. Sam zauważył, że trzymała dłoń Griffina we własnej, a jego przyjaciel zdawał się nie mieć nic przeciwko.

— Tak - zgodził się Griff. — Podobno powinienem za to podziękować panu Dandy'emu. Jest tutaj?

Finley powiedziała, że Dandy wyszedł jakiś czas temu, ale że pozwolił im zostać tak długo, jak będzie potrzeba. Griffinowi zdawało się dziwnie ulżyć na wieść o tym, że ich gospodarza nie ma w domu, pomyślał Sam. On czuł podobną ulgę, kiedy w pobliżu nie było Jaspera Renna. Zazdrość - o to tu chodziło. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że Griffin mógłby ją odczuwać, skoro urodził się w bogatym domu i mógłby mieć wszystko, czego tylko zapragnie.

Ale też na ludzkie serce nie było ceny.

Dwa dni później Griffin był już całkiem zdrowy. Przyszedł na śniadanie, gdzie spotkał swoich przyjaciół i ciotkę. Kordelia naląła mu filiżankę kawy, kręcąc się przy nim jak zatroskana kwoka. Próbowwała mu nawet nałożyć jedzenie na talerz, ale przekonał ją, że sam da sobie radę. Kiedy dowie się, kto jej powiedział, jak poważnie był ranny, powiesi winowajcę za palce u stóp.

— Właśnie otrzymałam wiadomość od szefa agencji - powiedziała Kordelia, kiedy już wszyscy zasiedli do stołu. — Przeszukali cały magazyn. Znaleźli szczątki dwudziestu automatów, ale Garibaldiego i mechanicznej Wiktorii nie było.

Griffin zamarł, czując w piersi zimny węzeł strachu.

- To znaczy, że Garibaldi może jeszcze żyć? - Nie chciał go zabić, bo to by dało zbrodniarzowi większy

dostęp do Eteru, ale wieść o tym, że ten drań może jeszcze komuś zaszkodzić, zmroziła go.

— Mało prawdopodobne — odpowiedziała Kordelia uspokajającym tonem. — Szef uważa, że Garibaldi miał współnika, który wyciągnął z gruzów szczątki jego i maszyny. Podejrzewam, że jeden z jego auto-matonów wciąż działał i wyciągnął z budynku zwłoki Garibaldiego. Nie ma możliwości, żeby przeżył to, co zrobiłeś z tym budynkiem, Grifflinie.

Grimn pokręcił głową.

— Bez ciała nie możemy mieć pewności, że Machinista nie żyje. Może kiedyś powrócić.

Najwyraźniej Kordelia wyczuła jego niepokój, bo zaraz usłyszał w głowie jej głos:

Garibaldi zginął, Griffinie. Nie mógł tego przeżyć. Musisz mi uwierzyć.

Uśmiechnął się do niej, żeby pokazać, że wierzy. Oczywiście wierzył jej. Po prostu czułby się lepiej, gdyby mieli jakiś dowód. Gdyby mógł pójść na pogrzeb i na własne oczy zobaczyć Garibaldiego w trumnie.

Wymierzył sprawiedliwość za śmierć rodziców, ale nie czuł takiej satysfakcji, jakiej się spodziewał, ponieważ Garibaldi zniknął, ale też dlatego, że bez względu na to, co zrobił, nic nie zwróciłoby Griffowi jego rodziców. Choć niezwykle bogaty i potężny, w tej sprawie był równie bezradny jak inni ludzie.

— Poza tym... — zaczęła Kordelia, uśmiechając się do wszystkich i przerywając tok jego myśli - Jej Wysokość chciałaby zaprosić was wszystkich na herbatę

do pałacu w następną środę, żeby móc każdemu z was podziękować za zwyciężenie Machinisty, który prawdopodobnie chciał zabić królową i zastąpić ją sobowtórem.

— Czy jesteśmy pewni, że to właśnie chciał zrobić? — zapytał Griffin. Nie był oszołomiony zaproszeniem królowej tak jak pozostali. - Zabić ją?

Jego ciotka skinęła głową.

— Mój przyjaciel znalazł w magazynie fragmenty notatek wśród papierów i projektów Machinisty. Znajdziesz te dokumenty na swoim biurku. Zdają się wskazywać, że Garibaldi planował zabić prawdziwą królową i zastąpić ją automatonem. Z maszyną na tronie praktycznie rządziłby krajem i dopełniłby zemsty na swojej królowej za to, co uważał za zdradę. Planował odebrać kopalnie w Devonshire rodzinie Greythorne i przejąć je na własny użytek.

— Wszystko to przez organity — wyszeptał Griffin. - Tylu zabitych ludzi i wszystko przez te małe dziwne istotki. - Chciałby zobaczyć, jak Garibaldi *próbuję* mu odebrać dom.

— Jej Wysokość miała rację, chcąc zachować je w tajemnicy. - Finley obróciła się do niego. - Zobacz, co zrobiły z Garibaldim.

— Cóż, już go nie ma - powiedział Sam, smarując tost grubą warstwą dżemu. — I krzyżyk mu na drogę.

Griffin uniósł filiżankę z kawą.

— Racja. — Kiedy wszyscy wrócili do rozmów, zwrócił się bezpośrednio do Finley: — Czy zechcia-

łabyś pójść ze mną później na spacer? Pomyślałem, że moglibyśmy udać się do Hyde Parku.

Gdzie się spotkali po raz pierwszy, choć nie powiedział tego głośno. Udawał też, że nie zauważa, że wszyscy się przysłuchują, czekając na odpowiedź Finley.

Uśmiechnęła się.

— Chętnie. Mam trenować kung-fu z Jasperem, a z Emily umówiliśmy się na omawianie Leonarda da Vinci, ale koło drugiej jestem wolna.

Grimm uśmiechnął się szeroko w odpowiedzi. Większość ze znanych mu dziewczyn odwołałaby inne plany, żeby spełnić jego zachciankę, a nie kazałaby mu czekać. Podobało mu się to.

— Niech będzie druga. - Spojrzał na Jaspera, który ostatnio stał się zwykłą częścią krajobrazu w tym domu. Nie dokończyli właściwie wcześniejszej rozmowy, którą prowadzili wtedy w gabinecie, kiedy przeszkodziła im Finley.

Właśnie kończyli śniadanie, kiedy do pokoju weszła pani Dodsworth, a za nią czterech nieokrzesanych mężczyzn.

— Powiedziałam im, żeby zaczekali, wasza książęca mość, ale odmówili!

Griffin spokojnie wstał.

— Kim jesteście i co robicie w moim domu? Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu i uchylił kapelusza.

— Dobry, wasza książęca mość. Przepraszamy za to wtargnięcie, ale ja i moi współpracownicy chcieli-

byśmy aresztować Jaspera Renną i zabrać go do Nowego Jorku.

Wokół stołu rozległo się zbiorowe westchnienie.

- Co? - Grimm spojrzał groźnie na przybysza. - Za co?

- Morderstwo - odpowiedział mężczyzna, przenosząc wzrok z Griffina na Jaspera i z powrotem. Podał Griffinowi złożony i podniszczony arkusz brązowego papieru. — Nie chcemy kłopotów.

Griffin rozłożył papier. Był to list gończy, na którym widniała podobizna Jaspera, łącznie z obietnicą wypłacenia pięciu tysięcy dolarów nagrody za dostarczenie go. Wyglądał oficjalnie.

- Prawa Ameryki tu nie obowiązują - powiedział Griff, zwracając mu obwieszczenie. - Proszę stąd odejść.

Mężczyzna podciągnął pas z bronią.

- Chyba pan nie rozumie. Nie wyjdziemy stąd bez Renną.

- A właśnie, że wyjdziecie — powiedziała Finley, wstając. Sam i Emily też wstali.

Mężczyzna zaśmiał się i wyciągnął pistolet z kabury.

- Mam tu sześć kul, które mówią, że zabieramy ze sobą chłopaka, a wy nam na to pozwolicie.

Od tamtej nocy w magazynie Griffin bez trudu przyzywał Eter — niemal za łatwo. Nie przytłaczał go tak, jak wówczas kiedy był młodszy, ale zawsze zdawał się być w pobliżu, czekając na jego wezwanie. Te-

raz miał zamiar go przyzwać, żeby powalić tego prostaka na jego brudny tyłek.

— Pójdę.

Wszystkie głowy się obróciły. Jasper wstał i patrzył na przybyszów z wyrazem twarzy, który Grimm mógł zaklasyfikować wyłącznie jako zrezygnowanie. Domyślił się, o czym Jasper chciał wtedy z nim porozmawiać. Miał kłopoty, a Griffin był zbyt zajęty swoimi sprawami, żeby to dostrzec.

— Griff, nic nie rób. - Jasper podszedł do Amerykanów, obserwując ich spokojnie. — Pójdę z własnej woli, tylko odłóż broń.

Mężczyzna chwilę się wahał, ale w końcu ustąpił.

— Załóżcie mu kajdanki.

Griffin nie mógł pozwolić, żeby zabrali przyjaciela z jego domu jak zwykłego kryminalistę, ale spojrzenie, które posłał mu Jasper, mówiło, żeby się nie wtrącał. Była w tym spojrzeniu też skrucha. Zamiast narażać przyjaciół, pozwolił tym draniom, żeby go zabrali do Ameryki, gdzie stanie przed sądem - jeśli można to tak nazwać — za morderstwo.

Griffin przełknął. Trudno było mu nie przejąć kontroli nad sytuacją, nie kazać tym ludziom opuścić jego domu. Niezwykle wręcz trudno pozwolić Jasperowi na podjęcie jego własnych decyzji. Nawet pozostali tego nie chcieli. Finley dała temu wyraz, kiedy mężczyźni skuli Jaspiera.

— Nie możesz im na to pozwolić! — krzyknęła do niego.

Griffin spojrzął na nią.

— To decyzja Jaspera, nie nasza.

Znów rozbrzmiały głosy sprzeczące się z nim, ale to głos Jaspera przebił się przez tę kakofonię.

— Przestańcie! — Wszyscy popatrzyli na niego. -Byliscie dla mnie bardzo dobrzy — najlepsi przyjaciele, jakich kiedykolwiek miałem, ale człowiek może uciekać przed swoją przeszłością tylko do pewnego momentu, w końcu będzie musiał zapłacić za swoje grzechy. - Pochwycił spojrzenie Griffina. - Dziękuję... za wszystko. Do widzenia.

Ostatnie słowa były skierowane do nich wszystkich, choć spojrzenie kowboja chwilę dłużej skupiło się na Emily, w której dużych oczach widać było łzy. Podobnie jak u Finley. Nawet Kordelia wyglądała na zasmuconą.

Griff skinął mu głową.

— Do widzenia, Jas.

Stali w milczeniu, kiedy mężczyźni zabierali Jaspera z pokoju, prowadząc go między sobą. Dopiero kiedy drzwi się zamknęły, wszyscy spojrzeli na Griffina, żądając wyjaśnień, czemu niczego nie zrobił i co teraz będzie? Nie mogli tak po prostu pozwolić, żeby Jaspera powieszono.

— To prawda, nie możemy - zgodził się Griffin, uciszając ich. Gapili się na niego jak rybki w akwarium. — I nie pozwolimy.

Unosząc filiżankę z kawą, dopił jej zawartość i odstawił na stół, po czym skierował się do drzwi.

- Dokąd idziesz? - zapytał Sam. Nawet on nie chciał, żeby Jasper odszedł w ten sposób. Było to miłe zaskoczenie.

- Spakować się - odpowiedział Griffin. Uśmiechnął się do Finley, która patrzyła na niego, jakby zupełnie zwariował. - Co powiesz na to, żebyśmy poszli na spacer w Nowym Jorku?

PODZIĘKOWANIA

Mało jest autorów, którzy napisaliby książkę zupełnie samodzielnie. Z reguły znajdzie się jakiś męczony przyjaciel, który musi siedzieć i słuchać, kiedy my opowiadamy o swoim „fascynującym” pomysle na fabułę, albo też mąż, który częściej je jedzenie na wynos, niżby chciał. W moim przypadku jest kilka osób, którym muszę bardzo podziękować za to, że ta książka w ogóle znalazła się w waszych rękach. Po pierwsze, na podziękowania zasługuje Krista Stroever, niezwykła redaktorka. Kiedy powiedziałam Kriście, że chcę napisać skrzyżowanie *Ligi niezwykłych dżentelmenów* z nastoletnimi *X-menami*, odpowiedziała: „Steampunk. Super”. Traktuje mnie jak gwiazdę rocka i po prostu uwielbiam ją za to, i czekam tylko na sądowy zakaz zbliżania!

Do tego muszę też wspomnieć o trzech niezwykłych piszących przyjaciółkach, które trzymały mnie

za rękę podczas całego procesu i zapewniały mi potrzebne słowa otuchy oraz racjonalne myśli, kiedy ja nie miałam żadnych własnych. Tak więc Jesse Petersen, Colleen Gleason i Sophie Jordan - jesteście najwspanialszymi przyjaciółkami, jakich mogłabym sobie zażyczyć. Chciałabym tylko móc was częściej widywać.

Dziękuję też Nancy Yost za sprzedanie tej książki i za wiele lat nieocenionych wskazówek. Miriam Kriss, dziękuję za to, że jesteś taka niesamowita i że nie śmiałaś się z mojego plecaka Yody. Moc jest w tobie silna.

Muszę jeszcze podziękować moim przyjaciołom za zrozumienie, kiedy nie mogłam wyjść się pobawić albo kiedy byłam bardziej szalona niż zwykle. Dziękuję też rodzinie za bycie wspanialszymi postaciami, niż ja kiedykolwiek potrafiłabym stworzyć (mówię tu o tobie, Weezie). Sarah Rose zasługuje na podziękowanie za czytanie tej książki na początku jej powstawania i podsuwanie mi pomysłów na koszulki.

Na koniec muszę jeszcze skierować światło jupiterów na mojego męża Steve'a, bez którego wsparcia dosłownie nie dałabym rady napisać tej książki. Dziękuję za przeprowadzane badania, za twój umysł, entuzjazm i nieustające wsparcie. Brak mi słów, żeby wyrazić, jak wielką rolę odegrałeś w tym projekcie, co może nie jest taką złą rzeczą, bo gdyby nie brakowało mi słów, pewna jestem, że nigdy nie pozwoliłbyś mi o nich zapomnieć. A przede wszystkim dziękuję, że byłeś niezwykłym sobą, bo nie ma nikogo innego, z kim chciałabym spędzić resztę życia, śmiejąc się.

Ach, i jeszcze niedbalstwem by było, gdybym nie uznała wpływu tych niezręcznych lat od trzynastych do osiemnastych urodzin. Za nic w świecie nie chciałabym być znowu tą osobą, ale też za nic bym jej nie zmieniła. Choć muszę przyznać, że nie miałabym nic przeciwko spoliczkowaniu się raz czy drugi.